3/23

Nr 1518
1904

EX LIBRIS
CZYTELNIK
SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA

318058

ALFONS DAUDET.

MAŁA PARAFIA.

POWIEŚĆ.

WARSZAWA.
Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego.
—
1895.

UJK
Biblioteka
Uniwersytecka
w Kielcach
474802

Дозволено Цензурою.
Варшава 31 Мая 1895 года.

I.

Ryszard Fenigan namiętnie lubił łowienie ryb i myśliwstwo; dlatego też okrągły rok przemieszkiwał na wsi w departamencie Seine-et-Oise, wraz z matką i młodą swą żoną. Wyciągnął dopiero co sieci z Sekwany, której część wydzierżawił, pomiędzy szluzami Evry i Athis; rzeka obfitowała w tem miejscu w sporą ilość zieleniejących wysp, pokrytych przeważnie zaroślami.

Poranek lipcowy ciężki był i gorący, słońce platynowo blade srebrzyło swoim blaskiem niebo, a po nad nieruchomą wodą rzeki unosiły się lekkie opary; cisza panowała głęboka, nie przerywał jej nawet świergot ptaków przemieszkujących w nadbrzeżnych krzakach; w gorącem, wilgocią przesyconem powietrzu, rośliny wydawały silny zapach, łączący się z ckliwą wonią kantaryd, obsiadujących szmaragdowemi plamami gałęzie jesionów.

Fenigan zdawał się być zmordowany dusznością atmosfery, jakkolwiek był silny i młody. Był to zaledwie trzydziestopięcioletni mężczyzna; cerę miał zdrową, uwydatniała ją gęsta czarna

broda; skierował teraz swoją łódkę ku maleńkiej przystani, gdzie stały przywiązane inne jego łodzie a tuż za niemi na łące, leżały rozpostarte sieci; susząc się na słońcu nabierały coraz jaśniejszych blond tonów, odbijających się od nikłej zieloności trawy. Dobiwszy tutaj, Fenigan poczuł jakby silny zawrót głowy, skutkiem znużenia i gorąca, rozciągnął się więc na dnie swojej łódki i leżał tak w pół senny; ubranie miał na sobie płócienne, zbryzgane ciemnemi plamami wody. Wtem z pagórka po tejże stronie Sekwany doleciał odgłos dzwonu. Ryszard drgnął:

— Chuchin! Czy słyszałeś?

Chuchin, był to stary rybak, który miał pieczę nad łodziami Ryszarda Fenigana. Twarz jego przypominała kozła a skóra na tej twarzy pomarszczoną była jak powierzchnia rzeki, gdy wieje ostry wschodni podmuch wiatru. Był on w tej chwili zajęty liczeniem szczupaków, linów i węgorzy, które wpuszczał do sadzy; podniósł głowę na odgłos słów swojego pana i rzekł spokojnie:

— To w pałacu zadzwonili.

— Przecież na śniadanie jeszcze zawcześnie; zaledwie jedenasta wybiła.

— Może jacy goście... może państwo z Grosbourg... właśnie dopiero co widziałem ich powóz jadący mostem.

Dzwon odezwał się ponownie a chociaż dźwięk dolatywał z oddali, wydawał się hałaśliwy i rażący wśród martwej ciszy krajobrazu.

— Złóż wszystko na miejsce, mój stary, bo ja już idę; muszę zobaczyć, dlaczego oni dzwonią.

Ciężkim i wolnym krokiem prawdziwego wieśniaka, Ryszard szedł najpierw drogą nadbrzeżną, a potem zakręcił w aleję topolową, ciągnącą się pod górę aż do traktu wiodącego do Corbeil. W tem przecięciu dróg leżała wioska Uzelles, której większość gruntów i pałac stanowiły posiadłość Ryszarda Idąc, myślał i głośno rozważał, jaka mogła być przyczyna tego dwukrotnego dzwonienia... nie przeczuwał wszakże nic złego... Czyżby sąsiedzi z Grosbourg przyjechali z wizytą?... Nie... to było niemożliwe... Któż z nich mógł przyjechać?... Wszak generał leczy się u wód w Tyrolu a księżna pojechała z nim, aby męża doglądać... Syn ich?... Też nie, bo zamknął się w swojem liceum i pracuje nad przygotowaniem się do egzaminu w szkole wojskowej w Saint-Cyr; nie czas mu teraz do wizyt, egzamin za pasem. Nie, to żadna wizyta!... To służba musiała się z sobą pokłócić, albo wzywają go, bo nie mogą sobie sami poradzić przy gospodarstwie... Albo... może znów wynikła jaka przykra scena pomiędzy matką jego i żoną... Ale chyba i to nie.. wszak od paru lat ustały te dawne nieporozumienia i ciągłe utarczki, zakłócające spokój domowy przez pierwsze czasy po ożenieniu... A więc cóżby to było?...

Wtem, uniżonym nieszczerze głosem wypowiedziane „dzień dobry, panie Ryszardzie“ przerwało

mu bieg myśli. Po drugiej stronie drogi, którą szedł, stała gromadka ludzi pod topolą i zdawało się, że umilkli dopiero, zobaczywszy go nadchodzącego. Ludzie ci byli mu dobrze znani, był tam dróżnik Robin, Roger listonosz, który widocznie zaledwie zsiadł ze swojego welocypedu i wspierał się teraz na okurzonym jego sterze, praczka miejscowa, która siadła na dyszlu swoich taczek napełnionych mokrą i ociekającą bielizną; wszyscy oni wytrzeszczywszy oczy, słuchali z otwartemi usty opowiadania pana Aleksandra byłego kamerdynera w pałacu Grosbourg; pan Aleksander, wysoki, wygolony, prostował się w swoim letnim ubraniu z białej flaneli i bawił się od niechcenia czarną bambusową laską o srebrnem okuciu. O czem oni mówili z takiem zajęciem i dla czego naraz zamilkli, ujrzawszy Ryszarda? Dlaczego ten lokaj, taki zawsze pokorny i usłużny, uśmiechał się teraz z drwiącą ironią. Kiedyś, później, najdrobniejsze szczegóły tego poranku zarysują się wyraźnie w umyśle Ryszarda i z okrucieństwem szarpać go będą, lecz dziś na nie nie zważa, bo nie mają jeszcze dla niego żadnego wyraźnego znaczenia.

Tuż przy drodze stał kościół świeżo wzniesiony z białego kamienia, co go czyniło podobnym do nagrobnej kaplicy; tuż przy kościele, znów ktoś pozdrowił Ryszarda; był to stary Merivet w cylindrze i długiej szarej bluzie; w jednej ręce trzymał pędzel a w drugiej garnek z czarną farbą,

zajęty był—jak sam powiedział — „odświeżeniem swojego szyldu".

— Patrz, sąsiedzie... teraz można wyczytać napis chociażby o milę!

Usunął się nieco na bok, by Ryszard mógł dogodnie podziwiać czarność i wyraźność liter napisu, odbijającego na murze kościoła po prawej stronie od głównego wejścia:

„Napoleon Merivet,
kawaler orderu Saint-Grégoire le Grand,
wzniósł ten kościół
ku uczczeniu pamięci swej małżonki, Ireny,
i
ofiarował go gminie Uzelles".

Napis ten streszczał dramat małżeńskiego życia starego Merivet, lecz nikt nie znał tegoż szczegółów. Wiedziano tylko, iż kochał on szalenie swoją żonę a gdy umarła, zbudował swoim kosztem ten kościół tuż w pobliżu swojego domu i sam doglądał, by czystość panowała wewnątrz i zewnątrz; dopomagała mu w tem jego kucharka, oraz służący, będący zarazem zakrystyanem przy kościele. Co niedziela o godzinie dziewiątej rano, przyjeżdżał wikaryusz z Draveil i odprawiał mszę a Merivet cieszył się, jeżeli dużo ludzi zeszło się do kościoła, spoglądał z pewną dumą na zajeżdżające powozy i witał przybywających bogatszych sąsiadów. Właśnie z powodu mszy niedzielnej zatrzymał on teraz Ryszarda, by się użalić, iż mieszkańcy pałacu Uzelles nie są łaska-

wi na jego kościół. Dla czegóż panie jeżdżą na mszę aż do Draveil, albo do ochronki w Soisy, kiedy tuż w pobliżu mają też kościół...

— To źle, to bardzo źle, kochany sąsiedzie — nalegał staruszek, mącąc farbę w garnku — niema lepszego kościoła, nad mój kościołek; powiadam, że wprost szczęście ludziom przynosi. Żebyś wiedział, sąsiedzie, jaka to dusza czuwa nad tym kościołem, jaką niezrównaną kobietą była moja Irena!.. Rzeczpospolita wypisuje na swoich gmachach: *Wolność, Braterstwo*, otóż zważywszy na patronkę tej świątyni, powinienem wypisać na frontonie: *Litość, Miłosierdzie, Przebaczenie*. Mój kościół ludzie nazywają: *małą parafią*, powinniby zaś nazywać *dobrą parafią*. A ty, sąsiedzie, ponieważ jesteś żonaty, dobrzebyś zrobił, przychodząc tutaj modlić się, toby zapewniło szczęście twemu domowemu pożyciu.

Ryszard dziękował za uprzejmość i usprawiedliwiał tak siebie, jak i swoje panie, zapewniając, że przeszkodę stanowi zbyt wielka blizkość, bo jadąc dalej do kościoła używają zarazem przejażdżki; msza w Draveil lub Soisy, dostarcza im ku temu okazyi, co i dla koni jest potrzebne, bo się rozpasły, stojąc w stajni wciąż tylko przy żłobie. Lecz obiecał, że pomówi z paniami i niezawodnie zgodzą się one na zamówienie sobie stałych miejsc w małej parafii. Mówiąc to, uśmiechał się, gdy nagle ozwał się odgłos pałacowego dzwonu po raz trzeci; odgłos był tym razem silny, jakby szarpany i gwałtowny, Ryszard pożegnał spiesznie

starego Merivet i ruszył co prędzej na to nowe wezwanie.

Zabudowania gospodarskie i pałac Uzelles leżały na samym skraju wioski. Pałac składał się z dwóch części: główny budynek nowy, szyfrem kryty, z werendą i balkonem, zamieszkiwała stara pani Fenigan, matka Ryszarda; mniejszy zaś pawilon, w stylu zeszłego stulecia, zajmowało młode małżeństwo. Gruby wysoki mur otaczał park i budynki. W małych drzwiczkach, tuż przy pawilonie, stała teraz Rózia Chuchin, córka starego rybaka, wyglądała ona powrotu pana, zasłaniając się od słonecznego blasku ręką; gdy tylko ujrzała Ryszarda dążącego drogą, zawołała:

— To pani nie jest z panem?

Zdarzało się rzeczywiście, iż Ryszard zabierał z sobą żonę, wychodząc rankiem na połów ryb, lubiła ona, siadłszy w łódce, zagłębiać ręce aż do ramion w chłodnej wodzie rzeki, wyczekując wyciągnięcia sieci, w której trzepotały się i lśniły łuski złowionej zdobyczy. Dziś Lidia nie miała ochoty towarzyszyć mężowi i chociaż prosił, aby z nim poszła, odmrukiwała, w pół śpiący, przeczącо; śliczną była, leżąc wśród białych poduszek i Ryszard patrzał z lubością na różową jej buzię i zlekka odemknięte szaro niebieskie oczy, połyskujące przez rzęsy. Ryszard miał na myśli uroczy ten obraz, gdy Rózia z przerażeniem powtórzyła swoje pytanie:

— To pani nie jest z panem?...

— Nie, ale dlaczego pytasz?...

— Bo pani znikła z domu od rana.

— Znikła?... Co też ty wygadujesz!

Przestąpił dwa schodki poprzedzające furtkę, lecz zatoczył się i padł na kamienną ławkę stojącą tuż przy wejściu. Ryszard doznawał teraz zawrotu głowy o wiele silniejszego, aniżeli przed chwilą na łódce, nie mógł ani mówić, ani się ruszyć, prawie, że nie słyszał tego, co opowiadała mu z pośpiechem Rózia... W rodzaju brzęczenia dolatywały go podawane przez nią wiadomości, że szukano wszędzie, w domu, w parku, w warzywnym ogrodzie, po nad stawem... wreszcie, że stary Jerzy włóczący się zawsze po polach i lasach zawiadomił ogrodnika, iż brama wychodząca na tył parku jest otwarta, a potem oddał jakiś list starszej pani.

— Ale oto i starsza pani idzie...

Matka Ryszarda miała postać wyniosłą i masywną; czarne włosy były zczesane w tył gładko; szła z gołą głową a cień jej poruszał świetlane plamy słońca przenikającego pomiędzy drzewa alei. Z gwałtowności i pośpiechu jej ruchów znać było wyraźnie, że wiedziała już teraz całą prawdę i pałała wewnętrznym gniewem. Ryszard chciał powstać i podejść ku niej, by jaknajprędzej się czegoś dowiedzieć, lecz siły go zawiodły, był wprost przykuty do ławki, z wysiłkiem głosu i z rozpaczą w oczach zapytał, gdy do niego doszła:

— Lidia? Mamo, gdzie jest Lidia?

Z okrucieństwem i prawie tryumfująco matka odpowiedziała:

— Twoja żona uciekła i możemy śmiało sobie powiedzieć, że jest to pierwsza rzecz dobra, którą zrobiła.

— Uciekła!

— Tak, uciekła i rozumiesz, że nie sama. Ale zgadnij z kim?... No zgadnij!

Zamiast zgadywać, Ryszard jęknął, drgnął na całem ciele i znów opadł na ławkę z twarzą nabiegłą krwią i z rękoma opuszczonemi na żwir wysypujący aleję.

II.

Dziennik księcia.

Do pana M. W. de Valougne w Kolegium Stanislais w Paryżu.

D. 6 lipca 1886 r. Grosbourg.

Zawiadamiam cię, kochany przyjacielu, że miejsce moje dziś i dni następnych będzie stało puste w klasie przygotowawczej w Kolegium Stanislas. Zdecydowałem się. Puszczam kantem szkołę wojskową Saint-Cyr, wyrzekam się sławy wojennej, osądziwszy, iż zasługi moich przodków zupełnie są wystarczające dla chwały mojego rodu. Pradziad mój, Karol Dauvergne, został mianowany marszałkiem za pierwszego cesarstwa, dostał przytem tytuły: diuka Alcantary, księcia Olmütz, a biedaczysko mój ojciec, wraz z tytułem generała głównodowodzącego trzecim korpusem armii, został tknięty paraliżem w czterdziestym siódmym roku życia; wszystkie tytuły i honory już zostały przez nich zdobyte a osobiste moje ambicye mają ztąd najzupełniejsze zadowolenie. Wielki puhar ruski

stojący pośrodku naszego najwspanialszego salonu przy ulicy Chanaleilles, po brzegi jest napełniony dekoracyami familijnemi, które się tam razem marynują. Na moje jużby miejsca nawet nie było a zatem wolę sobie głowy nie łamać i spocząć na laurach przez ojców zdobytych. Mam lat osiemnaście, jestem jedynym spadkobiercą świetnego tytułu, nazwiska, milionów mojego ojca, lecz zarazem i smutnego stanu jego zdrowia, rozsądek więc nakazuje mi wcześnie zacząć używać rozkoszy życia... i oto zaczynam.

Widziałeś, że pisałem pokryjomu dwa listy w czasie wykładu trygonometryi, otóż jeden z tych listów zaadresowałem do kapitana Nuitt, prosząc, aby stał w pogotowiu w porcie Cassis z yachtem „Bleu-blanc rouge", żeby dobrał ośmiu ludzi załogi, kucharza, kamerdynera, licząc sobie za wszystko razem po dziesięć tysięcy franków miesięcznie. Drugi list był zaadresowany do osoby, która mi będzie towarzyszyła w wycieczce, bo chyba nie przypuszczasz, abym wybierał się w podróż samotną... Tej pani nie znasz, przynajmniej fotografii jej nie było w owej szufladzie, w której razem z krawatami mieściły się listy i portrety moich przyjaciółek. Jest to mężatka, mieszkająca w sąsiedztwie Grosbourg, po drugiej stronie Sekwany. Ma lat zaledwie trzydzieści, podłużne jasne oczy zazwyczaj przymknięte, a gdy je roztworzy, rzucają one jasność na całą jej buzię, jakby odblask drogocennych pereł; pozór ma chłodny

i wielkie białe ręce pianistki; nosi zazwyczaj mitenki, jak kiedyś nosiły nasze prababki. Jest ona bezdzietną, ma męża, który ją ubóstwia a cała okolica otacza ją wielkiem poważaniem. Lecz ledwie, że napisałem do niej: „Przybywaj!“ odpisała natychmiast: „Lecę!“ i rzuca wszystko: męża, dom, rodzinę, dla młodzieńca może miłego, lecz jakże niestałego! Ty znasz moje przygody miłosne. Powiadam ci, że kobiety są rzeczywiście dziwnemi ptaszynami!

Co do mnie, to wyznaję, że nie więcej dbam o tę kobietę, jak o wiele innych, zanadto kocham wszystkie, by wyróżnić tylko jedną. Gdy pokosztowałem pierwszego takiego cukierka, rzuciłem go natychmiast, szukając, czy inne nie lepsze i chcąc wreszcie doszukać się czegoś szczególniejszego, o czem opowiadają, lecz czego jeszcze nie napotkałem dotychczas. Chcę wierzyć, iż mi życzysz, abym był szczęśliwszy tym razem.

Gdy otrzymasz ten list, będę szybował po przestronem morzu a przekleństwa moich rodziców rozlegać się będą aż pod sklepienie niebios. Lecz cóż zrobić! Nie moja to wina, ale raczej ich samych. Gdyby nie byli mnie zamknęli najpierw w Grosbourg a później w szkole—nie byłbym powziął projektu, który dziś wprowadzam w wykonanie, gdyby mnie byli zostawili w Paryżu i na swobodzie, nie jechałbym z moją lubą na dalekie morskie wycieczki. Lecz księżna a moja matka zapragnęła odetchnąć zdala od swoich chłopców,

jak nas nazywa, i osadziła mnie przy generale, abym pilnował jej chorego męża; myślała, że będę cnotliwie siedział nad książką i dzielił mój czas pomiędzy naukę i robienie kataplazmów. Nie zastanowiła się, nieboga, iż samotność jest zgubną dla młodzieńca w moim wieku i że patrząc z pałacu Grosbourg na pagórek po za Sekwaną, gdzie w Uzelles mieszka ładna, młoda sąsiadka, zechcę zacząć gruchać na wzór parzących się gołębi, których pełno jest zawsze przy kościelnej wieży małej parafii. Niezadługo potem generał wybrał się do wód a mnie zamknął w szkole, abym przygotował mój egzamin; otóż ja przygotowałem, ale co innego, bo moją ucieczkę. Kiedykolwiek przy spotkaniu, opowiem ci, jakie ja przechodziłem nudy w Grosbourg w towarzystwie tego zacnego inwalidy, jakim jest ten biedny generał.

Żebyś ty wiedział, mój kochany, ile rzeczy przesunęło mi się przez głowę, podczas moich samotnych przechadzek w głębi parku, lub też na tarasie po nad rzeką! Rozmyślałem nad życiem, nad sobą, oraz innymi i znajduję, że mam niesłychanie dziwny charakter. Odkryłem, iż w osiemnastym roku życia jestem stary i zmęczony, nie mam żadnej ambicyi, nie kocham nic, nie interesuję się niczem i widzę marność każdej radości. Dlaczego jestem taki?... Zkądże nabrałem tego przedwczesnego doświadczenia, tego niesmaku do wszystkiego, tej zgrzybiałości odejmującej mi wszel-

ki zapał? Są to może właściwości moich rówieśników, bo należę do pokolenia zwanego: *les petits de la conquête*, gdyż zrodziliśmy się albo przed samą wojną, albo też w czasie jej trwania, lub gorzej jeszcze, bo zaraz po jej ukończeniu. Ten rok wojny i podboju Francyi cięży na nas wszystkich wówczas na świat przybyłych. A może mam tylko naturę moich przodków, lecz naturę zwyrodniałą, chcącą odpocząć po trudach poniesionych? Przysięgam, że zadość uczynię jej wymaganiom; tak, odpocznę po trudach przodków... dam im należny wypoczynek.

Żegluga po morzu i kobieta—są to dwie rzeczy mające dla mnie powab! Otóż na wypoczynek, a zarazem nagrodę, zaofiarowałem sobie obie te rzeczy naraz. Dotychczas tak na jednem, jak na drugiem polu, karyera moja była dorywczą tylko, lecz obecnie puszczam się na dobre i jeżeli cię to może interesować, mój kochany Wilkie, to będę każdodziennie spisywał dla ciebie dziennik podróży i doznawanych wrażeń. Będzie to szczera spowiedź duszy—ach tej duszy, którą książę-ojciec uznał w swoim synu, jako coś ciemnego, niebezpiecznego, jak bitwa po nocy...

Twój

Charlexis, ks. Olmütz.

III.

Gościniec wiodący do Corbeil. Ryszard i Lidia.

Wszystkie okna pawilonu a więc i okna pokoju Ryszarda, gdzie go zaniesiono po jego zemdleniu, wychodziły na gościniec wiodący do Corbeil a po za szeroką tą drogą, widać było rzekę i część doliny, jednej z najładniejszych w departamencie Seine et-Oise. Trzydzieści pięć lat temu, rankiem w październiku 1851 roku, szedł tymże gościńcem p. Fenigan, notaryusz z Draveil, a właściciel pałacu w Uzelles, by złożyć deklaracyę w zarządzie gminy o urodzeniu mu się syna. Jako świadek, szedł z notaryuszem sąsiad jego z Grosbourg, stary książę d'Alcantara, który, mając interes do swego notaryusza, zaszedł do niego przypadkowo a chcąc mu dać dowód swej sympatyi, zaofiarował się na świadka. Deszcz padał rzęsisty, więc skromny notaryusz wioskowy i znakomity żołnierz wielkiej armii Napoleońskiej, szli pod rękę pod jednym parasolem; dość daleki pochód do zarządu gminy pozostał też nazawsze jednem z wielkich wspomnień w rodzinie państwa

Fenigan, jak również dumnym był mer, podając marszałkowi Francyi księgę, w której, jako świadek, zapisał swe nazwisko, jaśniejące sławą tytułów zdobytych z bronią w ręku, w czasie słynnych kampanij Napoleona.

Matka małego Ryszarda długo była chorą po urodzeniu tego wyczekiwanego z upragnieniem dziecka. Lata całe minęły a ona wciąż podnieść się nie mogła z kanapy, na której leżała. Pan Fenigan rzadko przebywał w domu, całe dnie spędzał w biurze, zajęty swym urzędem notaryusza; dziecko więc stało się jedyną rozrywką chorej, rosło przy niej i w jej pokoju, w ciszy i zamknięciu klasztornem; chłopczyna przywykł milczeć całemi godzinami a zabawką jego było okno, z którego patrzał na gościniec, na przejeżdżające wozy i wózki, na ludzi i zwierzęta pędzone pojedynczo lub stadami przez pasterzy i kupców; prędko nauczył się rozróżniać włóczęgów, kramarzy i ludzi miejscowych; znał dokładnie ten szeroki, szary gościniec, będący rodzajem panoramy dla dziecięcych jego oczów i umiał na nim dostrzegać rzeczy niewidzialne i niemające znaczenia dla innych. Gościniec znaczył mu godziny o wiele wyraźniej, aniżeli kompas ustawiony na słupku w pośrodku wielkiego trawnika po drugiej stronie domu. Latem, gdy dróżnik Robin stawiał swoje taczki w cienistym pasie wzdłuż muru będącego naprzeciwko okna, tuż przy pompie, Ryszard mówił sam do siebie: „Robin będzie

teraz jadł śniadanie... a zatem jest godzina pierwsza". Niezmiernie lubił patrzeć na dróżnika jedzącego śniadanie w towarzystwie dwojga swoich dzieci, taczki służyły im za stół a po skończonem jedzeniu, Robin odwracał taczki sztorcem i rozsiadał się w nich na drzemkę, rozpierając w twardym tym fotelu, podczas gdy dzieci jego bawiły się tuż obok w zsypywanie kamyków w pryzmy, podobne do tych, które sypał ich ojciec wzdłuż gościńca. Gdy kobiety wracały z pralni, lub gdy spędzano bydło do obory, albo jeszcze gdy dzieci, wypuszczone ze szkoły, rozchodziły się na zakręcie do domów, Ryszard wiedział, że jest godzina czwarta... piąta... szósta. Gościniec był dla niego nie tylko zegarem, lecz i kalendarzem, wyraźnie wskazującym dnie tygodnia. Co poniedziałek szedł sznur żebraków i włóczęgów o twarzach mizernych, schorzałych, w łachmanach brudnych i o sakwach dziurawych, a każdy z tych biedaków zatrzymywał się u bramy pałacu, gdyż ogrodniczka, pani Clement, miała obowiązek dać każdemu dwa susy i kromkę chleba. W sobotę, znacznie weselszy był widok; podług starego francuzkiego obyczaju wesela odbywały się w całej okolicy w sobotę; na czele orszaku postępował zawsze skrzypek z miną dziarską i odświętnie przystrojony a muzyka, którą rzępolił na swoim instrumencie, wywoływała na drogę ludzi z całej wioski; o kilka kroków za muzykantem szli państwo młodzi, ona w białej

Nr. 2000

sukni, czerwona i spocona, z opadającemi włosami, i kwiatami pomarańczy—on w cylindrze opylonym kurzem wznoszącym się z pod nóg całego orszaku, w czarnym tużurku i z miną gapiowatą; za nimi postępowali goście parami, kobiety, napuszone i dumne ze swych strojów, ciągnęły po gościńcu frendzle opadającego im z ramion szala w tureckie desenie a mężczyzni szli jakby niechętnie, coś jakby zawstydzeni, że próżnują w dzień powszedni a przytem zakłopotani, co robić z rękoma i jak uszanować przywdziane paradne odzienie. We wtorki i we czwartki, to jest w wigilie dni targowych w Corbeil, pędzono gościńcem stada zwierząt, zwłaszcza wołów, kramarze ciągnęli ręczne wózki i zatrzymywali się przed pałacem, w nadziei, że coś sprzedadzą ze swoich towarów. Wniedzielę podczas lata, Ryszard podziwiał różnokolorowe sztandary towarzystw muzycznych, dążących gościńcem dla spaceru lub wzięcia udziału w jakiej uroczystości w okolicy, w niedziele również strażacy odbywali mustrę. Jesienią rozlegał się często na gościńcu hałaśliwy pochód wojska, za którem ciągnęły armaty a żołnierze wypadali z szeregu i pili wodę przy pompie, kłócąc się i bijąc, chociaż major gniewał się i nie pozwalał im pić w czasie pochodu. Zdarzały się dnie, iż jechały drogą wielkie, wysokie powozy, pełne myśliwych, dążących do pobliskiego lasu; byli to zazwyczaj sąsiedzi rodziców Ryszarda, zamieszkujący pałac Grosbourg, La Grange, Mero-

gis; wieźli na polowanie swoich gości, połyskujących nowemi przyborami strzeleckiemi; fuzye ich migotały opromienione blaskami miedzianego, jesiennego słońca.

Z całego tygodnia Ryszard najlepiej lubił czwartek. Wyczekiwał dnia tego z niecierpliwością, we czwartek bowiem w południowych godzinach, ukazywał się na gościńcu tłum młodych dziewczątek śmiejących się i gwarzących wesoło; na głowie miały wielkie słomkowe kapelusze z niebieskiemi wstążkami, na ramionach pelerynki; były to sieroty wychowywane w ochronce w Soisy a we czwartek zakonnice wyprowadzały ich na spacer. Prawie zawsze zapraszano, by wstąpiły do pałacu, gdzie pani Fenigan częstowała je podwieczorkiem i pozwalała bawić się i biegać po parku. Ryszard nie znał innych dzieci, jak tylko te biedne sieroty wychowywane w ochronce. W ich zaś oczach Ryszard, żyjący w pałacu i otoczony dobrobytem, wydawał się szczęśliwym jak królewicz a jednak z jakąż rozpaczą i głębokim smutkiem żegnał się z niemi, gdy odchodziły, jakże tęsknie patrzał za niemi, gdy znikały na zakręcie gościńca; ze ściśniętem sercem spoglądał na skrzydła kornetów zakonnic idących w tyle po za dziewczątkami, skrzydła białe chwiały się za powiewem chłodnego wiatru od rzeki, migały jak fruwające wielkie motyle i wreszcie nikły mu z oczu ..

Ach ten szeroki, pyłem pokryty gościniec wiodący do Corbeil, ileż miejsca zajmował on w umyśle i we wspomnieniach Ryszarda! Lata jego dziecinne, cała jego młodość były jakby przecięte tą szeroką szosą, po nad którą majaczyły wszystkie fakta zaszłe w jego życiu. Wszak na tej drodze, padł trupem jego ojciec, rażony apopleksyą, gdy wracał ze swego biura z Draveil do domu, do żony, zamieszkującej pałac w Uzelles. Żelazny krzyż wzniesiony na miejscu, gdzie padł stary notaryusz, dotychczas jeszcze stoi. Ryszard miał wówczas lat szesnaście i był pensyonarzem w Paryżu w szkole Louis-le-Grand. Nauki szły mu niesporo i doznał nawet pewnej pociechy w wielkim smutku spowodowanym śmiercią ojca, błysła mu bowiem nadzieja, iż nie powróci już do szkoły. Swojego czasu, to oddanie Ryszarda do liceum, było w Uzelles powodem długich nieporozumień i odwlekań; matka chciała chłopca zatrzymać przy sobie, utrzymując, iż lepiej będzie, gdy wezmą nauczyciela wyłącznie dla niego, ojciec zaś był za wychowaniem publicznem, nie chciał, aby Ryszard zdziczał w samotności i chociaż zawsze we wszystkiem ulegał żonie, którą nazywał „swoim dobrym tyranem“, tym razem stawił opór. Pomimo łez i wyrzekań pani Fenigan, odwiózł sam Ryszarda do Paryża i osadził w liceum, chcąc aby syn ukończył tam nauki w gronie zamkniętych, jak on towarzyszów, ślęczących wśród wysokich murów nad szkolne-

mi książkami. Minęło lat kilka, gdy wtem niespodziewana depesza zawezwała chłopca do Uzelles... był sierotą.

Jakże piękną wydała mu się ta szeroka i ulubiona przez niego szosa, gdy szedł na czele licznego i życzliwego orszaku pogrzebowego za trumną swego ojca. Trawy po [redacted] drogą rosnące były wysokie a zielone zboża uginały się, falując i połyskując pod słonecznym blaskiem. Szedł, a za każdym krokiem powstawały w jego umyśle obrazy z lat minionych a zawsze złączonych z gościńcem, po którym teraz stąpał. Lasy i rzeka słały ku niemu, jakby powitanie a dobrze mu znane ich zapachy i powiewy odurzały go i nęciły; pomimo łez żalu za ojcem, doznawał tajemnej rozkoszy w powitaniu tego co ukochał, z czem tak ciężko było mu się rozstawać jadąc do Paryża, lecz doznawaną w tej chwili rozkosz wymawiał sobie, czując jej niewłaściwość w danej okoliczności. Powtarzał sobie jednak z lubością, iż nie opuści już tych miejsc ukochanych. Bezwiednie był on w zgodzie uczuć ze swoją matką, która, patrząc przez okno na mający ruszyć ku cmentarzowi orszak pogrzebu swego męża, a zwłaszcza na syna stojącego na przedzie, mówiła sama do siebie: „Po cóżby miał on wracać do Paryża? Po cóż ma się męczyć dla ukończenia szkoły, której nie lubi, nauki zawsze szły mu opornie i nigdy na tej drodze nie dozna powodzenia. Po cóż mam go przymuszać, aby został

notaryuszem i pracował jak ojciec? Mamy dostatni majątek i nie widzę potrzeby męczenia siebie i Ryszarda nową rozłąką".

Zaraz nazajutrz po pogrzebie, Ryszard złożył swoje książki i papiery szkolne do wielkiej skrzyni, którą zabił mocno gwoździami i kazał wynieść na strych; miał silne postanowienie nigdy tej skrzyni nie otwierać, by nie spojrzeć na obrzydłe narzędzia tortury, nad któremi tyle namozolił się w szkole. Jak wogóle ludzie wzrośli na wsi wśród bezczynności, Ryszard był leniwy i skłonny do marzycielstwa; był przytem nieśmiały aż do dzikości, mówił mało i ożywiał się jedynie na świeżem powietrzu, jeżdżąc konno, polując, lub nad rzeką szykując swoje łodzie i sieci. Nie czytał nic, prócz dziennika „La chasse illustrée" a czasami jaki numer „Tour du monde".

Wstawał rano i spotykał się z matką dopiero przy drugiem śniadaniu; wieczorami prawie zawsze był w domu i grywał z nią w szachy; o godzinie dziesiątej gaszono światła w pałacu i na folwarku, nie przekraczając nigdy tej raz na zawsze przyjętej godziny udawania się na spoczynek. Znajomych prawie że nie mieli i wizyty nie wchodziły w zakres ich codziennego życia. Podczas długiej choroby pani Fenigan, nie można było podtrzymywać stosunków towarzyskich a teraz, chociaż odzyskała ona zdrowie, czuła się zupełnie szczęśliwą w swej samotności; obecność Ryszarda zapełniała całe jej życie. Dziesięć lat tak

minęło matce i synowi w monotonnem i spokojnem życiu wiejskiego odosobnienia. Zaledwie kilka wizyt złożonych arystokratycznym sąsiadom w Grosbourg, oraz wycieczka do Hawru dla zakupienia łodzi, na którą Ryszard miał ochotę — oto całe urozmaicenie tych lat dziesięciu. Zdarzyło się jeszcze, że przez dwa lata z rzędu w czasie letniej pory, mieli dłuższe wizyty krewnych zamieszkujących w Lorient. Ojciec, matka i dorosła córka zjeżdżali do Uzelles na lato; często można było wtedy wiedzieć Ryszarda spacerującego konno w towarzystwie swej młodej kuzynki, kłusującej z nim zapamiętale po polach i lasach. W całej okolicy dobrze znającej rodzinę Fenigan, zaczęto mówić, że Ryszard ożeni się niezawodnie z tą swoją krewną; lecz krewni z Lorient przestali przyjeżdżać do Uzelles na lato i o małżeństwie Ryszarda przestano szerzyć wieści. Ryszard mocny był jak wół, barczysty, z brodą zarastającą mu twarz aż do oczu, był wszakże łagodny i najzupełniej ulegający swojej matce. Pani Fenigan kochała syna namiętnie i nie chciała nawet w myśli przypuszczać, by kiedykolwiek inna jaka kobieta mogła nim powodować. W czasie pobytu w Uzelles owej młodej kuzynki z Lorient, pewnego dnia spacer konno przedłużył się i panna była przekonana, że rozmarzony Ryszard zdobędzie się nareszcie na miłosne wyznanie, lecz za powrotem do domu pani Feni-

gan, spojrzawszy znacząco na syna, spytała: „Czy ją kochasz?“

— Nie dbam o nią — odpowiedział Ryszard, otrząsając swoją angielską fajkę o but zapylony, i w tejże samej chwili uleciała jego miłosna zachcianka. Nazajutrz panna odjechała i nigdy już nie było mowy o tym przedłużonym spacerze i chwilowem rozmarzeniu Ryszarda. Niezadługo wszakże potem, młody Fenigan ożenił się a matka jego żadnych tym razem nie stawiała przeszkód.

Od bardzo dawnych lat, sięgających dziecinnego wieku Ryszarda, był zwyczaj, że co czwartek sieroty z ochronki w Soisy, przychodziły do pałacu w Uzelles na podwieczorek, wyprawiany im przez panią Fenigan, która czyniła to nietyle przez dobroć serca względem biednych dziewczątek, ile w chęci spotkania się i porozmawiania z zakonnicami. Pewnego czwartku, podczas takiego podwieczorku, Ryszard był w domu i wieczorem przy obiedzie zapytał się matki:

— Jak się nazywa ta wysoka, szczupła i blada dziewczyna o niebiesko szarych oczach; oczy ma jak aksamit... stała ciągle przy siostrze Marcie...

— To Lidia. Nie poznałeś dawnej małej Lidii?

— Jakto? To ona, ta dawna, brzydka, rozczochrana cyganka?...

I nagle przypomniał sobie ową małą Lidię wyróżniającą się z pośród schorzałych, potwornych, skrofulicznych swoich towarzyszek. Miała włosy

kręcące się i zawsze pasmami splątanemi wychodzące z pod szerokich brzegów słomkowego kapelusza, wyraz jej twarzy był zawsze bardy a zarazem pełen melancholii. Więc to ona... ta mała kiedyś Lidia, znaleziona przy drodze, gdzieś w rowie, zawinięta w szmaty nieznanego pochodzenia... co za niesłychana przemiana zaszła w niej przez te lat pietnaście!

— A żebyś słyszał, jak ona ślicznie gra na organach podczas mszy w niedzielę!... O siostra Marta może być dumną ze swojej uczennicy... Ta mała Lidia zaszczyt jej przynosi... Mówię mała... a wszak ona jest prawie wyższą odemnie...

Zaraz następnej niedzieli Ryszard wybrał się poraz pierwszy z matką do Soisy na mszę; przez cały czas wpatrywał się w delikatny profil Lidii grającej z pochyloną głową; nigdy muzyka nie wydała mu się piękniejszą. Nie, ta dziewczyna nie mogła być zwyczajną *znajdą*, jak inne sieroty wychowywane w ochronce; świadczy o tem arystokratyczny jej układ i ten talent muzykalny, z którego rzeczywiście siostra Marta może być dumną.

Ryszard bywał teraz co niedziela na mszy w kaplicy przy ochronce w Soisy i pozostawał we czwartek w domu, aby być obecnym w czasie podwieczorku. Razu pewnego na wezwanie pani Fenigan, siostra Marta siadła z Lidią przed rozstrojonym fortepianem stojącym w salonie i grały razem na cztery ręce; klawisze fortepianu brzę-

czały, przypominając dźwiękiem swym staroświeckie klawikordy. Ryszard wyszedł z salonu wpierw nim skończyły rozpoczętą partycyę a gdy go zapytano potem, dlaczego?—odpowiedział z szorstką brutalnością: „Bo było mi za gorąco!“, nie chcąc powiedzieć, że nie chciał okazać owładającego nim gwałtownego wzruszenia. A jednakże od tego dnia Ryszard wciąż nucił sonatę graną w salonie; siadał przed fortepianem i nieumiejętnemi palcami chciał wygrać przechowaną w pamięci melodyę. Zwykłego trybu życia jednak nie zmienił, polował jak dawniej i zapuszczał sieci w Sekwanę przy pomocy swojego rybaka; stał się tylko bardziej milczący i krył się ze swoją tajemnicą, której domyślała się matka i zmusiła go do szczerej rozmowy.

— Zgadnij, kogo będziemy mieli u siebie na obiedzie w przyszłym tygodniu?... — rzekła raz wieczorem pomiędzy jedną a drugą partyą szachów.

On, pogrążony w swem zamyśleniu, milczał a matka mówiła dalej:

— Przyjedzie do nas biskup z Wersalu, bo będzie tegoż dnia w ochronce w Soisy... Nie wiesz zapewne, że Lidia wstępuje do zakonu i biskup z tego powodu ma tam zjechać...

— Lidia będzie zakonnicą?..,

— Cóż chcesz, dla niej to los najlepszy, niema rodziny, niema żadnego majątku. Szczęściem jest prawdziwem, że zakonnice przyjmują tę biedną

dziewczynę do swego zgromadzenia, chociaż nie wnosi im żadnego wyposażenia, prócz swego talentu.

Ryszard zbladł i gwałtownie zerwawszy się z krzesła wybiegł do ogrodu. Pani Fenigan wyszła zwolna za nim i znalazła go w kiosku, którego sala służyła za skład broni i przyrządów gimnastycznych. Ryszard stał przy oknie z czołem opartem o szybę, która srebrzyła się morą księżycowego blasku.

— Ty niepoczciwy chłopcze, dlaczego nic nie mówisz, że ją kochasz?...

— Ach mamo... mamo!...

Nie mógł wymówić, jak tylko te dwa słowa, głos nie przedostawał mu się przez gardło; twarz miał rozpaloną a łzy teraz puściły mu się z oczu i ściekały deszczem po szybie okna; jakaś gwałtowna burza w nim wrzała i trząsł się cały od wielkiego wzruszenia. Ach, jakże on kochał tę Lidię, lecz krył się z tem, obawiał się bowiem, że matka wzbroni mu tej miłości.

— Ty mój głuptasie kochany, jakże ty mogłeś myśleć coś podobnego? — łajała go z czułością matka—Czyż ty nie wiesz, że niczego nie pragnę, prócz twojego szczęścia? To jedyna moja ambicya!

Wybór, uczyniony przez Ryszarda, podobał się wielce jego matce, bo przecież tego rodzaju synowa, która im wszystko będzie zawdzięczała, nie będzie miała wymagań i władza domowa po-

zostanie nadal niepodzielnie w rękach przywykłej do tego pani Fenigan.

Lidia natychmiast przyjęła proponowane sobie małżeństwo. Czy z radością?... Czy też z żalem?... Czy kiedykolwiek inaczej wyobrażała sobie możliwie przypuszczanego w myśli męża?... Nikt nigdy nie dowiedział się tego od niej. Gdy Ryszard przyjechał poraz pierwszy do ochronki w Soisy w roli starającego się o rękę Lidii, wprowadzono go do salki o jasnych firankach, o biało malowanych ścianach, po jednej stronie stała statua Najświętszej Panny z przewieszonym około pasa różańcem a naprzeciwko stał święty Wincenty à Paulo, wyrzeźbiony w drzewie i cały złocony. Lidia przyjęła go z uśmiechem, z prostotą i z zupełną swobodą; miała na głowie czepeczek, jaki zwykle noszą sieroty w ochrokach, kibić miała zakrytą szpetną peleryną dopełniającą mundur miejscowy; przyjęła wszakże narzeczonego jakby zupełnie równą jego się czuła, tak pod względem majątkowym, jak i pod względem stanowiska w świecie. Była ona milczącego i skrytego usposobienia, jak Ryszard, tylko jako kobieta czuła bezwiednie urok na nim wywarty i to nadawało jej wiele pewności siebie. Stanęli przed sobą, ona jeszcze niekochająca, lecz pewna, że jest kochaną a on oniemiały i onieśmielony namiętnością, tak iż nie był zdolny do wypowiedzenia słów zwykłego powitania. Zmięszanie Ryszarda tak było szczere a zarazem widoczne, że

i dziewczyna uległa temuż uczuciu, przez chwilę stali nieruchomie, nie śmiąc się odezwać.

Na szczęście pod oknami salki ciągnęła się taż sama szeroka szosa dążąca do Corbeil, szosa tak lubiona przez Ryszarda a równie dobrze znana Lidii, jak jemu. Lidia spędzała całe godziny zapatrzona na tę długą i gdzieś w dal płynącą drogę i znała każdy jej szczegół z dokładnością więźnia, niemającego innego nad ten widoku. A więc ten znany im obojgu gościniec dostarczył wątku do pierwszej ich rozmowy. Mówili o nim, jak o widzianem na scenie widowisku, pełnem wydarzeń i ludzi, o których sobie wzajemnie teraz opowiadali. Stary dróżnik Robin, nierozłączny ze swemi taczkami, pochylił się nieco, ale dzieci jego jak wyrosły, zwłaszcza to dwoje starszych, o bo małych zawsze było kilkoro i donaszały sumiennie starą odzież, z której tamci wyrastali. A szewc garbusek, albo ów turek przejeżdżający traktem każdej jesieni i pokazujący sztuki ze swoim niedźwiedziem, turek handlował futrami i Lidia nigdy go się nie bała, ale za to będąc małą, drżała ze strachu, na widok jego niedźwiedzia, a większej jeszcze doznawała bojaźni, na widok starego Jerzego, który chodził z grubym, sękatym kijem. Zauważono w ochronce, że stary Jerzy zawsze chodzi za sierotami wychodzącemi na spacer a nie opuszcza ich ani na chwilę, jeżeli Lidię zobaczy pomiędzy nimi. Dziewczynka bała się go do tego stopnia, iż czasami

zasnąć nie mogła ze strachu, w czwartek zaś lękała się wyjść z innemi na zwykłą przechadzkę. Zakonnice, chcąc się go pozbyć, musiały go zastraszyć wezwaniem żandarmów.

— Czy pani wie, panno Lidio, że stary Jerzy zawsze jeszcze żyje?...

— Tak, panie Ryszardzie, wiem; ale teraz przestałam się go lękać, chociaż ma zawsze w ręku tenże sam kij sękaty, i przechodząc koło mnie, mamrocze jakieś pogróżki w niezrozumiałym dla mnie dyalekcie alzackim.

Zauważyli oboje, że od jakiegoś czasu już nie widują starej babiny sprzedającej co niedziela ciastka. Jakaż ona była czysta, jak śnieżnie biały był jej fartuch a także i serweta, którą przykrywała koszyk pełen ciasta tak apetycznie pachnącego. Pomimo swoich lat podeszłych, babina wciąż była w ruchu i co niedziela obeszła całe Soisy, Uzelles a nawet tak wielką i dość odległą wioskę, jak Draveil. Z dumą opowiadała, że w pałacu mieszkający państwo Fenigan nie gardzą ciastkami przez nią wypiekanemi a gdy zaszła do ochronki i zakonnice pozwoliły dziewczętom wybrać sobie po ciastku, staruszka ostrzegała, by nie rozrzucały w koszyku, bo na spodzie „jest torcik waniliowy, upieczony dla pana Ryszarda“. Lidia opowiadała teraz o staruszce i jej ciastkach z wielkiem ożywieniem, naśladując jej głos i ruchy, oraz szacunek, z jakim mówiła o „torciku waniliowym dla pana Ryszarda“; roz-

weseleni, śmieli się do łez z poczciwej, czystej staruszki, Lidia wszakże nie przyznała się, iż taki sam, jak ona, miała wówczas szacunek dla „waniliowego torciku“ i dla pana Ryszarda, mieszkającego w pałacu. Nie przyznała się również, jak głębokie podziwienie i wrażenie wywierały na młodociany jej umysł park i pałac w Uzelles, zwłaszcza bogactwo umeblowania olśniewało ją swoim przepychem, w czasie wizyt czwartkowych patrzała pilnie na wszystko i czuła się pociągniętą pięknością sprzętów, zielonością trawników, starannością utrzymania ładu w ogrodzie i w pokojach. Zkąd brał się ten arystokratyczny pociąg w tej biednej sierocie? Patrząc na gościniec, doznawała bicia serca, na widok bogatych powozów jadących na dworzec kolei żelaznej, podobały jej się przedewszystkiem czterokonne uprzęże i lokaje w pudrowanych perukach. A może było coś prawdy w półsłówkowych rozmowach zakonnic, które miały przekonanie, że Lidia musiała się urodzić w jednym z bogatych pałaców wznoszących się w okolicy, i że prędzej lub później odkryje się tajemnica jej pochodzenia i należenia do wielkopańskiego rodu?.. Już teraz zakonnice widziały jakąś widoczną wolę nieba, że w wigilię wstąpienia do zakonu, Lidia zmieniła niespodziewanie swój los na inny i, zamiast habitu, nosić będzie bogate światowe stroje, chciaż biały skrzydlaty kornet siostry miłosierdzia byłby dobrze pasował z jej jasnemi oczami i pogodnem, niewinnem czołem.

Ślub Lidii z Ryszardem miał miejsce w kaplicy przy ochronce, w sobotę, w ten dzień uprzywilejowany wiejskim obyczajem. Lecz dróżnik Robin mówił, że nigdy jeszcze nie widział naraz tyle powozów na gościńcu wiodącym do Corbeil, co wtoczyło się zewsząd na szosę w dzień ślubu młodego Fenigana. Wszyscy dawni klienci jego ojca chcieli dać dowód swej życzliwości synowi i zjechali się na ślub jego do kaplicy w Soisy. Na przedzie jechała w karecie panna młoda a gościniec dnia tego jaśniał wesoło, oświecony słońcem czerwcowem. W kaplicy oczekiwał na nowożeńców biskup z Wersalu a po odbytym obrządku zaślubin, znów wsiedli do powozów i jechali gościńcem wiodącym w tem miejscu pod górę i gubiącym się wysoko, gdzieś w niebie, niebie błękitnem, jakby z czarownego jedwabiu utkanem, bez skazy i bez chmurki na olbrzymim swoim obszarze.

„Zrobię z niej co zechcę...“ obiecywała sobie matka Ryszarda, myśląc o swojej synowej. W tem właśnie przekonaniu będąc, zgodziła się na małżeństwo syna z tą dziewczyną nieznanego pochodzenia, biedną, spokojną i wyglądającą na istotę dającą się łatwo powodować. Ta, którą zmarły notaryusz nazywał swoim „dobrym tyranem“, była typem wprost odmiennej kobiety. Czynna, ruchliwa, nosiła u pasa pęk kluczy otwierających zawsze zamknięte zamki wszystkich szaf i szuflad domowych; pani Fenigan, żeniąc syna, miała lat

piędziesiąt pięć, lecz wyglądała zaledwie na lat czterdzieści; chodziła zawsze z gołą głową a czarne jej włosy gładko przyczesane równie pozostały czarne, jak oczy, niewielkie lecz żywe i dobre, tą wszakże surową dobrocią, pozbawioną sentymentalnej pieszczotliwości. Syna, którego kochała po nadwszystko, całowała jedynie w rzadkich i nadzwyczajnych wypadkach.

— Pieszczoty nie są w zwyczaju w naszej rodzinie — oświadczała chętnie przy zdarzonej sposobności.

Przyzwyczaiła się do rządów samowładnych, zwłaszcza od czasu śmierci męża; despotyczne jej usposobienie sprawiło, że od samego początku zraziła młodą swą synowę.

Oświadczyła zaraz na wstępie, że jest przeciwna poślubnej podróży. Ryszard osobiście też nie pragnął owej podróży, ożenił się by mieć Lidię i to mu wystarczało. Przez wrodzoną nieśmiałość, lękał się nawet tych projektów swojej narzeczonej; myśl, że będzie musiał spotykać się z mnóstwem ludzi sobie nieznanych; mówić z nimi i być coraz to w nowem otoczeniu, przerażała go do pewnego stopnia. Dla Lidii zaś podróż przedstawiała się, jak wielkie szczęście, o którem zawsze marzyła, żyjąc w klasztornem zamknięciu, spoglądając na wzgórza, zawsze była ciekawa widzieć okolicę po za niemi leżącą i iść dalej, dalej jeszcze— chociażby na koniec świata.

— Ta ochota przyszła mi zapewne skutkiem patrzenia na szeroki gościniec wiodący w strony mi nieznane—mówiła Lidia do narzeczonego, wyznając mu chęć dalekiej z nim podróży zaraz po ślubie. „Będziemy podróżować!“—mówił jej Ryszard, patrząc na zarumienioną twarz narzeczonej ożywiającej się stopniowo, w miarę jak mówiła o swem pragnieniu poznania stron dalekich. Przyrzekał co chciała, lecz czegóż nie byłby jej przyrzekł, podczas tych pierwszych z nią rozmów. Teraz nie wspominał o tem a gdy Lidia nalegała, stawał po stronie matki, znajdującej mnóstwo racyj przeciwko projektowi swej synowej. Za jej czasów nie podróżowano. Podróże przedstawiają mnóstwo niebezpieczeństw. Ileż młodych kobiet straciło zdrowie a nawet życie, stosując się do tej bezsensownej mody! „Ty nie zdajesz sobie sprawy, moja kochana Lidio—mówiła z przekonaniem pani Fenigan—na ile przykrości jest narażona młoda kobieta puszczająca się z mężem w podróż zaraz nazajutrz po ślubie... skromność jej i poczucie delikatności cierpią na każdym kroku... wierzaj mi, że powinnaś sobie wyperswadować te myśli“. Lidia nie nalegała więcej, lecz miała odtąd w sercu stały żal do matki swego męża. Dotychczas poczuwała się do wdzięczności, lecz obecnie przestała być wdzięczną, spostrzegłszy, że zmieniła tylko dawne więzienie na inne. Pociągnięta miłością okazywaną jej przez męża, pragnęła go pokochać, lecz gardzić nim

zaczęła, widząc, jak dalece ulega swojej matce, jak drży przed nią, powolny na jej skinienie; Lidia poczuła się samą i postanowiła tylko na siebie liczyć w przyszłości.

Młode małżeństwo zamieszkiwało w pawilonie, lecz stołowało się w pałacu, u „pani“ jak z wyróżniającem poszanowaniem nazywała służba matkę Ryszarda. Zachowała ona przy stole dawne swoje miejsce i obyczaj nakładania na talerze; nalewała herbatę i kawę, traktując Lidię, jak zaproszonego raz na zawsze gościa. Po skończonem jedzeniu, młode małżeństwo natychmiast znikało. Chwilami w pierwszych czasach, pani Fenigan chciała przyuczyć swą synowę do zajmowania się gospodarstwem; mówiła jej o zawiłościach ztąd wynikających, o nadzwyczajnej baczności, z jaką doglądać należy ogrodu, kuchni, folwarku, bo wszędzie tam kradną, oszukują. Lidię nudziły te nauki i słuchała, ziewając a Ryszard tak pocieszne urządzał miny, by coprędzej uprowadzić swą żonę, iż zniecierpliwiona pani Fenigan porzucała rozpoczęty wykład i mówiła, by wracali do siebie, sama zaś, westchnąwszy, szła obliczać i układać swoje gruszki, śledzić, czy nie wynoszą z sadu jarzyn i owoców, czy zastawiono pułapki na szczury i koszatki, na których psotność ogrodnik zwalał zawsze winę braków powstających w ogrodzie. Krzątając się koło gospodarstwa, pani Fenigan rozmyślała nad swoją pomyłką; tak, Lidia nie jest tą powolną istotą, na jaką wyglądała. I rzeczy-

wiście ta wpółśpiąca i jakby obumarła istota, miała duszę niesforną, pragnącą wolności, pozostała w gruncie tą dawną dziką cyganeczką, nad którą długo zakonnice pracować musiały, nim przywykła do regularności codziennych zatrudnień. Lidia chodziła chętnie z mężem na polowanie, na połowy ryb i dalekie wycieczki, leli razem kule, fechtowali się i biegali po parku, co razem wzięte o wiele wydawało się jej przyjemniejszem przepędzeniem czasu, aniżeli szycie lub haftowanie.

— Trzeba jednak, abyś zaczęła się obeznawać z gospodarstwem — mówiła jeszcze od czasu do czasu pani Fenigan.

— Po co? Nie widzę żadnej potrzeby — odpowiadała Lidia.

— Po co?... Bo mnie może zabraknąć na tym świecie...

Rozmowa ta miewała miejsce prawie każdego tygodnia w dzień wycieczki powozem do Corbeil. Lidia nienawidziła tego przymusowego spaceru, tem więcej, że na rynku w Corbeil, pani Fenigan kazała zatrzymywać konie i oglądała straganу, z chęcią poznania jarzyn i owoców wyniesionych pokryjomu przez ogrodnika, któremu nie dowierzała, równie jak reszcie swej służby.

— Patrz, Lidio, jestem przekonana, że to moje melony, albo te brzoskwinie, toć tylko u mnie i w Grosbourg takie rosną... Tak, tak... wszystko, co oni tu sprzedają—są rzeczy kradzione...

Wracając do domu, nie przestawała opowiadać o koszach naładowanych ogrodowizną i windowanych po za mur przez wspólników niewiernej służby.. Zamykanie ogrodu nie pomagało, gdyż wszystko przefruwało pomimo największej baczności... Lecz Lidia zagłębiała się we własne myśli i przestawała słyszeć... widziała się małą dziewczynką biegnącą po gościńcu w sierocem ubraniu a teraz temże gościńcem jedzie powozem do pałacu... Dreszcz przyjemnego uczucia przenikał ją całą, zwłaszcza, gdy przejeżdżała pod oknami ochronki w Soisy.

Wieczorne poobiednie godziny, młode małżeństwo spędzało w salonie pani Fenigan. Lidia grała na fortepianie, a Ryszard dawnym obyczajem dotrzymywał matce towarzystwa przy partyi szachów.

Pokazało się, iż ten dziki Ryszard niezmiernie lubił muzykę a nigdy jej przedtem nie słyszał; z muzyką zapoznała go dopiero Lidia, którą ubóstwiał, jako kobietę; słuchając jej gry i patrząc na ukochaną jej postać, doznawał rozkoszy dochodzącej do szału. Partya szachów przestawała go zajmować, posuwał figurami bezmyślnie a gdy zniecierpliwiona jego nieuwagą matka zrobiła mu wymówkę, przysuwał się do stołu, odwracając się od fortepianu i tylko półgłosem starał się akompaniować wygrywanym przez Lidię sonatom: pum... pum... pum...

— Ach, bądźże już cicho, mój Ryszardzie — wołała zniecierpliwiona pani Fenigan.

Milknął na chwilę, lecz prawie bezwiednie znów pomrukiwał: pum... pum... pum... i tak czas schodził do godziny dziesiątej, o której nieodwołalnie gasnąć miały światła w pokojach pałacu.

Ta nakazana godzina spoczynku wydała się niejednokrotnie ciężkim przymusem dla młodego małżeństwa; byliby pragnęli módz swobodnie błądzić wśród lasu i rozkoszować się światłem srebrzystego księżyca, widmami zaludniającemi leśne gęstwiny. Lecz bramy parku były zamknięte i klucze wisiały przy łóżku „pani". A gdy Lidia spacerowała z Ryszardem po parku, dwa olbrzymie psy, Atos i Portos, spuszczane wieczorem z łańcuchów, bezustannie szczekały i ujadały przeraźliwie, dopóki znudzeni tą czujnością stróży małżonkowie nie skryli się w wyznaczonym dla siebie pawilonie.

Jedno z okien ich mieszkania wychodziło na wielkie równiny w kierunku Paryża. Różowa mglista łuna majacząca w oddali na szerokiej przestrzeni nieba, oznaczała miejsce wielkiej stolicy. Lidia stawała długo w tem oknie i każdego wieczoru czuła się jakby zahypnotyzowaną tem nikłem światłem. Paryż, ach ten Paryż o sied.. mil zaledwie odległy a którego jeszcze dotąd nie widziała, którego jej dotychczas jeszcze nie pokazano! Gdy wyjawiała to swoje pragnienie p. Fenigan odpowiadała natychmiast: „Po cóż poje-

dziesz do Paryża?... Wszak widzisz, że ja tam nie jeżdżę. Ryszard także nie jeździł tam za swoich kawalerskich czasów". Lidia nie odpowiadała już teraz na tego rodzaju czynione jej uwagi, bunt wszakże wrzał w niej utajony; dlaczegóż ta despotyczna kobieta chciała ją pozbawić wszelkich przyjemności, ku którym tęskniła jej młodość i chęć doznania silniejszych wrażeń. Rzecz dziwna, że Ryszard nie odczuwał walki, jaka toczyła się w sercu jego żony i że nigdy nie zadrżał, widząc, jakiemi oczyma wpatrywała się ona nocami w światło odbijające się na niebie w stronie Paryża.

Raz wszakże pani Fenigan odstąpiła od powziętego planu i uległa, skutkiem wstawienia się możnych swoich sąsiadów z Grosbourg. Lasy ich ciągnęły się w pobliżu Uzelles i na pierwsze polowanie coroczne każdej jesieni, zapraszali oni Ryszarda. Tym razem przybył on w towarzystwie młodego strzelca w zielonem aksamitnem ubraniu, w długich kamaszach i tyrolskim kapeluszu, na płowych kręcących się włosach. „Generale, przedstawiam ci moją żonę!" — rzekł Ryszard.

Lidia była wysoka i szczupła, w męzkim stroju myśliwskim wyglądała prześlicznie, generał nie odstępował od niej przez dzień cały i posadził ją przy sobie podczas śniadania zastawionego wśród leśnej polanki a przy pożegnaniu nastawał, by Ryszard przywiózł swoją żonę do Grosbourg. Matka Ryszarda oparła się temu. Od czasu śmierci notaryusza stosunki sąsiedzkie były prawie

zerwane, generał ożenił się z córką barona Silva, bogatego wiedeńskiego bankiera a olbrzymi posag, wzięty za żoną, pozwolił mu na spłacenie długów ciążących na jego majątkach. Austryaczka uchodziła za kobietę niesłychanie dumną i „zapewne uważa nas za niestosowne dla siebie towarzystwo, zwłaszcza od czasu twojego ożenienia“—dodawała pani Fenigan, która nigdy nie przepuszczała okazyi przypomnienia Lidii czem była, nim została żoną jej syna. Naraz w pierwszych dniach zimy nadszedł do Uzelles list od księcia generała, w którym zapraszał w imieniu księżnej panią Fenigan i młodą parę, by zechcieli spędzić z niemi wieczór w operze, na nadzwyczajnem przedstawieniu, którego datę oznaczał za parę tygodni. Pani Fenigan wiedziała, iż książę ma stałą lożę w operze, czuła się przytem pochlebioną zaprosinami księżnej, zaczęła więc tłomaczyć, iż odmawiać nie należy.

— Ja nie pojadę, jestem już za stara. Ale wy możecie... słyszysz, Lidio, chcę, abyście byli w operze. Nawet z tego powodu chcę, abyś była strojnie ubraną i zapłacę co będzie potrzeba.

— Dziękuję, bardzo mamie dziękuję—zawołała Lidia, rumieniąc się z radości i mówiąc „mamo“, chociaż zazwyczaj mówiła „pani“ w tej samej formie, jak mówiła służba.

Przez dwa tygodnie żyła jakby we śnie. Suknia obstalowaną została w Paryżu u pierwszorzędnego krawca, który wysłał kilkakrotnie do Uzelles pannę

do przymierzenia wybranego przez Lidię stroju; panna ta, wytwornie ubrana, z twarzą zmęczoną nocnemi hulankami, znała wszystkie ploteczki odnoszące się do życia ludzi będących na widowni w Paryżu; za każdym razem opowiadała Lidii o skandalach paryzkich a zwłaszcza o książęcej parze zamieszkującej Grosbourg, jako o ludziach znanych nowej jej klientce; generał trwonił cały swój czas w towarzystwie kobiet, na które się rujnował a księżna bynajmniej niezazdrosna o męża, kochała tylko swojego syna i pieniądze. Prócz owej paryżanki o podejrzanej cnocie, przybył kilka razy do Uzelles fryzyer z Paryża, w celu nauczenia Lidii modnego czesania się.

Z jakimże upojeniem znalazła się wreszcie Lidia wśród wielkiej i wspaniałej loży w operze; siedziała naprzeciw jaśniejącej sali z obnażonemi ramionami, strojna i wykwintna w swej sukni „Empire“ ona, dziecko nieznanego pochodzenia, ona, sierota z łaski w klasztorze wychowana i do lat dwudziestu czterech nie mogąca nawet marzyć o życiu wielkoświatowem! Widok tej strojnej, bogactwem tchnącej sali wywarł na niej olbrzymie wrażenie, oczy ją paliły skutkiem ognia, jaki w nich teraz płonął, czuła się podniecona nieledwie do szału. Co ją mogła obchodzić muzyka, lub to, co śpiewał na scenie jakiś nizki grubas w śmieszne stroje przyodziany, całość widziana i słyszana łączyła się w szum gwałtowny lub cichszy, gubiący się i zanikający we wstrząśnięciu nerwów, ja-

kiego doznawała, w biciu serca i skroni, w rozkosznem upojeniu całej jej istoty. Nie zauważyła nawet lekceważącego powitania księżnej, siedzącej tuż obok. Księżna miała cerę ciemną, włosy żółte, profil owcy i zbyt długą szyję, okręconą trzema sznurami pereł niezwykłej piękności.

W tem upojenie Lidii prysło, zbudziła ją z błogości snu niemiła rzeczywistość. Z tyłu za nią siedział generał i kilkakrotnie się już wychylał, by sporzeć na salę a przy tem pochyleniu wąsy jego dotknęły ładnych ramion Lidii; po chwili poczuła swą rękę ujętą przez dłoń silną, zagarniającą, namiętną. Obrażona, chciała uwolnić się z tego uścisku, lecz poczuła się tylko mocniej jeszcze chwyconą i najzupełniej bezsilną wobec miłosnej brutalności generała. Lidia mglała nieledwie z przerażenia. „Co za śmiałość... jakże on mnie ściska... pali mnie jego ręka... Ależ mogą nas zobaczyć... księżna musi widzieć... mąż...“ Przerażała ją przedewszystkiem obojętność, z jaką generał prowadził jakąś ogólną rozmowę. Po raz pierwszy zetknęła się z hipokryzyą ludzi światowych i oburzona była w swej dotychczasowej uczciwości zasad. A dlaczegóż jednak na pierwsze skinienie księżnej, która, wstawszy w połowie przedstawienia, rzekła głośno „nudzę się“, generał też powstał i najobojętniej puściwszy trzymaną rękę Lidii, opuścił lożę wraz z żoną? „Niechno jeszcze raz sprobuje czegoś podobnego ten ściskający miłośnie książę... a zobaczy jak potrafię to przyjąć!...“ I podczas

gdy Ryszard drzemał w głębi loży a sala drżała od muzyki i śpiewu chórów, Lidia układała sobie w myśli ironiczne słowa, jakiemi obrzuci generała przy zdarzonej okazyi, nie wątpiła bowiem, że generał nie zadowolni się dzisiejszym wstępem.

Wsiadając do powozu, Lidia podniecona, oszołomiona wrażeniami, światłem, gwarem i ruchem tego paryzkiego czerwcowego nastroju, w którym znalazła cię tak niespodziewanie, rzekła do męża: „A żebyśmy poszli na kolacyę?“ Spojrzał na nią ze zdumieniem Zkąd przyszła jej myśl podobna? A cóż będzie z godziną odjazdu ostatniego pociągu o w pół do pierwszej? Przecież zaledwie mają dość czasu, by dojechać na odległy od gmachu opery dworzec kolei lionskiej. „Co tam pociąg... prześpiemy się w hotelu!“ I mówiąc to, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta tak rozkosznie, iż biedny Ryszard nie miał siły powiedzieć: „a cóż mama na to rzekuie“, tylko zgodził się mówiąc: „Chodźmy na kolacyę“.

Wszystko się złożyło, by Lidia doznała dziś niespodziewanych wrażeń. Ryszard, ten zawsze tak nieśmiały Ryszard, nieumiejący mówić z obcymi ludźmi, niemający odwagi wejść do sklepu dla załatwienia sprawunku, dziś nabrał pewności siebie, komenderował chłopcom usługującym w restauracyi, był wesoły, ożywiony, dolewał jej i sobie szampana: nigdy go Lidia nie widziała takim i nigdy go już nie miała takim widzieć... lecz obecnie podziw w niej wzbudzał swoją wielomów-

nością i obiecankami, że często powtarzać zamyśla tego rodzaju wycieczki do Paryża... a jeżeli matka będzie z tego niezadowolona... to tem gorzej dla niej... bo zważać nie będzie. Dopiero około godziny drugiej w nocy wyszli z restauracyi; pusto było na wilgotnych, chłodnych i lśniących się pręgami światła ulicach Paryża, jechali dorożką i szukali hotelu; nie chciano ich przyjąć podejrzewając, że są jakąś błędną miłosną parą, co rozbawiło ich bardzo. Wreszcie w podrzędnym hotelu przy ulicy Montmartre, wprowadzono ich do olbrzymiego pokoju wyłożonego cegłą i zastawionego wytartemi meblami; nie zważając na to wstrętne chwilowe mieszkanie, spędzili w niem noc pamiętnych nazawsze rozkoszy.

Smutniejszym okazał się powrót do Uzelles. Gdy tam przybyli nazajutrz rano, służba miała twarze strwożone, wszyscy mówili po cichu. Pani leżała w łóżku, pani była chora, bo czekała aż do rana ich powrotu. Przez ośm dni nie wyszła ze swego pokoju, rozgniewana na młodą parę; a gdy wreszcie przebaczyła yszaRrdowi wybryk, na który sobie pozwolił, wyraźnie okazywała, iż nie przebaczyła Lidii, której przypisywała całą doniosłość winy. Pomimo gniewnej i surowej twarzy pani Fenigan, Lidia kilkakrotnie przypominała mężowi uczynioną obietnicę częstych wycieczek do Paryża; lecz zawojowany przez matkę, Ryszard przybierał wtedy do śmieszności strwożoną minę i szeptał zniżonym głosem: „Nie można... nie

można, toby mamę zabił!“ Lidia ruszała pogardliwie ramionami, patrząc na ten brak woli i przestała mówić o Paryżu, widząc, iż musi pożegnać się z myślą przemienienia Ryszarda. Raz więc tylko jeden zdobył się na odwagę, raz jeden był nietylko mężem, lecz kochankiem i jedną noc tylko kochała go, jak kochać pragnęła.

O generale nie było teraz wieści. Ani pisał, ani nie składał spodziewanej przez Lidię wizyty. Myśl, iż ten stary hulaka, o bladych wyłupiastych oczach i fioletowych policzkach, zakpił sobie z niej, bawiąc się nią przez parę godzin spędzonych razem w loży, napełniała Lidię gniewem, oraz wstrętem; czuła się głęboko urażoną, byłaby chciała módz się poskarżyć na doznaną krzywdę, miłoby jej było zemścić się za zniewagę. Lecz raz uznawszy swego męża za marnego niedołęgę, nie zwierzała się przed nim i całą gorycz swych myśli zachowała dla siebie; żal jej wszakże i zniechęcenie do Ryszarda wzmogło się jeszcze; również z żalem i goryczą złożyła swoją strojną suknię i schowała na dno kufra, postanawiając nigdy jej nie oglądać, wiedziała bowiem, iż próżneby tylko wywoływała pokuszenia.

— Czy pani wie, jakie się zdarzyło nieszczęście w Grosbourg? — rzekła raz Rózia, rozbierając wieczorem Lidię.

Okazało się, iż generał został tknięty paraliżem. Był on bardzo chory od czasu, jak spadł z konia przed kilku tygodniami, obecnie zaś stał się zu-

pełnie niedołężnym. Lidia, słysząc tę wiadomość, ochłonęła w swej żądzy zemsty, współczucie wywołał w niej stan generała, naraz strąconego z wyżyn, albowiem wiek i stanowisko dozwalały mu roić o najświetniejszych planach przyszłości.

W jakiś czas potem, Lidia, spacerując z mężem po lesie, ujrzała jadący dróżką powóz wpół otwarty a w nim siedział siwowłosy mężczyzna, nieruchomy, pogrążony w myślach, towarzyszył mu młody człowiek w okularach i długich podkręconych włosach. „Czy poznajesz? to generał!“ — szepnął Ryszard do żony, generał, ten starzec o śnieżnych wąsach, woskowej cerze i bezwładnem ciele. W pierwszej chwili Lidia nie dała temu wiary. Lecz przekonała się, że tak było w istocie, albowiem o jakie dwadzieścia kroków za powozem, tąż samą zieloną, leśną drożyną postępowała księżna, prowadzona pod rękę przez swego syna, księcia d'Olmütz. Był to ładny blondynek, mogący mieć lat od czternastu do siedemnastu. Księżna też się zmieniła od owego wieczoru razem spędzonego w operze. Z wielką uprzejmością przedstawiła „kochanym sąsiadom“ swego syna, którego nazywano Karlexis, przez złożenie a zarazem skrócenie dwóch imion: dziadka i ojca, Karola i Aleksego. Młody człowiek jadący z generałem, wychyliwszy się z powozu, zawołał chłopca, którego był nauczycielem a księżna, pozostawszy z sąsiadami swymi, rozmawiała z oży-

wieniem. Skarżyła się, iż biedny Karlexis nudzi się teraz w Grosbourg, zkąd pomimo letniej pory, sprzyjającej podróżom, nie mogą wyjechać z powodu choroby generała. A zdarzyło się właśnie, iż jej ojciec zachorował w Wiedniu i będzie musiała tam podążyć skutkiem wzywających ją listów. Prosiła już innych sąsiadów a obecnie prosi bardzo Lidię i Ryszarda, by jaknajczęściej przyjeżdżali do Grosbourg; będzie to stanowiło uprzyjemnienie czasu dla chorego, a zarazem dla tego kochanego chłopca, żyjącego przy biórku nad książką, lub przy fotelu nieszczęśliwego ojca. Prawdziwie dobry uczynek wyświadczą, jeżeli zechcą brać z sobą na spacery konne i łódką Karlexisa, który niezmiernie lubi tego rodzaju rozrywki a obecnie jest ich najzupełniej pozbawiony, bo ani ojciec, ani nauczyciel nie mogą mu towarzyszyć.

— Czy zechcenie państwo zadość uczynić mojej prośbie?

Po mchem zarosłej, zielonej drodze wracał właśnie ku nim młody książę d'Olmütz, wytworny i zgrabny, o płowej, kędzierzawej czuprynie; wszyscy troje mówiący, patrząc na niego, równocześnie pomyśleli:

— Jakiż on śliczny!

A on zdaleka jeszcze mówił do księżnej:

— Mamo, przynoszę dobrą nowinę... Ojciec poznał panią Ryszardową, gdy przechodziła w pobliżu powozu. Powiedział wyraźnie jej nazwisko.

Właśnie pan Jan zawołał mnie, aby mi to powiedzieć, jak się ucieszył, słysząc, że generał wymówił wyraźnie parę słów z rzędu. Przecież to pierwsze słowa przez niego wyrzeczone od czasu ataku...

Lidia zarumieniła się, z czem było jej bardzo do twarzy a księżna, ściskając ją za ręce, rzekła z serdecznością:

— Droga pani widzi, iż sam jej widok działa uzdrawiająco... wywołuje cuda... Liczę na państwa że będziecie częstymi gośćmi w Grosbourg.

Od tego dnia Karlexis stał się łącznikiem sąsiedzkich stosunków pomiędzy Grosbourg i Uzelles. Dziwny to był chłopiec, wyrafinowanie grzeczny i uprzejmy, zdołał się zainteresować opowiadaniami pani Fenigan o szczurach i koszatkach niszczących owoce i jarzyny, słuchał jej narzekań na służbę, a zarazem zręczne dawał rady Lidii pod względem strojów niewieścich. Szaloną swą odwagą niepokoił Ryszarda w czasie wspólnych wycieczek; nie zważał na żadne przeszkody i ze spokojem narażał życie przy lada okazyi a oczy jego na chwilę nie zmieniały zwykłego zimnego i przeniknąć się niedającego wyrazu. Jakim on właściwie był? Złym czy dobrym—nikt wiedzieć tego nie był w stanie. „Ja go zupełnie nie rozumiem“—mawiał jego nauczyciel, pan Jan Metzer, dawny profesor przy fakultecie w Lozannie; Jan Metzer opuścił tę posadę z powodu choroby gardła i znał się lepiej na książkach, aniżeli na ludziach,

którzy go o wiele mniej interesowali. Obecnie wracał do zdrowia, wieś, wygodne życie—wpływ wywarły dodatni; pan profesor był zarazem znakomitym wiolonczelistą i grywał teraz często wspólnie z Lidią.

Wydawali oni we dwoje, prawie że codzienne koncerty w Grosbourg, albo w Uzelles. W salonie pani Fenigan słuchaczami muzyki byli: proboszcz z Draveil, sędzia trybunału z Corbeil i stary pan Merivet, notaryusz z Draveil, spadkobierca notaryalnego biura ojca Ryszarda a zarazem właściciel kościoła w Uzelles. Książę d'Olnütz siadał w pobliżu Lidii przy fortepianie a Ryszard grał w szachy ze swoją matką. Wieczór kończył się wypiciem po filiżance ziółek lipowych, które wieczornie piła pani Fenigan i wmawiała w swych gości, iż posłużą im na zdrowie przed pójściem na spoczynek, zwłaszcza, że muszą dość daleko wracać do domu wśród chłodu wieczornego. Sądząc po przyjęciach w salonie pani Fenigan przypuszczaćby można było, iż Uzelles leży gdzieś w najgłębszej prowincyi, conajmniej o jakie sto mil od Paryża.

Jakże odmienne było otoczenie w Grosbourg, i o ileż ono więcej podobało się Lidii. Zbierano się tam w popołudniowej porze, w jednym z wielkich salonów wychodzących wprost na wspaniały ogród w stylu francuzkim, ogród pełen wielkich przestrzeni otoczonych wyniosłemi drzewami, strzyżonemi umiejętnie a na tle wspa-

niałej zieloności odbijały liczne posągi i majestatyczne wazony z białego marmuru. Ściany salonu wykładała drogocenna makata, zielona, przetykana złotem i ujęta w rzeźbione w drzewie szerokie ramy z epoki Ludwika XIII.

Pomimo choroby męża, księżna przebywała obecnie w Wiedniu lub w Buda-Peszcie, ojciec jej bowiem umarł i musiała zająć się nader zawiłemi interesami spadku po baronie; skutkiem jej nieobecności, pałac w Grosbourg stał jakby pustką, zły stan zdrowia generała niemało się przyczyniał do nadania tej pustce charakteru smutku i opuszczenia. Gdy tylko rozległ się po wyniosłych salonach dźwięk fortepianu i wiolonczeli, słychać było toczący się na kołach wielki fotel, w którym wożono generała. Chory miał ciało zupełnie bezwładne, lecz odzyskał pamięć i mowę, kazał się zawsze podwieźć tuż blizko do fortepianu i godzinami całemi słuchał utworów Bacha, Beethovena, Schumana. Często się zdarzało, iż Lidia, patrząc na niego z boku, nie odwracając się twarzą ku niemu, widziała jak generał, ulegając wzruszeniu, przechylał głowę w tył, chcąc by łzy nabiegające mu do oczu napowrót wsiąkły pod przymknięte powieki; płakał on nad ogromem spadłego na siebie nieszczęścia a ta cicha jego rozpacz, ta niedola tak możnego człowieka, wywoływała współczucie w sercu młodej kobiety.

Ani on, ani ona nie uczynili nigdy żadnej aluzyi do tego, co między nimi zaszło w loży w operze. Czasami zdarzało się, iż zostawali sami we dwoje, wtedy brał ją za rękę i przez chwilę trzymał w drżących swych dłoniach a ten niedołężny uścisk, ta niema pieszczota tak bardzo różna od brutalnej i zuchwałej napaści, jakiej się dopuścił w czasie pierwszego wieczoru spędzonego przy niej, napawała Lidię tkliwem rozrzewnieniem. Przez jakiś czas Lidia uważała teraźniejsze zachowanie się generała za dowód życzliwości i podziękowania; przyjeżdżając z mężem do Grosbourg zdawało się jej, że tylko chorego przybywa rozerwać w jego wielkim smutku i rozpaczy. Lecz generał spytał ją raz z nienacka:

— Jak widzę, mąż pani nie jest zazdrosny?..

A Lidia spytała z kokieterya:

— Zazdrosny — o kogo?...

— O kogóż ma być zazdrosny, jeżeli nie o tego malca! Czyż pani nie widzisz, że on chodzi za tobą jak cień, śledzi każdy twój ruch, poi się zapachem powietrza, którem oddychasz!

Wypowiedział to z gwałtownością, z uniesieniem, które spowodowało, iż znów słowa plątał i nie domawiał; był to u niego wybuch dotychczas tajonej zazdrości. Lidia chciała zbyć to wszystko śmiechem. Karlexis, ależ to dziecko zupełne! Czyż siedemnastoletni chłopiec mógł myśleć o kochaniu kobiety w jej wieku?... Najniezawodniej wydaje mu się ona zbyt już starą. Lecz książe

upierał się przy swojem, potrząsał głową i, ująwszy obumarłe swoje kolana drżącemi rękoma, rzekł:

— Chłopiec ten rozwinął się przedwcześnie... Pani nie jesteś pierwszą jego miłością... Ma on w swoim pokoju pełną szufladę listów kobiecych. Powiedz pani swemu mężowi, aby rozejrzał się w tej korespondencyi miłosnej... Wprawnie on umie kraść serca kobiece... Wreszcie sam jego nauczyciel, pan Jan, słusznie twierdzi o swoim uczniu, mówiąc: „il a la *cavata*“.

Wioneczeliści mówią, że „posiada *la cavata*“ ten, kto smyczkiem potrafi wywoływać i udzielać dreszcz zmysłowego uniesienia, za pomocą tonów swego instrumentu. Tak, ten młodzieniaszek miał ten dar w swojem posiadaniu i Lidia bezwiednie ulegała tajemniczemu jego urokowi. Słowa starego księcia były przestrogą; starała się bronić przeciw pokusie, lecz najczęściej wmawiała w siebie, że chłopiec ten jest tylko czułem i pieszczotliwem dzieckiem a więc jakież może jej grozić niebezpieczeństwo?... Cóż to szkodzi, że jest on prawie ciągle tuż przy niej?... A więc kąpali się i pływali razem, łowili ryby i oplatali się gołemi ramionami wśród długich chwil spędzanych razem w wodzie i na brzegu rzeki przy wyciąganiu sieci. Godziny całe spędzali w lesie przytuleni do siebie, siedząc na czatach. Mówili wtedy cichutko, nie chcąc płoszyć zwierzyny a gdy deszcz padał lub chłód jesienny zbyt był dotkliwy, Lidia osłaniała chłopca płaszczem, który miała na swoich

ramionach. Obecność Ryszarda uspakajała chwilowe jej trwogi a Ryszard, patrząc na pieszczotliwe zachowanie się młodego książątka, mawiał dobrodusznie: „To nasze dziecko“... Nie zauważył on nawet, iż to miano nadawane chłopcu budziło w Lidii żal, że niema dotychczas rodzonego swojego dziecka. W poczciwości swojej i zupełnem zaślepieniu, Ryszard pierwszy zwracał żonie uwagę na te lub inne doskonałości książątka. „Jest on nieporównany“ — powtarzał co chwila. Na szczęście Lidia posiadała wiele szczerości i wrodzonej dumy a to ją chroniło od banalnej miłostki i niewierności. By coś takiego zajść mogło, musiałaby się nadarzyć niespodziewana jakaś okoliczność; wypadek niepozwalający na dłuższą chwilę rozmysłu.

Pewnej niedzieli pod koniec września, zadziwiono się bardzo w pałacu Uzelles, gdy pan Jan nadszedł sam, bez ucznia swego i bez pudła z wiolonczelą. Spostrzeżono przytem, iż jest niezwykle wzruszony. Okazało się, iż zaszła nagła decyzya... Karlexis jechał nazajutrz do Paryża, by w liceum Stanislas przygotować się do egzaminu wojskowego i przedstawić się w Saint-Cyr. Generał miał dziś ostrą rozmowę z synem i nakazał mu ten wyjazd; pan Jan mówił, iż szedł właśnie ze swym uczniem do Uzelles, lecz o kilkadziesiąt kroków przed pałacem Karlexis zawrócił się, oświadczając, iż woli, aby państwa Fenigan pożegnał pan Jan w jego imieniu, albowiem zbyt bę-

dzie cierpiał, osobiście ich żegnając. Wszyscy zwykli domownicy i goście zebrani dla słuchania muzyki zaczęli ubolewać nad odjazdem młodego księcia. Każdemu umiał się on przypodobać. Pani Fenigan twierdziła, iż generał postąpił okrutnie, zamykając syna w szkole w czasie nieobecności księżnej.

— Tak, ona byłaby nie dozwoliła na coś podobnego, ale jej wiecznie niema w domu! Wrzasnął zniecierpliwiony i niezadowolony Ryszard, mszcząc się teraz na szachach i rzucając pionkami po szachownicy.

— Czyż i pana Jana utracimy?—zapytał stary Merivet, popijając lipowe ziółka, które ze wzruszenia pił, nie włożywszy cukru.

Pan Jan oświadczył głuchym swym głosem, iż generał chce go zatrzymać w Grosbourg jako... jako...

— Jako organistę przy pałacowej kaplicy?...— podsunął mu notaryusz.

— Tak, tak właśnie... — odszepnął biedny pan Jan, czujący dla siebie w tej roli wielkie upokorzenie... — i przyjąłem propozycyę generała, bo mam nadzieję widywania mojego ucznia chociażby raz na miesiąc, w niedzielę, gdy dozwalają pensyonarzom na odwiedzenie rodziców.

Wszyscy obecni zawołali chórem:

— Jakto—raz na miesiąc?... Co za straszne okrucieństwo!

Lidia słuchała, milcząc, była ona wszakże najbardziej wzruszona tym nagłym wyjazdem. Czuła, iż ona jest główną przyczyną decyzyi generała. Ogarnęła nią pewna duma, lecz z zadziwieniem spostrzegła, iż prócz zadowolenia miłości własnej, pojawiło się wyraźnie nowe jakieś uczucie w jej sercu. Żal wielki z powodu wyjazdu książątka. A więc pokochała ona tego młodzieniaszka?... Dla czegóż więc flirtowała równocześnie z jego ojcem?... Pogrążyła się w myślach i starała się rozwikłać powstałą w nich plątaninę. Wieczór wlókł się dziś powoli, wszyscy z melancholią rozważali przyczyny nagłego wyjazdu „kochanego dziecka". O godzinie dziesiątej nastąpiło pożegnanie a Ryszard, zapalając w sieni latarnię, zapytał się żony:

— Czy chcesz pójść z nami? Chodź, odprowadzimy razem pana Jana.

Noc była ciemna i silny wiatr dął na dworze. Okiennica źle przytwierdzona łomotała w ścianę domu. Lidia lubiąca w taką zawieję przeprawiać się łódką przez Serwanę, niewiedzieć dlaczego tym razem wymówiła się od towarzyszenia mężowi. Czyż było to instynktowne jakieś przeczucie, czy też chciała mieć tę godzinę wyłącznie dla siebie, by w samotności pozostać ze smutkiem, jaki ją ogarnął? Wyszła wraz z mężem i gośćmi, odprowadziła ich do bramy i tu, pożegnawszy się z nimi, zawróciła w ciemną aleję, w głębi której błyszczało żółte światło lampy postawionej w dolnym

pokoju w pawilonie. Lidia szła jakby we śnie, lekką jej suknię wiatr owijał dokoła jej stóp a zeschłe liście z szumem zmiatane wzdłuż trawników, wydawały szelest podobny do ułudnej jakiejś pogoni, ścigającej jej kroki. Pomimo woli obejrzała się kilkakrotnie i naraz usłyszała szept:

— Lidio... Lidio...

Nie przelękła się; poznała głos natychmiast. Szła ku ławce; zząd doleciały ją szeptane słowa.

— Ty, tutaj!...

Karlexis czekał tu na nią przeszło od dwóch godzin, bo chciał się z nią pożegnać, ale z nią tylko, bez świadków. Jakże on drży biedny człopiec! I płacze, płacze jak dziecko, więc Lidia tuliła go z macierzyńską czułością, głaszcząc go dłonią i ocierając mu oczy koronkową chustką, którą zarzuciła na głowę. Nie chcąc, by ich posłyszano lub dostrzeżono, wzięła go za rękę i poprowadziła w głąb parku, lecz psy, spuszczono właśnie z łańcucha, przeraźliwie poczęły szczekać.

— Chodźmy do *izby* — szepnął, tuląc się do niej.

Izbą nazywano teraz dawny kiosk ogrodowy, w którym Ryszard miał skład broni. Odmalowano tam ściany i belki sufitu, postawiono trochę wschodnich mebli i nazwano kiosk *izbą*, upatrując w tem podobieństwo do chłopskiej chaty.

Ach, żeby Lidia mogła była widzieć uśmiech ironiczny książątka, gdy weszli tam obojel Lecz

zajętą ona była kojeniem jego smutku, współczuła jego łzom, więc jakże mogła jej przyjść myśl posądzania go o wyrafinowaną przebiegłość i dobrze obliczony podstęp? Drzwi skrzypnęły i weszli do kiosku a wiatr rzucił za niemi garść zeschłych liści, które wionęły aż ku szerokiej sofie, ustawionej pod pękiem zawieszonych na ścianie pałaszy o połyskujących rękojeściach. Psy, nie czując już ludzi w parku, przestały ujadać i zaległa głęboka cisza.

Przez czas pobytu książątka w Paryżu w liceum Stanislas, wszystkie ich miłosne schadzki miewały miejsce w izbie. Schadzki te były niebezpieczne i rzadkie, raz tylko na miesiąc, w nocy z soboty na niedzielę, gdy Karlexis przybywał odwiedzić swego ojca w Grosbourg. Wykradał się z domu, gdy tylko pogaszono światła, przeprawiał się przez rzekę, przedostawał się przez mur otaczający park w Uzelles i czekał w *izbie* na Lidię a przedeniem wracał tąż samą drogą do Grosbourg. Schadzki te mogły ich kosztować życie, zwłaszcza niebezpiecznemi były dla Lidii, która z małżeńskiej sypialni wymykała się dla spotkania się z kochankiem. Wracała ze swych wycieczek zdyszana i spłoszona, z narzuconym zaledwie płaszczem na gołe ramiona i za każdym razem lękała się, że spotka Ryszarda na progu pawilonu rzucającego jej pytanie: „Zkąd wracasz?“ Lecz to niebezpieczeństwo podniecało ją tylko; w grozie mogących ztąd wyniknąć skutków, Lidia widziała okupienie swego

postępowania, które tylko brakiem szczerości wydawało się jej nikczemne. Zdawało się czasami, iż pierwsza wyzywała i pomnażała możność odkrycia tych tajnych schadzek, tak iż młody książe powstrzymywać musiał zuchwałą jej odwagę.

Jednej takiej soboty, Lidia koniecznie wymogła na kochanku, by resztę nocy spędził w *izbie* a rano, upatrzywszy chwilę przyniosła mu koszulę męża, by przebrawszy się mógł zostać z nimi na południowe śniadanie, niby niespodziewanie nadchodząc z Grosbourg lasem i parkiem. Cudem było, rzec można, iż służba, nienawidząca Lidii i gardząca nią, jako istotą przypadkiem wyniesioną do godności żony ich pana, nie odkryła dotychczas miłosnych jej schadzek. Prócz Rózi Chuchin, córki rybaka, która szczerze przywiązała się do swojej pani, reszta służby z radością byłaby zdradziła jej tajemnicę. Lecz nigdy nikt nic nie zobaczył i nikt niczego się nie domyślał. Może psy coś wiedziały, lecz ich mowa nikogo nie objaśniała o mających miejsce nocnych wycieczkach. Jeden tylko generał wiedział o wszystkiem. On, nie śledząc, lecz bezwładnie spoczywając w swoim wielkim fotelu, domyślił się i odgadł, co zaszło między Lidią a jego synem. Gdy Lidia zjawiła się teraz w Grosbourg dla rozerwania chorego muzyką, patrzały na nią badawcze, ironiczne a zarazem bolejące oczy generała; to jego spojrzenie ciążyło jej i bała się, by pan Jan nie począł robić jakich domysłów. W rzadkich chwilach, gdy Lidia pozo-

stawała sam na sam z generałem, brał ją za rękę i łajał ją jak nieposłuszne, lecz bardzo kochane dziecko:

— Ostrzegałem cię... on ciebie nie kocha... on ciebie nigdy kochać nie będzie... wszak mówiłem ci, abyś się miała na baczności... lecz cóż począć... „il a *la cavata*, il a *la cavata*!“

Lidia udawała, że nie rozumie znaczenia słów generała. Otwierała szeroko oczy i patrzała na mówiącego z naiwnem zadziwieniem, lecz on nie zważając na to, łajał ją dalej z tkliwą wymówką. O miłości, jaką miał dla niej, nie wspominał nigdy wprost; mówił o tem jak o dalekiej już teraz przeszłości, rzeczy drogiej, lecz nazawsze straconej.

Raz rzekł:

— Choroba powaliła mnie w samej sile wieku i zniweczyła całą przyszłość, jaką miałem przed sobą. Lecz jeżeli łzy żalu nad sobą wylewam, to tylko ze względu na ciebie.. bom ciebie na zawsze postradał!... Ach, a gdy pomyślę, żeś ty synowi memu oddana... Ach, jakże straszna rozpacz mnie ogarnia!..

Innym znów razem mówił do niej:

— Gdy on wraca od ciebie, zawsze to poznaję, chociaż skrywa się przedemną... Lecz odgaduję z jego chodu.. Czuję twój zapach, który uniósł z waszej schadzki. Boleścią jest to dla mnie, niewymowną męczarnią... Żałuję wtedy, iż cierpienie moje chorobą spowodowane, nie jest dotkliwsze. Musiałbym wtedy myśleć o niem, byłoby to ulgą

dla mnie... podczas gdy w stanie obecnym myślę tylko o tobie i zazdrość doprowadza mnie do szaleństwa.

Gdy ociepliło się na wiosnę, księżna zjechała do Grosbourg z zamiarem wywiezienia generała do wód w Tyrolu. Powiedziano jej, że wody tamtejsze znakomicie podziałają na zdrowie jej męża, miała też zamiar spędzenia całego lata w Tyrolu ze swym chorym. Generał, dla zadośćuczynienia swej zazdrości, zdecydował, iż Karlexis spędzi cały ten czas w Paryżu, zamknięty w szkolnym rygorze; na decyzyę tę wpłynęła propozycya Ryszarda, chcącego wziąć do Uzelles młodego księcia. Karlexis nie stawiał oporu postanowieniu ojca. Miał on bowiem plan już powzięty doprowadzenia do skutku swej chęci podróżowania a podczas nieobecności rodziców łatwość przedstawiała się większa. Pragnął wynająć jacht i opłynąć świat dokoła. Pieniędzy miał mu dostarczyć dawny karmerdyner jego matki. Nie chcąc być samotnym w podróży, przygotował Lidię zręcznie pisanemi listami, w których poruszał czulsze struny jej serca i umysłu. Wiedział, iż pragnęła zwiedzać kraje nieznane, instynkt ku tułaczemu życiu był w niej silnie rozwinięty od lat najmłodszych a więc w listach swoich kusił ją powabem wspólnie odbywanej wielkiej podróży, po morskich przestrzeniach pod innem aniżeli tutaj niebem; pomny był na rozdmuchanie w niej dumy, z jaką mu nie raz mówiła o tajemnicy swego arystokratycznego

pochodzenia: „Czyż arystokratyczna krew twoja— pisał do niej—nie buntuje się w tobie? Jakże ty żyć możesz w ciasnocie pojęć burżuazyjnych? Ci ludzie zbyt poziomymi są dla ciebie!“

Lidia niezupełnie mu ufała, lękała się młodości swego kochanka; żal jej było księżnej, której rozpacz można było przewidywać; współczuła generałowi, dla którego ciosem się stanie jej ucieczka z książątkiem. Lecz wahania jej trwały krótko i zdecydowała się ostatecznie skutkiem drobnej okoliczności.

„Kto ci to oddał?“ — zapytała się Rózi przynoszącej pierwszy list książątka. Rózia się zmięszała: „Pan Aleksander... i polecił, aby tylko pani, nikomu, jak tylko pani dać do rąk“. Lidia poczuła, że jest od tej chwili na łasce służących. Exkamerdyner patrzył na nią znacząco i uniżenie przy każdem spotkaniu; musiała też udawać, iż nic nie wie o jego zalecaniu się do Rózi, bo byłaby w zupełnej od nich zależności, znali oni własną jej tajemnicę. Przy lada zdarzonej okazyi, skandal mógł wybuchnąć, niewarto więc było czekać tej chwili. Odpisała na list kochanka: „Kiedy zechcesz“. A jego odpowiedź brzmiała prawie równie lakonicznie: „Jutro, o godzinie piątej rano, przy bramie prowadzącej do lasu“.

Ostatni dzień pobytu Lidii w Uzelles był podobny do wszystkich poprzednich. Wieczorem szachy i muzyka a z uderzeniem godziny dziesiątej powrót do pawilonu. Podczas gdy Ryszard rozbierał się,

Lidia napisała pośpiesznie list do pani Fenigan, w którym kładła nacisk, że nie uwozi z sobą ani grosza, ani też najmniejszej walizki z rzeczami, opuszcza Uzelles tylko tyle, że ubrana. „Wzieliście mnie biedną i nic nieposiadającą... równie biedną wychodzę z waszego domu. Czułam się w więzieniu i uciekam ku wolności...“ Rozbierając się, rzuciła Rózi zdjętą z siebie suknię niebieską fularową obszywaną gipiurami; pokojówka niezupełnie zrozumiała, więc spytała zdziwiona:

— Pani mi daje tę suknię?...

— Tak, zachowaj ją dla siebie.

Położywszy się do łóżka, Lidia zasnęła spokojnie i zbudził ją dopiero Ryszard, wybierający się nad ranem na połów ryb. Po jego wyjściu ubrała się i o godzinie piątej stanęła przed bramą wiodącą do lasu. Lecz, zamiast powozu księcia, zastała przed otwartą bramą wóz, na który ogrodnicy stawiali kosze z ogrodowizną. Były to owe szczury i koszatki niszczące wszystko w ogrodach pani Fenigan...

Niespodziewane nadejście Lidii wywołało nagły popłoch. Wóz zniknął w głębokościach lasu a ogrodnicy uciekali w przeciwną stronę parku; pozostał tylko jeden jeszcze koszyk, zapomniany na trawie koło bramy. Jakże byłaby się Lidia śmiała, gdyby nie dramatyczność decydującej dla niej chwili, lecz nie zatrzymując się, biegła do powozu, którego uprząż poznała zdaleka; nagle, jakiś stary włóczęga podniósł się z rowu i stanął na-

przeciw młodej kobiety. W tym brudnym i wstrętnym obdartusie poznała starego Jerzego, którego tak się niezmiernie lękała, będąc dzieckiem. Postanowiła jemu powierzyć list napisany do pani Fenigan. „Zanieś to do pałacu“. Wziął list, lecz nie ustępował jej z drogi i, przechyliwszy głowę na ramię, patrzał mrugającym swym wzrokiem na tę piękną panią, zarumienioną jak poranna zorza. Przypuszczała, że czeka na datek: „Nie mam pieniędzy, tam ci zapłacą za fatygę“. Lecz i teraz nie ustępował z drogi a usta jego poruszały się niedomawianemi słowami. Lidia odepchnęła go na bok, torując sobie przejście i dopiero gdy znikła wśród krzaków, stary Jerzy ruszył się i poszedł w przeciwnym kierunku a z gardła wydostał mu się jęk głuchy, jakby skarga nieujęta w słowa.

IV.

Zazdrość.

Naprzeciwko pawilonu, w miejscu, gdzie boczna wiejska droga łączy się z szerokim gościńcem wiodącym do Corbeil, tuż przy murze parku była pompa; przy której wisiał blaszany kubek na żelaznym łańcuszku. Pierwszym odgłosem, jaki obił się o uszy Ryszarda, leżącego w bezprzytomności na łóżku, był dobrze mu znany brzęk tego kubka, rzuconego przez przechodnia po napiciu się wody. Uśmiechnął się, posłyszawszy ten brzęk znany sobie od dzieciństwa, otworzył oczy i z głębi posłania spojrzał ku oknu przysłoniętemu firankami; skutkiem załamania światła, Ryszard dostrzegł teraz na suficie swojego pokoju zarysowany niewyraźny kontur człowieka, który, napiwszy się i odetchnąwszy, nakładał przez ramię spuszczoną na ziemię sakwę, by ruszyć znów w drogę.

— Ach, gościniec, pompa... — szepnął Ryszard półgłosem, zadowolony, iż coś pamięta. Lecz zaraz wróciła mu przytomność o srogiej okropności doznanego nieszczęścia. Zrobiło mu się zimno,

zadrżał ze strachu i co prędzej przymknął znów oczy, jakby chcąc pogrążyć się w sen, w niepamięć. Ale zamknięte oczy widziały i zagłębione w poduszkę uszy słyszały wiecznie tę samą rzecz straszną, gdy matka, idąc pośpiesznie ku niemu przez cienistą aleję parku, zdaleka jeszcze wołała wzburzonym głosem:

— Lidia uciekła!

Spokojny i łagodny ten człowiek powalony został najsroższym dla siebie ciosem, lecz nie czuł jeszcze zazdrości. Okrutne i drapieżne szpony zazdrości wpiąć się i szarpać go miały dopiero później. Obecnie cierpiał tylko nad niepowetowaną utratą dwóch ukochanych przez siebie istot; bo jakże się on przywiązał do tego młodzieńca, nazywał go swojem dziekiem, Karlesiem! „I to on, on właśnie!“ A na to wspomnienie wypieki występowały na blade policzki Ryszarda, oczy zachodziły mu łzami i wzdychał w ciężkości wielkiej swej krzywdy. Zazdrość pojawiła się później, gdy odzyskał nieco sił a wtedy dokuczała mu gwałtownie, uparcie i zajadle, doprowadzając go do szaleństwa. Obecnie zdawało mu się, że stoi nad czarną, bezdenną przepaścią rozwartą tuż przy jego stopach; wpatrywał się w tę otchłań, chcąc dojrzeć chciażby znikome ślady rzeczy strasznych i w zupełności niezrozumianych, jakich był ofiarą... Uciekła... dlaczego?... Jakaż stać się jej mogła krzywda, że aż uciekać zapragnęła?... Czyż go nie kochała— dlaczego? Kiedy on tak niezmiernie ją kochał!

Zaczął odzyskiwać nieco sił i siadał teraz przy oknie. Wpatrywał się całemi dniami w horyzont tak dokładnie sobie znany. Wszystko mówiło mu o Lidii a jedyną jego myślą było: „Dlaczego uciekła—i jak się to stać mogło?“ Pragnął przeczytać list napisany przez Lidię do pani Fenigan, lecz matka schowała go przed nim. Obiecywała pokazać mu list później, gdy wyzdrowieje. Teraz byłoby przedwcześnie, mógłby sobie zaszkodzić i w nową wpaść chorobę, co zbyt wielką radość sprawiłoby tej łotrzycy, która gdzieś lata po świecie z kochankiem.

W rzeczywistości zaś, pani Fenigan nie chciała dać listu do przeczytania Ryszardowi, albowiem list ten zbyt wyraźnie obarczał ją słusznemi wymówkami; lękała się więc rozpaczy a może i gniewu syna, który, pomimo iż był mężem Lidii przeszło od lat ośmiu, kochał ją z równie namiętną miłością, jak w chwili, gdy została jego żoną. Ta stałość miłości Ryszarda trwożyła panią Fenigan. Należała ona do tego typu niewiast, które, wyszedłszy zamąż, są przedewszystkiem czułemi matkami; miłość, którą miały dla narzeczonego a której mąż niezrozumiał lub rozumieć nie zapragnął, przenoszą one na dziecko i w macierzyństwie czerpią swą szczęśliwość. Miłość, pieszczoty i uniesienia kochanków, uważają za objawy właściwe w książce, lub w teatrze na scenie, małżeństwo zaś jest rodzajem konkraktu zawartego pomiędzy ludźmi, mającymi życie spędzać razem, codzien-

nie, aż do śmierci. Przejęta tego rodzaju poglądami, pani Fenigan nie umiała sobie wytłómaczyć namiętnej miłości Ryszarda, miłości i rozpaczy, którą widziała w jego oczach... jakże mógł on tę Lidię tak kochać, po ośmiu latach małżeńskiego pożycia?...

— Naprawdę, że ja was, mężczyzn, zupełnie nie rozumiem — mówiła do syna, wyprowadziwszy go pod rękę do parku, na pierwszą przechadzkę. — Wy, jak widzę, jesteście zdolni równocześnie kochać i pogardzać... Ty naprzykład, wszak widzę, że jeszcze myślisz o tej łotrzycy, która była ci niewierną a wreszcie uciekła z młokosem, by cię narazić na ludzkie pośmiewisko...

Czuła, iż w miarę jak mówiła, ręka Ryszarda wsparta na jej ramieniu, drżała coraz silniej, lecz nie bacząc na to, mówiła dalej, chcąc go wyleczyć okrucieństwem prawdy.

— Teraz już wszyscy wiedzą o ich miłosnych schadzkach... czy wiesz, że oni widywali się potajemnie tutaj... w naszym własnym domu?... On przybiegał do niej nocą, zakradał się do parku, przeskakując mur...

— Mamo, chodźmy tu odpocząć, bo słabnę — rzekł Ryszard, otwierając drzwi kiosku i wchodząc do „izby“.

Ze zmęczenia i rozpaczy rzucił się na kanapę, lecz sprężyny jęknęły jakby popsute; jedna i ta sama myśl błysnęła w głowie matki i syna, nie

Czytelnia [illegible]
№ .....
w Skierniewicach

wymieniwszy jej, spłonęli oboje rumieńcem przykrego wstydu.

— Ryszardzie, błagam cię, abyś zapomniał o tej kobiecie!

Siadłszy koło syna, wzięła poduszkę, by się oprzeć wygodniej, lecz ręka jej natrafiła na szpilki od włosów. Zebrała je i z obrzydzeniem wyrzuciła przez okno. Drobna ta okoliczność wywołała ponure milczenie. W czasie przerwy w rozmowie wleciała przez otwarte okno jaskółka i, ofrunąwszy sufit, znów wypadła do parku.

— Ryszardzie, wszak przyrzekasz mi, że jej zapomnisz... — pytała matka z wielkiem wzruszeniem.

Po dłuższym namyśle odpowiedział:

— Dobrze... będę się starał... ale pod warunkiem, że powiesz mi, mamo, gdzie oni wyjechali?

Zlękła się, by chęć zemsty nie uniosła Ryszarda zbyt daleko.

— Chcesz wiedzieć, gdzie są?... Dlaczego?... Cóż ci z tego przyjdzie?...

— Nie, ale jestem ciekawy.

— Nie mogę ci powiedzieć, bo sama o tem nie wiem.

— Przypuszczam raczej, że nie chcesz mi powiedzieć. Lecz ci państwo z Grosbourg są już z powrotem a więc sam się postaram o dowiedzenie prawdy.

Pani Fenigan, lękając się, by ztąd nie wynikł nowy jaki skandal, przyrzekła synowi, iż sama pojedzie do Grosbourg i przywiezie mu wiadomości. A w duchu pomyślała, iż trzeba będzie się narazić na nieodzowną migrenę, która zawsze jej dokucza po włożeniu kapelusza.

W dwa dni po tej rozmowie, powóz pani Fenigan zatrzymał się przed pałacem w Grosbourg. Przybyła zastała księżnę rozmawiającą poufnie i z wielkiem ożywieniem z panem Aleksandrem, który skłonił się przed panią Fenigan z tak ironiczną przesadą, iż odczuła w tym ukłonie dotkliwą dla siebie obelgę.

— Niech Aleksander na mnie poczeka... — rzuciła mu pośpiesznie księżna, podchodząc ku pani Fenigan i wprowadzając ją do małego narożnego salonu, wybitego staroświecką jedwabną materyą.

— Jakiejże szczęśliwej okoliczności mam przypisać wizytę pani notaryuszowej? — zapytała księżna z wyniosłą i fałszywą grzecznością.

Notaryuszowa zadziwiona i dotknięta tem tytułowaniem, spojrzała na księżnę wzburzona, źle się bowiem zapowiadała rozmowa, którą musiały mieć z sobą. Opanowawszy się rzekła:

— Czy pani wie, że Ryszard był blizkim śmierci?

— Doprawdy?... nie myślałam... i przyznam się, że nie wiedziałam...

— Jakto, pani nie wiedziała?...

— Czyż nie lepiej byłoby mówić o rzeczach mniej drażliwych?...

I cedząc swe słowa, księżna przesuwała zwolna pod hebrajskim swym nosem flakonik z solami.

— Zdaje mi się, że wszczęta przezemnie rozmowa powinnaby panią równie żywo interesować jak mnie a może nawet więcej...

Wzburzenie wzrastało w pani Fenigan a wspomniawszy o bolejącej twarzy swego syna, dodała z uniesieniem:

— Jakże srogim jest dla mnie ciosem, iż mój syn poznał się z synem pani!

Żółtowłosa głowa księżnej drgnęła a usta przybrały wyraz pogardliwego lekceważenia:

— Chyba kochana pani nie posądza mojego osiemnastoletniego syna, aby uwiódł jej synowę, co najmniej o dziesięć lat od niego starszą. Karlexis—to dziecko jeszcze zupełne... studencik...

Drzwi się roztworzyły, ukazując szereg salonów i do pokoju wtoczył się fotel generała. Wsparłszy się o poręcz, powitał panią Fenigan kiwnięciem głowy i nową obelgą:

— Dodam jeszcze, że nasze uwiezione dziecko musiało na tę podróż pożyczyć 100.000 franków, które dwa razy tyle będą nas kosztowały. Ta jego Danae, przechwalając się, iż opuściła dom męża w jednej tylko koszuli, daje dowód, iż lubi kąpać się w złocie...

Blada twarz generała bardziej jeszcze pobladła, a wielkie jego siwe wąsy drgały nerwowo, chociaż usta składały się do jakiegoś okrutnego uśmiechu. Pan Jan stojący w głębi, wykonywał rękoma rozpaczliwe ruchy, przypominające pociągnięcie smyczka po strunach wiolonczeli. Pani Fenigan wstała i wychodząc rzekła z powagą:

— Życzę państwu, aby mój syn nie spotkał się z ich synem.

Generał drgnął cały, lecz księżna rzekła, uspakajając męża:

— Nie potrzebujemy się niczego obawiać... jeden jest w departamencie Seine-et-Oise a drugi w drodze ku Indyom...

Zaledwie powóz pani Fenigan wyjechał z dziedzińca, przywołano pana Aleksandra do narożnego saloniku.

— Aleksandrze!

— Słucham pana generała.

— Miej na oku Ryszarda Fenigan... słyszysz?... Jeżeli wyruszy w podróż, to jedź za nim i donoś nam wszystko.

A księżna dodała:

— Jeżeli pan Karlexis zapotrzebuje pieniędzy, to niech Aleksander natychmiast się do mnie zwróci.

Ex-kamerdyner zgiął się na pożegnanie niemal do ziemi i wyszedł z pałacu zadowolony, wyprostowany i strojny w czarnym opinającym go garniturze.

Wzdłuż salonu w Uzelles, chodził Ryszard wściekły wewnętrznym gniewem i słuchał opowiadania pani Fenigan, która padła na kanapkę z nadmiaru wzburzenia. Zdjęty z głowy kapelusz leżał na jej kolanach, mówiła z gwałtownością a syn, nie przerywając jej, wciąż chodził z zaciśniętemi zębami. Gdy umilkła, stanął przed nią, chwycił ją w silne swoje ramiona i przyciskając do serca, rzekł z niezwykłą czułością:

— Masz racyę, mamo, że trzeba zapomnieć. Ale teraz już skończone. Nie chcę już myśleć o tej niegodziwej kobiecie, niech sobie leci na złamanie karku, nigdy już o niej nie będziemy mówili.

Ryszard szczerze to postanawiał pod wrażeniem gniewu. Myśl, iż Lidia uwiodła tego studencika, rozbudziła w nim jakby poczucie hańby. Po raz pierwszy ujrzał jej postępek w tem świetle i dziwił się, że dotychczas nie zauważył czegoś chorobliwego, histerycznego w tej kobiecie. Matka potakiwała mu teraz, dopomagała do wyszukania innych przykładów upewniających go w tem twierdzeniu, rada przytem będąc, iż znów odzyskała Ryszarda wyłącznie dla siebie.

— Czy wiesz, mój drogi, że wiele jest i naszej winy w całem tem nieszczęściu... Pocóżeśmy ją wyszukali sobie w domu podrzutków?... Prawda, że unika się w ten sposób zetknięcia z jakąś obcą rodziną, lecz też nic się nie wie, kim jest takie dziecko i jakie przywary odziedziczyło ono po nieznanych rodzicach. Ta dziewczyna utrzymy-

wała zawsze o wysokości swego pochodzenia... Zakonnice, niewiedzieć dlaczego, wbiły jej to w głowę... W każdym razie przypuszczalnie szlachecka jej krew szpetną niosła zarazę... Ale co tam... nie myślmy już o niej i jeszcze raz uściskaj mnie, mój synu!

Ryszard silił się, by nie myśleć o Lidii. Dniem starał się znużyć swoje ciało, by módz spać nocami. Gdyby się był ożenił z kobietą podobną do swej matki, zajętą wyłącznie domem, śpiżarnią i ogrodem, łatwiejby mu przyszło teraz zapomnienie. Lecz Lidia, nielubiąca gospodarstwa i niemająca dzieci do pilnowania, była nierozłączną jego towarzyszką we wszystkich wyprawach do lasu i po rzece; odnajdywał on teraz wszędzie jej cień, żył dawnemi wspomnieniami i ranił się myślą o znikłej dawnej szczęśliwości z tą ukochaną kobietą.

Poraz pierwszy gdy wsiadł teraz do swej łódki, zarzucił wieńcierze w pobliżu Juvisy. Rzeka była spokojna i właśnie w tem miejscu odbijała na wywrót stojącą na wybrzeżu karczmę, o wysokim słomianym dachu i kilku oknach o niewielkich szybkach.

— Czy ja źle łódkę skręciłem? — zapytał stary Chuchin, widząc, że Ryszard nie zabiera się do roboty.

Lecz Ryszard nawet mu nie odpowiedział, bo zapatrzył się w scenę z dni dawniejszych, która właśnie stanęła mu w myśli. Był tutaj z Lidią

i zaskoczyła ich burza. Niebo było czarne, deszcz lał potokami i napełnił łódkę do połowy wodą. Lidia śmiała się i krzyczała, a gdy wyniósł ją na brzeg a potem pod dach karczmy, okazało się, że zgubiła trzewik. W karczmie pozapalano świece osadzone w puste butelki a zebrani robotnicy, którzy też przed deszczem tam się schronili, spoglądali pożądliwie na tę ładną panią, do której nie było przystępu... Lidia widziała te ich spojrzenia i bawiła się tem, czując się bezpieczną pod strażą silnych pięści swego towarzysza. Grzała się więc przy ogniu i upinała mokre, rozpuszczone swoje włosy.

— Tu nic nie złowiemy, kieruj do mostu — rzekł wreszcie Ryszard do swojego rybaka.

Pod uderzeniem wioseł obrazek karczmy odbijającej się w wodzie popękał na części i odłamkami znikł w rzece, jak i wspomnienia przezeń wywołane.

Łódka zatrzymała się teraz wzdłuż wyspy, w miejscu niegdyś ulubionem przez Ryszarda. Lecz i tu sieci zostawił w spokoju. Wyspa tworzyła rodzaj zatoki o piaszczystem wybrzeżu porosłem staremi pochylonemi wierzbami. Lidia nazywała tę zatokę swoją łazienką. Wnijście zatoki zamykała łódź o rozpiętym żaglu a zielone ściany wierzbowych gałęzi zasłaniały Lidię dostatecznie, by mogła się kąpać i wprawiać w pływanie. Ileż tu czasami bywało śmiechu, żartów i pieszczotliwych okrzyków Lidii, narzekającej,

że woda zbyt zimna, lub że o gałązkę lub kamyk zraniła sobie różowe swe ciało. Przed oczami Ryszarda stała teraz kochana ta postać w całej piękności obnażonych swych kształtów. Widzieć się zdawał wodę spływającą z niej strugami, gdy wynurzyła się na brzeg zielonej wyspy a promienie słońca, przedostając się przez gałązki, oświetlały ją jaskrawo, lub migały cieniami. W tem poczuł całą okropność swej straty, zapragnął tego ciała, które było jego. Przypomniał sobie, jak zawsze się hamował w objawianiu gwałtownej swej namiętności... raz tylko... raz jeden był sobą w całej pełni... owej pamiętnej nocy razem spędzonej w Paryżu. Żal za utratą tylu rozkoszy, żal, iż nie korzystał, gdy była ku temu możność, wstrząsnął mu pierś łkaniem i zawrócił łódkę w kierunku Uzelles.

— Dziwna rzecz — mówił tegoż wieczora stary Chuchin do córki — pan ma twarz taką smutną a prawie ciągle śpiewał, gdyśmy jeździli po rzece.

Rzeczywiście tak było. Ryszard, mając myśl bezustannie zajętą wywoływaniem dawnych wspomnień, przypominał sobie zarazem muzykę wieczorną Lidii i pana Jana: basem wtórował im do taktu „pum, pum“ a teraz nucił melodye przez nią grywane, krwawiąc sobie zbolałe swoje serce.

Następnych dni powtarzały się te same widziadła. Wszystkie zakątki i zakręty rzeki mówiły mu o Lidii. O jakiejkolwiek godzinie siadał do

łódki, czy to rankiem, gdy mgły są jeszcze tak gęste, iż brzegu rzeki dojrzeć nie można, czy to wieczorem, gdy światła pozapalane na statkach wiozących towary, migocą tuż ponad wodą, Ryszard wywoływał wspomnienia o Lidii, wszędzie widział jej postać i śnieżno białą cerę, której wiatry i słońce przyćmić nigdy nie zdołały.

Las ciągnął się nieopodal rzeki. Ryszard rzucił się w las, myśląc, że ucieknie od widzeń złączonych z rzeką. Lecz dokuczliwe myśli i tu go ścigały. Wszak te wszystkie leśne dróżki przebywał tylokrotnie w towarzystwie swej żony; każde drzewo, każda polanka uprzytomniała mu chwile z nią tutaj spędzone. Ludzie nawet, których tu spotykał tylko Lidię i wciąż Lidię przypominać mu się zdawali. Czasami jakaś okoliczność wykazywała mu ogrom nieszczęścia, które nań spadło. Pewnego wieczoru wracał lasem do domu z dalekiej pieszej wycieczki; gdy przechodził koło chaty leśniczego, jakieś głosy życzliwe i rubaszne zawołały:

— Panie Ryszardzie! Panie Ryszardzie!

Okazało się, że Sautecoeur, leśniczy, noszący niewiedzieć dlaczego przydomek „Indyanina“, wyprawiał dziś wesele swego syna, będącego kupczykiem w jednym z wielkich sklepów w Paryżu. Chata leśniczego przytykała do murów dawnego, opuszczonego klasztoru; na wielkim dziedzińcu zarosłym trawą ustawiono długi stół, w około którego zasiedli przeważnie koledzy leśniczego, za-

równo jak on przybrani w niebieską liberyę i świecące guzy służby księcia generała z Grosbourg. Prócz leśniczych i ogorzałych a dziś odświętnie wystrojonych ich żon, był dzierżawca z Uzelles z rodziną, dwóch muzykantów i pan Aleksander wyświeżony, w lakierkach, jasnych spodniach, z monoklem, przez który zezował ku pannie młodej, brzydkiej, lecz wyfryzowanej i wsukni zręcznie uszytej. Ryszard uległ naleganiu i wszedł wypić zdrowie panny młodej. Obiad właśnie skończono, muzyka się odezwała i ustawiły się pary do kadryla. Ryszard siadł za stołem koło Indyanina i popijając ze swego kieliszka, patrzał na tańczących, słuchając opowiadania swego sąsiada:

— Tak, zdaje mi się, że ona jest zalotna i lubi się wystroić.. Dlatego też mój chłopak niema ochoty, żeby wracała do Paryża... ona tam była panną sklepową... przytem niemocne to... słabe na piersi... więc niechże sobie na wsi wypocznie. On będzie co rano jeździł do Paryża do swego zajęcia, a ja będę mu żony pilnował. Co prawda nie miałem ja szczęścia z moją żoną... no, ale to mnie nauczyło, i może pan być pewny, iż tę upilnuję... ho! ho! musi iść prosto... musi...

— Nie wątpię... nie wątpię... — odrzekł na to Ryszard z przymuszonym uśmiechem a w duszy pomyślał, że wielka szkoda, iż nie powierzył Indyaninowi straży nad pałacem i pawilonem w Uzelles.

Prawie było ciemno, gdy Ryszard pożegnał leśniczego i nocą wracał przez las do siebie. Ptaki już ucichły i tylko wrzaskliwy klarnet przygrywający gościom leśniczego rozlegał się dokoła; lecz Ryszard inną słyszał muzykę i tej wtórował idąc: „pum, pum, pum“.

Widząc się ściganym wspomnieniami o Lidii w lesie i w łódce, Ryszard postanowił zamknąć się w domu. Między dolnemi pokojami pawilonu był jeden, który nazywano pracownią. Jakkolwiek Ryszard od czasu ucieczki Lidii sypiał w pałacu, w dawnej swej kawalerskiej sypialni, tuż przy pokojach zajmowanych przez matkę, wracał wszakże często do pawilonu i w pracowni siadał w wielkim skórzanym fotelu, przed dawnym biurem swego ojca i albo drzemał, albo załatwiał swą nieliczną korespondencyę i rachunki. Obecnie przesiadywał całemi dniami w pracowni. Najczęściej patrzał przez okno na gościniec i rozpoznawał od dzieciństwa znanych mu ludzi i obyczaje każdego. Lecz i przy tem oknie stawało przy nim wspomnienie o Lidii. Wszak tylokrotnie spoglądali na taczki dróżnika, na szewca garbuska; przypominał sobie jak lękała się ona wołów pędzonych stadami w wigilię dni targowych w Corbeil, z jaką odrazą odwracała się od wózka ojca Foucart, mającego urząd przewożenia topielców a wypadki utonięcia w Sekwanie zdarzały się często, zwłaszcza letnią porą nadającą się i nęcącą do rzecznych kąpieli.

Oto właśnie wlecze się teraz wózek ten płótnem starannie ociągnięty; niewidzialny dla oczu leży w budzie trup służącego a zarazem zakrystyana „małej parafii“; utopił się wypadkiem onegdaj, lecz dziś dopiero znaleziono jego ciało w trawach po nad rzeką. Pan Merivet notaryusz, idzie za wózkiem wiozącym trupa wiernego jego sługi i płacze serdecznie, skuliwszy się i pochyliwszy z żałości.

Wkrótce potem ukazał się oczom Ryszarda stary Jerzy; kroczył gościńcem, trzymając pod pachą kawał chleba a w ręku swój nierozłączny kij sękaty. Wyszedł z furtki przy pałacowej bramie, chociaż to dziś nie jest dzień darzenia chlebem i susami, lecz od jakiegoś czasu Jerzy kręci się prawie bezustannie w Uzelles; co chwila można go napotkać. „On wiecznie jest teraz pijany!“— mówi o nim Chuchin z pewną zazdrością a gdy dziewczyny folwarczne zobaczą obrzękłą twarz starego Jerzego, o oczach cieknących jakby łzami, pytają się go przez sztachety:

— Czyś w miłości nieszczęśliwy, że szukasz zapomnienia w kieliszku?... za kochanką ci tęskno?...

Ryszard patrzał na niego z politowaniem, tak wydał mu się nędzny, niedołężny. Szedł gościńcem, zaczepiając się o drzewa, to ocierając się o mur parku. Zkąd pochodzi ten człowiek? Jaką mową przemawiają te bezzębne usta? Jakim sposobem i dlaczego ten włóczęga snuje się od lat tylu

po departamencie Seine-et-Oise i pozostaje równie samotny, odosobniony i nieznany, jakby przebywał najdziksze kraje Afryki. Zbliżył się teraz do pompy, namacał a pochwyciwszy wreszcie kubek starał się go utrzymać równo pod strumykiem tryskającej wody. Ręce mu drżą, nogi oślizguja się po mokrych kamieniach i zleciał mu z głowy pilśniowy kapelusz, niemający już ani kształtu, ani koloru; kubek wypuścił z rąk i nałapana woda rozlała się na ziemię; patrzała na to ze swego podwórza młoda w ciąży będąca kobieta i zaczęła głośno się śmiać, położywszy obydwie ręce na olbrzymim swym brzuchu. Stary żebrak zaniechał łapania wody w kubek i, nachyliwszy się, pił prosto z kranu; woda ściekała mu po brodzie, a słońce, padając wprost na oskubaną, wyleniałą czaszkę, uwydatniało krwiste i gęste pręgujące ją niebieskie żyły.

Ryszard przypomniał sobie, iż raz, stojąc z Lidią przy tem oknie i patrząc na podobnego jak ten włóczęgę, powiedziała mu ona, iż nigdy nie może spojrzeć bez litośnego współczucia na tyle niedoli. Wszak taki nędzarz był kiedyś maleńkiem dzieckiem, miał matkę, która go tuliła do łona, marząc dla syna o świetnej przyszłości. Ryszard przypominał sobie szczere wzruszenie tak mówiącej Lidii a więc była ona litościwą, dobrą, dla czegóż dla niego taką być nie zechciała? Czyż mniej on znaczył w jej oczach od pierwszego le-

pszego włóczęgi, którego poraz pierwszy spotykała na gościńcu?...

Stary Jerzy, napiwszy się, postanowił lecz na spoczynek w pobliżu pompy; kładł się zwolna, częściami, jakby rzucał na ziemię każdy członek ciała z osobna. Wyciągnął z pod pachy chleb i złożył go na kamieniu przy sobie, po drugiej stronie miał kij i, zmrużywszy wpół oczy, zasnął, czuwając i strzegąc swego jadła od napaści zwierząt i ludzi; jedną rękę złożył na chlebie a drugą na sękatym swoim kiju.

Stary włóczęga zasnął, lecz od Ryszarda sen ulata teraz w południowych godzinach. Patrzy na tego śpiącego włóczęgę z pewnem współczuciem, wszak Lidia interesowała się jego losem, przemówiła do niego w ostatniej chwili przed ucieczką z Uzelles, jemu oddała ów list, którego mu dotychczas nie chce pokazać matka. I w tejże chwili błysła w głowie Ryszarda myśl, iż w biórku Lidii na górze mogą być inne jakie listy, również ciekawe. Jakże mógł dotychczas o tem nie pomyśleć?

Pobiegł do pokoju, w którym Rózia zajmowała się o tej porze porządkowaniem bielizny i zabierając od niej klucz od zamkniętych drzwi ich dawnego małżeńskiego mieszkania, dostrzegł pana Aleksandra uciekającego oknem do parku; udał, iż tego nie zauważył i pędem wbiegłszy po wschodach przybranych kretonem w wielkie kwiaty, siadł przed stolikiem swej żony, oderwał zamek szar-

pnięciem szuflady i poczuł się odurzony zapachem irysu, zapachem, który uprzytomnił mu nieobecną subtelniej i wyraźniej, aniżeli melodye mącące mu spokój i bezustannie przez niego nucone. Zaczął rozrzucać nagromadzone papiery. Odnalazł swoje listy pisywane do Lidii, gdy była jego narzeczoną, parę stronniczek zapisanych ręką siostry Marty, wreszcie dwa rachunki, z restauracyi i z hotelu, pamiątkę ich bytności w Paryżu, gdy byli w operze. Biedna Lidia—te dwa rachunki przypominały jej jedyną wycieczkę i rozrywkę...

Wtem napotkał wielką kopertę, w której były trzy listy Karlexisa i miniatura na kości słoniowej. Zaraz po przeczytaniu pierwszego listu, przekonał się Ryszard o podstępności młodego książątka; namawiał on Lidię do opuszczenia wstrętnego życia, jakie wiodła w otoczeniu tak dla niej niestosownem, niedobranem, jak ten rubaszny *Pumpum* i jego matka-klucznica. Ach potwór, jakże on umiał pochwycić i wyszydzić przyzwyczajenia i usposobienie Ryszarda, a ileż pochlebstwa, sztucznego uwielbienia dla Lidii, jak ją nęci pięknością podróży, przygód... Jak w nią wmawia, iż duszno jej być musi w Uzelles, bo nie do takiego życia stworzoną jest istota tej wartości, co ona! Ileż przebiegłości w tym osiemnastoletnim chłopcu, którego rodzice oskarżają, iż nadużyła niedoświadczenia ich syna! Ależ on ma sto lat doświadczenia ten wyrostek; więcej w nim jest chytrości, niż w starej baletnicy i w pod-

stępnym jezuicie!... Nie, to nie ona go uwiodła, nie ona namówiła go do ucieczki, te listy wyraźnie mówią, kto tutaj zawinił... Lecz cóż to za dziecko przedstawia ta miniatura?... Czyim synem jest to gołe, przepięknych kształtów chłopiątko leżące na kwiecistym dywanie? Czyż to ich dziecko?... Lecz jakimże sposobem? Kiedyż go ona powiła? Gdzie? Przecież nigdy nie opuściła domu nawet na godzinę... I nieszczęsny Ryszard bije się z natłokiem ciężkich myśli, on, który tak bardzo pragnął być ojcem... Wpatruje się w rysy dziecka, pożera oczyma trzymaną w ręku miniaturę a przytem podziwia piękność tego chłopięcia o złotych, kędzierzawych włosach i zimnych wielkich oczach. Nie, to nie może być ich syn, to Karlexis w pierwszych latach swego życia. Miniaturę tę kazał zrobić generał, gdy Karlexis miał zaledwie dwa lata a pokazując ją damom zachwycającym się nad niezwykłą pięknością chłopca, zdawał się mówić: „Oto, jakie są moje dzieci“. Książątko zaś, ofiarując Lidii tę miniaturę, miało na myśli wywołanie w niej ciekawości, o ile kształty dziecka udoskonalić się mogły w młodzieńcu. Przy miniaturze był list namiętny, pałający zmysłową chucią i dający te objaśnienia. Ryszard, czytając ten list, pobladł straszliwie i poczuł jakby wyżartą w sobie naraz ranę. W oczach mu się zaćmiło, nie mógł dłużej już czytać, migały w nim całym jakby błyskawice... Rozlała się w nim okrutna tru-

cizna, trucizna uczucia zazdrości... dotychczas nie znał jeszcze jej działania, nie doznał jeszcze tej męczarni. Lidia uciekła, Lidię utracił i po za tem nie widział więcej, lecz teraz myśli o jej kochanku, o tym potworze, który mu ją ukradł, myśli o ich pieszczotach, o ich miłosnych uniesieniach...

Pała zazdrością, lecz czyta dalej. Chciałby przestać to czytanie, pragnie przerwać tę męczarnię, bo każde słowo rani go, szarpie i pali, lecz nie może się oderwać... czyta... zamiera z bólu, ale czyta jeszcze i poi się trucizną, ogniem i jadem żrącemi go bez miłosierdzia.

By skłonić Lidię do ucieczki, ten przeklęty potwór uskarża się w liście, iż godziny z nią spędzane nocną porą w izbie są zbyt krótkie i ciemne... chce oczy swe ucieszyć widokiem jej ciała... niedość mu kochać ją tak dorywczo... w bezustannej obawie. Tak, zapewne, że niebezpieczeństwo ich schadzek ma wiele uroku, lecz on chce ją mieć wyłącznie tylko dla siebie. Przypomina jej o pocałunku na tarasie w Grosbourg, ach ten słodki, nieskończenie głęboki pocałunek, ściął ich z nóg oboje, wszak przez kilka minut odurzeni nim byli ze zbytku rozkoszy... Lecz pierwsza noc spędzona w ich pokoju, gdy wsiądą na jacht, da im silniejsze jeszcze upojenie . .

. . . . . .

Ryszard przeczytał i, powstawszy z krzesła, zaczął chodzić wzdłuż pokoju, miotany gniewem, nienawiścią; wygrażał pięściami i zabić by niemi

pragnął. Oczyma wyobraźni widzi to, co przeczytał; obrazy te napawają go rozpaczą i nigdy już nie przestanie widzić ich przed sobą. Ach zbrodniarzu, wszeteczniku, gdzieś ją uwiózł z sobą?... Gdzie jesteś?... Gdzie się z nią ukrywasz?... O gdybym mógł wiedzieć, o gdybym mógł go pochwycić, rzucić się na niego i zdeptać... masz, masz... masz... za swoje... I rzuciwszy na podłogę miniaturę z kości słoniowej, ten portret obnażonych członków książątka, deptał go, miażdżył w proch zamienił w szale, wyobrażając sobie, iż żywe ciało jego tak pod butem swym rozgniata. Lecz chwilową tylko mogła być taka zemsta i ulga Ryszard truciznę wlał sobie w żyły i trucizna ta wiecznie przypominać mu się będzie.

Wieczorem, w salonie, gdy Ryszard rozstawiał szachy, przygotowując codzienną partyę o tej porze, pani Fenigan, spoglądając na syna, którego twarz majaczyła niewyraźnie w cieniu zasłony spadającej wokoło lampy, rzekła z przekonaniem i z uśmiechem zadowolenia:

— Dobrze nam teraz... wszak tak? Obecnie wyraźnie widzimy, iż szczęśliwymi tylko możemy być we dwoje, sami...

Gdyby mogła ona była wiedzieć jakie myśli, obrazy i burze wrzały w głowie nieszczęsnego Ryszarda — byłaby powstrzymała wyrażanie własnego zadowolenia.

V.

Rozmowa za ogrodzeniem.

Msza dopiero co się skończyła. Przez otwarte drzwi kościoła widać było jak gaszono jedna po drugiej wysokie świece, stojące na ołtarzu. Patrząc z gościńca, wnętrze kościoła wydawało się ciemne, skutkiem jaskrawego światła porannego; przed drzwiami stał pan Merivet, świeżo wygolony, z włosami starannie podwiniętemi po nad obfitym atłasowym krawatem, w tużurku, przy którym jaśniała różowa kokardka papieskiego orderu. Pan Merivet, uważając wystawiony przez siebie kościół za rodzaj swojego własnego salonu, kłaniał się wychodzącym, znakomitsze osobistości odprowadzał aż do furty, zapewniając o swej wdzięczności za okazywaną pamięć, uśmiechał się, kręcił i z dobrodusznością mówił: „Dziękuję, serdecznie dziękuję... tak, niemało osób raczyło się dziś zebrać... i napewno mielibyśmy większą jeszcze liczbę gości, gdyby nie odpust w Draveil i jakaś uroczystość w kaplicy przy ochronce w Soisy... uczyniło to nam niemałą krzywdę... Ale w przy-

szłą niedzielę, proszę... raczcie państwo nie zapominać o małej parafii... do widzenia... do niedzieli... tak, tak, do niedzieli...“

Sąsiedzi wierni małej parafii, wyszedłszy na gościniec, rozpraszali się w różne strony, skrzypiąc nowem obuwiem, szeleszcząc i pstrząc się niedzielnemi strojami. Barbara, stara, odwieczna kucharka pana Merivet, piastowała obecnie urząd zakrystyana, urząd spadły na nią dodatkowo po niespodziewanej śmierci wiernego służącego, który przypadkowo utonął w rzece. Barbara, zamknąwszy na dwa spusty wielkie drzwi kościelne, przyniosła teraz panu klucze, mówiąc: „Wszystko zamknęłam i światła pogasiłam, może pan być zupełnie spokojny... Tylko jeszcze w zakrystyi pozostał ksiądz wikary, ale powiedział, abym na niego nie czekała, bo wyjdzie tędy, przez ogrodzenie“.

Ogrodzeniem nazywano wązki pas gruntu pomiędzy kościołem a żelaznemi sztachetami; grunt zarosnięty był trawą, zielskiem i rozkwitłemi bogato makami, wymykającemi się z pod złomów kamieni, pozostałych z czasów budowania kościoła. Ogrodzenie przypominało mały cmentarz wioskowy.

— Ale ksiądz wikary nie jest cierpiący? — zapytał pan Merivet, miłujący kapłana odprawiającego mszę w małej parafii i troszcząc się o niego nieledwie że na równi jak o całość kościołka.

Barbara zapewniła, iż ksiądz wikary jest zdrów zupełnie, tylko zażądał igły z czarną nitką, zapewne dla zreparowania swojej mocno zużytej sutanny.

— Dobrze byłoby, gdyby mu pan nową sprawił.

— Masz racyę, moja Barbaro... kupimy mu nową sutannę... A teraz, idź i pośpiesz się ze śniadaniem.

Barbara odeszła, przebyła pusty i jakby szerszy teraz gościniec i znikła w furtce naprzeciwko kościoła, pozostawiając pana Merivet w ogrodzeniu, gdzie siadł na wielkim złomie białego kamienia, grzejąc się na słońcu. Czekając tak na wyjście wikarego, rozmyślał, w jaki sposób ofiaruje mu nową sutannę, z warunkiem, by jej nie sprzedał dla rozdania pieniędzy biednym; wtem, rozległy się czyjeś kroki na gościńcu i wśród panującej dokoła ciszy słychać było stłumiony śpiew basowy. Pan Merivet niezmiernie lubił, gdy jaki przechodzień zatrzymał się przed kościołem i odczytywał widniejący na nim napis: *Napoleon Merivet, kawaler orderu Saint-Gregoire le-Grand*, i t. d... Podniósł już głowę, ciesząc się z pewną dumą, że ujrzy tego kogoś zatrzymującego się dla odczytania świeżo odmalowanego napisu, gdy z rozczarowaniem poznał w nadchodzącym Ryszarda Fenigan. Nie widział on Ryszarda od czasu, gdy skutkiem ucieczki Lidii przerwały się w pałacu owe muzykalne wieczory.

Zawezwał go teraz uprzejmie, posadził przy sobie i, spojrzawszy mu przenikliwie w oczy, rzekł:

— Dlaczego nie przyszedłeś wcześniej? Msza już się skończyła a tobie zdałoby się zacząć przychodzić do tego kościoła...

W jasności poranku uwydatniała się zmiana zaszła w postaci i twarzy Ryszarda. Wychudł, zmizerniał, przez czoło zarysowały się horyzontalne linie. Szukał, by coś powiedzieć na swe usprawiedliwienie i pragnął oswobodzić się coprędzej od wymówek starego maniaka, czującego urazę do ludzi niebywających w małej parafii; lecz siadłszy przy nim na kamieniu wśród słonecznej, letniej ciszy niedzielnej, Ryszard nie znajdował słów a natomiast ogarniętym się poczuł przykuwającą życzliwością staruszka.

— Jesteś o wiele odemnie młodszy — mówił pan Merivet, klepiąc go przyjaźnie po ramieniu— lecz gdy ludzie boleją jednym i tym samym rodzajem bólu, równają się latami.. Twoje cierpienie przechodziłem ja kiedyś... konałem ze smutku, konałem z chęci zemsty, morderstwa... tak, tak, chciałem zabić. Ciebie to dziwi... bo któżby mógł coś podobnego przypuszczać, patrząc na tego spokojnego, uśmiechniętego pana Merivet... A jednak niewiele brakowało, bym nie stał się nikczemnym mordercą: bo czyż może być coś nikczemniejszego, jak mąż zabijający żonę, choć mu prawo daje na to sankcyę w pewnych okolicznościach.

Ryszard spuścił oczy i milczał. Wszak od tygodnia o niczem innem nie myślał, jak o podobnej zemście. Teraz właśnie wracał z poczty, chodził tam w przypuszczeniu, że jaki list wypadkowo odkryje mu miejsce, gdzie się oni teraz znajdują. Dlaczegoż ten stary sąsiad czyni mu takie zwierzenia? Czyż po nim znać myśli płonące w jego głowie?...

— Ta historya jest podobna do twojej, mój kochany chłopcze. Tylko ja o szesnaście lat byłem starszy od mojej żony. Przytem byłem mały, wcale niepiękny i po uszy zabrnąłem w zajęciach handlowych. Prowadziłem handel, który mnie zmuszał do częstych podróży do Algieru. Jeżeli mogłem się podobać, to tylko dzięki temu, że dobrze grałem na skrzypcach. Moja Irena urodziła się w Algieryi; miała wielkie, pieszczotliwe oczy, cerę złotawą i wyraz dziwnie łagodny. Tak jak ty nie znała się na muzyce, lecz również jak ty, miała do niej wrodzone zamiłowanie; moje skrzypce wywierały na niej urok pociągający. Drżała i płonęła, słuchając jak grałem, trzeba też przyznać, iż byłem niepośledniej wartości muzykiem. Dziwisz się zapewne, iż mnie nigdy nie słyszałeś grającym?... Ale ja skrzypiec nie tknąłem od czasu śmierci Ireny...

.. W drugim roku po ślubie mieliśmy dziecko, lecz ono wkrótce umarło. Moja żona silnie odczuła tę stratę, tem więcej, iż doktór zapowiedział nam, iż nigdy już dzieci nie będzie miała. Lubiła wieś,

więc chcąc ją rozerwać, kupiłem posiadłość moją dzisiejszą w Uzelles. Zdawało się, iż była temu rada a może tylko tak udawała, by mi sprawić przyjemność. Ona taka była dobra!... Na nieszczęście sprowadził się też do Uzelles pewien malarz o rozgłośnem nazwisku. Irena lubiła ludzi otoczonych sławą a ja podzielałem tę słabość zwykłą wśród paryzkiej burżuazyi. Cieszyliśmy się, gdyśmy mogli go uraczyć u siebie. Życzliwie przyjmowany, zaczął coraz częściej nas odwiedzać. Był to młody i piękny mężczyzna, trochę teatralny, lecz niezwykle pociągający w obejściu, pełen wymowy, zarozumiałości, lecz usprawiedliwionej talentem i urodą; nosił bródkę przystrzyżoną krótko, śpiczasto à la Velazquez a włosy długie à la Rubens... Gdy mówił, Irena poić się zdawała słowami płynącemi z jego ust wymownych i chociażbym po jego odejściu grał na moich skrzypcach najpiękniejsze utwory Mendelsohna lub Chopina, ona nie słuchała mojej muzyki, lecz dźwięku jego głosu... Spostrzegłszy to, zacząłem cierpieć. A cierpienie moje wzmagało się z dniem każdym, widząc, że jest ona zawsze smutna, milcząca i znudzona w mojem towarzystwie. Ożywiała się, oblewała rumieńcem, skoro tylko posłyszała go przed naszym domem. Czasami robiłem jej wymówkę, z tego powodu, wymówkę niby żartem, śmiejąc się głośno, lecz ów śmiech musiał być równie nienaturalny jak jej wesołość, gdy mi odpowiadała: „Cóż znowu!... przywidzenie... bądź spokojny pro-

szę... nie kłopocz się bez przyczyny!“ Lecz mi wciąż teraz dokuczała myśl: „Ona go kocha... ona go kocha!“ Podczas nocy, leżąc przy niej, bezustannie śniłem o nich, albo też, że wyrosłem, nabrałem siły i stałem się piękniejszym od tamtego. Budziłem się czasami i wpatrywałem się w Irenę. Zdawało mi się, iż sny ma tylko o nim, iż usta jej składają się, by wymówić jego imię.. a jednak byłem pewny, iż nic zdrożnego między nimi nie zaszło. Bywało znów, iż chciałem ją zbudzić i wołać „kochaj mnie... kochaj... zabiję cię, jeżeli mnie kochać nie będziesz!“ Widząc, iż męczarnia moja staje się sroższą z dniem każdym, postanowiłem zwrócić się do niego. Do tego kochanego przez nią człowieka. Niewiedzieć zkąd łączyłem w moim umyśle pojęcie o artyście i o człowieku wzniosłych poglądów. Zdawało mi się, iż każdy artysta musi być z natury swej szlachetny, wspaniałomyślny, współczujący i wyrozumiały na wszystko. Pewnego więc dnia rzekłem wprost temu panu: „Panie, nie podołam mierzyć się z tobą. Czuję, iż z każdym dniem ona zbliża się ku tobie, nie pomnąc na mnie... ona sama tego nie spostrzega, jest to silniejsze nad jej wolę.. Dla pana ta miłostka niema żadnego znaczenia, byłaby to chwilowa tylko rozrywka a dla mnie jestto całe moje dobro, moje życie! Panie, nie zabieraj mi jej, proszę, błagam, zostaw mi ją. Oddal się i zniknij!“ On odpowiedział: „Dobrze, oddalę się i zni

knę". I rzeczywiście nazajutrz już go nie było, ale zabrał ją z sobą!...

...Ile przecierpiałem to—wiesz z własnego doświadczenia; mnie o tyle było gorzej aniżeli tobie, iż byłem sam jeden, nie miałem z kim podzielić moich myśli, nie miałem jak ty matki, która wstrzyma cię od niejednego szaleństwa. Ja też popełniłem wszelkie możliwe szaleństwa! Chciałem ich doścignąć i zabić. Dowiedziałem się, że są w Szwajcaryi nad jeziorem Czterech-Kantonów w Gersau. Jakże ciemnem i smutnem wydało mi się to jezioro, gdym tam przybył pewnego wieczoru i stanąłem w hotelu, w którym i oni zamieszkiwali. Moja żona wraz z kochankiem była w kursalu. Obrałem sobie pokój naprzeciwko ich numeru; niezadługo posłyszałem ich wracających wraz z innymi hotelowymi gośćmi. On mówił głośno na korytarzu tym swoim śpiewnym i pieszczotliwym głosem, lecz wkrótce okazało się, iż głos posiada inny u siebie w mieszkaniu; doleciał mnie w wybuchu gniewu, łajania. Roztworzyłem moje drzwi i stałem przez noc całą z rewolwerem w ręku; zaczajony, wyczekiwałem, by rzucić się na nich, chociażby wyłamując zamek w ich pokoju. Powstrzymywała mnie drobiazgowa, głupia okoliczność, nie miałem wprawy w władanie bronią, zwłaszcza tego rewolweru nie znałem zupełnie; kupiłem go przed wyjazdem, kazawszy go nabić sprzedającemu. Zdaje mi się, iż byłbym wszakże o tem zapomniał i wpadł do nich za lada

odgłosem pieszczoty, pocałunku; lecz wprost odmienne dolatywały mnie echa... On wrzeszczał, łajał, roztrącał meble—ona płakała i piskliwie przepraszając, korzyła się błagalnie. Dowiedziałem się później, iż złościł się na nią miotany zazdrością; zdawało mu się, iż w kursalu patrzała zbyt przeciągle na jednego z muzykantów. Sceny tego rodzaju powtarzały się między nimi często, wymyślał jej, bił ją i w uniesieniu gniewu rzucał jej jak obelgę, iż była żoną niewierną, która męża dla kochanka porzuciła. Słysząc jej głos zalękły, jej płacz żałosny, współczuć zacząłem jej nieszczęściu a więc ta ukochana przezemnie istota cierpiała, znosiła brutalne obejście tego, któremu życie swe dała w miłosnym podarunku, jej łzy wywołały łzy moje; pełen złości na samego siebie, wyrzucałem sobie moją słabość, lecz wciąż płakałem a niechcąc, by mnie kto mógł posłyszeć, rzuciłem się na łóżko i kryłem głowę w poduszki, wyjąc z nadmiernego bólu. Wtedy byłem niewierzącym i religia nie mogła mi przynieść ukojenia, które z czasem mi przyniosła.

Nad ranem, kochanek Ireny zabrał przybory do malowania i wyszedł. Moja żona spać musiała, bo cisza zupełna zaległa w ich pokoju. Niewiedzieć kiedy, jak i dlaczego, czy aby zabić, czy też ucałować, wszedłem tam i siadłem tuż przy niej. Szelest moich kroków zaniepokoił ją przez sen, poruszyła się, lecz natychmiast zasnęła na nowo, znużona bezsennie spędzoną nocą. Śpiąc, wzdy-

chała ciężko i żałośnie. Musiała spędzić tę noc sama w swojem łóżku, bo rozrzucone prześcieradła i poduszki na kanapie świadczyły, iż on zdala od niej ułożył się na spoczynek. Jakże byłem wzruszony, widząc Irenę w tej hotelowej pościeli, ułożoną w zwykłej jej pozie, z jedną ręką nad głową a drugą wzdłuż kołdry, ileż razy podziwiałem wdzięk tej uroczej, kochanej istoty, tak pięknej i pociągającej w swojem obnażeniu. Znów ogarnął mnie szał i chciałem ją udusić, by już nigdy nie była niczyją. Już chyliłem się ku niej; by ująć ją w śmiertelny uścisk, gdy załkała przez sen jak dziecko, które płacze jeszcze w uśpieniu, gdy zostało złajane kładąc się do łóżka. Patrząc teraz na nią zblizka, dostrzegłem, iż ma czerwone i nabrzmiałe powieki od zbytniego a zapewne częstego płaczu; litość opłynęła mi serce. Niech sobie co chce mówi ten sławny autor rozkazujący nam z giestem teatralnym „Tue-la"; nie dla wszystkich taka zemsta jest dostępna; mogą ją spełniać ludzie o nizkich, brutalnych, morderczych instynktach... Ja odwróciłem się, wyszedłem z pokoju i w godzinę już mnie w tym hotelu nie było. Wyjechałem z powrotem do Paryża.

...Nie byłem zdolny do żadnego zajęcia. Z Paryża uciekłem tutaj i zamknąłem się w samotnym domu. Nie mogąc dłużej wytrwać w męce, zwróciłem rewolwer ku własnej osobie. Ta okrągła szrama—i to mówiąc stary Merivet odchylił siwe swoje włosy, pokazując Ryszardowi miejsce — to

od kuli, którą chciałem w łeb wpakować sobie. Przez dwa miesiące nie wiedziałem, czy jeszcze jestem przy życiu. Gdy odzyskałem przytomność, znalazłem przy moim łóżku księdza, który doglądał mnie przez cały czas mojej choroby. On uleczył następnie moją duszę, uwierzyłem i w imię religii nakazującej przebaczenie, zapomniałem, przywołując Irenę, tego tylko pragnącą. Biedna moja ukochana Irena! Wychudła, zmieniła się, na policzkach wystąpiły jej szkarłatne wypieki, wracała po półrocznej miłosnej wycieczce w postaci skazanej na śmierć suchotnicy. Przypuszczałem, iż odżyje tutaj w Uzelles pomiędzy lasem i rzeką, wśród łagodnego powietrza, wśród wygód i spokoju. Na zimę wywiozłem ją do Algieryi, do rodzinnej jej wioski, położonej wśród gajów pomarańczowych. Lecz żadne środki nie przynosiły jej ulgi, nikła a tylko jej oczy stawały się coraz to większe; chwilami mówiła do mnie: „kocham cię, jestem przy tobie zupełnie szczęśliwa, lecz czuję, iż umieram .. ach, jakże ciężki mój los!“

...Ja łudziłem się nadzieją, iż choroba minie. Tak bardzo kochałem moją Irenę... pocóż ona umierać miała tak młodo?... I rzeczywiście nastąpiło nagłe polepszenie, ożyła a przynajmniej przybrała pozory życia. Był to cudowny wpływ powieści jednego z najsławniejszych naszych autorów. Całe lato, ostatnie lato, jakie widzieć miała, przebyła w fotelu z łoziny, który ją oplatał jak gniazdko a siedząc w nim na słońcu w naszym ogrodzie,

czytała i odczytywała powieści tego autora, lubując się w scenach miłosnych. Powieść pod tytułem: „La Brodeuse d'or“ przekładała nad inne z powodu Janiny, bohaterki romansu; by stać się do niej podobną, ubierała się jak ona, w krótki kaftanik naszywany złotem i przeplatała spuszczone warkocze cekinami. „Coby powiedział autor, żeby mnie zobaczył ubraną, jak Janina?“ — pytała się mnie często. „Czy jestem do niej podobna?“ Ja nie znałem powieści, lecz odpowiadałem: „zupełnie jesteś do niej podobna!“ Jej to sprawiało przyjemność a ja ze smutkiem patrzałem na trawiącą ją gorączkę, na pościel jej wietrzącą się i schnącą w oknie jej sypialni—tej sypialni suchotniczej, niemogącej znaleźć snu spokojnego i zanikającej w chorobliwych potach. Chcąc jej dogadzać i stać się dla niej miłym, zapytałem raz mojej żony, czy miałaby ochotę poznać owego autora; jeżeli mogłoby to jej sprawić chociażby chwilową uciechę, gotów jestem napisać do niego, prosząc, by nas odwiedził. Jak widzisz, Ryszardzie, kochałem bardzo moją Irenę, lecz zazdrość zginęła we mnie bez śladu; wobec śmierci uczucia ulegają zmianie, maleją przed jej potęgą. Irena rozpłakała się ze wzruszenia i na całą odpowiedź przesłała mi pocałunek końcem swych paluszków.

Zmarła wkrótce potem, na początku jesieni, gdy kruki zastępują jaskółki i pola świecą pustkami. Dopiero po jej śmierci dowiedziałem się, że pro-

wadziła korespondencyę z owym autorem, była ona jedną z jego „nieznajomych“, które często wyśmiewał z powodu odbieranych od nich listów, tchnących miłosną egzaltacyą. Lecz cóż chcesz, żona moja miała romantyczną naturę i spokój codziennego ze mną pożycia był dla niej niewystarczający. Ów znakomity powieściopisarz nigdy jej nie widział, lecz odpisywał na jej listy pod adresem: *Pani X, poste restante à Villeneuve-Saint-Georges.* Co sobota Barbara szła na pocztę i załatwiała odbiór i noszenie listów. Przez Barbarę dowiedziałem się o tej korespondencyi. Przypuszczam, iż nie było w niej nic zdrożnego, mówię przypuszczam, bo zdobyłem się na odwagę, by nie czytać licznych listów, jakie znalazłem w pokoju mojej żony. Odesłałem je sławnemu autorowi, pisząc od siebie: „Pańska nieznajoma z Villeneuve umarła. Jeżeli chcesz pan wiedzieć jej nazwisko, znajdziesz je pan wypisane na frontonie kościoła, zbudowanego z jej powodu przy trakcie wiodącym do Corbeil, pomiędzy Draveil i Soisy“. Sławny człowiek nie przybył i nie dał znaku życia.

Stary Merivet zamilkł i wśród ciszy słychać było gruchanie gołębi na kościelnym dachu, oraz płynące od rzeki gdzieś zdala odgłosy dzwonów. Wreszcie Ryszard rzekł ze złośliwym uśmiechem:

— Opowiadanie twoje, mój drogi panie, dowodzi jasno, iż wszystkie kobiety pohopne są do zdradzania nas i okłamywania; lecz niewszyscy

mężowie mogą być tak wyrozumiałymi i głęboko dobrymi, jak pan byłeś względem swojej żony.

Merivet spojrzał na Ryszarda z boleścią, widząc, iż nie został dostatecznie przez niego zrozumianym.

— Że mnie ona zdradziła, to wyłącznie moja w tem wina. Była między nami zbyt wielka różnica wieku. Ona była piękna, urocza, młoda, byłem z nią szczęśliwy przez lata całe a nigdy nie przyszło mi na myśl zapytać się jej, czy niczego ona nie pragnie, czy zadowoloną jest ze swego losu. Egoizm mój usprawiedliwia jej postępowanie. Myślałem tylko o sobie, nie troszcząc się o nią. Jakiem prawem, my, mężczyzni, żądamy od kobiety, aby pozostała nam wierną, ograniczyła się wyłącznie na miłości jednego tylko mężczyzny, kiedy sami postępujemy wprost odmiennie i żaden z nas nie poprzestaje na stosunku z jedną tylko kobietą... Na usprawiedliwienie mojej Ireny tyle mógłbym powiedzieć! Wszak lata całe żyła osamotniona w pustym domu, mnie widywała tylko wieczorami; wywiozłem ją zdaleka, oderwałem od rodzinnego kraju, od matki a sama nie miała dziecka, dziecka mogącego wiele zastąpić każdej kobiecie. Tak, mój Ryszardzie, prawdopodobnie tak ja jak i ty uniknęlibyśmy nieszczęścia, gdyby żony nasze były matkami...

Ryszard powstał gwałtownie. To, co teraz słyszał, niejednokrotnie sam sobie już powiedział.

Lidia rozpaczała, iż nie jest matką. Lecz chcąc zagłuszyć ten zwrot myśli, zawołał z ironią:

— A więc podług pana nie powinniśmy narzekać na los, który nas spotkał, bo żona ma najzupełniejsze prawo zdradzać swego męża?

— Nie, ja tego nie twierdzę, jestem tylko zdania, iż na obronę naszych żon wiele można przytoczyć okoliczności łagodzących a nie trzeba potępiać, nieprzejrzawszy ich z całą sumiennością.

— Kobieta sama bronić się potrafi, gdy ją mąż znudzi, ucieka od niego z pierwszym lepszym kochankiem — zawołał Ryszard z wściekłością.

Stary jego przyjaciel popatrzył nań przenikliwie i, ująwszy za rękę, znów posadził na miejscu pierwej zajmowanem.

— No tak, ucieka... Ale powiedz mi, czyż to nielepiej, niż kłamać, oszukiwać po za plecami męża? Znajduję, iż kobieta zrywająca z mężem, wykluczająca się dobrowolnie z dotychczasowych swych towarzyskich stosunków, porzucająca otwarcie swoje stanowisko dla zadowolenia swej namiętności—o wiele więcej zasługuje na szacunek, aniżeli zręcznie manewrująca mężatka, mająca kochanków pokryjomu, bez skandalu. Zkąd wiedzieć możesz, iż nie staniesz się wyrozumialszym? Ja nie wątpię, że nadejdzie chwila, gdy z serca jej przebaczysz...

— Nigdy nie przebaczę — syknął Ryszard przez zaciśnięte zęby.

Stary notaryusz potrząsnął dobrotliwie siwą głową:

— Mówisz tak, bo rana zbyt świeża, bo przebywasz teraz męczarnię zazdrości. Ja też ją przebyłem, przebolałem. Minie ona u ciebie, jak u mnie minęła...

— Może minąć, ale i miłość wówczas minie.

— Mylisz się. Zazdrość nie tak ściśle łączy się z miłością; zapewne, iż rodzi ją miłość, ale są to rzeczy różne. Miłość może istnieć bez zazdrości. Zazdrość jest chorobliwym szałem, gorączką miłości a najczęściej wynika z powodu podrażnionej miłości własnej. „A więc on jest piękniejszy, doskonalszy odemnie?.. Ona przekłada go, ona kocha go więcej, niż mnie kochała?...“ Dowodem, iż miłość i zazdrość są niezależnemi od siebie uczuciami, winny być nam obyczaje ludów wschodnich; uczucie miłości jest zawsze nieodmienne w swych objawach, czy to u ludów Wschodu czy Zachodu, zazdrość pojmują zaś oni zupełnie różnie aniżeli my. Arabowie nie rozumieją, co to jest zazdrość z powodu przeszłości a wszak my cierpiemy nieraz okrutnie z tej właśnie przyczyny. Znałem pewnego kaida w Algieryi; miał cztery żony, lecz kochał z nich tylko jedną. Nazywała się Baja. Przed wyjściem zamąż była ona tancerką i kurtyzanką. Człowiek z naszemi pojęciami byłby ją dręczył, przypominając jej przeszłość, wyrzucając jej dawny sposób życia. Ów kaid, przeciwnie, o tem, co było, nie wspominał nigdy, cho-

ciaż wiedział wszystko, lecz biorąc ją za żonę, rzucał w przepaść zapomnienia przeszłość, zważając jedynie na teraźniejszość. Zazdrosnym był niezmiernie i dostrzegłszy rodzaj flirtu, jak to teraz nazywacie, pomiędzy tłómaczem rządowym przy armii francuzkiej a piękną Bają, pokiereszował jej ciało i twarz kindżałem. Cudem Baja uszła śmierci a kaid został skazany na pięcioletnie więzienie w Ajaccio. Ztamtąd pisywał regularnie do brata, zalecając mu opiekę nad pozostawionym dobytkiem i żonami. Każdy jego list, zamiast słów zwykłego u mahometan wstępu *la Allah il Allah*, rozpoczynał się niezmiennie od tego najważniejszego polecenia: *pilnuj i strzeż Baj*. Czyż to niedowodzi, iż nawet podczas długoletniego więzienia kaid był zazdrosny i żył tą tylko zazdrością?.. Chcesz, drugi przykład: wielki Napoleon, którego imię dali mi rodzice tak niesłusznie, bo ja *poverino* nic w sobie niemam bohaterskiego, też był zazdrosny na sposób wschodni, w korsykaninach bowiem płynie niemało krwi arabskiej. W listach do Józefiny nigdy nie wspomina o jej przeszłości a przecież wiedział, iż miała ona młodość burzliwą, natomiast niepokoi się i zazdrości, posądza ją o teraźniejszość; męcząc tem, jeżeli nie Józefinę to siebie... Ową Baja, o której ci opowiadałem, została przywołaną przed trybunał sądowy w czasie śledztwa a gdy sędzia zapytał się jej, dlaczego drażniła zazdrość swego męża, kokietując innego mężczyznę, Baja

odpowiedziała: „Chciałam, żeby się nauczył mnie pilnować". Ileż jest mężów, którzy nietylko, że nie pilnują swoich żon, lecz prawie dobrowolnie wystawiają na wszelkie możliwe pokuszenia! Chociażby ten malarz, który ukradł mi moją Irenę; wszak ja sam zapraszałem go, aby często u nas bywał! A ty, mój Ryszardzie, czyż możesz sobie sumiennie powiedzieć, iż zawsze strzegłeś i pilnowałeś swej Bai?

W tej właśnie chwili ksiądz wikary wyszedł z zakrystyi i kroczył po trawie pomiędzy wysokiemi kwiatami maków, ponad któremi uwijały się brzęczące złote pszczoły. Pomimo późnego wieku, trzymał się prosto, wyglądał zdrowo a przechodząc koło rozmawiających nizko się skłonił.

— Księże kochany, nie zapominaj tylko, że jemy dziś razem śniadanie — rzekł Merivet.

A gdy ksiądz wikary wyszedł już po za ogrodzenie, dodał:

— Oto jest święty człowiek, który mnie uratował.

— Jakto, ksiądz Cérès?... — zapytał Ryszard mocno zadziwiony, bo przywykł, iż wogóle lekceważono wikaryusza z Draveil. Miał zawsze podartą starą sutannę, uchodził za dziwaka, niedbał o swoją powierzchowność i skutkiem tego nie zapraszano go w sąsiedztwie ani do pałaców, ani też do bogatszych domów mieszczańskich.

— Tak, ten ksiądz o wyjątkowych cnotach przezwyciężył mnie i od zguby uchronił. Wiem dobrze, iż w oficyalnym zakrystyjnym świecie jest on źle widziany, lecz poznawszy rzeczywistą jego wartość, postarałem się, aby sprawiał swój kapłański urząd w małej parafii. Wybrałem tego księdza o jasnych, przejrzystych oczach, niedbającego o wygody i dostatki a gdybyś słyszał z jakiem uczuciem mówi on słowa modlitwy: „jak i my odpuszczamy naszym winowajcom“—zacząłbyś uczęszczać do mojego kościołka, bo słowa te wymawiane przez niego, tknęłyby twoje serce i powiodły ku uzdrowieniu.

— Są winy, których nie można odpuścić, są urazy, na które niema ukojenia. — mruknął Ryszard. — Człowiek srogo obrażony potrzebuje zemsty. Jestem zdania Szekspira a nie Jezusa.

— Szekspir, Otello... Czytałem to. Czytałem nawet wtedy, gdy najciężej cierpiałem, ale Szekspir nie zadowolnił mnie bynajmniej. Jego Otello—to murzyn brutalny, powodowany żądzą. Nie można go przecież równać z człowiekiem naszej rasy i naszych poglądów. Zazdrość czyni najłagodniejszego okrutnym, spokojnego przebiegłym, czystego myślą—wyuzdanym; podnieca imaginacyę i z anioła czyni szatana, podszeptując najsprośniejsze domysły. W sztuce Szekspira tylko chciwy i podstępny Jago potrafi być za-

zdrosnym, Otello zaś jest tylko nieokiełznanych chuci barbarzyńcą. Podoba mi się, iż Szekspir przedstawia go nam w postaci mięszańca, mulata, chcąc przez to zaznaczyć jego niższość rasową. Człowiek tak od natury upośledzony musi przez to samo być stale zazdrosnym, zazdrosnym względem wszystkich ludzi rasy białej. Jego zazdrość jest ułomnością. Lecz jakże równać go można z takim jak ty zuchem, niemogącym nikomu zazdrościć przymiotów fizycznych.

Ryszard smutnie się uśmiechnął, znał on bowiem swoją przywarę, tę śmieszną nieśmiałość swoją, której pozbyć się nie zdołał nawet wobec swojej żony, pomimo tylu lat wspólnego z nią pożycia. Przez ośm lat był mężem Lidii a raz tylko jeden odważył się ją kochać z całem oddaniem, byłby pragnął okazywać jej również miłość zawsze, lecz nie śmiał. Owej pamiętnej nocy spędzonej z nią w Paryżu odważył się wyjątkowo, bo też wyjątkowo podniecony był szampanem. W tem nagle przyszedł mu na myśl Karlexis; ach ten potwór nie cofnął się zapewne przed żadną pieszczotą, umiał on znaleźć słowa i spojrzenia pałające miłością... W jakichże rozkoszach jemu nieznanych tonąć musieli ci dwoje.. Wstrząsnął się cały, porwał z miejsca, jakby chcąc uciec przed straszliwem widzeniem.

— Gdzie idziesz... po co uciekasz?... Ryszardzie!

— Nie mogę już... nie mogę... muszę iść... nie mogę znieść wciąż napastującego mnie widziadła.. Trzeba raz skończyć. Żegnam pana, żegnam!

Wyrzucał z siebie słowa jakby gwałtem i wzburzony szedł już gościńcem. Merivet pozostał na miejscu i zaczął rozważać, czy, zamiast ułagodzić, nie rozjątrzył jeszcze nieszczęśliwego Ryszarda, opowiadając mu swoje dzieje i poglądy o zazdrości. Po chwili powstał i, przystając, szedł ku bramie, wsłuchując się w ciszę przerywaną brzękiem pszczół, kołyszących się w słonecznych promieniach po nad makami, o bogatych i różnobarwnych koronach. W tem ujrzał jadący gościńcem *break*, pełen strojnych kobiet w jasnych sukniach i przysłoniętych jaskrawemi parasolkami. Break zatrzymał się; widocznie jadący chcieli spojrzeć na ten kościół świeżo ukończony, cały biały, ze stadem gołębi na dachu; zadziwił ich również ten stary jegomość zamykający na klucz żelazne wrota ogrodzenia. Zamykał je starannie, jak dbały o swą własność posiadacz a różowy jego order odbijał pstro na czarnym tużurku; jedna z młodych pań spytała:

— Czy pan pozwoli zwiedzić ten kościół?...

Merivet uśmiechnął się, mocno zadowolony.

— Zwiedzić ten kościół?... Nic w nim niema szczególnego, lecz co niedziela mamy swoją mszę i kazanie; mogę nawet państwa zapewnić, iż takiego nabożeństwa, jak w małej parafii, nigdzie spotkać nie można.

Powiedziawszy te słowa, Merivet się grzecznie ukłonił i przeszedłszy gościniec na drugą stronę wszedł do swego ogrodu, z przyjemnością słuchając jak dźwięczny i miły głos jednej z pań odczytywał napis:

Napoleon Merivet
kawaler orderu Saint-Gregoire-le Grand
wystawił ten kościół...

VI.

Dziennik księcia.

Do pana de Vallongue
w Kolegium Stanislas w Paryżu.

Mój kochany Wilkie, list twój odesłano mi z Mesyny, którą oznaczyłem ci jako pierwsze miejsce mojego wylądowania w czasie podróży naokoło świata. Lecz cóż robić, podróż ta została przerwaną.

Ubawiłem się, czytając list opisujący wrażenie wywarte moją ucieczką na czcigodnych naszych szkolnych mentorów! Mowa dyrektora do uczniów była wspaniała a modłami ojca Salignon błagającego niebo o rychły powrót zbłąkanej owieczki jestem rozczulony. Tak, uśmiałem się nad obrazowym i szczegółowym twoim opisem a wyznam ci szczerze, iż tego potrzebowałem, bo niezawsze wszystko jest różowe w życiu młodzieńca uwodzącego cudzą żonę. Dziękuję ci a zarazem przepraszam za kłopot, jaki miałeś z odwiezieniem do Grosbourg wszystkich moich manatków. Deszcz cię spotkał w drodze a w Gros-

bourg musiano cię częstować kiepskiem śniadaniem, chociaż podanem na srebrnej zastawie z książęcą koroną. Nie przecz, bo jestem pewien, iż wstałeś od stołu głodny. Wiem, jakie śniadania i obiady bywają w Grosbourg, gdy księżna tam gości. W letniej porze, gdy są owoce, księżna każe dawać na deser zeschłe przeszłoroczne śliwki, i kartonowe bakalie. Przypuszczam, iż musiałeś przytem zastać księżnę w złym humorze, bo właśnie w ten dzień zawiadomiłem ją, iż potrzebuję pieniędzy. Księżna tego nie lubi a płynąca w niej krew baronów Silva buntuje ją w takich razach gwałtownie przeciwko marnotrawnemu jak ja synowi. Dziwię się, że ojciec mój jest chmurny, bo powiadasz, iż z każdym dniem odzyskuje władzę w nogach a zatem promieniećby powinien z radości. Poznałeś wreszcie pana Jana, poczciwości ten człowiek miał mnie pilnować, nietylko poić wiedzą. Wygrywając na wiolonczeli, nie domyślał się ani na chwilę, iż jest świadkiem rozpoczętej sielanki z panią F... Tak, odgadłeś, ów kościołek, który pomimo deszczu dojrzałeś z okna pałacu, to tak zwana „mała parafia“ a domy i zieloność dokoła niego to Uzeles, po za tem zaś ciągnące się lasy są częściowo własnością mojego ojca. Przypiera do nich park i pałac Uzelles. Lasem dojechałem przed bramę parku po panią F...; już blizko miesiąc od owego poranku. Przyjechałem po nią powozem z herbem książęcym na drzwiczkach i ze służbą w liberyi, przyznaj, iż

było to nieco po zawadyacku. Ten nicpoń Aleksander przygotował wszystko bardzo składnie, o niczem nie zapominając. Trochę to drogo kosztuje, lecz w razie potrzeby zalecam ci użyć Aleksandra, jest niezrównany.

Do Melun pojechaliśmy powozem a ztamtąd koleją do Lyonu, nazajutrz wieczorem już byliśmy na pokładzie naszego jachtu „Bleu-Blanc-Rouge". Cała podróż była rozkoszna. Kobietka, która prosto z małżeńskiego łoża skoczyła rezolutnie do mojego powozu, nie zapiąwszy nawet stanika, nie broniła się od pieszczot a obawa, iż może nas gonią, pewność, iż zrywamy z obowiązkami, światem i ludźmi dotychczas otaczającymi nas były podnietą ekstra-nadzwyczajną.

Pierwszy nasz wieczór na morzu był uroczy przyczyniało się do tego poczucie wolności, oraz pogodne niebo o nieznanych na północy barwach zielonych i liliowych; siedliśmy na pokładzie tuląc się do siebie i oplatając miłośnie a piękny chór męzkich głosów towarzyszył naszemu gruchaniu; temi śpiewakami byli włosi, wyławiacze korali, jadący na wielkiej łodzi w tę samą stronę co nasz statek. W tem stała się rzecz wstrętna; moja ukochana dostała choroby morskiej, która ją nie opuściła przez całą noc, oraz nazajutrz. Nie było innej rady, jak wylądowanie. Stanęliśmy na lądzie stałym na miesiąc a może i więcej. Jako fiasco, podróż naokoło świata powiodła mi się wspaniale. Zdawało mi się, iż wybrałem

sobie towarzyszkę odpowiednią, bo pani F... marzyła zawsze o dalekich podróżach, z pasyą pływała i jeździła łódką, lecz Sekwana a morze są to rzeczy różne... Przyznaj, że nie miałem szczęścia, wybierając kobietę podlegającą chorobie morskiej.

Co tu począć, czyż miałem się wyrzekać projektowanej od tak dawna podróży i pożegnać kapitana Nuitt, uważając za stracone tysiąc pięćset funtów szterlingów, które mu dałem naprzód, za trzy miesiące z góry? Nie miałem odwagi na wyrzeczenie się tego wszystkiego. Nie kusiła mnie też perspektywa wynajęcia willi i życia małżeńskiego z hrabiną, bo zawiadamiam cię, mój kochany Wilkie, iż podróżujemy pod nazwiskiem hrabiego i hrabiny des Uzelles. Życie we dwoje ponad jeziorami Szwajcaryi lub Włoch może mieć urok dla zakochanych lub dla suchotników a ponieważ nie należę ani do jednych ani do drugich, odczuwałem śmiertelną nudę podobnego życia z „hrabiną".

By mieć czas do namysłu, jak mam dalej postąpić, kazałem kapitanowi by nas wylądował w pobliżu Monaco i tam wynająłem całe pierwsze piętro w jednym ze wspaniałych karawanserajów w pobliżu domu gry. Chociaż pora roku jeszcze nie sprzyja wycieczkom nad morze Śródziemne, w Monte-Carlo ludzi jest pełno a przy stolikach z ruletą cisną się tłumnie zwłaszcza cudzoziemcy. W pierwszych dniach wygrałem znaczne sumy;

lecz potem przegrałem nietylko wygraną, lecz czterdzieści czy pięćdziesiąt tysięcy pozostających mi jeszcze pieniędzy. Na domiar niepowodzenia, okazało się, iż Aleksander wyjechał chwilowo z Uzelles, nie było więc innej rady jak odebrać kapitanowi Nuitt pieniądze dane mu naprzód. Wyobrażasz sobie, jaki był niezadowolony. Przez cały tydzień musiałem słuchać jego utyskiwań. Co pocznie z załogą, czem ludzi zapłaci, zkąd weźmie pieniędzy na wydatki mistres Nuitt?... Co prawda uśmiałem się z tych zakłopotanych anglików, ścigających mnie wszędzie, w sali gry, w biurze pocztowem, na tarasie przed hotelem, w cienistych alejach parku; śledzili moje kroki zapamiętale, z wytrwałością niezrównaną; gdy tylko się obejrzałem, mogłem być pewien, iż zobaczę komiczne ich cienie. Był to rodzaj pantominy niesłychanie dla mnie zabawnej. Wreszcie pieniądze nadeszły, kapitan wszedł napowrót w posiadanie swego złota a ja gram całemi dniami z różnem powodzeniem, gram, bo dnie wydają mi się niezmiernie długie.

W pierwszej chwili, pani F. rzeczywiście się zmartwiła widząc, iż z jej powodu zamierzona podróż nie może przyjść do skutku, lecz teraz pocieszoną jest zupełnie, bawi się komplimentami osób zachwycających się jej muzykalnym talentem. Zadowolona jest ze zbytku, jakim ją otoczyłem, lecz posądzam ją, iż największą radość przynosi jej tytuł hrabiny, jakiego używa, ucho-

dząc za moją prawowitą małżonkę. Dziwna rzecz, jak ta kobieta niewiadomego pochodzenia, wychowana jako sierota w przytułku, mieszczka z przyzwyczajeń i otoczenia, w którem żyła po zamążpójściu, czułą jest i wrażliwą na arystokratyczne tytuły. Jej się nawet zdaje, iż jest córką arystokratów. Powierzchowność ma rzeczywiście dystyngowaną, lecz wielkie jej ręce i nogi bynajmniej nie są rasowe. Czy byłaby ze mną uciekła gdybym nie był księciem?... Mam przekonanie, że nie. Zbyt jeszcze jest młoda, by miała do mnie pociąg dla moich lat prawie chłopięcych, nie jest w tem podobną do pewnej dobrze przejżałej baronowej, przyjaźniącej się z moją matką; ta pani łakomą była, nawet żarłoczną, w stosunkach z synem swojej przyjaciółki... Pani F. wolałaby nawet, gdybym był trochę starszy, moje osiemnaście lat niepokoją i żenują moją ukochaną, posądza mnie o zbyteczną naiwność, dziecięcą serdeczność! Biedna kobietka! Przyznaj, iż się na mnie poznała.

Che volete?—zdarzają się jeszcze czasami kobiety sentymentalne. Moja kochanka należy do tego typu i chętnie powiada: „Chodź płakać na mojem ramieniu!“ *A propos*, muszę ci też opowiedzieć coś, co może ci posłużyć przy zdarzonej sposobności. Chcesz wiedzieć, w jaki sposób przezwyciężyłem ostatni, ostateczny jej opór? Byliśmy sami we dwoje w jakiejś opuszczonej altanie jej parku, gdzie przyprowadziłem ją, jakby od nie-

chcenia, zużywszy w tym celu sporą ilość wybiegów. Lecz dalej ani rusz; nie pomagały prośby, zaklęcia... W tem, jakby na złość, jakiś pył wpadł mi do oka. To mnie naprowadziło na myśl, by potrzeć oczy energicznie i rzeczywiście zaszły łzami, co rozczuliło natychmiast moją lubą. „Ty płaczesz?... Czyż myślisz, że ja cię nie kocham?... Ach nie płacz, nie płacz, nie mogę przenieść widoku łez twoich, bierz mnie!“ Pani F. dotychczas pozostaje w złudzeniu; ma przekonanie, iż jestem w niej zakochany, co do niej, nie myślę, aby mnie ona bardzo kochała.

Prawdę powiedziawszy, dziwną nawet jest rzeczą, iż zdecydowała się na ucieczkę z domu męża. Bo jakąż ja przedstawiałem dla niej gwarancyę? Ona utrzymuje, że „nudziło ją kłamać“. Lecz mnie się zdaje, że ona „nie brzydziła się kłamać, tylko nudziła się“. Monotonne życie w Uzelles sprzykrzyło się tej zawsze próżnującej kobiecie, szukała rozmaitości i znalazła ją w mojej osobie. Czego się ona spodziewa na przyszłość?... Jeżeli myśli o rozwodzie ze swoim mężem, to niechajby też wiedziała, iż będę miał tysiączne powody, by się od małżeństwa z nią uchylić. Wreszcie nie może być mowy o rozwodzie. Aleksander nas ostrzegł, iż pilnować się powinniśmy, albowiem spokojnej dotychczas natury pan F... podobno szaleje z zazdrości i chce nas zabić oboje. W każdym razie mniej się boję zazdrości pana F...

ile zazdrości generała. Tak, zazdrości mojego rodzonego ojca.

Jest on zakochany w mojej kochance a ona zdaje mi się, iż większą ma skłonność do ojca, aniżeli do syna. Czy to uczucie wyrodziła w niej litość? Czy też sięga ono czasów dawniejszych, przed chorobą generała? Niewiem — lecz całemi miesiącami widziałem, jak wymownie patrzeli na siebie, ona przy fortepianie, on niedołężny, bezwładny w swoim fotelu. Stary wystrzegał się mnie a nawet szczerze znienawidził, bo był przekonany, iż mu ją zdmuchnę, dzięki władzy w członkach, której on był pozbawiony. Wyobrażam sobie, jak on musiał cierpieć, gdy mu uprowadzałem ukochaną z przed fortepianu i godzinami całemi z nią znikałem w innych pokojach lub w parku. Ty zdajesz sobie sprawę z okrutnego położenia, w jakie pogrążałem tego zniedołężniałego don Juana, który przykuty w fotelu mógł tylko rozmyślać: „Gdzie oni poszli, co oni robią“. Stał się zły, popędliwy, posądzający; poniżał się do podsłuchiwania pododrzwiami, gryzł się z bólu, wył i płakał... Lecz ten człowiek był moim ojcem, więc też dziwić się nie mogę, iż skorzystał z władzy i osadził mnie jako pensyonarza w szkole Stanislas. Ja zaś przekonałem go, iż wydostać się można z pod ojcowskiej opieki i uciekłem z jego ukochaną. Ale czy wiesz, że teraz, kiedy podróż naokoło świata stała się niemożebną ze znanych

ci powodów, generał, korzystając z mojej małoletności może mnie z łatwością pochwycić na stałym lądzie i sprowadzić do Grosbourg, albo raz jeszcze zamknąć w szkole. Wcaleby to było zabawne, gdyby mi kazali włożyć nanowo mundur studencika. Ale w takim razie niechaj i kochance mojej włożą mundur podobny, jestem przekonany, iż w przebraniu studenckiem byłoby jej do twarzy a ona, lubiąca rozmaitość i niespodziewane wydarzenia, byłaby niezawodnie rada z podobnego zwrotu rzeczy.

Lecz czyż ona myśli o przyszłości i co ona myśli wogóle?... Doprawdy, nie wiem. Żyjemy jedno obok drugiego, lecz jesteśmy zamknięci i skryci wobec siebie. Czasami wyobrażam sobie, iż krzyknęłaby z przerażenia, gdyby mogła naraz poznać moje myśli, moje usposobienie i dziwnie ciemną zawiłość, której sam się lękam i nie lubię w nią zaglądać. Wreszcie dla przerażenia pani F... ten list do ciebie pisany byłby wystarczającym; przeczytawszy co do ciebie piszę, musiałaby mnie znienawidzieć a może... może dopiero wtedy pokochałaby mnie rzeczywiście. Któraż to dama z przeszłego stulecia utrzymywała, iż kobieta, tylko zlekka pogardzając, może kochać mężczyznę?... Przyjemna byłaby rzecz, gdybym odsłonił się z mojemi poglądami pani F..., chcąc się jej pozbyć a wywołał, zamiast zerwania, gwałtowny wybuch miłości! Wolę spuścić się na losy i na łaskę Przenajświętszej Panny z Fourvières, do której

pani F... ma szczególniejsze nabożeństwo. Do tego stopnia miłuje ona Przenajnajświętszą Pannę z Fourvières, iż przyjechawszy do Lyonu, chociaż nie miała koszuli na zmianę, musiałem z nią przedewszystkiem odbyć pielgrzymkę ku bazylice panującej nad miastem i tam zakupiła sobie mnóstwo święconych szkaplerzy i medalików. Udawałem, iż z niej nie kpię, bo przyznam ci się, że lubię dźwięk medalików na ładnych kobiecych piersiach a miłosne uściski, zagrożone piekłem, są w dwójnasób ponętne, rozkosz zaś potęguje się przy wyrzutach sumienia szeptanych ładnemi usty.

W hotelu, gdzie mieszkamy, przebywa niemało cudzoziemców, prócz tego sporo osób schodzi się na śniadanja i obiady. Zaznajomiliśmy się z młodem małżeństwem, państwem Nansen. On jest szwedem i profesorem przy jednym z uniwersytetów w swoim kraju; zagrożony piersiową chorobą, postarał się, by go wysłano w naukowej misyi do Włoch. Ożenił się tam przed ośmiu miesiącami z ładną córką hotelarza z Palermo. Sprzężona w ten sposób Północ z Południem, jest jeszcze w pełni miodowych miesięcy. Mąż nosi okulary, przysłaniając oczy łagodne, przenikliwe i blade, włosy ma ryże, pierś zapadniętą i pochylone przedwcześnie ramiona. Ktoś powiedział: „Im więcej na Północ, tem oczy ludzkie stają się przenikliwsze i bledsze“. Nie można też tego powiedzieć o oczach Niny, to jest pani Nansen, czarne jej oczy błyszczą i nęcą ku ślicznemu, włos-

kiemu jej ciału. Jest ona nieco za okrągła, lecz młoda i naturalnie powabna. Ociera się o swego męża jak kotka i śmieje się z zadowoleniem, jak kochanka pewna swej władzy; podobną jest do kwiatu kąpiącego się z lubością w słonecznych promieniach. Mieszkają oni w willi ponad morzem i stołują się w hotelu, skutkiem czego zawiązała się między nami znajomość. Układ pani F... oraz wytworne jej paryzkie stroje podziałały widocznie na pana Nansena. Zaczął znajdować, iż jego Nina nosi staniki zanadto krzyczące i że ma układ bardzo pospolity. Lecz Nansen jest zbyt nieśmiałym, by swoje uwielbienie wypowiedzieć pani F... i zwolnić mnie od niej, za cobym się bynajmniej nie gniewał. Zkąd pochodzi nieśmiałość mężczyzn? Nieśmiałość, której kobiety nawet nie przypuszczają?... Mówiłem ci nieraz o tym biednym „Pum-pum“; otóż Nansen przypomina mi tamtego swoją nadzwyczajną nieśmiałością. Należy on do gatunku ludzi nieumiejących iść śmiało, gdy ktoś na nich patrzy, owierających drzwi sklepu z pewnego rodzaju trwogą, trzymających się na chodniku tuż przy domach, jakby chcieli ukryć się za ścianą. Pum-pum, który zwierzał się przedemną, jak przed najserdeczniejszym przyjacielem, opowiadał mi, że jeden z jego bliskich znajomych, tak dalece jest nieśmiały, iż dopiero podpiwszy sobie ma odwagę czulić się do swej żony; zawsze byłem pewien, iż Pum-pum sam o sobie mówił te zwierzenia. Mój skandynawczyk

jest zupełnie w tym rodzaju. Pewnego wieczora grał powolnego walca Brahmsa i patrzał z ekstazą na moją kochankę. Byłem blizko niego, więc szepnąłem mu w ucho: „Pilnuj się, bo oczy cię zdradzają!“ Zamiast mnie zapytać, co mianowicie oczy jego zdradzają, zaczerwienił się i zmięszał pochylając głowę nad klawiszami, tak iż okulary spadły mu na ręce.

Opowiedziałem to wydarzenie Lidii, dowcipkując nad niemą miłością, którą wzbudziła a ona odrzekła z uśmiechem: „Zdaje mi się, że żona jego również wpadła ci w oko...“ Prawdę powiedziawszy Nina mnie nęci podwójnie, jako ładna kobieta i jako cudzoziemka; to jej umizganie się do męża niezwykle mnie podnieca. Czy moja kochanka całkowicie to odgadła?... W każdym razie przed tygodniem powzięła raptowne postanowienie wyjazdu z Monte-Carlo. Niepomna na morską chorobę, chciała natychmiast wsiadać na „Bleu-Blanc-Rouge“ i gdy flegmatyczny kapitan Nuitt przyszedł się dowiedzieć o codzienne rozkazy, dostał polecenie przygotowania jachtu. Mieliśmy zatrzymać się w Genui a wrazie możliwej dalszej podróży, popłynąć na Maltę.

— A gdybyśmy z sobą wzięli Nansenów?... — zaproponowałem jakby od niechcenia.

Spojrzała na mnie badawczo, jakby chciała odgadnąć rzeczywistą myśl moją, co jak wiesz, nie jest rzeczą łatwą a nawet możebną; po chwili rzekła obojętnie i z wyniosłą dumą:

— Dobrze, weźmy z sobą państwa Nansen.

Tegoż samego dnia o godzinie drugiej po południu „Bleu-Blanc-Rouge“ wypłynął na pełne morze. Nad wieczorem zerwała się burza z wiatrem i gradem, jacht rzucany był niemiłosiernie przez wzburzone fale a pani F... leżała na łóżku jak martwa, powalona, wyzuta z sił morską chorobą. Obok, w salonie, Nansen jęczał nad miednicą, którą ciągle mu zmieniano i napewno nie myślał o miłości. Mógłbym żonę jego całować i przewracać się z nią po kanapach okrążających salon a Nansen nie byłby zdolny kiwnąć palcem, by nas powstrzymać. Lecz Nina nie nadawała się do przeprowadzenia moich zamiarów. Klęczała przy fotelu womitującego swego małżonka, przerażona jego chorobą, przerażona burzą, modliła się, żegnając znakiem krzyża za każdą nową błyskawicą; płakała ze strachu, odmawiając litanię: „Święta Barbaro, święta Heleno, święta Maryo-Magdaleno!“ Przyznaj, iż z kobietą w tem usposobieniu nie można było rozpoczynać flirtu.

Nazajutrz stan zdrowia Nansena jeszcze się pogorszył, skutkiem czego trzeba było wylądować w San-Remo. Tegoż dnia wieczorem wróciliśmy koleją żelazną do Monte-Carlo a „Bleu Blanc Rouge“ odpłynęła do Monaco, by stanąć na kotwicy w pobliżu jachtu panującego tam księcia. Zastałem w hotelu list od mojego ojca. Brzmiał jak wojenna trąba powołująca mnie na drogę honoru w imię ojczyzny. Stary generał z pompą prze-

mawiał, iż od lat stu nasz ród służył wojskowo i każdy z moich przodków dosługiwał się wysokiej rangi. A obecnie, jeżeli wybuchnie wojna i Francya zapotrzebuje krwi swoich synów, któż z naszego rodu stanie za niego w szeregach? Tego rodzaju liryzm wypełnił całe cztery strony listu generała, chcącego, bym rzucił kochankę i wstąpił do Saint-Cyr. Rozumiesz, że pozostałem głuchy na odgłos tych wojenno-patryotycznych nawoływań.

Wojna budzi we mnie wstręt, znajduję ją głupią i plugawą. Widzę ją pod dwoma postaciami ze względu na moją własną osobę: na koniu z pałaszem w ręku, rąbiąc innych tem zapamiętalej im więcej zagrzewa wypita przed szarżą wódka; albo też na ziemi, ranny, z wlekącemi się trzewiami, w kale i krwi. Nie lękam się wojny, ale się nią brzydzę. Mój ojciec, mówiąc o bitwie pod Weissemburgiem, rzekł: „Oj, było tam narąbanego mięsa...“ W mojem pojęciu słowa te obrazowo mówią czem jest wojna. A inne znów słowa, jak: ojczyzna, sztandar, rodzina—brzmią dla mnie, jak echa hipokryzyi, są czcze, jak wiatr lub otręby. Wiem, że podzielasz moje poglądy, tylko u ciebie są one wynikiem zastanowienia, wiedzy. Twój umysł również jak umysły wielu młodych francuzów teraźniejszego pokolenia urobił się nad księgami filozofów niemieckich, którzy podbili nas stanowczo trwalej, aniżeli prusacy zagarniając Alzacyę i Lotaryngię. Kant, Hartmann i jeszcze ten

jeden, wiesz o kim chcę mówić, rozebrali i zanalizowali życie w każdym szczególe a erudycya jaką posiadasz, znajomość czem są uczucia i wrażenia—zabezpieczają cię od doznawania ich osobiście.

Lecz ja, który nic nie czytałem, który niczego się nigdy nie uczyłem, jakim sposobem doszedłem do znużenia, jakiemu podlegam? Mam zaledwie lat osiemnaście a jestem moralnie zbankrutowany. Zkąd bierze się u mnie pogarda dla wszelkich obowiązków, celów, bunt przeciwko wszelkim ustawom i prawom?... Pomimo nazwiska, jakie noszę, majątku, jaki posiadam, młodości prawie dziecięcej, jestem anarchistą gardzącym wszystkiem bez wyjątku. Zkąd to pochodzi?... Ty, któremu mówię moje najskrytsze myśli, ty, który wiesz tyle, powiedz mi i wyjaśnij mnie przedemną samym. Z listu twojego wnoszę, iż masz dla mnie pewną skłonność i uznanie, bo stanowię okaz nowego kierunku, jestem wytworem nowej szkoły. Faktem jest, iż jedno pokolenie różnić się musi od drugiego, lecz gdy porównam różnicę istniejącą pomiędzy moim ojcem a mną, widzę przepaść niczem zapełnić się niedającą. Tak dalece porozumienie pomiędzy nami jest niemożebne, iż łatwo doprowadzić nas powinno do zupełnej nienawiści.

Czytając list generała, po za brzmieniem słów, odgadywałem istotną ich prawdę, oraz cel. Cieszy się on, że wraca do zdrowia i pragnie odzyskać swoją ukochaną panią F... Ona też czytała list

generała i wojskowa jego elokwencya większe o wiele zrobiła wrażenie na nią, aniżeli na syna. Moja sentymentalna kochanka prawie że się rozpłakała ze wzruszenia. Wreszcie te napady sentymentalizmu porywają panią F... coraz częściej i zaczynają być irytujące. Tym razem wszakże pobudki były czysto moralne i czułem, że była zdolną do największych poświęceń. O, stary generał jest to szczwany lis; pisząc list wiedział, że i ona czytać go będzie a więc deklamował przeważnie tylko dla niej. Przewiduję teraz możliwość jego przyjazdu; urządzi zaraz na wstępie melodramatyczną scenę, w celu odzyskania kochanki a zarazem poskromienia syna. Pewnie ocenił, iż warto urządzić występ ekstranadzwyczajny. Lecz jeżeli on myśli, że go będę tutaj oczekiwał!... Primo, ruletka mnie już nudzi, jeszcze jedno więc z możliwych dla mnie wrażeń wpadło w morskie przepaści; doprawdy, że dla ruletki nie warto było tutaj przyjeżdżać, by smażyć się na afrykańskiem słońcu, dusić się kurzem i słuchać monotonnego świerkania polnych koników. Najlepiej byłyby wsiąść na jacht i odpłynąć, powierzając Lidię komu ze znajomych, by mi ją lądem dostarczył, gdzieś we Włoszech południowych lub w mglistej Bretanii. Lecz komu ją powierzyć?... O Nansenach nie może być mowy. Zapomniałem ci powiedzieć, iż nieszczęsny szwed zmarł zaraz nazajutrz po naszem wylądowaniu. Z tego powodu muszę ci opowiedzieć, co mi się wydarzyło; będzie to mogło

dostarczyć ci nowego tematu do twoich dumań filozoficznych.

A zatem szwed pojechał sobie *ad patres*. Przez dwa dni żyliśmy wyłącznie jego śmiercią. Moja kochanka wciąż była przy nieutulonej w żalu wdowie a ja i kapitan Nuitt, którego spożytkowywam wrazie potrzeby, zajęliśmy się potrójną trumną z dębu, ołowiu i sośniny, by tak opakowanego szczelnie trupa wysłać na północ do jego ojczyzny. Trzeba było się zająć formalnościami tej wysyłki, słowem, powiadam ci, że tylko ze szwedem była robota, tylko o szwedzie się mówiło, popioły jego mięszać się zdawały z tem cośmy jedli a wspomnienia o nim prześladowały nas nawet we śnie. Trzeciego dnia, to jest wczoraj, pani F... rzekła do mnie:

— Powinieneś iść odwiedzić Ninę... okazałeś się względem niej dobry i uprzejmy. Nina pragnie cię widzieć i podziękować osobiście.

Na pozór nic banalniejszego, jak podobna wizyta. Dlaczegóż więc byłem wzruszony i roznamiętniony, wchodząc do ogrodu poprzedzającego willę zamieszkiwaną przez Ninę i zmarłego jej małżonka. Może wiejący *sirocco*, lub zapach oleandrów podziałał na moje nerwy. Sucho mi było w gardle, ręce miałem pałające, doznawałem jakiegoś zawrotu głowy i wstrząśnięcia zmysłowej natury, co niedozwalało mi pamiętać o nieboszczyku; byłem raczej podniecony obecnością jego trupa. Śmierć, która nawiedziła willę, wi-

doczną była na każdym kroku, okna były roztwarte, prócz jednego a z za szyb widniało światło zapalonych gromnic; w powietrzu czuć było wstrętny odór fenolu i trocin, tej nieodzownej trupiej pościeli.

Przez kilka minut czekałem w sali na dole, siadłszy na trzcinowej kanapce. W tem słyszę kroki po schodach. Nina... Już wspominałem ci poprzednio, że między mną a tą ładną włoszką, nic jeszcze nie zaszło. W wilię jej wdowieństwa spędziliśmy cały wieczór na tarasie przed hotelem, żartując i śmiejąc się. Był to wesoły flirt. Widziała, że pragnę ją posiadać i bawiła się tem swobodnie, zajęta przedewszystkiem swoim chorym mężem, który miał jeszcze siłę grać na cztery ręce jakąś sonatę z moją kochanką. Od tego wieczoru nie widziałem mojej włoszki. Powiedz mi więc, dlaczego *byłem pewien*, że teraz zajdzie coś pomiędzy nami?... Weszła, była blada i opięta w czarną, gładką suknię. Czułem piękność jej ciała pod tą żałobną osłoną. Powieki miała czerwone, widocznie od płaczu, lecz oczy jej świeciły niezwykłym ogniem. Rzuciła się na kanapkę tuż przy mnie. Milcząc, ręce się nasze spotkały, splotły; skłoniwszy głowę, szepnęła: „Ach, mój drogi!“ Chwyciłem ją, przycisnąłem do siebie i usta nasze zespoliły się w długim, namiętnym pocałunku; była prawie nieprzytomna z szału, bezwładna a ja, całując tę kobietę kirem opiętą, rozkoszowałem się niezwyczajnością miłosnych uści-

sków wśród atmosfery przesyconej odorami fenolu, buchającego od trupa. Lecz właśnie w tejże chwili weszła do pokoju służąca, prosząc o świeże prześcieradła... i puścić musiałem zdobycz, której byłem już pewien...

Powiedz mi, mój kochany filozofie, jakim zwrotem uczuć i myśli, ta kobieta kochająca dopiero co zmarłego męża, z oczami zapuchniętemi od łez wylanych przy jego trupie—zeszła od niego ku mnie, by rzucić się w moje objęcia? Czyż tchnienie podniecające zmysły ulatnia się z trumien? Czyż tylko życie chce manifestować się zwycięzko tuż ponad śmiercią? Mam przekonanie, iż doktorzy wieleby nam mogli o tem powiedzieć, bo muszą niejednokrotnie korzystać z tego dziwnego rozkładu i wybuchu uczuć. Mnie się już zdarzyło coś podobnego w mojem życiu a nawet okoliczności były wtedy o wiele dramatyczniejsze. Tajemnicze wpływy i pokrewieństwo... miłości ze śmiercią! Wytłómacz mi, jeżeli możesz.

Chciałem wysłać ci ten dziennik, gdy będzie coś stale zdecydowanego, co do miejsca przyszłego naszego pobytu. Lecz wszystko się pokrzyżowało. Zamiast mego ojca, zjechał Otello. Dziś rano wszedł niespodziewanie do mojego pokoju pan Aleksander, wyświeżony jak zawsze, lecz z miną przerażoną. Od czasu mojej ucieczki, pan Aleksander służy moim rodzicom jako szpieg. Polecili mu śledzenie męża pani F... Otóż dziś rano pan Aleksander przyjechał tym samym po-

ciągiem, co Otello. Na szczęście okrutny ten mąż ma przekonanie, iż jesteśmy w Monaco i tam nas poszukuje. Mamy więc czas, by umknąć dalej.

Niedługo znów wyślę ci nowy dziennik. A teraz trzeba myśleć o wydostaniu się z nieprzyjemnego sąsiedztwa pana F. Położenie jest trudne, lecz puls mam spokojny.

VII.

Intermezzo.

Gdy Ryszard Fenigan zerwał się i uciekł z przed kościoła, przy którym rozmawiał ze starym Merivet, napotkał wśród gościńca pana Aleksandra. Drwiący uśmiech, jaki dostrzegł na twarzy ex-kamerdynera, wywołał natychmiastową myśl w głowie Ryszarda:

— Gdzie oni są?... Gdzie się skrywają nędznicy?... Ależ ten człowiek musi o tem wiedzieć. Wie, bo chodzi do Grosbourg a przez niego wie o wszyskiem Rózia.

Puścił się wielkiemi krokami ku domowi a wzbite już wysoko słońce rzucało tuż przy Ryszardzie cień jego własny, cień krótki, przysadzisty i rozmachujący się zamaszyście i z wściekłością.

— Toż byłem głupi, żeby nie pomyśleć o tem wcześniej... łaziłem i wyczekiwałem na poczcie, łamałem sobie głowę a wiadomości miałem tuż pod ręką!... Ale czy ta dziewczyna powie?... Musi powiedzieć, musi, bo inaczej!...

Właśnie Rózia Chuchin stała przy furtce pałacowej. Podobna ona była do ojca, zwłaszcza z przebiegłego wyrazu twarzy. Stała wystrojona, w kapeluszu, jakby kogoś wyczekując. Usunęła się na bok, widząc nadchodzącego swego pana, lecz ten chwycił ją, popchnął do parku i furtkę zatrzasnął kopnięciem nogi:

— Gdzie jest pani?... Ty wiesz... więc mów! Gdzie jest pani?...

Trząsł ją za ramiona z brutalnością, z której nie zdawał sobie sprawy. Rózia, oszołomiona tą niespodziewaną napaścią, jąkała:

— Ależ proszę pana... ja nic nie wiem, ja doprawdy nie wiem, gdzie jest pani. Gdy pani wróciła z kościoła zastała depeszę...

— Ja mówię nie o starszej pani, ja mówię o twojej dawnej pani... o... o... mojej żonie.

Wykrztusił to słowo z trudnością.

— Gadaj... gadaj zaraz... gdzie ona jest?...

Ryszard widział, iż Rózia szuka wykrętu, że chce go okłamać.

— Moja kochana, nigdy nie mięszałem się w twoje sprawy... udawałem, że nic nie widzę, ale wiem wszystko. Czyż myślisz, że ja nie słyszę, gdy przychodzi do ciebie twój kochanek?... Niechbym tylko słówko powiedział a wiesz, że starsza pani wyrzuciłaby cię natychmiast... a twój ojciec, chyba nie wątpisz, że miałabyś z nim do czynienia.

— Ach panie, niech pan mnie nie gubi!

— Więc nie kłam i mów... Gdzie, dokąd Aleksander adresuje do nich listy?...

Kręciła się, dreptała z nogi na nogę, wyrzekała, lecz w końcu wymówiła z cicha nazwę miasta i hotelu. Ryszard niezmiernie się zadziwił. Myślał, że oni podróżują po za Europą, że są wśród oceanu, tymczasem miał ich tuż w pobliżu. Przecież ktoś opowiadał, że wyjechali do Indyj?... Wiadomość, że są we Francyi, tylko o kilkanaście godzin jazdy koleją, uspokoiła Ryszarda, planu zemsty jednak nie zaniechał i kazał Rózi przygotować małą walizkę z bielizną na zmianę.

— Wiesz tę małą walizkę, którą biorę, gdy idę na polowanie na kaczki... Lecz ani piśnij przed starszą panią. Gdzie starsza pani?... Tyś coś mówiła, że wyjechała?...

— Starsza pani pojechała powozem do Villeneuve, na stacyę kolei żelaznej.

— Do Villeneuve, po co mama mogła tam pojechać?...

Pani Fenigan wyjeżdżała tylko na mszę, więc Ryszard zdziwił się, dlaczego nic mu nie mówiąc pojechała do Villeneuve.

— Nie wiem, proszę pana, po co starsza pani tam pojechała. Ale skorzystam, że jej niema w pałacu i wyniosę ztamtąd walizkę.

Rózia już szła ku pałacowi, gdy Ryszard przywołał ją na nowo.

— Idź zarazem do mojego pokoju i przynieś mi...

Lecz tu zaciął się, nie wiedząc jak powiedzieć, by mu przyniosła rewolwer, leżący w szufladzie stolika stojącego przy jego łóżku. Byłoby to zbyt wyraźnie odsłaniać cel swojej podróży, więc zmięszał się i po namyśle rzekł:

— Nie. Sam tam pójdę.

Oglądając rewolwer, Ryszard dziwił się sam sobie, iż tak nagle się uspokoił.

— Czyż spokój ten pochodzi z pewności, iż jutro o tej godzinie, zemsta może być dokonana? Czy też w ogóle ochłodłem w zamiarze zemsty? Czyż byłbym tchórzem?... Albo człowiekiem niezdolnym do przeprowadzenia zamierzonego postanowienia?...

Chcąc podnieść się, rozjątrzyć i wpaść w zwykłą dotychczasową pasyę, Ryszard roztworzył szkatułkę, w której zamknął listy pisane przez Karlexisa do Lidii. Chwilowe uspokojenie prysło. Bo chociaż treść owych listów umiał już na pamięć, wszakże pisane słowa, na które patrzał, przybierały postać prawie cielesną...

Wizyę tych wywoływanych obrazów, przerwało mu skrzypnięcie kół powozu, zajeżdżającego przed pałac po wysypanej piaskiem drodze dziedzińca. Schował czemprędzej listy, zły, iż nie wyjechał przed przybyciem matki. Teraz będzie musiał kłamać, by upozorować swoją podróż, powiedziawszy bowiem prawdę, naraziłby się na łzy, błagania,

i powstrzymywania, przerazić się mogącej pani Fenigan. Szukał w myśli, co powie i zeszedł jeszcze na czas, by wysadzić matkę z powozu. Najniespodziewaniej ujrzał na koźle obok stangreta kufry i koszyki a obok matki w powozie, siedziała młoda kobieta z rozwartą, czerwoną parasolką i czerwono cała ubrana; począwszy od podróżnego toczka na głowie aż do ażurowych, jedwabnych pończoszek, które zobaczył jak migęły, gdy raźnie, jak łania, wyskoczyła z powozu jednym susem na ziemię.

— Jak się masz, Ryszardzie! — wołała śmiejąc się i pomagając pani Fenigan do wydostania się z głębi powozu, zadziwiony bowiem Ryszard stał w osłupieniu na ganku, kroku nie zrobiwszy. Głos młodej kobiety brzmiał dźwięcznie, wesoło, już gdzieś i kiedyś słyszał on i zapamiętał ten głos miły, jak drogocenny dzwonek. Na razie nie przypomniał sobie, kto to może być, lecz pani Fenigan, wchodząc na ganek wsparta o ramię swej towarzyszki, rzekła:

— Jakto?... Nie poznajesz naszej Elizy, kuzynki z Lorient?...

Naraz drgnęły i ożyły w głowie Ryszarda dawne wspomnienia, wycieczki konno, prawie miłosne szepty. Upłynęło od tego czasu lat kilkanaście. Wiedział, iż Eliza wyszła zamąż, była nieszczęśliwą z mężem, więc się z nim rozstała a następnie uzyskała rozwód. Pani Fenigan, jako prawowita katoliczka, bardzo się oburzała tym rozwodem,

lecz obecnie uznała za właściwe puścić w niepamięć owe wykroczenie przeciwko przepisom rzymsko apostolskiej katolickiej religii. Wiedziona macierzyńskiem instynktem, pragnęła przedewszystkiem uzdrowienia swojego jedynaka. Nie formułując ściśle określonych planów, naradziwszy się z proboszczem z Draveil a swoim spowiednikiem, pani Fenigan napisała do Elizy tajemnie przed Ryszardem, zapraszając ją z wielką serdecznością do Uzelles. Eliza przebaczyła jej dawne urazy i mając czas zupełnie swobodny, przybyła na wezwanie matki Ryszarda, pomnej, iż niegdyś ta ładna kuzynka podobała się jej synowi.

Niespodziewane przybycie Elizy sprawiło, iż Ryszard odłożył swój wyjazd do wieczornego pociągu. Przy śniadaniu siedział naprzeciwko nowo przybyłej i z przyjemnością słuchał jej śmiechu, patrzał na wesołe jej oczy, oraz czerwone, świeże usta. Eliza należała do tego typu uprzywilejowanych kobiet, na twarzy którym życie i troski nie pozostawiają wyciśniętego piętna. Po dwunastu latach, w czasie których doznała wiele zawodów, nieszczęść, smutku spowodowanego śmiercią rodziców, Ryszard ujrzał ją równie, jak dawniej wesołą, szczebiocząca i świeżą; strój jej był wykwintny, gustowny, chociaż prowincyonalnie jaskrawy i błyskotliwy; lecz białe, drobne jej ząbki równie chętnie i wdzięcznie wyglądały z poza ust uchylonych, buzia różowa, jasna, ładną była i zalotną; Eliza była teraz nieco

pełniejszą a stanik umiejętnie wycięty ukazywał karczek biały, ponętny, również jak piersi pełne i okrągłe: to ciało odsłonięte śmiało lecz naiwnie, trwożyło i kusiło siedzącego naprzeciw Ryszarda. Patrzał, to znów się odwracał, czerwienił się i uśmiechał, co bawiło i rozweselało Elizę, której pani Fenigan powiedziała zaraz na wstępie z serdeczną prostotą: „Mój Ryszard jest chory, liczę na ciebie, że mi go uzdrowisz".

Kończyli śniadanie, gdy Eliza zawołała z przerażeniem:

— A mój skórzany woreczek?

W tym woreczku miała ona swoje pieniądze, kosztowności, wszystko, co posiadała najcenniejszego. Z początku nikt się nie przestraszył, bo sądzono, iż woreczek zapodział się pomiędzy rozlicznemi drobiagami, których jeszcze nie uporządkowano. Eliza wiecznie czegoś poszukiwała, wachlarza, pierścionków, parasolki, z żywością sobie właściwą, nigdy nie pamiętając, gdzie co położyła. Po długich poszukiwaniach, okazało się wszakże, iż woreczka skórzanego niema, musiał pozostać w wagonie, albo na dworcu kolejowym w Villeneuve. Stangret zapewnił, iż go nie widział z innemi pakunkami, które wiózł obok siebie na koźle.

— Trzeba posłać na stacyę — powiedziała pani Fenigan.

— O nie, droga moja kuzynko, ja sama tam pojadę, bo strasznie jestem zaniepokojona.

— To ja cię zawiozę — odezwał się Ryszard — Pojedziemy wolancikiem, to będzie prędzej.

Ponieważ dzwon dopiero co wezwał służbę na śniadanie, więc Ryszard, nie chcąc nikogo odrywać od jedzenia, sam poszedł do stajni, by zaprządz jaknajprędzej.

Gdy wyszedł, obydwie kobiety rzuciły się sobie w objęcia i serdecznie ściskały, jakby we wzajemnem porozumieniu.

— Ach, droga Elizo, jeżeli ty zdołasz uczynić o co cię prosiłam...

— Zdaje mi się, że mamy wcale niezły początek... Niech kuzynka cierpliwie czeka, mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

— Czy znajdujesz, że bardzo się zmienił?

— Zwłaszcza pobladł, rysy ma ściąglejsze... Lecz z tem mu bardzo do twarzy. Kuzynka mi mówiła, że jest niezmiernie smutny, nie znajduję... wszak ciągle coś śpiewa...

I zaczęła naśladować akompaniament basowy Ryszarda: pum, pum, pum...

— On tak nuci, gdy o niej myśli, bo ona grywała na fortepianie i Ryszard polubił muzykę.

— Więc on bezustannie o niej myśli... Do czego to podobne... doznawszy takiej krzywdy!...

— Tak, ty tego nie rozumiesz i ja też nie rozumiem, trudne z tego powodu będziesz miała zadanie...

W tem Ryszard począł wołać z podwórza; już zaprzągł i trzymał lejce, siedząc w wolanciku. Eliza szybko zbiegła i siadła koło niego.

Z Uzelles do Villeneuve-Saint Georges było dobre osiem kilometrów, lecz Ryszard puścił konia wyciągniętym kłusem i zajechali tam w niespełna pół godziny. Na podwórzu przed dworcem kolei stało pełno powozów, karyolek, wozów, wózków i omnibusów, wśród których snuli się paryżanie, spędzający niedzielę na wsi. Przed głównemi drzwiami pan Aleksander, ubrany jak do podróży, w czapeczce szkockiej na głowie, stał kręcąc papierosa i spoglądając pogardliwie na tę niedzielną gawiedź, która roztrącała się i śpieszyła jadąc o parę stacyj, podczas gdy on flegmatycznie przechadzał się lub przystawał, jakkolwiek czekała go podróż znacznie dłuższa. Pan Aleksander został powiadomiony przez Rózię o wszystkiem, co zaszło, uznał więc konieczność podróży do Monaco, by uprzedzić kochanków. Obliczał, iż skutkiem przyjazdu kuzynki, Ryszard wyjedzie dopiero wieczornym pociągiem a zatem wyprzedzić go zdoła o kilka godzin, jadąc natychmiast. Pan Aleksander przygotował sobie plan postępowania z młodym księciem: przestraszy go, zmusi, by wsiadł na „Bleu-Blanc-Rouge", panią F... uwiezie lądem w inną stronę i tym sposobem rozłączy ich natychmiast a potem zręcznemi kłamstwami sprawi, iż dalszy stosunek pomiędzy kochankami, stanie się zupełnie niemożebny.

Nagłe pojawienie się Ryszarda na dworcu zmieszało szyki pana Aleksandra. Skrywszy się w kącik przy oknie w sali trzeciej klasy, widział jak Ryszard przebiegał peron, wskoczył do wagonu, znów wypadł i biegł prawie cwałem; powstało w umyśle Aleksandra przekonanie; iż Ryszard ma zamiar jechania zaraz pierwszym pociągiem... będą więc jechali równocześnie... Co począć?... Jak się urządzić, by wsiąść do wagonu cichaczem, niewidzialnie dla Ryszarda?... A w drodze, lub przy wysiadaniu tam na miejscu?... W tem, strwożony pan Aleksander ujrzał Ryszarda wybiegającego z dworca i potrząsającego prawie ponad głową skórzanym woreczkiem; doszedłszy do wolantu, siadł przy śmiejącej się, uszczęśliwionej kuzynce i dotknąwszy konia batem, znikli z oczu wylękłego ex-kamerdynera... czy Ryszard pojedzie do Monaco... czy też odłoży swoją podróż z powodu przyjazdu kuzynki? Rozweselona niespodziewanie twarz Ryszarda zmąciła naprzód ułożone plany... W tem nadbiegł pociąg z Paryża... Rozległ się hałas roztwieranych drzwiczek przy wagonach:

— Podróżni do Lyonu, Marsylii, Nicei...

Pan Aleksander wahał się przez chwilę... Lecz złośliwy uśmiech wykrzywił mu usta i wskoczył do najbliższego wagonu.

. . . . . .

Eliza, mocno uradowana z odnalezienia swej zguby, śmiała się i szczebiotała jeszcze weselej.

Zaproponowała, by wracać do Uzelles inną drogą, dalszą i nie tak śpiesznie. Wolancik toczył się teraz po nad brzegiem rzeczułki Yères, wpadającej nieopodal do Sekwany. Wody rzeczułki były ciemne, z niebieskawym odcieniem, głębokie i chłodne a wązka łagodnie staczająca się dolina, przypominała romantyczne krajobrazy pędzla Watteau; wysokie cieniste drzewa pochylały się nad wodą a świeża zieloność łąk i pagórków w niczem nie była podobną do pylnego gościńca, którym jechali do Villeneuve.

Przejeżdżali przez rodzaj przedmieścia, pełno było spacerujących, świątecznie wystrojonych rodzin. Ryszard co jakiś czas nawoływał: „Z drogi, baczność!“ Z okien i balkonów maleńkich letnich domeczków o fantazyjno-banalnej architekturze i kolorze, wychylały się twarze znudzone lub zmęczone. Ryszard zauważył, iż każda z nich ożywiała się i uśmiechała, patrząc z życzliwością na ładną, wesołą i roztrzpiotaną jego towarzyszkę, która uśmiechała się do każdego, miłem swem spojrzeniem darząc wszyskich bez wyjątku. Czuł on, iż sam zaczyna być ogarnięty pociągającym urokiem młodej kobiety, siedzącej bardzo blizko niego; czuł ciepło jej ciała, oddychał jej tchnieniem, pojąc się dźwięcznym głosem i odurzając zapachem włosów Elizy. Co chwila brała mu z rąk lejce, to bat i od niechcenia, wypadkowo, muskała mu twarz pulchną swą rączką lub ramieniem a pochylając się naprzód lub w tył dla

pokazania jakiegoś drzewa, kacząt lub kwiatu, odsłaniała wycięcie swego stanika, ukazując śliczne swe ciało tuż przed oczyma Ryszarda. Od dawna nie było mu tak dobrze. Promienny wdzięk téj kobiety stawał się dlań wypoczynkiem; pogodą po burzy.

Musieli teraz jechać szeroką drogą, przecinającą wieś Yères. Zdaleka dolatujące ich odgłosy katarynek, trąb, strzałów, bębnów—świadczyły, iż wioska obchodzi dziś jakieś święto kościelne, które, ustąpiwszy z Pańskiego przybytku, bywa ochoczo obchodzone na świeżem powietrzu, tańcami, karuzelą i jedzeniem, oraz piciem przeróżnych specyałów. Przenośne kuchenki dymiły się po obu stronach drogi a ścisk ludzi tak był wielki, iż koń szedł teraz noga za nogą.

— Jak się macie, Eugeniuszu... a cóż słychać z młodem małżeństwem?...

Na to pytanie Ryszarda, odwrócił się Eugeniusz Sautecoeur przezwany Indyaninem i ukazał swą twarz fioletową, znękaną i niezadowoloną.

— Dziękuję panu... wszystko idzie nie najgorzej... tylko syn został wezwany na miesiąc do wojska i wyjeżdżając powierzył mi swoją żonę... Nie jest to rzecz łatwa upilnować taką kobietę... Odwiedziło nas dziś na leśnictwie kilku przyjaciół jej męża a tej zaraz się zachciało lecić z nimi do Yères na zabawę, niby pod pozorem pokazania gościom czegoś osobliwszego... Przywlokłem się, bo przecież musiałem, ale stary już ze mnie

grzyb i męczy mnie ta straż nad dobrem mojego syna.

Wyciągnął z czapki wielką kolorową chustkę i obcierał pot spływający po twarzy, po czole przeoranem dużą fałdą. Rozejrzał się dokoła a będąc niezwykle wysokiego wzrostu, widział daleko po nad tłumem: „Niema tej łotrzycy... muszę ją szukać w jarmarcznych budach... coraz to mi się wymyka i latać za nią muszę!...“ Skłonił się po wojskowemu i ruszył na poszukiwanie swej synowej, którą po chwili spotkał Ryszard na placu przed kościołem, w otoczeniu kilku wyelegantowanych paryzkich kupczyków o jaskrawych krawatach i krochmalnych białych kołnierzach; bawiła się w ich towarzystwie wesoło i rzucała piłkami w straganu napełniony lalkami, służącemi za cel pocisków.

— Wątpię, aby Indyanin mógł wiernie spełnić polecenie swojego syna — rzekła Eliza, rzuciwszy na nich okiem.

— Ja też tak samo myślę... lecz radziłbym jej, aby się strzegła, bo stary Sauteceur skarci ją nie na żarty.

— Jakto?... on będzie surowszy od męża?...

— O jej mąż, to ciemięga w moim rodzaju.

Po raz pierwszy w rozmowie z Elizą zrobił Ryszard aluzyę do własnego swego nieszczęścia. Dla zagłuszenia wyrzeczonych słów, puścił wodze koniowi i wolancik toczył się znów szybko po nieco pochyłej drodze wiodącej ku rzece.

Przejechawszy przez most, znaleźli się wśród cienistych, rozległych parków a kwitnące w nich kwiaty słały swe wonie aż ku jadącym. Echa wioskowej zabawy głuchły i milkły po za niemi, gdy w tem, wśród ciszy, rozległ się poważny dzwon kościelny, wzywający na nieszpory. Było to coś, jak słowa dopieroco wyrzeczone przez Ryszarda, które swobodną rozmowę i śmiech nagle stępiły; jechali teraz milcząc i wkrótce stanęli przed pałacowym gankiem.

Podług niewzruszonego nigdy porządku, o godzinie dziesiątej wieczorem, domownicy pałacu w Uzelles rozeszli się do swoich komnat, nikt wszakże nie zasnął natychmiast. Pani Fenigan w białym flanelowym szlafroku, weszła ze świecą w ręku do pokoju Elizy i najszczegółowiej wypytywała ją o każde słowo, ruch i spojrzenie Ryszarda w czasie spaceru. Nie zważając, iż świeca się dopala i senna już Eliza ledwie odpowiadać jest w stanie, matka stawiała jej coraz to nowe pytania. Dopiero zegar bijący północ wypłoszył panią Fenigan z pokoju kuzynki.

Ryszard leżał w łóżku i nie mógł wyjść z podziwienia, iż znajduje się w swoim pokoju w Uzelles, zamiast w wagonie mającym go dowieść do Monte-Carlo. Dziwił się również, dlaczego jest mu błogo, wygodnie, wszak to samo łóżko męczarnią było dla niego każdego poprzedniego wieczoru. A więc miłość, jaką miał dla matki, rady poczciwego Merivet nie wpłynęły na jego uspokojenie,

lecz ładna buzia, uchylony stanik, karczek ponętny i zwojami bujnych włosów owiany, zmienił kierunek jego myśli, uspokoił trawiącą go gorączkę. Zgasił lampę, lecz długo nie mógł zasnąć, nie mogąc sobie wytłómaczyć, jakim sposobem ta trocha ujrzanych kobiecych wdzięków, mogła wywrzeć taką przemianę w jego sercu, które zdawało się tętnić tylko zemstą, zagładą i śmiercią.

Nazajutrz Ryszard nawet nie wspomniał o projektowanej podróży. Obecnie był w stajni tylko jeden koń wierzchowy, postarał się natychmiast o drugiego i codziennie wyjeżdżał z Elizą na dalekie wycieczki. Był on z natury milczący, przejażdżki konno przekładał ponad inne, albowiem wciąż końmi zajęty nie potrzebował silić się na rozmowę. Twarz miał coraz pogodniejszą, chmury ustępowały mu z czoła, co widząc pani Fenigan promieniała z radości, mówiąc, sobie, iż syna odzyskała, uzdrowiła, dzięki sprowadzeniu tej miłej trzpiotki z Lorient.

— No... cóż mi dziś powiesz nowego, moja droga córeczko?... — Były to słowa od których pani Fenigan rozpoczynała swoją codzienną, wieczorną indagacyę w pokoju Elizy. Lecz dnie płynęły a nic stanowczego nie można było jeszcze zauważyć.

— Robię co mogę... — szeptała Eliza, tuląc się do matki Ryszarda.

I długo się naradzały, jak nadal postępować, by wzbudzić nowe uczucie w jego sercu. Matka zachęcała Elizę, by poświęcając się dalej dla dobra kuzyna, starała się zwalczyć wielką jego nieśmiałość.

— Mam najgłębsze przekonanie, iż niewypowiadanie się Ryszarda pochodzi z jego nieśmiałości. Jest wielu mężczyzn tego usposobienia, lecz on na pewno jest najnieśmielszym ze wszystkich ludzi na świecie.

— Czyż naprawdę kuzynka tak sądzi?... W takim razie jeszcze poprobuję.

Eliza postarała się w jaknajkrótszym czasie o wywiązanie z danej obietnicy.

W czasie spaceru zaskoczyła ich burza. Puścili swe konie cwałem i schronili się pod stare podszopie na skraju wioski. Miejsca było mało, konie stały tuż przy sobie.

— Ach jakże mi serce bije!... Zobaczno, Ryszardzie!

I wziąwszy szybko bez namysłu rękę kuzyna, położyła ją na staniku swojej amazonki. Ryszard drgnął i krew uderzyła mu do głowy.

— Elizo... Elizo...—szeptał, pochyliwszy się na koniu a objąwszy drugą ręką jej kibić, tulił do siebie omdlewającą miłośnie młodą kobietę. Przez kilka minut trwał ich uścisk długi i namiętny. Prawie milcząc, bledzi oboje, wracali ku Uzelles.

Dotychczas Eliza czyniła na niego wrażenie miłego, wesołego ptaszka, rad był na nią patrzeć i słuchać jej świergotania, tak jak patrzył na płoche jaskółki wpadające do kiosku i ofruwające go dokoła, muskając skrzydełkami bronie porozwieszane na ścianach. Obecnie zaś, Ryszard postanowił zbadać bliżej usposobienie swej ładnej i zawsze wesołej, śmiejącej się kuzynki. Dlaczegóż nie miałby jej pokochać?... Niechajby go ona uzdrowiła z tamtej, nieszczęśliwej miłości... a wreszcie matka zdaje się pragnąć tego i wyczekiwać, jak zbawienia. Rozmyślał tak Ryszard, grając z matką w szachy po śniadaniu, nazajutrz po owej przejażdżce podczas burzy, która przeciągnęła się prawie przez noc całą, zatapiając klomby w ogrodzie, wyorując bruzdy na rozmoczonym gościńcu. Od wczoraj Eliza była nieswoją, czuła się nieco skrępowaną w obecności Ryszarda; spodziewała się wyznania z jego strony, czekała stanowczej rozmowy, domyślając się, iż pora się jej zbliża. Stała przy oknie i patrzała na gościniec.

— Co się tam dzieje? — zawołała pani Fenigan, słysząc hałas i krzyki jakiegoś zbiegowiska ludzi w pobliżu okna.

— To ten stary żebrak... Jakże się on nazywa? Jerzy... tak i stary Jerzy... Utarzał się w błocie i chłopaki wiejskie wyśmiewają się z niego... Zabrali mu kij.. biedny stary, nie może się teraz utrzymać na swych wykoszlawionych nogach.

Znów doleciał wybuch śmiechów. Pijany, obyduy, zabłocony od stóp do głów żebrak, chcąc się opędzić od wyrostków, którzy go opadli, zaczął machać kijem, lecz go upuścił, chłopcy pochwycili tę zdobycz a pozbawiony podpory i obrony, żebrak chwiał się, pełzał po błocie i potykał, by dojść do muru; dotarł tam wreszcie, lecz nie mógł się podnieść, nogi go nieusłuchały, ślizgał się i padał twarzą w kałużę, unosił głowę, płacząc i jęcząc a dostrzegłszy dróżnika, błagał, by mu wydobył kij z rąk napastników. Robin, zbudzony z drzemki, którą podług dawnego obyczaju odprawiał po południu, rozsiadłszy się w odwróconych na sztorc taczkach, powstał ociężale, odebrał chłopakom kij i podał go żebrakowi.

Ryszard stanął właśnie w tej chwili przy oknie i, oparłszy czoło o szybę, przypatrywał się zajściu, które naraz jeszcze dramatyczniejszy przybrało charakter. Robin, zdjęty litością, ujął żebraka pod oba ramiona i starał się go namówić do powstania na nogi, szło to z oporem, Jerzy chwiał się a Robin mówił:

— No stary... trzymaj się.. cóż u licha, czyżeś ty nie chłop, żeby nie stać na własnych nogach...

Fornale jadący poić konie zatrzymali się przed nimi i patrząc na sponiewieranego w błocie żebraka, który nietylko iż sam ustać nie mógł, lecz

o mało co kilka razy nie przewrócił pomagającego mu dróżnika, rzekli:

— Dajcie mu pokój, ojcze Robin, toż zaraza na was padnie od tego włóczęgi.

Strofując tak dróżnika, drwili i śmieli się z obłoconego pijaka. Robin zauważył, że mieli oni racyę, więc począł wymyślać żebrakowi, co rozweseliło parobków a gdy wreszcie Robin, zniecierpliwiony, puścił z rąk podtrzymywanego dotąd żebraka, ten runął w błoto jak długi i zarył się głową w kupę rozmokłych śmieci, które zwiózł tutaj dróżnik, oczyszczając gościniec.

— Cóż za wstrętna rzecz! — zawołał Ryszard, zniecierpliwiony coraz to okrutniejszemi naigrawaniami się parobków.

Eliza, mylnie sobie tłómacząc przyczynę jego oburzenia, zaczęła wyjawiać wstręt, jaki w niej budzą pijacy, zwłaszcza starzy. Ryszard spojrzał na nią wzgardliwie a pani Fenigan, wiedząc, iż ma on dziwną jakąś słabość dla wszystkich włóczęgów a dlatego żebraka w szczególności, chciała czemprędzej zwrócić rozmowę na co innego, spostrzegłszy zaś na gościńcu księdza, rzekła:

— Co ja widzę, cud prawdziwy!... Ksiądz Cerès ma nową sutannę! Wspaniale w niej wygląda...

— To ksiądz odprawiający mszę w małej parafii? — spytała Eliza.

— Tak. Jest to bardzo poczciwy człowiek, lecz zgadzam się na zdanie naszego kochanego pro-

boszcza z Draveil, który utrzymuje, iż ksiądz Cerès za mało dba o swoją powierzchowność i niemałą tem krzywdę przynosi nietylko sobie, lecz powadze swego kapłańskiego stanu. Pzytem dziwak z niego wielki. Nie tak dawno wziął naprzykład pod swoją opiekę i dał u siebie przytułek całej rodzinie pewnego Lucriot, którego zamknięto w więzieniu w Melun.

Ryszard zwrócił się raptownie w stronę matki, mówiąc:

— Gdyby nie ten zacny ksiądz spełniający rzeczywiście cnoty obowiązujące każdego kapłana, to Lucriot wróciwszy z więzienia po stwierdzonej sądowej pomyłce, byłby zastał swą rodzinę pod ziemią, lub z wyciągniętą dłonią na gościńcu...

Chciał mówić dalej, lecz śmiechy i naigrawania na gościńcu rozległy się na nowo.

Ksiądz Cerès miał na sobie nietylko nową sutanę, lecz nowy kapelusz, obuwie o srebrnych sprzączkach i poraz pierwszy wystroiwszy się w tę galową odzież, szedł odwiedzić swoich znajomych biedaków, myśląc: „Na pewno mnie dziś nie poznają!“ Hałas i śmiechy na gościńcu zwróciły jego uwagę. Zbliżył się, zaczął coś mówić do starego Jerzego, co mówił—Ryszard nie słyszał, zrozumiał wszakże, iż ksiądz wzywał do upamiętania obecnych a potem pochylił się nad leżącym w błocie żebrakiem, podźwignął go z kałuży i, nie bacząc na drwiny gawiedzi, powiódł go pod rękę, zapomniawszy o nowej sutannie, z któ-

rej ciekło teraz błoto zmięszane z mierzwą i najwstrętniejszą zgnilizną. Szli tak razem gościńcem, przyczem żebrak podtrzymywany był oburącz przez starego, lecz krzepkiego księdza, wreszcie obadwa znikli na zakręcie. Eliza rzekła ze śmiechem:

— Ładnie urządził swą nową sutannę!...

A pani Fenigan dodała:

— Aby tylko tego pijaka nie osadził pod swoim dachem!

— Dziwna rzecz, iż tego nie zrobiłem dotychczas... — zawołał Ryszard kierując się ku wyjściu.—Wszak mam kąt, gdzie mogę tego człowieka przygarnąć.

— Mam nadzieję, iż nie sprowadzisz nam tutaj tego wstrętnego, pijanego obszarpańca — głośno wołała pani Fenigan za odchodzącym.

Lecz Ryszard jej nie słyszał, bo zbiegł szybko i był już na gościńcu.

Młody człowiek wrócił do domu późno. Czekano na niego, by zasiąść do obiadu, na który zaproszono kilkanaście osób. Od czasu przybycia Elizy do Uzelles, często bywały takie proszone obiady a między stałymi ich uczestnikami, był notaryusz Merivet, oraz pan Jan Delcrous, sędzia przy trybunale w Corbeil. Sędzia był nizki, pękaty, lat średnich, zęby miał jak u wilka rozstawione i błyszczące; białością swą odbijały one od czarnych, wspaniałych faworytów; sędzia oddawna szukał stosownej dla siebie towarzyszki życia, chcąc, by mu wniosła o ile możności znaczny posag. Kręcił

się on około Elizy, która dziś była ona zaniepokojona, jakaś nieswoja. Przyczynę stanowiła obojętność Ryszarda po wczorajszem zajściu, oraz historya tego żebraka, nazywanego, jak się dowiedziała od pani Fenigan „le pauvre de Lydie.“

— No cóż, kuzynie, powiesz nam o swoim przyjacielu... o tym żebraku — zapytała, siadając do obiadu koło Ryszarda, przystroiwszy się starannie w różową gazową suknię, odsłaniającą cały gors i ramiona.

Odpowiedział, iż stary Jerzy śpi już zapewne w budzie nad Sekwaną, w której Chuchin składa wiosła i stare sieci.

— Nie lękasz się chłodu dla swego przyjaciela?

— Kazałem mu tam zanieść żelazny piecyk — odpowiedział Ryszard spokojnie.

Ów żelazny piecyk rozśmieszył Elizę i żartować poczęła na ten temat.

„Jej brakuje nietylko mózgu, ale i serca“—pomyślał Ryszard, nie przypuszczając, iż Eliza żartuje ze złości i z żalu. Jakaż różnica pomiędzy nią a Lidią! Wszak Lidia obdarzała każdego spotkanego żebraka; ileż razy rozgniewała się na starego stangreta, że nie wstrzymywał koni przy biedakach napotykanych w czasie przejażdżki powozem. Jakże szczerze litowała się Lidia nad nędzą ludzi włóczących się po gościńcu bez nadziei przytułku i ciepłej pożywnej strawy! Ryszard wywoływał w pamięci słodki głos litującej

się Lidii a słyszany tuż przy uchu śmiech wesołej kuzynki drażnił go i oburzał.

— Ryszardzie, powiedz nam, jak ci twój przyjaciel podziękował?...

— Rzucił mu się na szyję... — zawołał sędzia z Corbeil.

— Ach okropność, dziękuje za taką przyjemność! —rzekła, otrząsając się, Eliza a wszyscy obecni zawtórowali jej chórem.

Sędzia, zadowolony iż zabawił towarzystwo swoim konceptem, ciągnął dalej:

— Kiedyś zdarzył się i mnie podobny przypadek, tylko ucałował mnie, zamiast włóczęgi, zabójca. Było to w pierwszych czasach mojego urzędowania. Miałem wówczas posadę w nędznej, dalekiej od świata norze, o której istnieniu może nawet państwo nie wiecie. Miejscowość ta nazywa się Souk' Aras...

Głos notaryusza a byłego handlującego alfą przerwał opowiadającemu.

— Souk' Aras, na pograniczu Tunisu, wyborny punkt dla zbierania alfy...

— Widzę, że pan znasz wybornie Algieryę... Zaledwie tam stanąłem i zacząłem się rozglądać po mieszkaniu mego poprzednika, które obecnie odziedziczyłem wraz z urzędem, gdy posługacz biurowy przyszedł mi oznajmić, iż skazany na śmierć wzywa mojego przybycia. Jaki skazany na śmierć?... Po cóż mnie wzywa?... Dowiedziałem się, iż jeden z więźniów ma być ścięty nazajutrz

rano. Urząd mój wymagał, abym nie odstępował a raczej był na zawołanie takich biedaków. Wczoraj właśnie zapadł wyrok śmierci. Idę więc do więzienia i staję przed owym nieszczęśliwym. Był to wstrętny, brudny, obrosły jak zwierz człowieczek; popatrzył na mnie małemi żółtemi oczyma i z głupio-czułą natarczywością, zaczął mnie prosić łamanym i prawie niezrozumiałym językiem, bym pozwolił się pocałować. Cuchnął jak stare lwisko. Po zadośćuczynieniu jego prośbie, wracam do domu i kładę się spać, będąc niezmiernie strudzonym podróżą. Około trzeciej godziny nad ranem, znów mnie budzą, mówiąc, iż skazaniec domaga się mojego przybycia. Zauważyłem, iż nadużywa on nieco swego położenia. Lecz odmówić było niepodobna. Wszak ten człowiek miał być ścięty za kilka godzin! W więzieniu zastałem wszystkich na nogach.

— Nie mamy tutaj księdza—rzekł do mnie dyrektor więzienia — wybacz pan, iż kazałem go zbudzić, lecz skazany może mieć jakie ostatnie polecenie a może wyznanie...

Zaprowadzono mnie znów do niego a na mój widok zaczął płakać, jęczyć i wzdychać, powtarzając:

— Kochany panie sędzio, kochany panie sędzio...

Nie było sposobu się wykręcić, znów począł mnie całować, bo po to jedynie wzywał mnie do siebie.

Musiałem iść wraz z innymi urzędnikami za wózkiem, na którym go wieziono na ścięcie. Na jego wezwanie jeszcze raz musiałem pozwolić się uściskać, gdy szedł na gilotynę. Nie wiedziałem, czemu przypisać to dziwaczne zachowanie się skazańca. Zacząłem nawet przypuszczać, iż pomimo tragiczności chwili, chciał sobie ze mnie zadrwić. Lecz okazało się, iż powiedziano mu moje nazwisko i dziwnym zbiegiem okoliczności, miał on to samo imię i nazwisko, co ja. Tak, nazywał się Jan Delcrous i to go napełniło sympatyą dla mojej osoby, chociaż pochodziliśmy z bardzo odległych od siebie okolic.

Wtem jedna z obecnych pań zapytała opowiadającego:

— A jakąż zbrodnię popełnił ten nieszczęsny imiennik pański?... Czy można wiedzieć?..

— Zarznął swoją kochankę, gdyż była mu niewierną.

— Ścięli mu głowę, bo zabił swoją kochankę... a byliby go puścili na wolność, gdyby ta kobieta była jego żoną — zawołał z przejęciem notaryusz.—A jednak zabójstwo żony jest nikczemniejszą zbrodnią, bo spełnianą w przekonaniu o bezkarności!

— Dlatego też powinniście uważać rozwód za doskonałe dopełnienie naszego prawodawstwa — zauważył ktoś poważnie głosem basowym.

Lecz stary Meriveł oburzył się na podobnie bezbożne twierdzenie i zawołał giestykulując tak

zamaszyście, iż o mało co nie wytrącił z rąk służącej półmiska z rybą polaną białym sosem.

— Rozwód obniża nasze obyczaje!... Czyż pan możesz cośkolwiek powiedzieć w obronie tej nowej i zgubnej instytucyi?...

— Tak, zapewne. Chociażby, iż rozwód usuwa potrzebę nieporozumień pomiędzy małżeństwem, nieporozumień doprowadzających częstokroć do najokrutniejszych zbrodni. Za pomocą rozwodu, mąż oswobodzić się może bez rozlewu krwi od żony, która go zdradziła a tem samem przyniosła szwank jego honorowi.

— Więc pan sądzisz, iż zdradzony mąż zabija żonę, mszcząc swój honor?... Zabija on wprost przez zazdrość, zemstę miłosną, przez obrażoną miłość własną, przez obawę stania się pośmiewiskiem kółka znajomych sobie ludzi, lub jeszcze przez pamięć na podszepty fałszywych moralistów, wciskających mu broń w rękę słowami: „Tue-la...“ Czy pan sądzisz, że rozwód może przykrócić, powstrzymać podobne uczucia i okoliczności?... Powiedz nam pan, proszę, czy możesz sobie przedstawić Otella wytaczającego rozwodowy proces Desdemonie?..

Sędzia, starający się zawsze przypodobać Elizie, która była rozwódką, wspomniał, iż zdarzają się wypadki, zmuszające nas do uznania nowego prawa za prawdziwe dobrodziejstwo. Lecz Merivet nie chciał się zgodzić na sąd podobny i powtarzał, iż ustanowienie prawa dopuszczającego

rozwód, równoważy się podkopaniu instytucyi małżeństwa.

— Gdy tego prawa nie było, ludzie, wiedząc iż muszą z sobą spędzić życie, czynili sobie wzajemne ustępstwa, z wyrozumiałością ustępowali jedno drugiemu, przebaczali sobie winy. Dziś, z lada pierwszej lepszej okazyi, małżonkowie twierdzą, iż zawiedli się na sobie, iż życie wspólne jest dla nich niemożebne. Drobne nieporozumienie przemienia się w burzę ,druzgocze los rodziny. Wyrozumiałość, cierpliwość—są to rzeczy nieznane i usunięte z domowego pożycia. Nawet ludzie żeniący się z miłości poruszają skrycie możliwość zerwania małżeństwa rozwodem: jeżeli obiecywane sobie szczęście nie dopisze, każdy pójdzie w swoją drogę.

— Panie Merivet, jednak zdarzają się kobiety niezmiernie szczęśliwe... jak... jak...

Eliza chciała powiedzieć „jak ja“, lecz zabrakło jej odwagi i łzy ledwie że stłumić zdołała. Przez chwilę zapanowała cisza i gdy nikt nie znajdował możności zwrócenia rozmowy na mniej drażliwy przedmiot, Merivet, zwróciwszy się do pani Fenigan, rzekł, traktując kwestyę nieosobiście:

— Nieszczęsnej istocie, któraby nie znalazła ani szczęścia, ani miłości w zawartem małżeństwie, podałbym środek ratunku. Zamiast rozwodu, niechajby zaczęła uczęszczać do małej parafii. Chwila modlitwy w tym małym kościołku działa jak uzdrowienie! Zmówione tam „Ojcze nasz“ uczy

pokory i poddania się losowi... a czyż tajemnica szczęścia ludzkiego w czem innem daje się odnaleźć lub inną drogą osiągnąć?...

Wszyscy obecni znali tę słabostkę starego notaryusza, więc zamieniano się spojrzeniami i uśmiechem. Odtąd, rozmawiano już swobodnie do końca obiadu, który skończył się znacznie weselej, aniżeli można było przypuszczać, gdy biesiadnicy do stołu zasiedli.

Nazajutrz drogi już podeschły, więc Ryszard i Eliza wyjechali konno do lasu. Wybierali dróżki cieniste i dzikie a dojechawszy do miejsca, gdzie opuszczona zdawna kopalnia ciosowego kamienia, przedstawiała malownicze złomy pokryte pnącemi się roślinami wśród szczelin zaś i zagłębień lśniła woda nagromadzona burzą, Eliza zaproponowała odpoczynek. Uwiązawszy konie o drucianny płotek otaczający zwierzyniec księcia Alcantary, siedli obok siebie na mchu zielonym a bujne paprocie otaczały ich dokoła.

— Chcę się cię poradzić, mój Ryszardzie — rzekła Eliza, patrząc mu prosto w oczy — a odpowiedź twoja będzie miała wpływ na całe moje życie. Proszę cię też, abyś był zupełnie szczery. Co myślisz o panu Delcrous?... Czy podług ciebie może on być dobrym mężem?...

Ryszard nie spodziewał się tego pytania. Zamyślił się i nie znajdował odpowiedzi, wreszcie rzekł z pewnem wahaniem:

— Czy pytasz się o niego, jako o męża dla siebie?...

— Tak. Zaczyna mi być nudno żyć samej. Wy wszyscy myślicie, że ja tylko śmiać się umiem. A jednak, jakże często śmieję się, chociaż bynajmniej niemam do tego ochoty...

Zadarty nosek Elizy, wesołe kąciki jej ust przeczyły prawdzie słów przez nią wypowiedzianych, lecz intonacya jej była szczera, rzewna. Wywarło to dodatnie wrażenie na Ryszardzie i w myśli swej przywrócił kuzynce sympatyę, zachwianą od wczorajszego rannego wydarzenia przy oknie. Nawet w tak prostoduszuym człowieku, jak Ryszard Fenigan, powstały naraz sprzeczne z sobą uczucia i wrażenia. Gdyby Eliza była mu powiedziała: „Czy kochasz mnie? Czy mogę mieć nadzieję, iż rozwiedziesz się ze swoją żoną i ożenisz się ze mną?“--byłby stanowczo odpowiedział: „Nie kocham cię... i nigdy nie ożenię się powtórnie...“ Teraz zaś, wobec prawdopodobieństwa wyjścia za mąż Elizy za kogoś innego, musiał uczynić wysiłek, by jej nie odradzać.

— Czy Delcrous jest uczciwym człowiekiem? Tak... przypuszczam, że tak. Lecz pamiętam jego wyraz twarzy, gdy przed dwoma laty wydał wyrok śmierci na złoczyńcę, który zamordował rodzinę Meillottes. Zacierał ręce z widocznem zadowoleniem a oczy jego mówiły: „nareszcie, mamy jego głowę!“ Zauważyłem, iż usta mu zwilgotniały, jakby z rozkoszy...

— Przerażasz mnie, Ryszardzie—zawołała Eliza, uradowana, iż dostrzegła jakby zazdrość w tym

opisie, wystawiającym sędziego w sposób niezbyt pochlebny.

Ryszard może to spostrzegł i chciał sąd swój złagodzić, dodając z żywością:

— Myślę, iż mogłabyś z nim być szczęśliwą. Jednakże...

Zaciął się i nastąpiła chwila dłuższego milczenia. Las szeptał z cicha dokoła nich, kołysząc w górze konarami jaśniejącemi od słońca a wśród głębokiego spokoju słychać było szelest owadów potrącających suche gałązki i zioła. Wzruszeni byli oboje, lecz usta ich milczały. Ryszard znajdował, iż Eliza nigdy nie była ponętniejszą jak dzisiaj. Niebieska sukienna amazonka, uwydatniała pełne wdzięku kształty jej ciała, odsłaniając tylko delikatną, lekko różową jej szyję. Nagle zerwał się i stanąwszy, rzekł głosem niepewnym od wzruszenia:

— Poczekaj jeszcze dwa dni. Proszę, nie decyduj się pierwej.

A ona pomyślała: „Dlaczego mam czekać dwa dni, czyż nie mógł oświadczyć się zaraz? Wszak ułatwiłam mu początek rozmowy". Wstała zwolna i z żalem.

Wypuścili teraz konie prosto przekątną drogą, przecinającą las przez całą szerokość a na obie strony ciągnęły się zagajniki drzew różnorodnych; mijali sosny, olchy, brzozy, dęby, polanki, na których widniały szałasy osypane ziemią i kurzące się ścielącemi dymami; tuż opodal zbudowane

nędzne chatki służyły za mieszkanie węglarzom. Przy chatkach bawiły się dzieci, gdakały kury a ludzie układali porąbane polana na wozy lub w sążnie. Konie pędziły wyciągniętym galopem i jazda taka szalona trwała już przeszło pół godziny w nieprzerwanem milczeniu. W tem, dojechali przed wspaniały pałacyk w stylu Ludwika XV. Był to pawilon leśny księcia generała. Na wyciętym wśród lasu podwórcu, kilkunastu leśnych w liberyi książąt Alcantary oczekiwało konno, jakby dla eskorty karocy pani de Pompadour.

— To bażantarnia — objaśnił Ryszard, widząc, iż Eliza rozgląda się z ciekawością.

Ileż wspomnień powstało w umyśle Ryszarda na widok tego pałacyku. Wszak dawniej brał on udział w polowanich księcia a Lidia tak wdzięcznie wyglądająca w swojem myśliwskiem ubraniu, zasiadała obok generała do śniadania przygotowanego pod namiotem przed głównem wejściem. Wtem leśni rozstąpili się z uszanowaniem i ukazał się na koniu mężczyzna ubrany szaro, obcisło, krojem wojskowym; skierował wierzchowca ku przekątnej szerokiej drodze. Ryszard nie wierzył swoim oczom, owym jedźcem bowiem był książę Alcantary, odmłodzony, dzielnie trzymający się na siodle. A więc chory starzec z Grosbourg opuścił swój fotel, ożył i odmłodniał! Przejechał tuż koło nich, wpatrując się w Elizę i nie dostrzegając nawet Ryszarda.

— Kto to — zapytała się Eliza. Lecz nie miał jeszcze czasu odpowiedzieć, gdy z po za leśnych wysunął się konno młodzieniec w dragońskim mundurze i pośpieszył cwałem za księciem. Poznał Ryszard te wąsiki i płowe włosy wymykające się z pod czapki wojskowej! Z wysiłkiem powstrzymał wyrywający się mu okrzyk wściekłości. Wszak to był Karlexis, dawny ulubiony jego Karleś!... Lecz zkądże on tutaj... i w dragońskim mundurze?... A Lidia?... Gdzież Lidia?... Gdzież rzucił i opuścił ją ten nikczemnik?... W uszach Ryszarda powstał szum odbierający mu przytomność, drzewa wyrosły, zdawały się gubić wierzchołkami w niebie a Eliza stała się maleńką, gdzieś bardzo daleko, coś mówiła, lecz nie mógł jej dosłyszeć, ani zrozumieć. Trwało to chwilę, w tem Eliza spostrzegła, iż Ryszard, zwróciwszy konia za oddalającymi się, popędził jak szalony za ojcem i synem. Pojechała za nim i wkrótce konie się zrównały. Ryszard bowiem zatrzymał swojego przy wozie, na który węglarz nakładał ładunek. Głos rozbrzmiewał donośnie wśród polanki:

— A no tak... to książę... W niedzielę polował z Indyaninem i dał naszemu Wilhelmowi dwa franki za naganke... Syn starego Foucart, woźnicy od przewózki umarłych, służy też w dragonach... to on panu może więcej powiedzieć, aniżeli ja o młodym księciu Karolu Szóstym...

— Dziękuję ci, mój przyjacielu—wyrzekł z trudem Ryszard, równie blady, jak brzozy opodal rosnące.

Zwróciwszy się do Elizy, szepnął:

— Wracajmy. Czuję się niedobrze.

Przez całą drogę aż do Uzelles, Ryszard zdawał się nie słyszeć pytań zadawanych mu przez Elizę, lecz bladość jego twarzy i ciągle powtarzane z cicha „pum, pum, pum"—świadczyły o srogości bólu i walce, jaka w nim wrzała. Gdy stanęli przed pałacem, Eliza pobiegła do swego pokoju na górę ukryć łzy cisnące się jej do oczu, na myśl „iż wszystko stracone" a Ryszard począł szukać matki, którą wreszcie znalazł wśród sadu.

Dzień był już na schyłku, polewano ogród. Po skwarnym dniu, kwiaty piły i kąpały się w wodzie. Ukośne promienie zachodzącego słońca padały na różnobarwne kwieciste grzędy a pochylone konary prostowały się i przeciągały z rozkoszy; jaskrawość kwiatów zdawała się zwiększać w miarę ubywania światła, podkreślając wieczny ten antagonizm. Wśród ciszy słychać było szczęk blaszanych polewaczek, uderzających o kamienny zrąb studni, lub rozkazy ogrodnika wydawane, któremu z pomocników. Pracowano w milczeniu, śpiesząc się z polewaniem a wilgoć rozchodząca się wśród ciepłego powietrza, dodawała łagodnego uroku, napełniając ogród orzeźwiającem tchnieniem.

— Co ci jest—zawołała pani Fenigan na widok syna, pędzącego ku niej z twarzą zmienioną, wykrzywioną bólem.

Zamiast odpowiedzieć, zapytał:

— Więc Karlexis powrócił?...

— Jest w Melun od dwóch miesięcy... Wstąpił do dragonów... nie wiedziałaś o tem?

— A ona? Gdzież jest? Cóż on z nią zrobił?

— To, co się zwykle robi z tego rodzaju kobietami... — odpowiedziała matka, obcinając suchą gałązkę oranżeryjnej rośliny — Gdy się taka łajdaczka sprzykrzy, odrzuca się ją jak rzecz niepotrzebną.

Mówiła tak głośno, iż ogrodnicy mogli ją słyszeć. Ryszard wprowadził ją do oranżeryi i zamknąwszy drzwi za sobą, rzekł głosem surowym, nieznanym jeszcze uszom pani Fenigan.

— Lidia nie była łajdaczką, lecz ofiarą twojej tyranii... uciekła ztąd, jak się ucieka z więzienia... wszak tak napisała w swoim ostatnim liście... Wreszcie nie masz prawa, moja matko, rzucać obelg na kobietę noszącą nasze nazwisko.

Oczy pani Fenigan zaiskrzyły się z gniewu.

— Twoją powinnością było odebrać jej nazwisko, które nie umiała uszanować!

— Chciałabyś, matko, bym rozwiódł się z Lidią?... i bym natychmiast ożenił się z kuzynką... zamiary wasze są aż nadto widoczne, lecz możecie przestać na to liczyć... nie ożenię się z nią nigdy... nigdy... nigdy!...

— Widzę, że na dobre ulegasz katechizmowi wykładanemu w małej parafii!... A więc myślisz zapewne przebłagać tę łajdaczkę za zło, które nam wyrządziła; pojedziesz po nią, sprowadzisz i osadzisz, nie w pawilonie, lecz w pałacu, u matki, by pod jej pieczą odbyła połóg...

Ledwie słowa te wyrzekła, już ich żałowała, widząc nagłą zmianę w twarzy Ryszarda. Zaniepokojona, tknięta rozczuleniem macierzyńskiem, rozwarła ramiona i chciała go przytulić w objęciach, lecz on odepchnął ją brutalnie i krzyczał jakby w obłąkaniu:

— Więc ona jest w ciąży!... Dlaczegóż mówiłaś mi, że ona nie może być matką!... Dlaczego kłamiesz?... Dlaczego kłamałaś, ilekroć razy była o niej mowa?... Dlaczegóż ją nienawidzisz... powiedz, powiedz!...

— Nienawidzę jej, bo jest ona plagą naszego życia. Tak, nienawidzę jej! Lecz bądź spokojny, już nigdy z tobą nie będę mówiła o tej kobiecie, ton, jakim dziś przemawiasz, posłuży mi za lekcyę na przyszłość. Możesz ją sobie zwieźć, pielęgnować, usynowić bękarta! Nawet zrobisz na tem wcale niezły interes, bo przyszły potomek tej kobiety ma zapewnione dwakroć sto tysięcy franków.

Obrażona w swej macierzyńskiej powadze i miłości, mówiła głosem suchym, urywanym, udając obojętność, zdawała się być pilnie zajętą wyszukiwaniem suchych gałązek i liści na krzewach

Czytelnia H. Michniewskiej
Nr ...
w Skierniewicach

rosnących w wazonach, przycinając je nożycami trzymanemi w ręku.

Lecz Ryszard przerwał jej to zajęcie.

— Matko, matko! Zabijasz mnie swojemi słowami!

Chwycił ją za obydwie ręce i, twarzą zwróciwszy ku sobie, krzyczał konwulsyjnie, nie hamując wściekłości, jaka nim zawładnęła:

— Nieszczęściem mojego życia jesteś ty, matko, nie ona!... Od dzieciństwa zamykałaś mnie w swoim pokoju, trzymałaś na uwięzi przy sobie podczas długoletniej swojej choroby... byłem dla ciebie rozrywką, lecz zmarnowałaś mnie swoim egoizmem, rosłem w atmosferze dusznej i chorobliwej przy twoim łóżku, mózg mój zaniknął, nie mogąc się rozwinąć w otoczeniu, w którem mnie trzymałaś... Chcąc mnie zachować na zawsze dla siebie, tyranizowałaś syna tak jak przywykłaś tyranizować jego ojca... zachęcałaś mnie do lenistwa, dogadzałaś moim przywarom, chcąc mnie zniedołężniałego uczynić powolnem narzędziem swoich upodobań; zmarnowałaś mnie, odstręczając od wszelkiego zajęcia, zamykając przedemną możliwość jakiejkolwiek karyery... Nie chcąc, abym się żenił, by jaka inna kobieta nie ujęła ci władzy twej wszechpotężnej nademną i majątkiem, podsuwałaś mi służebne dziewczęta, prawie gwałtem wpychając mi je w ręce... Myślisz, że to wszystko uszło niepostrzeżenie?... Widziałem i rozumiałem twoją przebiegłość... A ta biedna

kuzynka, którą sprowadziłaś z Lorient, by mi ją rzucić w objęcia... czyż nie obmyśliłaś tego planu?... A przecież wiesz dobrze, iż ona nigdy nie mogłaby wziąć ze mną ślubu w kościele, jest rozwódką a nie wdową... kościół nie uznaje rozwodu... lecz byle tamta nigdy tu wrócić nie mogła, gotową byłaś i jesteś na wszystko, nawet na wykroczenie przeciwko kościołowi, obyczajom, rodzinie... Wstrętną mi jest twoja religijność prowadząca na takie manowce... wyradzająca takie faryzeuszostwo sumienia... Twój despotyzm sprawił, iż tamta uciekła... nie mogąc wyżyć dłużej przy tobie... Lecz wiedz, iż ją tylko kocham .. tak, kocham moją żonę, kocham ją i przebaczam całe jej postępowanie obecne, przebaczam, bo czuję się winien względem niej, nie umiałem bowiem jej obronić przed tobą... nie umiałem jej zasłonić przed twoją niechęcią, twoją złośliwością i dokuczliwemi napaściami... Płaczesz teraz, moja matko... lecz łzy twoje mnie mnie nie wzruszają, ja współczuję tylko łzom Lidii, bo ona też płakać teraz musi, będąc opuszczoną, samotną, rzuconą nie wiedzieć gdzie w obcem dla siebie miejscu... Lecz ja muszę ją odszukać... Ja znajdę ją i przytulę nieszczęśliwą... Żyć nie mogę bez jej widoku, wolałbym umrzeć natychmiast, aniżeli być dłużej oddalony od niej... Bez niej życie moje nic nie jest warte i lepiej je zakończyć...

— Ryszardzie... dziecko moje!

Chciał wyrwać matce z rąk nożyce ogrodowe, lecz ona szybkim ruchem rzuciła je pomiędzy doniczki z kwiatami ustawione na schodkach okalających oranżeryę. Spadły z hałasem na ziemię, znikając pomiędzy rozkwitłemi roślinami.

VIII.

Cudowne działanie małej parafii.

— Nie możesz sobie wyobrazić, panie Janie, bezustannej mojej męczarni. Dla dokonania najprostszej czynności, którą inni ludzie robią machinalnie, ja muszę używać całego zasobu mojej woli! Powtarza się to co chwila, gdy mam wstać, usiąść, zdjąć lub włożyć czapkę; gdy mam podnieść się z łóżka rano, żuć i łykać jedzenie, dokończyć zdanie, które na swe nieszczęście rozpocząłem mówić, wszystko to dla nędznego niedołęgi, jakim jestem obecnie, jest katuszą, pracą nad siły... Siądźmy... już cały jestem oblany potem a wszak niedaleko zaszedłem, opierając się na twojem ramieniu.

Tak mówił książę generał do pana Jana, prowadzącego chorego od ławki do ławki na tarasie dominującym nad Sekwaną w parku przed pałacem w Grosbourg. Pan Jan wysłuchiwał całemi godzinami narzekań generała i pełen współczucia silił się na pocieszające słowa, któremi się kołysze i usypia bóle cierpiących.

— Jednakże Karlexis utrzymuje, iż książę znakomicie trzymałeś się wczoraj na koniu.

— Znakomicie, oj tak, tylko przez kpiny można mówić, iż istotnie znakomicie! Dojechałem do bażantarni powozem w towarzystwie księżnej: wzięła mnie ochota wsiąść na klacz nadleśnego, bo wiedziałem, że klacz nietylko jest niezwykle łagodna, lecz że bardzo lekko nosi. Po pięciu minutach jazdy runąłem nieprzytomny w rów, z którego wciągnięto mnie do powozu. Dziwię się tylko, iż życie mi jeszcze pozostało po tej nowej katastrofie. Ale masz dowód, jak znakomicie trzymałem się wczoraj na koniu!... Sił już nie mam wcale i gdybym sobie nie powtarzał: „Chcę żyć, muszę żyć“—to niezawodnie jużby mnie nie było na tym świecie.

Przymknął oczy i pochylił głowę w tył a blade zmęczone jego rysy odbijały od ściany pnących się za ławką roślin, zwieszających bogate pęki kwiatów i powojów. Zdala, po za krzewami oddzielającemi taras od rozległego trawnika, dolatywały odgłosy gry w *tennis* a białe berety i jasne suknie migały, przebiegając dla podchwycenia piłek. Głośny wybuch śmiechu i ożywionych wykrzykników naraz mówiących kilku młodych głosów, wyprowadził chorego z zamyślenia.

— Czy słyszysz, panie Janie, jak twój były uczeń wybornie się bawi w towarzystwie Rebek i Ester z pałacu Mérogis?... O ten nigdy nie bę-

dzie cierpiał... Śmieje się szczerze... nic mu spokoju nigdy nie zamąci...

A po chwili dodał z przygnębieniem i pewnego rodzaju wzgardą:

— On jest potworny i zagadkowy... Zupełnie go nie znam i nie rozumiem... Czy ty, panie Janie, zdołałeś zbadać jego charakter?...

Pan Jan bąkać począł wymijająco:

— Zdaje mi się... Lecz myślałem, że się nawrócił, złożył przyrzeczenia i postanowił iść drogą obowiązków...

— Ale tylko z musu to uczynił... nie miał innej drogi wyjścia... Księżna nie chce, aby mówiono o wypadkach zaszłych pod koniec owego romansu, więc i ty, panie Janie, nie wiesz jak sprawy stoją. Młodzieniec ukazał się w świetle niebardzo korzystnem, dlatego też księżna, jako matka pełna słabości, nakazała wszystkim milczenie... lecz ja nie mam tej słabości dla niego... Otóż Aleksander, któremu poleciliśmy szpiegować sprawki twojego byłego ucznia, wpadł pewnego ranka niespodziewanie do pokoju kochanków w Monte-Carlo, wołając z udanem przerażeniem: „Ryszard Fenigan równocześnie ze mną przyjechał... uciekajmy!... Strzeżmy się jego pomsty!“ Ona, znająca swojego męża, niby z pozoru ciemięgę, lecz dzikich namiętności w chwili podniecenia, przeraziła się i natychmiast chciała wyjeżdżać. Karlexis—muszę oddać mu sprawiedliwość,

iż nie stchórzył—nie chciał uciekać. Więc Aleksander, odciągnąwszy go na bok, wyznał:

„Męża niema tutaj. Lecz wymyśliłem ten manewr, aby panicza uchronić od zguby. Wiem, że dom gry połknął już wszystkie pieniądze a panicz ma do utrzymania jacht, tę kobietę a może jeszcze i potomka... Trzeba złemu zaradzić... Przywiozłem pieniądze... niech panicz siada na jacht i wypływa na pełne morze a ja sobie z tą panią poradzę".

Młody człowiek zgodził się natychmiast, co ani mnie ani ciebie, panie Janie, nie dziwi, bo znamy trochę tego ptaszka. Po trzech miesiącach kochanka była mu ciężarem, byłby się jej pozbył o wiele wcześniej... Więc rzuciwszy się ze łzami w objęcia ukochanej, czemprędzej ją pożegnał i wsiadł na jacht a ją powiózł Aleksander do Bretanii, wmawiając w opuszczoną, że Karlexis tam niebawem przybędzie. Otóż dotychczas oczekuje go ona w nadmorskiej mieścinie... Przypuszczam, iż i my nie bylibyśmy prędko zobaczyli Karlexisa, lecz „Bleu-Blanc Rouge" rozbił się w pobliżu wysp Balearskich. Wrócił więc z miną markotną, bo z pustą kieszenią... Mam z tego powodu proces z właścicielem owego jachtu, będę musiał płacić szkodę poniesioną, pensyę załodze i rodzinom marynarzy, którzy zatonęli, prócz tego będą jeszcze koszta zerwania miłosnej awantury—słowem wszystko to kosztować będzie wiele pieniędzy... Skorzystałem z tej okoliczności, by ująć w kluby młodzieniaszka i zażądałem, aby odbył jednoroczną

służbę wojskową. Otóż przez cały ten czas a mieliśmy z sobą rozmów niemało, ani razu nie wspomniał chociażby przelotnie o tej kobiecie, która życie mu swoje dała w ofierze i która obecnie wyczekuje go co chwila, wpatrując się w morze, by dojrzeć jacht wiozący ukochanego. Przeszło od miesiąca czeka go na brzegach Bretanii...

Pan Jan spojrzał na generała z po nad okularów i spytał głosem drżącym od wzruszenia:

— Jakto?... Ona nic jeszcze nie wie?...

— Nie! Aleksander prowadzi całą tę sprawę a ponieważ to łotr zupełny, więc przewleka naumyślnie, bo nietylko ciągnie ztąd korzyści, lecz raduje się, mogąc komuś zadawać męczarnię... Księżna idzie... mówmy o czem innem.

Generał spostrzegł ją zdaleka; szła drobnemi, lecz śpiesznemi krokami. Ubrana była wytwornie a żółte włosy wymykały się dokoła gustownego, ogrodowego jej kapelusza.

— Szukałam cię—rzekła do męża a pochyliwszy się, szepnęła pośpiesznie, podając mu rozpieczętowaną kopertę.—Przeczytaj, znalazłam ten list do Karlesia, pomiędzy innemi przyniesionemi z poczty, lecz go przejęłam, spostrzegłszy stempel z Draveil...

Generał wziął podany list i zrazu czytał go wpół głośno, lecz zaraz umilkł, spostrzegłszy, iż jest to wyzwanie na pojedynek, ze strony Ryszarda Fenigan.

„Wiem, że jesteś łotrem, lecz będziesz tchórzem, jeżeli pomimo żołnierskiego munduru i t. d.“

Ręce generała drżały a twarz trupio zbladła.

„Play“ zawołał dźwięczny, młody głos męzki, dolatując wśród ciszy od strony grających w piłkę i przy angielskiej zabawie używających angielskiego języka.

Przeczytawszy list, generał rzekł zwolna i z powagą:

— Po wczorajszem spotkaniu w lesie, należało się tego spodziewać.

Księżna rzuciła się na ławkę, wybuchając:

— Jakto?... Przecież tyle pieniędzy już zapłaciłam z tego powodu i jestem gotowa jeszcze dać więcej... więc czegóż tym ludziom potrzeba, aby zostawili nas w spokoju?

— Niewszystko można opłacić pieniędzmi, moja droga... Wreszcie mąż nie dostał ani grosza i ręczę ci, że napróżnobyś czyniła starania w tej mierze. Zabrano mu żonę, więc się o to gniewa, co jest rzeczą zupełnie naturalną i mojem zdaniem Karlexis nie może się uchylać od dania mu satysfakcyi.

— Mężu, co też ty mówisz!... Czyż nie pamiętasz, co sam niedawno twierdziłeś, iż Ryszard Fenigan włada po mistrzowsku wszelką bronią?

— Cóż zrobić?... Karlexis jest żołnierzem i bić się powinien, skoro mu ubliżają...

— Nie pokażę mu tego listu.

— To ręczyć ci mogę, iż natychmiast dostanie drugi list bardziej jeszcze obelżywy.

— Pojadę do starej pani Fenigan.

— Przyjmie cię ona tak, jak ty ją przyjęłaś, gdy zjechała do Grosbourg... Jeden jest tylko sposób, by uchronić naszego syna od tego pojedynku.

— Jaki? — zapytała księżna z zapałem.

— Żebym ja stanął za niego.

Popatrzała na niego i błyszcząca chwilowo w jej oczach nadzieja gasła stopniowo; wreszcie wzruszyła ramionami, mówiąc:

— Chcesz pojedynkować się a zapominasz, mój drogi, iż nie możesz utrzymać się na nogach... Ja myślę, że najprostszą rzeczą będzie napisać do pułkownika, by go wezwał natychmiast z powrotem do pułku. Wszak de Boutignan jest naszym krewnym, więc można z nim być otwarcie. Uwzględnił moją prośbę, zwalniając Karlesia od tych uciążliwych wielkich manewrów, lecz teraz wobec zaszłych okoliczności, wolę, by brał w nich udział...

Piłka spadła w ich stronę i potoczyła się przed mówiącymi. Prawie równocześnie z po za kwitnących krzaków wybiegł za nią Karlexis w białem flanelowem ubraniu, z obnażoną szyją, opasany szerokim jedwabnym pasem; policzki miał zarumienione, czoło i włosy spotniałe. Ujrzawszy, że księżna schowała szybkim ruchem list, uśmiechnął się, mówiąc:

— Zdaje mi się, że knują się tutaj jakieś tajemnice przedemną!

Pochwyciwszy piłkę, zniknął znów po za krzakami, pozostawiając po sobie wrażenie piękna i wdzięcznej zwinności. Wszyscy troje zarówno to odczuli a matka sformułowała to słowami:

— Jak panowie chcecie, abym mogła dozwolić na nadwyrężenie tego pieścidełka?... Biegnę napisać list do pułkownika de Boutignan.

Pozostawszy znów sam na sam z panem Janem, generał podniósł się ruchem energicznym.

— Nie trwóż się, panie Janie... pozwól, muszę spróbować...

Prostował się, lecz nogi uginały się pod nim a kij, który ujął w rękę i mierzył nim jakby pistoletem, czekając komendy, padł na ziemię. Gdyby pan Jan nie był podbiegł natychmiast, generał byłby się przewrócił; doszedłszy z trudnością do ławki, siadł i ocierał twarz, zeznojoną wysiłkiem. Do oczu nadbiegły mu łzy żalu nad swoją niemocą:

— Jakiż pojedynek jest dla mnie możliwy!...

Po chwilowem milczeniu, dodał:

— Księżna miała racyę, mówiąc, że nie mogę się utrzymać na nogach! W głosie jej brzmiała wzgarda, lecz jako kobieta i matka tylko wzgardę czuć może dla męża, niemogącego już obronić ani jej samej, ani jej syna!

Podczas gdy to mówił z oczami utkwionemi w ziemię i głosem drżącym od nerwowego wzbu-

rzenia, po parku rozlegały się gwarne rozmowy i śmiechy młodzieży, bawiącej się w *tennis* na wielkim trawniku po za kwitnącemi krzakami.

. . . . . .

Nazajutrz rano jeszcze książe spał, gdy listonosz przyniósł rekomendowany list oddany na pocztę w Draveil pod adresem Karlexisa. Lecz rozkazy już zostały wydane, by wszystkie bez wyjątku listy oddawano księżnie. Podpisawszy się w księdze listonosza, otworzyła kopertę. Był to nowy list od Ryszarda Fenigan o wiele obelżywszy od wczorajszego. Schowała go z postanowieniem niemówienia o tem nikomu. Karlexis przed godziną wyjechał z Grosbourg do Melun, zawezwany depeszą przez swojego pułkownika, księżna czuła się więc spokojną. Lecz następnego dnia w południe przyniesiono znów list z Draveil, tym razem pod adresem generała. Rozpoczynał się od słów:

„Cóż myśli począć książę d'Alcantary? Czyż jest takim samym tchórzem, jak syn jego?“

List ten przyniesiono podczas południowego śniadania. Księżna siedząca naprzeciwko męża, zaczęła się dziwić, dlaczego nie je. Lecz nie mógł utrzymać widelca tak ręce mu drżały. Zamiast odpowiedzi, podał żonie otrzymany list. Rzuciła okiem i przebiegłszy pismo, rzekła spokojnie, wiedząc, iż Karlexis jest bezpieczny w Melun:

— Ta pisanina jest wprost śmieszną... Przecież oni wiedzą, że ty nie jesteś w stanie stawienia się... wiedzą, że jesteś chory...

— Nie, Ryszard Fenigan tego nie wie. Widział mnie onegdaj jadącego konno.

— To musiał także widzieć cię w rowie... boć niedługo utrzymałeś się na siodle. Wreszcie można im to będzie objasnić. Poślę do Uzelles pana Jana.

W oczach nieszczęsnego ex-nauczyciela pociemniało, zamigotało, jakby patrzył na partycyę zbyt trudną dla swojej wiolonczeli.

— Masz racyę—rzekł generał głosem już spokojniejszym.

Biedny pan Jan, jakże oddalonemi wydały mu się owe dni minione, gdy przewoził swoją wiolonczelę łódką powożoną przez starego Chuchina. Tak niegdyś lubił te wyprawy po rzece do Uzelles. Obecnie pałac w Uzelles grozić mu się zdawał, wiedział przytem, ile tam było smutku, ile zmian, zwłaszcza od chwili, gdy stosunek matki z synem stał się tak naprężonym, iż przestali z sobą rozmawiać. Od czasu rozmowy w oranżeryi, Ryszard przeniósł się z pałacu do pawilonu, tam jadał i nigdy ztamtąd nie wychodził. Całemi dniami strzelał z pistoletu. Był to jedyny odgłos, świadczący, iż pawilon nie stoi pustką. Pani Fenigan, chcąc w zajęciu szukać ulgi, gospodarowała i doglądała służby od rana do wieczera; głos jej suchy, gniewny, rozlegał się bezustannie a brzęk

kluczy wtórował jej pogróżkom na ogrodników, koszatki i szczury. Czuła się obrażoną w swej dumie i w głębokości swego przywiązania do syna.

— Żyłam i żyję tylko dla niego a jednak on przekłada nademnie tę wszeteczną kobietę! Ach co za zgroza!...

Słów jej brakowało na wypowiedzenie uczuć, rozsadzających zbolałe jej serce. Pędziła dni, pojąc się goryczą. Wpadała w rozpacz, ilekroć przypomniała sobie wyraz twarzy Ryszarda, miotanego złością i nienawiścią ku niej w czasie owej pamiętnej rozmowy. I to on, on, jej Ryszard tak przemawiał do matki, która tak namiętnie była do niego przywiązaną. Powiernicą pani Fenigan była Eliza.

— Kuzynka się myli—mówiła Eliza z czułością, pomagając jej zbierać spadłe jabłka wokoło karłowatych i umiejętnie chodowanych jabłoni. — Tak, kuzynka się myli, przypuszczając, że Ryszard przestał być kochającym synem. Uniósł się wtedy gniewem, więc nie liczył się ze słowami, lecz on od dzieciństwa przywykł uwielbiać swoją matkę. Niechaj kuzynka sprobuje uczynić pierwszy krok ku zgodzie a jestem pewna...

Lecz pani Fenigan z oburzenia na podobną możliwość, upuściła uzbierane jabłka na ziemię i zawołała zaczerwieniona:

— Ja mam zrobić pierwszy krok do zgody z moim synem?... Nigdy. Słyszysz, nigdy nie

poniżę się do czegoś podobnego. Wolałabym umrzeć. Jego jest rzeczą przeprosić mnie za popełnioną zniewagę.

— A któż może ręczyć, iż on tego nie pragnie?... Pewna jestem, iż tylko o tem myśli. Gdybyś zechciała, kuzynko, pozwolić mi, to poszłabym do niego... zapukam do pawilonu...

Pani Fenigan uśmiechnęła się wzgardliwie, mówiąc:

— Próżne twoje zabiegi, moja biedna Elizo. Ty zbyt jesteś poczciwa, aby wiedzieć, jak należy postąpić. Daj temu pokój. Nie masz szczęścia do przeprowadzania swoich zamiarów...

Pani Fenigan miała urazę do Elizy, iż nie ziściła nadziei, jakie opierała na niej, używając jej jako lekarstwa mającego uzdrowić Ryszarda. Eliza nie miała wszakże urazy do kuzynki, współczując jej ciężkiemu zmartwieniu; widząc wszakże iż obecnie jest nieużyteczną w Uzelles, mówić poczęła o wyjeździe z powrotem do Lorient a pani Fenigan nie znajdowała przyczyny odradzania tego postanowienia i nie zatrzymywała jej bynajmniej, chociaż byłaby wolała mieć ją przy sobie.

Ryszard płonął zazdrością i przemyśliwał tylko o zemście. Pragnął krwi, życia Karlexisa! Odnalazł w fortecy w Villeneuve dwóch oficerów a dawnych szkolnych kolegów swoich z gimnazyum Louis-le Grand. Przyrzekli mu, iż będą sekundantami; tymczasem wprawiał się w strzelanie i robienie bronią; wyczekując gorączkowo

odpowiedzi na listy pełne coraz sroższych obelg, wysyłane codziennie do Grosbourg. Niespodziewanie dla Ryszarda, stanął pewnego dnia przed nim w pracowni w pawilonie, wylękły, blady i coś niewyraźnie bełkoczący pan Jan.

Sam widok pracowni strwożył pana Jana. Wszędzie była porozkładana broń, podłoga biała była od kartonów przeszytych kulami; wreszcie onieśmielony był celem swojej misyi; niewiedział jak przemówić, by sprawę załatwić pomyślnie. „Generał chce się stawić za syna, który wyjechał wezwany na wielkie manewra. Lecz generał, nie mogąc się utrzymać na nogach, prosi pana Fenigan, oraz jego sekundantów, by zgodzili się na warunki wyjątkowe“...

— Jakie warunki wyjątkowe?... Czy chce się bić konno — zapytał Ryszard szydersko.

— Nie. Lecz chciałby strzelać, siedząc, nie stojąc... Przecież jest przykład, historyczny przykład... Generał d'Elbée został rozstrzelany na fotelu. Otóż książę proponuje panu tego rodzaju pojedynek. Miejsce sam pan obierzesz. W Uzelles albo w Grosbourg. Fotele staną o piętnaście kroków...

Ryszard przerwał mu z brutalnością:

— To są warunki dobre dla inwalidów... Proszę powiedzieć generałowi, iż poczekam na powrót jego syna... Wolę nawet bić się z jego synem. Poczekam miesiąc, dwa, ile będzie trzeba... Lecz chcę się bić z tym łotrem a jeżeli się nie

stawi na wezwanie, to go jak dzikie bydlę upoluję w lesie, czatować na niego będę wytrwale i zabiję jak psa wściekłego.

Ryszard powtórzył jeszcze kilkakrotnie i dobitnie: „Zabiję, zabiję! Muszę go zabić i zabiję!“ Słowa te padały, jak uderzenie młota w biedną, zbolałą głowę pana Jana. Wyszedł z pawilonu, słaniając się na nogach, podtrzymując się ściany a gdy przekroczył furtkę prowadzącą do lasu, spotkał przy niej panią Fenigan, która oczekiwała na niego, dowiedziawszy się, że jest u jej syna. Zobaczywszy ją, zmięszany pan Jan zawołał z właściwą sobie niezręczną poczciwością:

— Ach pani, jakże mi przyjemnie, tak dawno nie miałem szczęścia...

Lecz ona przerwała mu te grzeczności i, wskazując na pawilon, spytała:

— W jakim celu pana tutaj wysłano? Cóż ci państwo z Grosbourg chcą jeszcze nam zrobić?... Czy za mało zła nam wyświadczyli dotychczas?...

— Ależ to nie my... to pan Ryszard... to on... zapewniam, że nie my.

Drżąc cały, opowiadał o listach nadsyłanych przez Ryszarda do Grosbourg, przerażenie księżnej, chorobę generała...

— Powiedziałam księżnej — rzekła pani Fenigan, uśmiechając się zwycięzko — tak, powiedziałam jej: „Drżyj pani, jeżeli synowie nasi spotkają się z sobą“.

Lecz pani Fenigan zamyśliła się, gdy pan Jan rzekł:

— Nieszczęście spada ślepo... może ono dosięgnąć również panią jak księżnę; lepiej niech pani wywrze wpływ na swego syna, niechaj się pohamuje w swych pogróżkach. Wszak on pani zawsze słucha we wszystkiem...

— Na nieszczęście przestał mnie słuchać... i nie mam już wpływu na mego syna. Ta nikczemna kobieta, uciekając, uwiozła z sobą całe przywiązanie Ryszarda... zabrała mi miłość mojego dziecka.. stracił on dla mnie szacunek należny i zaufanie, jakie okazywał mi dotychczas. Czy pan uwierzysz, iż od trzech dni...

Lecz zamilkła, bo się bała rozpłakać. Łez byłaby się wstydziła. Wiedziała przytem, iż łzy osłabiają wolę a chciała zachować całą przytomność i energię. Krzepiła się w swej dumie, niewzruszona na pozór, obojętna wobec buntu posłusznego dotychczas syna.

Rozmawiając, wyszli z lasu na gościniec, wiodący do Corbeil. Pani Fenigan z parasolką w ręku szła z gołą głową; spotykani mieszkańcy wioski kłaniali się witali ją a zarazem patrzeli z pewnem podziwieniem, nie przywykłszy ją widzieć spacerującą po gościńcu.

— Wszak dziś jest dzień powszedni — spytał pan Jan — z jakiego więc powodu słyszę dzwon małej parafii?

— Pewnie jaką rocznicę odprawia ten stary waryat... i mówiąc to, pani Fenigan wzruszyła ramionami.

Miała ona skrytą niechęć do notaryusza, przypisując mu winę zniechęcenia się nagłego Ryszarda do Elizy od dnia owego obiadu i rozmowy o rozwodzie. Odkłoniła się też obojętnie na głęboki i ceremonialny ukłon złożony jej przez pana Merivet, wychodzącego właśnie ze swego kościoła. Ubrany był czarno, żałobnie, obchodził dziś bowiem dwudziestą pierwszą rocznicę śmierci swojej żony.

— W tym kościele dają odpuszczenie wszystkich grzechów i zbrodniarzom — rzekła wskazując parasolką małą parafię.—Chcianoby, żebym uczęszczała tutaj... lecz dziękuję... nie chcę brać udziału w tem spaczeniu pojęć religijnych. Niech sobie mój syn chodzi do tego kościoła, lecz moja noga nigdy tam nie postanie!..

— Ach pani, pani — zawołał z przejęciem pan Jan, przypomniawszy sobie misyę, w jakiej przybył do Uzelles. — Cóż my poczniemy, kiedy pani straciłaś władzę nad swoim synem.. A wszak on chce zabijać... zabijać...

— Niechajby zaczął od swojej żony!

— Dlaczegóż pani to mówi?

— Jakto... więc i pan jej bronisz?... Jakiż urok ona na was wszystkich rzuciła, że tak za nią przepadacie?... Ach wiem już... pan to z powodu muzyki, tak jak Ryszard, pum, pum, pum... a om-

dlewające jej miny, które zdaniem mojem wynikały z próżniactwa, wy, mężczyzni, braliście za słodycz kobiecą, słabość, potrzebującą waszej opieki, waszego silnego ramienia.... tak, wy lubicie wyobrażać sobie, iż bronicie i osłaniacie słabe istoty... Ach łotrzyca, zabrała mi temi minkami swojemi to, co miałam najdroższego, mojego syna! O gdybym ją tak mogła spotkać, miałaby za swoje!...

— Nie mów pani tego, gdybyś ją spotkała, ulitowałabyś się nad nią. Pani jesteś lepszą, aniżeli się chcesz okazać... a tamta jest obecnie niezmiernie nieszczęśliwą...

Pani Fenigan spojrzała wyniośle, pożegnała mówiącego kiwnięciem głowy i zawróciła się w stronę Uzelles.

Drzwi kościoła były otwarte. Czemu przypisać, jak wytłómaczyć nagłą zmianę zaszłą w umyśle pani Fenigan?... Lecz stała się rzecz dziwna, pani Fenigan bowiem weszła do kościoła, choć zarzekała się przed chwilą, iż nigdy doń nie wejdzie.

Weszła i rozglądać się zaczęła dokoła. Na ścianach odbijały się cienie szyb różnokolorowych, jedno tylko wielkie okno pod nad środkowym ołtarzem pozostało otwarte, ukazując głębię niebieskiego nieba, przerywaną co chwila lotem białych gołębi. To okno otwarte wprost na niebo, dziwnie było urocze, pociągające... Prawie mimowoli pani Fenigan uklękła i poczęła odmawiać

„Ojcze nasz“ a gdy doszła do słów: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“... łzy popłynęły z jej oczu a twarde, jak opoka serce stało się naraz tkliwe i współczujące. Ulgi doznała niespodziewanej i wielkiej, klęczała z pokorą i zagłębiła się w myślach nad przebiegiem swojego życia.

Tak, Ryszard miał racyę, wyrzucając jej egoizm. Wszystko i wszystkich naginała ku własnemu zadowoleniu. Kochała męża i kocha syna a jednak jakże oni cierpieli pod brzemieniem jarzma, które im narzuciła. A może Lidia byłaby szczęśliwą, gdyby była znalazła choć trochę serdeczności ze strony matki swego męża. Lecz pani Fenigan okazywała jej tylko dumę swą i wzgardę, nie czując potrzeby wyrozumiałości i przebaczenia. Obecnie zdawała sobie z tego sprawę i wiedziała już jaką powinna być nadal. O jakże to będzie trudno, lecz raz uznawszy swe błędy, przemoże się, sama siebie pokona. Silna tem postanowieniem, znów rozpoczęła „Ojcze nasz...“

Przeciągłe głębokie westchnienie doleciało ją z boku... a więc nie była tutaj samą?... W kościołku było dość ciemno, lecz oczy jej przywykły do tego mrocznego światła, rozejrzawszy się przeto dostrzegła nieopodal od siebie klęczącą kobietę w czepku na głowie, w nędznem bezbarwnem odzieniu; modliła się a przed nią leżał węzełek z rzeczami i przeciągnięty przezeń stary, czarny

parasol. Dotychczas pani Fenigan nie lubiła żebraków i włóczęgów; co poniedziałek dawała im jałmużnę, uznając się przez to zwolnioną od datków po za domem. Niejednokrotnie sprzeczała się skutkiem tej przyjętej reguły z Lidią, która pragnęła obdarzać każdego spotkanego biedaka. Jakież byłoby zadziwienie Lidii, gdyby mogła była widzieć tę niewzruszoną nigdy panią Fenigan przemawiającą do biednej modlącej się kobiety: „Wy nie tutejsi, moja dobra kobieto?“ Lidia byłaby napewno zadrżała ze wzruszenia a może i z nadziei... lecz Lidia widzieć tego nie mogła i nie słyszała miękiej słodyczy tego pytania. Nie słyszała go również biedna, wędrowna kobieta, bo zmęczona, wycieńczona, osunęła głowę na piersi i spała. Dawniej pani Fenigan byłaby się oburzyła podobną bezczelnością żebraczki nieumiejącej się zachować w kościele z należnym szacunkiem, lecz obecnie, ulegając gwałtownej zmianie uczuć, zaszłej od chwili przekroczenia progu małej parafii, pani Fenigan popatrzała na śpiącą litościwie i sięgnąwszy po sakiewkę z pieniędzmi, złożyła ją na węzełku ubogiej kobiety. Ta hojność pani Fenigan była może najgłębszą oznaką przemiany zaszłej w jej sercu.

Napoleon Merivet przechadzał się pomiędzy rozkwitłemi makami zarastającemi wązki pas gruntu pomiędzy kościołem a żelaznemi sztachetami; gdy ujrzał we drzwiach panią Fenigan, wydał okrzyki radości:

— Pani tutaj... to naprawdę pani?.. Słyszałem czyjeś kroki w kościele, lecz... nigdy nie spodziewałem się...

— Tak, to ja. Sama nie wiem, jak się to stało. Można to śmiało nazwać cudem. Lecz chyba cuda pana nie dziwią — dodała z wesołym uśmiechem.

Notaryusz nie mógł znaleźć słów na wypowiedzenia swego podziwu i wielkiego zadowolenia a pani Fenigan, roztwierając parasolkę, by się zasłonić od południowego słońca, mówiła dalej:

— Mam do pana wielką prośbę... Muszę na dni kilka wyjechać z domu. Przykro mi pozostawiać Ryszarda w zupełnej samotności, zwłaszcza w teraźniejszych przykrych okolicznościach...

Stary uśmiechnął się i rzekł z pewną przebiegłością:

— Wszak ta samotność nie będzie zupełna... pozostanie z nim kuzynka?...

— Kuzynka wraca do Bretanii i właśnie z nią tam jechać muszę.

— Po co do Bretanii... po co?

— Sama jeszcze nie wiem... Jestem pod wrażeniem natchnienia doznanego w małej parafii.

Napoleon Merivet nie pytał dalej, lecz uniesiony wzruszeniem zawołał:

— Wiedziałem, że pani jesteś zacną i dobrą kobietą... tylko ta piekielna pycha psuła najlepsze twe popędy.

— Lecz kochany panie Merivet, proszę pamiętać, iż wszyscy powinni mieć przekonanie, że jadę do Bretanii, ulegając życzeniu Elizy. Zwłaszcza Ryszard niechaj tak myśli. Inaczej mógłby sobie wyobrażać różne rzeczy, które niewiadomo o ile mogą przyjść do skutku. Chcę najpierw sama zbadać i zobaczyć...

— Bądź pani spokojna. Ryszard niczego się nie dowie... będzie wiedział tylko to, co pani zechcesz. Będę nad nim czuwał, jak również nad wszystkiem, co się będzie działo w Grosbourg. Jeżeli ta straż okaże się ponad moje siły, to zawezwę do pomocy mojego poczciwego przyjaciela, księdza Cerès, który łagodny jest na wzór świętego Franciszka a jest przytem stanowczy i silny, jak zastęp archaniołów... Ręczę pani, że Ryszard będzie pod dobrą opieką.

— Dziękuję, serdecznie panu dziękuję!

Chciała już odejść, lecz widząc, iż Merivet zamyka drzwi kościoła, rzekła:

— Nie zamykaj pan... tam jest jakaś biedna kobieta... zasnęła ze zmęczenia...

Oczy staruszka błysnęły i rzekł, prostując się dumnie:

— Teraz pani poznała, czem jest ten kościół... gdy jest otwarty, zawsze wejdzie tam istota potrzebująca pocieszenia... lub chociażby odpoczynku... Pozostawmy więc biedaczkę w spokoju... Drzwi zamknę później. Czy nikogo, prócz niej, niema w kościele?...

— Owszem. Pozostawiłam tam moją pychę. Tę piekielną pychę, jak ją pan dobrze określiłeś. Proszę jej ztąd nie wypuszczać i uwięzić w najciemniejszym jakim zakątku —"dodała pani Fenigan, śmiejąc się wesoło i swobodnie.

Cudowne działanie małej parafii nigdy nie wykazało się dobitniej, jak tą nadzwyczajną przemianą usposobienia matki Ryszarda.

IX.

Opuszczona.

Po długiej podróży wzdłuż Francyi, podróży pełnej przygód, tajemnicy, ostrożności, ukrywania się pod różnemi przebraniami, hrabina Lidia osadzona została przez pana Aleksandra w hotelu Princesse-de Lamballe w bretońskiem miasteczku Quiberon. Dojechała tam we wrześniu, w towarzystwie swojego kornaka i garderobiany. Pierwszą noc spędziła bezsennie w wielkiej, lecz nizkiej sypialni o ścianach wilgotnych, meblach wyszarzanych i nadwyrężonych przez mole. Gdy rano odezwał się dzwon z poblizkiego kościoła, Lidia, zbliżywszy się do okna, ujrzała niewielki placyk; na przeciwnej jego stronie wznosił się kościół w stylu romańskim, smutny i jakby przygnieciony, a w mglistem powietrzu ludzie chodzący zwolna przed hotelem i po placu przybierali ociężałe kształty; otworzyła okno i przekonała się, że nie rozumie znaczenia słów, jakie między sobą wymieniali. Po raz pierwszy Lidia doznała wrażenia,

iż padła ofiarą sztucznych machinacyj pomysłu pana Aleksandra.

Ze smutnemi swojemi myślami pozostała sam na sam aż do południa. Pan Aleksander wyszedł z hotelu, w celu odszukania swojej rodziny, o której po raz pierwszy od lat czterdziestu przypomniał sobie w Monte Carlo, gdy trzeba było wynaleźć miejsce bezpieczne i spokojne dla ukrycia kochanków, których wypłoszył wiadomością przyjazdu Otella. Wrócił do hotelu punkt o godzinie dwunastej w południe. Twarz miał promieniejącą, odnalazł bowiem swojego wuja, kapitana okrętu handlowego, który mieszkał wraz z swoją żoną w odosobnionym domku nad małą zatoką zwaną Port Haliguen. Reszta rodziny, nazwiskiem Blanchard, wymarła i pan Aleksander mógł jedynie obejrzeć liczne jej groby na piasczystym cmentarzu w Quiberon.

— Moja ciotka Maison - Jaune — mówił pan Aleksander, nadając to przezwisko żonie kapitana Blanchard od żółtego domu, którego była właścicielką—chętnie wynajmie pani hrabinie cały swój dom wraz z meblami, podejmuje się przytem kuchni. Jest gotowa na rozkazy pani hrabiny i pana hrabiego skoro tylko tu przyjedzie. Za chwilę ciotka Maison-Jaune przyśle wózek dla zabrania rzeczy.

Zaraz po śniadaniu, Lidia przeniosła się wraz ze służącą do żółtego domku, tuż po nad morzem. Rada była, iż port dochodził prawie pod same

okna; wyglądać więc będzie mogła swobodnie ukazania się „Bleu-Blanc-Rouge“, który lada dzień powinien tutaj zawinąć.

Miasteczko Quiberon leży w pośrodku wązkiego półwyspu i posiada dwa porty. Jeden tuż w pobliżu, Port-Maria, wychodzący na ocean, zwany przez mieszkańców „Dzikiem-Morzem“; druga przystań, na przeciwnej stronie półwyspu Port-Haliguen, łączy się z „Małem-Morzem“, czyli z Morbihan; Port-Haliguen jest oddalony od miasteczka o kilka kilometrów i aby się tam przedostać, trzeba krążyć dróżkami wązko wrywającemi się w znacznie wyższe grunta. Wiejskie te drogi kręcą się, rozmijają, stanowiąc sieć, wśród której nieobeznany z niemi podróżny łatwo może zabłądzić; zagrody, mury z polnych kamieni, sady— wszystkie są do siebie podobne.

Gdy Lidia przybyła do Port-Haliguen mgły już nie było, pogoda jaśniała w całym blasku jesiennej piękności, i młodej kobiecie wszystko wydało się o wiele milsze i weselsze, niż w Quiberon. Port ciągnął się daleko a po nad morzem rozsiadły się nizkie domy rybaków, karczmy, szopy i składy; na końcu grobli rzuconej w morze bieliła wysoka wieża dla dawania sygnałów a w łagodnem świetle złocącem morze widniały na horyzoncie załamujące się linie innych ludzkich siedlisk Port-Navallo, Saint-Gildas. Morze było tutaj spokojne jak jezioro, stanowiąc przeciwieństwo z nieprzerwanym hukiem fal oceanu, rozbijającego się be-

zustannie o wybrzeże półwyspu w Quiberon. Na uboczu od innych zabudowań bił w oczy jaskrawo żółty-dom ciotki pana Aleksandra a jeszcze jaskrawiej migał przed nim wielki biały czepiec pani kapitanowej, zajętej dziś od wschodu słońca porządkowaniem pokojów, oraz mahoniowych mebli, by całą swą wspaniałością olśnić mogły spodziewanych lokatorów.

Pokoje w żółtym-domku przepełnione były suszonemi algami, muszlami, florą i fauną morską, zniesioną tutaj i porozwieszaną rękami starego kapitana. Na kominkach stały drobne figurki, pudełka, zwiezione przez niego ze stron dalekich; wszystko mówić się zdawało o morzach i krajach nieznanych a z okien domu widać było morze i uwijające się na nim rybackie łodzie o białych rozpiętych żaglach.

Lidia obeznała się wkrótce z godzinami, w których łodzie wypływają lub wracają do portu. Pustka i cisza panująca w Port Haliguen miały urok dla Lidii, lecz zarazem ileż rzeczy ją teraz raziło; zamiłowaną była w wystawności, wytworności, ostatniemi czasy nawykała do tego, obecnie trzeba było żyć zupełnie inaczej. Zapalająca się co wieczór latarnia morska nie zastępowała jej wspaniałych żyrandoli płonących w salonach hotelu w Monte-Carlo; jedząc samotnie potrawy przygotowane rękoma pani kapitanowej, wspominała myślą bogactwo stołowej sali, do której jako pani hrabina wchodziła wsparta na ramieniu pana hra-

biego. Spacerując nad brzegiem morza spotykała prócz rybaków miejscowych, rodziny przybyłe z prowincyi do morskich kąpieli; skromni ci ludzie nie zastępowali Lidii błyskotliwego, strojnego tłumu cudzoziemców, snujących się nad brzegami morza Śródziemnego. Zauważyła nawet, iż od niej stroniono; lękano się tej pięknej i pięknie ubranej pani, rzuconej samotnie i niby wyczekującej przybycia męża; czekano, by hrabia się pojawił przy jej boku. Lecz kiedyż wpłynie do portu jacht „Bleu-Blanc-Rouge?“—Nikt nie wiedział i wiedzieć tego nie mógł.

W pierwszych czasach swego pobytu w Port-Haliguen, Lidia nie nudziła się; bawiło ją nowe otoczenie; rozlokowanie się w żółtym domku, łączyła się do tego obawa przybycia ścigającego ich Ryszarda; pan Aleksander pozostał w Quiberon w hotelu Princesse de-Lamballe i każdego ranka zjawiał się po rozkazy pani hrabiny. Na dole spotykał swoją ciotkę rozmawiającą z zastępczynią Rózi Chuchin. Sprawiał on na niej odrażające wrażenie; pewnego dnia spytała ona Lidii:

— Czy pani hrabina jest pewną tego człowieka?... Nie wiem dlaczego, lecz drżę ze strachu, gdy patrząc na mnie świdrującemi swojemi oczyma, codziennie stawia mi pytanie zawsze jednakowe, słowa nie dodając ani ujmując: „Agaryto, czy umiesz trzymać język za zębami?“

Lidia odpowiadała, chcąc sama się uspokoić.

— Nie turbuj się, moja kochana. Znam Aleksandra od czasu, jak jestem na świecie.

Rzeczywiście, Lidia wybornie pamiętała jego postać często ukazującą się na gościńcu; od dziecka przywykła rozpoznawać osobistości, dążące w tę lub inną stronę przed oknami ochronki w Sojsy; była to ulubiona jej zabawa. Pan Aleksander wydawał się jej wówczas znakomitością wybitną i do pewnego stopnia coś z tego dawnego wrażenia pozostawało zespolone w umyśle Lidii. Na odwrót pan Aleksander nie zapomniał nigdy, iż była ona nieznanego pochodzenia sierotą i skutkiem zawartego małżeństwa stała się mieszczanką a teraz po części jego panią. Nienawidził jej i z głęboką rozkoszą pastwił się nad nią. Dowodziły tego listy, które pisywał do księżnej; zdając relacyę ze swej wyprawy, z tryumfem mówił o wrażeniu, jakie sprawił, przybywszy do Monte-Carlo i płosząc kochanków słowami: „Uciekajcie... mąż przyjechał!“

Przedłużał obecnie swój pobyt w Quiberon, nasycając swoją mściwą i nizką naturę służalca widokiem wzrastającego smutku i niepokoju Lidii. Cieszył się, iż zbliża się dzień, w którym powie jej bez ogródki, że pan hrabia nigdy tu nie przybędzie, inne już ma bowiem zabawki na jej miejscu.

Pewnego razu znalazł się wszakże pan Aleksander w przykrem położeniu, myśląc, iż powzięte plany nowy przybrały kierunek.

— Niech Aleksander patrzy w stronę sygnałowej wieży—zawołała Lidia, wychylając się przez okno żółtego domu i przysłaniając światło nad oczami ręką — ten zbliżający się statek to chyba „Bleu-Blanc-Rouge“?...

Lokaj uśmiechął się cynicznie.

— Bardzoby mnie to zdziwiło -- bąknął pod nosem, lecz popatrzywszy w stronę wskazaną przez Lidię, zauważył, iż rzeczywiście zbliżający się statek zupełnie podobny jest do jachtu Karlexisa. Musiał to być przytem statek obcy, bo wiódł go do portu przewodnik, którego szalupa wlokła się z tyłu przywiązana liną. Stojący nad brzegiem starzy marynarze i celnicy, twierdzili, iż jest to statek angielski. Co chwila był bliżej i co chwila wydawał się podobniejszym do wyczekiwanego przez Lidię „Bleu-Blanc-Rouge“. Na pokładzie przy sterze stał wysoki mężczyzna i Lidia pewną była, iż poznaje ruchy a nawet ryżą brodę kapitana Nuitt.

— Tak, tak, zdaje się, że to naprawdę „Bleu-Blanc-Rouge“—mruczał z niezadowoleniem pan Aleksander a w duchu dodawał: — niech dyabli wezmą z takim narwanym chłopcem, jak Karlexis, nigdy niczego nie można być pewnym. Musiała go wziąść ochota ujrzenia łez hrabiny. Trzeba przyznać, że nie spodziewałem się tego przyjazdu!... Co teraz powiedzą starzy w Grosbourg?... Przepada mi w ten sposób niemało pieniędzy... bo przecież liczyłem, że sam załatwię

wszystkie rachunki, koszta zerwania, tajemnego połogu?... Czemże zastąpię te straty?...

Rozmyślając w ten sposób i pragnąc ułożyć nowe plany, Aleksander szedł groblą ku wieży sygnałowej, by powitać statek, który musiał koło niej przejeżdżać a tym sposobem dowieść młodemu księciu, że czuwa niestrudzenie i zawsze jest gotów na jego usługi. Lidia też wyszła w tę stronę, włożywszy suknię białą z różowem, w której Karlexis najbardziej ją lubił; wyglądała jak rozkwitły prążkowany gwoździk, wyrosły niespodziewanie na piaszczystem wybrzeżu.

W tejże chwili statek zmienił front i ukazała się jego nazwa wypisana wielkiemi literami: *Amphitrite.— Cardiff.* Był to statek handlowy, zbudowany przez tego samego przedsiębiorcę, co „Bleu-Blanc-Rouge“, tej samej wielkości i kształtu, lecz zawalony towarami i wewnątrz niczem nieprzypominający bogatego komfortu jachtu Karlexisa.

— Mówiłem też sobie, iż to za wcześnie, znacznie za wcześnie — powtarzał Aleksander, spoglądając ze złośliwością na twarz Lidii. Delektował się jej rozczarowaniem i nerwowem drżeniem.

W kilka minut później, „Amfitryta“ stanęła w porcie, zajmując nieledwie cały basen a na jej pokładzie słychać było bieganie marynarzy, rzucanie lin, oraz sprzeczkę kapitana z przewodnikiem. Sprzeczka się przedłużała, nikt bowiem w Port-

Haliguen nie rozumiał po angielsku. Lidia, która znała ten język dzięki siostrze Marcie pochodzącej z Irlandyi, ofiarowała się być tłomaczką kapitana.

Ujrzano też wkrótce Lidię, siedzącą na zwoju lin rzuconych na pokład „Amfitryty“ a przed nią stał olbrzymiej postawy ryży i apoplektyczny kapitan naprzeciwko małego, kudłatego, podobnego do małpy, ciemno-włosego bretończyka; przez otwór szeroko otwarty spoglądali w dole pracujący marynarze a oczy ich wyrażały zdziwienie, zarówno na widok tej ładnej, wytwornie ubranej pani tronującej na pokładzie, jak nie mogli pojąć, gdzie się znajdują, po co zawinęli do tak małego portu z tą nędzną wioską nadbrzeżną. Przyczyną było wynikłe nieporozumienie. Przewodnik miejscowy, Madek, na zapytanie kapitana „Amfitryty“ rzekł: „Port Maria“ a kapitan, zrozumiawszy „Port Lorient“, gdzie właśnie miał wylądować, wziął Madeka na pokład i obrócił ster zmierzając ku wybrzeżu. Wiatr utrudniał zbliżenie się do stałego lądu. Kapitan zaniechał więc sterowania ku Port-Maria przy Quiberon i skierował swój statek na spokojne morze Morbihan, po drugiej stronie wązkiego półwyspu. Dzięki objaśnieniom przetłómaczonym przez Lidię, zdał sobie kapitan sprawę z uczynionej pomyłki i przed odjazdem do właściwego miejsca swego przeznaczenia, to jest do Port-Lorient, chciał okazać swą wdzięczność tej pięknej, strojnej pani, mówiącej

głosem tak słodkim i patrzącej tak ładnemi szaroniebieskiemi oczami. Zniósł więc przed Lidię butelkę starego wina, lunetę okrętową, suknię wschodnią, tomahawk indyjski, pantofelki jawajskie i olbrzymi dwuręczny pałasz japoński, prosząc, by brała wszystko, lecz gdy nic przyjąć nie chciała, wyjął z kieszeni mały amerykański rewolwer, *bul-dogg* i uprosił, by go przyjęła na pamiątkę, ostrzegając, że nabity.

Wkrótce po tem wydarzeniu, które zaniepokoiło chwilowo pana Aleksandra, wyczytał on w „Petit-Journalu“ nowinę o wiele ważniejszą. „W nocy z dnia 27 na 28 września jacht „Bleu-Blanc-Rouge“, należący do księcia d'Olmütz, rozbił się i zatonął w okolicy wysp Balearskich. Z całej załogi pozostał przy życiu tylko książę i kucharz. Rozbitków dowiózł do Marsylii statek wiozący transport pomarańcz“.

— Jakim sposobem mógł się on znaleźć w pobliżu wysp Balearskich?... Wszak droga z Monaco do Quiberon nie wiedzie tamtędy — spytała Lidia, gdy przyniesiono jej „Petit-Journal“ dla przeczytania obchodzącej ją zblizka wieści.

— O w czasie podróży wydarzają się dziwne okoliczności — odrzekł ex-kamerdyner z miną drwiącą — wreszcie należy to przypisać wiatrom tam wiejącym.

Zmieniając natychmiast ton, Aleksander zaofiarował swe usługi pani hrabinie w razie, gdyby chciała go wyprawić do Grosbourg, gdzie młody

książę zjedzie zapewne niebawem po doznanej katastrofie. Kłaniał się nizko, powtarzając z uniżonością lokajską, iż zna swoją powinność i pani hrabina niechaj raczy wydać rozkazy a on spełni je natychmiast.

— Aleksander ma słuszność, trzeba zasięgnąć wiadomości z Grosbourg — odrzekła Lidia, pragnąca się łudzić wiarą w uczciwość tego człowieka, któremu powierzył ją Karlexis.

W chwilach niepewności, smutku i moralnego zgnębienia, zdarza się, iż drobna okoliczność rzuci światło ukazujące istotną prawdę danego położenia. Wiadomość wyczytana przez Lidię w „Petit-Journalu“ odsłoniła przed nią przepaści, po nad któremi stała obecnie. Gdyby Karlexis był zatonął, cóż byłaby z sobą poczęła? Nie będąc chciwą, nie pomyślała o biedzie, o nędzy, jaka jej wówczas groziła. Dlaczegóż więc czuła się tak strwożoną? Spostrzegła bowiem, iż śmierć kochanka nie byłaby w niej wywołała rozpaczy. Więc go nie kochała? Nie! Dotychczas wątpiła, teraz zaś była tego pewną. Uciekła z nim, bo się nudziła, bo chciała doznać wrażeń, zadowolić swoją ciekawość, a w znacznej części i swoją próżność. Lecz w chwilach największych uniesień i pieszczot, Lidia czuła się obcą przy boku Karlexisa, czasami strach ją ogarniał, na widok jego obojętnych oczu i zagadkowego uśmiechu. Przypomniała sobie wtedy słowa generała: „Mówię ci, że to potwór... niezrozumiały potwór“. Jakże

odmienne oczy miał generał i z jaką szczerą rozpaczą czynił jej to zwierzenie. Przypominając sobie tragiczny wyraz twarzy generała, Lidia chłodła dla jego syna, uczucie zmieniało się w jej sercu, przybierając pozory wzgardy. Dla kogóżto złamała swoje życie!... Ach, gdyby można było to wszystko cofnąć!... Po niespodziewanem wyjściu za mąż za prawego, poczciwego człowieka, życie otwierało się przed nią spokojne, niczem nizkiem niezamącone... po cóż rzuciła je, zerwała z nim bez przyczyny, nieusprawiedliwiała jej nawet miłość, ani szał... jakże zbłądziła... jakże była nierozważną. A teraz cóż będzie?... Jakże się zakończy ten ich stosunek miłosny?...

Drżąca w niepewnościach kłębiących się myśli, Lidia pogrążyła się w dumaniu. Wieczór zwolna zapadał a woda szemrała, rozbijając się z lekka o kamienie grobli. Coraz liczniejsze łodzie wracały do portu a rozwinięte ich żagle przybierały w wieczornej mgle fantastyczne rozmiary widziadeł. Wtem na końcu grobli zajaśniało światło, wysoko po nad ziemią i wodą; był to jaskrawy płomień latarni morskiej. W tejże samej chwili Lidia poczuła się wstrząśniętą, coś nieznanego nagle w niej drgnęło; przelękła się, lecz wkrótce zrozumiała i owładnęło nią niewypowiedzianie słodkie uczucie. Było to pierwsze poruszenie dziecka, tego dziecka, o którem zapominała, lecz ono dawało jej teraz znać, iż żyje, jest przy niej i w niej samej. Spowodowało to zupełną prze-

mianę w myślach Lidii. Miała cel w życiu, opiekuńcze światło rozjaśniło ciemności. Nawet ojciec tego dziecka wydał się jej mniej obcym, bliższym. Śpiewy i nawoływania dochodziły z nad portu pełnego ludzi, uwijających się na łodziach i wzdłuż morza. W nadbrzeżnych domach zajaśniały ognie, dolatywał trzask palącego się w kominach mokrego drzewa, śmiech dzieci; gromadzono się koło ogniska dla spożycia wieczerzy.

Minął tydzień. Lidia pozostawała bez wieści, lecz nie trapiła się zbytecznie, wiedziała, iż trudno będzie Karlexisowi wyjechać z Grosbourg. Coraz mniej było osób w Haliguen, nieliczni kąpielowi goście porozjeżdżali się każdy w swoją stronę, wybrzeże było puste a żółty dom coraz bardziej samotny. Pomimo, iż pogoda była piękna, czuć było zbliżającą się jesień, mgły coraz były gęstsze, światło bledsze a wiatr wył żałośnie; nad morskiemi falami unosiły się stada białego ptactwa a po drugiej stronie półwyspu Dzikie-Morze rozbijało się z hukiem, roztrącając się o nadbrzeżne skały.

— Zimą jeszcze straszniej zbytkuje to morze— powtarzała Agaryta, która, dnie całe spędzając z panią kapitanową, poznała wszystkie szczegóły życia w Haliguen i z trwogą zapytywała Lidię, czy aby przed zimą wyjadą z tego pustkowia.

— Czy pani wie — mówiła dziewczyna — że ta skała koło Port-Maria, którą nazywają „Trąbą“ tak ryczy, wyje i huczy w grudniu, że ludzie sypiać

nie mogą po nocach... Z tej strony morze jest spokojniejsze, ale za to ludzie są gorsi...

Na dowód prawdy swego twierdzenia, Agaryta opowiadała o bójkach, jakie rybacy prowadzą po między sobą. W czasie długich wieczorów, upijają się i biją a gdy karczmarze wyrzucą ich z szynków, wpadają w wściekłość, bójka zamienia się w rzeź, kaleczą się i mordują; niekiedy bywa, iż porwawszy się za bary, staczają się w morze, i giną bez ratunku.

— Uspokój się, moja kochana, wyjedziemy przed zimą i nie będziemy widziały tych okropności.

Lidia pocieszała swoją garderobianę, lubiła ją, jako jedyne stworzenie okazujące jej nieco przychylności. Napotkała ją w przejeździe przez Lyon i od tej chwili Agaryta jeździła z nią wszędzie. Aleksander przed wyjazdem z Haliguen zwierzył swej ciotce wiadomość, iż Lidia jest tylko wypadkową hrabiną; natychmiast rozeszła się o tem wieść pomiędzy kumoszkami, które na wyścigi czernić poczęły lokatorkę kapitanowej. Patrzano teraz na nią z niedowierzaniem i lekceważeniem, na każdym kroku okazując jej wyraźną niechęć. Dokuczliwość ludzka nie miała wszakże wielkiego dostępu do opuszczonej kobiety, żyła teraz myślą o dziecku. Prawie nie wychodziła po za próg domu. Sprowadziwszy sobie fortepian z Ploermel, Lidia grywała całemi dniami a wypowiadane przez nią marzenia i smutki wiatr roznosił po pustem wybrzeżu i zatracał w morskich obszarach.

Piasczysty i równy brzeg po nad morzem rozpościerał się daleko i pomimo jesiennej pory roku wałęsało się po nim trochę obcych przybyszów, którzy, posłyszawszy o mającej przybyć tutaj flocie, wyczekiwali, by zobaczyć próby nocnej bitwy na morzu. Lidia nie chodziła teraz nigdy w tę stronę, lękając się nowej jakiej zniewagi, dwuznacznych spojrzeń i uśmiechów. Chcąc użyć przechadzki, szła na groblę. Lubiła panującą na niej samotność i patrzała na morze, patrzała nawet chętniej, niż w pierwszych czasach swego przybycia do Haliguen, gdy co chwila spodziewała się dostrzedz na horyzoncie „Bleu-Blanc-Rouge". Dziwiła się wszakże a nawet niepokoiła brakiem jakiejkolwiek wiadomości; wszak Karlexis mógł do niej pisać, wreszcie dlaczegóż Aleksander nie dawał znaku życia?...

Na pierwszą niedzielę przypadającą w październiku naznaczono wielką uroczystość w Quiberon; odbyć się miały doroczne regaty. Poraz pierwszy Lidia nie doznała przykrości choroby morskiej, chociaż parę godzin spędziła na statku. Prawda, iż morze było równe, niebieskie i łagodne, najlżejszego nie było wiatru a słońce ogrzewało powietrze, lśniąc się na drgającej powierzchni wody. Lidia zajęła miejsce na pokładzie statku, który, stojąc na kotwicy zdala od brzegu, miał być metą dla ścigających się łodzi. Statek należał do przewodnika portu, który od czasu, gdy Lidia załatwiła jego nieporozumie z kapita-

nem „Amfitryty“, był z wielkiem dla niej uznaniem.

— Niech pani hrabina zechce zająć miejsce na pokładzie mojego statku—rzekł do niej—a ręczę, iż lepiej wszystko zobaczy, aniżeli pan podprefekt i pan komisarz marynarki.

Od godziny dopłynęli już byli na wyznaczone stanowisko i statek stał na miejscu w pośrodku olbrzymiej zatoki. Łagodna cisza opływała dokoła statek, który rzec można zawisł pomiędzy niebem a wodnym obszarem, wszystko umilkło w rozkoszy pogodnego upojenia.

— Nic nie widać — szepnęła Agaryta.

Skutkiem oddalenia i lekkiego oparu nie było widać wybrzeży, lecz po jaskrawej szybie wody dolatywały chwilami echa uroczystości mającej miejsce w Port-Haliguen, słychać było dzwony, powstającą i cichnącą wrzawę głosów ludzkich, piskliwe tony kobzy, lub warczenie bębna. Nic nie było widać, lecz wszystko można było słyszeć. Ktoś na pokładzie statku rzekł z cicha: „Możnaby przypuszczać, iż słyszymy te odgłosy wprost z nieba“. W tem rozległ się huk wystrzału i wrzask tłumu, w którym dziecinne głosy wyróżniały się przeciągłą piskliwością. I znów zapadła cisza.

— Jadą — zawołał przewodnik, powstając ze swego siedzenia.

Statki biorące udział w wyścigach wysunęły się długim szeregiem a kilka z nich na przedzie sparło się tuż jeden koło drugiego. Przy ciszy panu-

jącej w powietrzu dziwnem było i niewytłómaczonem wzdęcie ich żagli, napięcie sznurów i lot tak szybki, iż skrzypiały i drżały wysokie maszty a potężny dech poprzedzał je, biegnąc przed niemi. Wysoko rozpięte żagle, białe, ryże i brunatne wionęły w niebieskości powietrza, jak olbrzymie ptasie skrzydła a w miarę zbliżania się do mety wzbijał się okrzyk, wydawany przez załogę każdej łodzi, mijającej w rozpędzie stojący na kotwicy statek, z którego spoglądała Lidia. Jedna z łodzi, zawadziwszy o jego bok ociężały, odbiła się, zatrzeszczała, jakby rozpaść się miała, lecz okręciwszy się na miejscu wśród krzyku patrzących, sunęła dalej. Trwało to niedłużej, jak mignięcie błyskawicy, lecz Lidia wyraźnie ujrzała twarze ludzi siedzących w łodzi, twarze czarne, spalone słońcem i morskim wiatrem, nabrzękłe od wódki a teraz konwulsyjnie strwożone, z oczami szaleńców. Po za łodziami biorącemi udział w wyścigach, jechał jacht połyskujący jak srebrna szara koncha. Należał on do bogatego amerykanina, który przybył dla przypatrzenia się wyścigom. Na widok tego jachtu, przypominającego swą wytwornością „Bleu-Blanc-Rouge", Lidia pobladła i poczuła szybsze bicie serca. Amerykanin sam kierował sterem i chociaż długa jego postać, oraz twarz pospolita nic nie miały wspólnego z wdzięczną, ładną sylwetką Karlexisa, oczy Lidii zamgliły się łzami.

Wyścigi przestały ją zajmować. Patrzała na uwijające się łodzie, jak na stada morskiego ptactwa a myśl jej uleciała za nieobecnym, za ojcem dziecka, które czuła w swojem łonie. Bo miłość jej, ta więcej pozorna, niż rzeczywista miłość, była już teraz tylko myślą o spadających obowiązkach i przejawiała się jedynie w budzących się uczuciach matki. Wróciwszy do żółtego domu, Lidia wciąż myślała ze smutkiem, lecz zarazem i lubością o upragnionem przez siebie dziecku. Obojętnem okiem zaledwie spojrzała na ożywienie panujące koło portu w Haliguen. Tłumy strojnego ludu patrzały na solowe tańce marynarzy a komisarz marynarki w mundurze jaśniejącym od złotych haftów, rozdawał medale zwycięzcom regat; przy odgłosach kobzy odbył się konkurs pływania; biorący w nim udział rzucali się w spokojną wodę portu, ponad którego brzegami kręciły się między ludźmi świnie i spłoszone ptactwo domowe.

Agaryta, zadowolona z rozrywki, bawiła się nowością widoku a wieczorem, pożyczywszy od pani kapitanowej wielkiej latarni, namówiła Lidię, by poszła popatrzeć na tańce, mające miejsce na głównym placu w Quiberon.

Wieczór był chłodny, zerwał się ostry wiatr a gwiazdy jarzyły się na ciemnem niebie. Szły wązkiemi drożynami i tak głęboko wrytemi w ziemię, że wiatru nie czuły. W miarę zbliżania się do miasteczka, ludzi coraz to więcej było na tych

drożynach, aż wreszcie na placu w Quiberon trudno było przecisnąć się przez zbite szeregi wózków odprzężonych i stojących murem do koła. Tańczono zawzięcie, lecz jedynie przy muzyce wydawanej ludzkiemi usty „bo muzykanci spili się i grać nie mogą“ objaśniła Lidii młoda bretonka, pogodnie patrząca z pod olbrzymiego białego czepca. Tłum gapił się na dwa czy trzy ronda krążące w podskokach i podrygach tuż koło hotelu „Princesse de Lamballe“. Jeden z hotelowych posługaczy, poznawszy Agarytę, przeprowadził ją oraz Lidię w dogodniejsze miejsce; patrzały na tańczących, stojąc tuż w pobliżu sznura z różnokolorowemi lampkami, które więcej wydzielały dymnego swędu, aniżeli światła. Ciemności rozjaśniały kinkiety, pochodnie i latarki pozapalane na wozach, wózkach, karyolkach, powozach, ustawionych dokoła placu; wszystkie te wehikuły roiły się ludzkiemi postaciami, patrzącemi z tej improwizowanej estrady na tańce przed hotelem.

Zachrypłe lub piskliwe głosy marynarzy i rybaczek śpiewały pieśni, rytmując je uderzeniami nóg, obutych w saboty, lub ciężkie gwoździami nabijane trzewiki. Ronda wirowały coraz namiętniej a ponad kołem tańczących unosiły się śmiechy i wyziewy ludzkiego potu połączone z dymem fajek i kopcących lampek. Od czasu do czasu jeden z wozów odjeżdżał a ludzie na nim siedzący zawodzili pieśni, rozpływające się w oddale-

niu. W miarę ubywania tych wozów, na placu coraz to było ciemniej, przestrzeniej i huk Dzikiego-Morza dolatywał wyraźniej, jakby zbliżając się dla zajęcia miejsc opuszczonych.

— Wracajmy — szepnęła Lidia.

Ogarnął nią teraz wielki i przygniatający smutek, może na wspomnienie owego mglistego poranka, gdy z hotelowego okna ujrzała poraz pierwszy placyk, na którym teraz stała.

Agaryta podniosła z ziemi ciężką latarnię, z którą tutaj przyszły i skierowały się ku wązkim drożynom wiodącym do Port-Haliguen. Napotykały ludzi, idących ociężale, nierówno, chwiejących się i zataczających, niektórzy próbowali śpiewać dalej pieśni, lecz tracili pamięć, czkali buchając wódką i padali wzdłuż drogi lub w rowu, gdzie już gęsto leżeli inni zmorzeni snem lub do nieprzytomności pijani.

Z domów rozsiadłych zrzadka w pobliżu drogi, wypadały psy, szczekając i ujadając przeraźliwie. Lidia i Agaryta szły coraz śpieszniej, zniżając głosy i pragnąc stanąć co rychlej przed progiem żółtego domu.

— Niech pani patrzy... tam zdaleka na morzu widać światła... oto tam po za tą jarzębiną... a może to flota?...

Spodziewane przybycie floty i wojenne jej manewry nocne, przyciągnęły do Quiberon znaczną ilość podróżnych, nietylko z sąsiednich miasteczek, jak Port-Novallo, Vannes, lecz z Nantes, a nawet

z Paryża. Hotel „Princesse de-Lamballe“ przepełniony był gośćmi a posługacz, znajomy Agaryty, powiedział jej, iż właśnie dzisiaj przybyła jakaś pani, podobno paryżanka z młodą kuzynką wcale nieszpetną.

— Czy wiesz, jak się ta pani nazywa? — spytała Lidia, tknięta jakby dziwnem przeczuciem. Wszak przed chwilą, stojąc na placu i patrząc na tańczących, zdawało się jej, iż na balkonie hotelu widziała osobę nadzwyczaj podobną do matki Ryszarda. Lecz Agaryta nie wiedziała nazwiska pań świeżo przybyłych, wreszcie zkądżeby przyjść mogła pani Fenigan myśl przybycia do Quiberon?.. Musiało to być ułudne tylko podobieństwo. Lidia tak często rozmyślała nad ubiegłą swoją przeszłością, iż nic w tem nie było dziwnego, że pojawiać się przed nią zdawały dobrze jej znane postaci. Było to coś w rodzaju halucynacyj Agaryty, która pierwsze lepsze światełko brała za potoki ognii mających spływać od olbrzymich okrętów floty.

Gdy przybyły do Port-Haliguen, płonęła tylko morska latarnia na grobli, oraz lampka pozostawiona w sieni żółtego domu. Tuż przy tej lampce leżał list. Lidia rozpieczętowała go natychmiast a z treści jego wyraźnie ujrzała, iż nie zawiodły jej trwożne przeczucia, które ją obległy w pierwszym dniu przybycia na ten samotny, półwysep bretoński. Tutaj, a nie gdzieindziej, miał ugodzić ją cios ostateczny...

Jednym rzutem oka przebiegła długi list pana Aleksandra, list pełen kłamstw, obłudy, służalstwa i nie zastanawiając się nad zdaniami, zatrzymywała ważniejsze słowa: „musiał się poddać woli rodziców... wstąpił do służby wojskowej... jest w dragonach, jako ochotnik... pieniądze są złożone u notaryusza... w razie wypadku, należeć będą do dziecka...“ List kończył się zdaniem szorstkiem, okrutnem w swej nikczemności: „Tak, wszystko skończone, młody książę już ma dosyć. Niech pani przygotuje swój rachunek a ja przyjadę, aby go zapłacić. Przyjazd swój poprzedzam listem, aby uniknąć niepotrzebnych targów i roztrząsań sprawy“.

Lidia wiedziała, iż miłosny jej stosunek z Karlexisem nie będzie trwać długo i co wtedy z sobą pocznie też dobrze wiedziała i z góry postanowiła. Lecz dlaczegóż to wszystko skończyło się tak nagle, tak wstrętnie?... Dlaczegóż on sam do niej nie napisał?... Dlaczegóż lokajowi kazał się w ten wyręczyć?... Jakże nikczemnie z nią postąpiono! Ten jeden fakt objaśnił Lidii cały szereg innych. Rozeznawała ich znaczenie. Wyjazd z Monte-Carlo był tragedyą tylko dla niej, również jak wędrówka jej po Francyi pod strażą Aleksandra była farsą ułożoną pomiędzy nim a jego panem... lecz dlaczegóż uprowadzili ją tak daleko na puste morskie wybrzeże, by następnie dręczyć niepewnością i zakończyć grubiańską brutalnością! Zagadkowy śmiech Karlexisa i zimne jego

oczy, słusznie lękiem napawały Lidię. Tak, stary generał miał racyę, mówiąc: „Jest to ponętnej powierzchowności potwór; potwór, niezdolny kochać i odpychający wszystkich chcących bliżej z nim obcować“.

A więc wszystko skończone... miłosny stosunek bez miłości rozpoczęty, kończył się ohydą... Lecz dlaczegóż ci ludzie z Grosbourg mówią jej o notaryuszu... o pieniądzach... czyż myślą, że się sprzedała, że można ją było kupić złotem?... Jakto, więc nawet generał takie ma o niej przekonanie?... Myśl, iż ten stary żołnierz, którego miłość niejednokrotnie wzruszała ją głęboko, posądza ją o chęć zysku, o frymarczenie swem ciałem, obrażała Lidię, jak niezasłużona obelga. Lecz zobaczą, jak ona dba o ich pieniądze!..

„W razie wypadku należeć będą do dziecka“, słowa te zabrzmiały głucho i boleśnie w uszach Lidii. Wszak niedługo będzie matką... A w chwili, gdy czyniła postanowienie, iż umrze wraz z końcem miłosnego stosunku, dla którego wszystko rzuciła, nie pomyślała o możności macierzyństwa; po ośmiu latach bezpłodnego małżeństwa, była przekonaną, iż nigdy dziecka mieć nie będzie. Stało się inaczej! Jakże wychowa swoją dziecinę?... Tę dziecinę bez ojca, bez nazwiska, bo matka jego była tylko Lidią. Jakiż będzie los tej przyszłej istoty... nędza... pomimo książęcej krwi w żyłach! Tak, będzie to dziecko skazane od urodzenia na poniewierkę, nieszczęście... Czyż

więc nie lepiej zabrać je z sobą i unieść ku śmierci?...

Tak, nie pozostaje jak śmierć. Lecz jaka?... Pragnęła skończyć z życiem, uciec od smutków i zgryzoty, lecz jaką ku temu obrać drogę?... Morze lśniło się tuż w pobliżu... czy skoczyć ze skały w jego głębiny?... Wiedziała, że drzwi domu są już zamknięte, lecz można otworzyć okno i wysunąć się pocichutku... Ale czarność nocy przerażała ją równie, jak ciemność zimnej morskiej otchłani. Trzebaby się ubierać... potykać o nadbrzeżne kamienie.. Nie... Myślała nad innym jakim sposobem, rozglądała się po swoim pokoju, w tem oczy jej padły na połyskujący rewolwer angielskiego kapitana, ów rewolwer ofiarowany jej przy pożegnaniu i złożony przez nią na marmurze kominka! Stanęła przed lustrem i poczęła się nim bawić, podczas gdy myślą przywoływała znane sobie osoby i okoliczności zaszłe w życiu; oczy miała błędne, przerażone; odsłoniła koronki koszuli, chcąc wyszukać miejsce odpowiednie i popatrzała z lubością a także i z żalem na piękność swego ciała, perłowo białego, na którem połyskiwał złoty medalik. Odmówiła modlitwę do Przenajświętszej Panny z Fourvière i już chciała pociągnąć za cyngiel, gdy odezwało się pośpieszne sztukanie do drzwi i głos Agaryty, rozweselonej, uszczęśliwionej:

— Czy pani widzi, jakie to prześliczne, jakie to cudne!.. Jak światła odbijają się i biegną po

wodzie... miałam racyę, mówiąc że widzę nadjeżdżającą flotę... bo oto jest... jest!..

Lidia machinalnie zwróciła głowę ku oknu i równocześnie rozległ się strzał, który wstrząsnął całym pokojem... amerykański *bul-dogg* szczekał hałaśliwie! Równocześnie z chwilą gdy Lidia padała ugodzona strzałem, pokój napełnił się jasnem, niebieskawem promieniem elektrycznego światła, którem flota rozjaśniała swoją drogę. Musiała je dojrzeć jeszcze Lidia i przyjąć za zwiastuna otwierającej się przed nią wieczności. Po trwożnej chwili oczekiwanej śmierci, może pod takiem wrażeniem życie ulata, żegnając się z ciałem...

X.

Dziennik księcia.

Do pana M. W. de Vallongue
w Kolegium Stanislas w Paryżu.

Pomiędzy dwoma potyczkami znajduję chwilę, by pisać do ciebie, roztasowawszy się w starym młynie, gdzie sztab armii obrał sobie siedlisko. W ostatnim moim liście pisanym do ciebie z Grosbourg, donosiłem, że prawdopodobnie wykręcę się od należenia do tej głupiej i męczącej mitręgi, którą nazywają wielkiemi manewrami. Nawet rozpocząłem bardzo zajmujący flirt z dwoma żydóweczkami, sąsiadkami moich rodziców. Wcale ładne siostrzyczki, jedna dopiero co wyszła zamąż a druga narzeczona; wszystko szło składnie tak z jedną, jak i z drugą, gdy wtem niespodziewana depesza od pułkownika Boutignan powołała mnie na dzień następny do obozu. „Rozkaz od wyższej władzy", objaśnił mi pułkownik, mrugając jedynem okiem, jakie mu pozostało; nic po nad te kilka słów nie mogłem z niego wydobyć; ostrożna

ryba ten mój kochany pułkownik, zawsze się lęka, by nie powiedzieć słowa za dużo! Mam wszakże domysły, iż w tem kryje się nowy jakiś figiel księcia-generała a mojego szanownego rodzica. Może mu się przykrzyło słyszeć i widzieć ruch, życie i umizgi, przybyłe wraz ze mną do Grosbourg, on siedzieć musi w fotelu, więc widok jakiejkolwiek swawoli sprawia mu przykrość,- było mu już lepiej, lecz nagle znów kiepsko z jego zdrowiem; bardzo się osunął! Lekarze twierdzą, iż przyczyną jest spadnięcie z konia; lecz byłem przy tem, więc widziałem, że spadł z siodła skutkiem nowego ataku apoplektycznego. Dla mnie więc przyczyna pogorszenia jest inna. Kochał panią F... i nie tracił nadziei, że prędzej lub później zdobędzie ją dla siebie. Wiadomość, że się zabiła wstrząsnęła nim gwałtownie, musiała nim wstrząsnąć, chociaż tego nie okazywał. Bo nie wiesz, mój kochany, że opuszczona przezemnie pani F... poczuła się tak dalece nieszczęśliwą, iż strzeliła sobie w serce a przynajmniej tuż blizko. Była umierająca przed tygodniem, od tego czasu nie mamy o niej wieści. Możesz wyobrazić sobie minę Aleksandra, który pojechawszy dla uregulowania rachunków, zastał panią F... umierającą a przy niej... zgadnij kogo? — matkę porzuconego przez nią męża! Jakim sposobem stara pani F... tam się znajduje, bo nienawidziła swojej synowej, czyżby i mąż przybył w tamte strony? Nie wiem nic więcej nad to, iż wyrzucono tam za drzwi pana

Aleksandra, ofiarującego pieniądze... i zdaje mi się, że księżna nie będzie miała im tego za złe... Z powodu targnięcia się na własne życie zrozpaczonej pani F.., ojciec mój uznał za stosowne napisać do mnie list długi i sentymentalny, jak walc z epoki romantycznej...

Ani na chwilę nie przypuszczam, aby moja miłość zaciążyła jak fatalność nad panią F... są to bajki. Chciała się zabić z nudów, może ze złości, ujrzawszy się porzuconą, lecz najchętniej przypuszczam, że dość już miała nieprzyjemności, jakie życie z sobą przynosi. Gdy będę miał dziesiątek lat więcej na grzbiecie, czuję, iż będę gotów w każdej chwili uczynić toż samo, zwłaszcza jeżeli życie będzie mi tak płynęło, jak obecnie w pułku. Nie jestem przeciążony pracą; zrobiono mnie sekretarzem pułkownika, który, jak wiesz, jest kuzynem moim, skutkiem tego jestem zwolniony od wszystkich zanudzających ćwiczeń wojskowych i mógłbym leżeć cały dzień na łóżku w moim pokoju, który sobie wynająłem w mieście, uważając, by widok nęcił mnie ku oknu. Lecz jestem w Melun... czy ty rozumiesz, co znaczy być zmuszonym żyć w takiej prowincyonalnej norze?... Co robić... gdzie iść... z kim?.. Mój kuzyn, pułkownik de Boutignan, zaprasza mnie do oficerskiego stołu, lecz oficerowie, których poznałem, naiwniejsi są w rozmowie od naszych kolegów szkolnych. I prawdę mówiąc, czemże oni są, jeżeli nie studentami?... W dziesiątym roku życia zamknięto

ich w szkole; wyszedłszy ztamtąd, wstąpili znów do szkoły w Saint-Cyr albo w Saumur a pobyt w pułku jest tylko dalszym ciągiem tamtego początku. Niczego nie użyli, o niczem nie wiedzą i bawią się, drwinkując ze swego pułkownika, jak niegdyś bawili się, wyśmiewając swoich profesorów. Prócz kilku ślęczących i psujących sobie zdrowie nad zgłębianiem wojennych teoryj, ogół oficerów przemyśliwa jedynie nad sposobami wykręcania się od służby i umknięcia chociażby na kilka godzin do Paryża dla hulanki z kobietami. Ach, żebyś mógł słyszeć idyotyczne anegdotki, które sobie opowiadają! Są to wspomnienia szkolne albo obozowe, osobiste lub posłyszane od kolegów, w każdym razie silnie zwietrzałe. Rzadko który z tych panów brał udział w jakiej potyczce. Po obiedzie wszakże, opowiadają sobie zatrważające przygody, jeżą wąsy, klną przeraźliwie i dolatują wykrzykiwane zdania: „padało bez miłosierdzia!“, „ależ mi się dostało!“, „ta wyprawa zmarnowała mnie na długo... i nie tylko mnie, ale i biedną moją szkapę!“ Wsłuchujesz się uważniej i spostrzegasz swoją pomyłkę, bo nie o bitwie żadnej tam była mowa, ale o deszczu spadłym znienacka, podczas gdy eskortowali powóz prezydenta izby lub prezydenta senatu, podczas święta narodowego w dniu 14 lipca! Są to jedyne ich kampanie, lecz trzeba wyznać, że wszyscy oni żałują, iż nie brali udziału w prawdziwych wojennych wyprawach. Patrząc na nich, pytam

siebie, o ile ci wojskowi, pysznie dekorujący oficyalne eskorty, umieliby się zachować przyzwoicie w czasie bitwy?... Nie wątpię o ich odwadze. Każdy francuz, gdy wie, że inni na niego patrzą, jest bardzo odważny! Lecz który z nich zachować wtedy zdoła przytomność umysłu?... Świadomość racyonalnego kierownictwa nie mówiąc już o możności inicyatywy?... Jest to pytanie bez odpowiedzi. Tego tylko żołnierz może coś stanowczego powiedzieć o swojej odwadze i zimnej krwi podczas niebezpieczeństwa, któremu zdarzyło się brać udział w wojnie, któremu śmierć niejednokrotnie zajrzała blizko w oczy!

Pamiętam, jak ojciec mój opowiadał, że podczas kampanii krymskiej, kazano mu iść z jego żołnierzami naprzód. Trzeba więc było opuścić spokojną pozycyę i lecieć wprost na kule sypiące się gradem. Poczuł naraz jakby ubezwładniającą ociężałość w nogach i zerwał się dopiero, gdy spostrzegł, iż inni oficerowie patrzą na niego z ironicznym uśmiechem. Trwało to chwilę, lecz ta chwila oporu ciała, nazawsze pozostała generałowi w pamięci, jako jeden z cięższych wyrzutów. Opowiadał on również o jednym ze swoich kolegów z Afryki, gdy wojna trwała tam bezustannie. Otóż ów kolega, ilekroć razy zatrąbiono do ataku, dostawał najniewygodniejszych boleści żołądka. Poradził sobie później, wychylając przed natarciem na nieprzyjaciela butelkę absyntu; łyknąwszy ją jednym haustem, pędził jak szalony

naprzód; nie wiedzący co zaszło, podziwiali bohaterstwo jego i animusz!

Rzecz dziwna, do jakiego stopnia niebezpieczeństwo doprowadza jednych do obłędu i moralnej nicości, podczas gdy nerwy innych nie przestają działać normalnie lub nawet dodatnio. Podczas owej nocy, w której rozbił się i zatonął mój biedny „Bleu-Blanc-Rouge“, miałem jako towarzysza doktora Engel, znakomitego botanika, którego zobowiązałem się przewieźć do Port-Mahon. Doktor Engel spędził życie w sposób awanturniczy, często narażając się na śmierć; byle zwiększyć swoją kolekcyę roślin, podróżował po Afryce południowej wraz z Eminem paszą, to ci maluje człowieka. Otóż widząc, że „Bleu-Blanc-Rouge“ nabiera coraz więcej wody i grozi zatonięciem, doktor Engel biegać począł jak wściekły po pokładzie, płakał i ryczał, wrzeszcząc, że nie chce umierać; rzucił się na kapitana Nuitt i chciał go udusić. Uwolniwszy biednego anglika z jego szponów, musieliśmy doktora przywiązać linami do ławki. Otóż podczas, gdy doktor Engel, człowiek niezwykle inteligentny uległ takiemu moralnemu rozkładowi, kucharz, człowiek prosty i w zupełności o niebezpieczeństwie wiedzący, zajęty był najspokojniej przygotowaniem dla mnie ostatniej filiżanki herbaty. Widzę go jeszcze, jak metodycznie zapalił spirytusową lampkę, wziął imbryk, filiżankę, nie śpiesząc się pomimo straszliwego bulgotania wody napełniającej statek pod naszemi nogami. On też

jeden, prócz mnie, uratował swoje życie w czasie ostatniej katastrofy; aż do końca zachował zimną krew, spokój i to najnaturalniej w świecie, podczas gdy ja musiałem nad sobą panować a przynajmniej starałem się spokojnym okazać.

Pomiędzy oficerami, z którymi żyję w nieco bliższych stosunkach, znajduje się pewien porucznik, który zajmuje mnie, jako dość ciekawy egzemplarz człowieka. Poprosił, by mu pozwolono zostać dłużej w pułku, albowiem chce dopełnić swojego wykształcenia wojskowego. Dziwne zaiste gusta posiada ten porucznik rezerwowy, mogący wracać do siebie zaraz po skończonych manewrach! Lecz cóż chcesz, rozmiłowany jest w rzemiośle wojennem; lubi spełniać rozkazy, słuchać, stać w szeregu i korzyć się przed surowością obozowej dyscypliny. Jest on synem jednego z leśniczych mojego ojca a nie wiem już dlaczego kłusownicy przezwali owego leśniczego „Indyaninem". Mówię ci o porucznika, polecając go twoim filozoficznym dumaniom, jako okaz dziedziczności służalstwa. W życiu prywatnem jest on kupczykiem w jednym z największych bławatnych magazynów w Paryżu. Patrząc na ukontentowanie, jakiego doznaje przywdziawszy mundur i spełniając najniedorzeczniejsze rozkazy, nabieram gustu do stanu żołnierskiego. Tak, lubiłbym dowodzić takimi żołnierzami, jak porucznik Sautecoeur. Stworzony jest na szeregowca! Widziałem, jak płakał z uniesienia, czytając wiersze Déroulède'a,

widziałem jak egzaltował się do guzików dobrze wyczyszczonych i błyszczących na mundurze. Gdyby nie stary Indyanin i gdyby nie młoda żona, z którą się niedawno ożenił z miłości, porucznik rzuciłby swój magazyn i odmierzanie materyałów na kobiece suknie, by zaciągnąć się do pułków w Senegalu lub Tonkinie. Lecz kocha ojca, który płacze z radości, patrząc na syna w mundurze oficera dragonów, kocha swoją żonę, która chociaż brzydka i chuda, dziwnie jest ponętna i działająca na nerwy. Więc też mój porucznik waha się i nie jedzie wojować z czarno-i żółto-skóra-mi. Ta jego paryżanka i na mnie podziałała. Temi dniami przybyła ona do Melun, by odwiedzić swojego męża; zaprosiłem ich oboje na śniadanie nad brzegiem Marny a siedząc tuż przy pani porucznikowej zawiązałem z nią rozmowę pod stołem, pomimo obecności zazdrosnego męża. Okazało się z odpowiedzi, jakie dawała mi jej nóżka, że warto będzie, bym czasami kierował swoje przechadzki po lesie w stronę leśnictwa, bo wiedz, że pani ma płuca delikatne i ucieka z Paryża do lasu, by oddychać aromatycznem powietrzem pod sosnami. Tymczasem jestem uprzejmy dla męża, który śmieszy mnie przejęciem, szacunkiem, czcią dla mojej osoby a raczej dla mojego nazwiska. Jeżeli mnie kiedy zdybie u swej żony, to na pewno duma zrównoważy jego rozpacz...

Tak więc porucznik Sautecoeur jest najbliższym z towarzyszów pułkowych, z którymi przestaję,

Wszyscy inni po za nim mają miny śpiące, znudzone, zmęczone, na każdej twarzy widzę jeden i ten sam wyraz: „Nudzę się śmiertelnie!“. A więc służba wojskowa jednakowo usposabia nas wszystkich?... Nałożony na kark mundur niszczy resztki energii, inicyatywy, tlejącej na dnie duszy francuzkiej młodzieży. W każdym razie ręczyć ci mogę, że nam niewesoło w tym 50-ym pułku dragonów! Wykonywamy czynność naszą bezmyślnie, automatycznie. Przynajmniej dobrze, iż mam dla rozrywki takiego Sautecoeura; jest on idyotą—to rzecz pewna, ale rusza się z życiem, wierzy w coś i nie narzeka na zmęczenie z powodu wielkich manewrów. Przeciwnie, żyje on teraz całą pełnią. Wszędzie jest, nie sypia i nie jada, byle spełnić rozkaz wydany, byle wytropić nieprzyjaciela, z którym spotkać się mamy. Zamęcza swoich żołnierzy i konie tą gorliwością swoją. Zdaje mi się, że dwaj generałowie głównodowodzący wcale nie są radzi z zapału tego szaleńca. Oniby pragnęli więcej spokoju, są to dwaj podtatusiali wojownicy, nielubiący zrywać się z łóżka o zbyt wczesnej godzinie. Krąży nawet z tego powodu wcale zręcznie pojęty i wykonany rysunek, przedstawiający naszych wodzów w postaci dwóch starych inwalidów, grających w kręgle, pies mający wypisane na obroży „służba informacyjna“ wpada pomiędzy nich i przewraca ustawione piony a zniecierpliwieni tą niewczesną przeszkodą inwalidzi, grożą mu kijem. Mówią, że tę karykaturę

narysował paryżanin obcego pochodzenia, nazwiskiem Wald. Służy on jako jednoroczny żołnierz w moim szwadronie; wysoki, blondyn, wargi ma wązkie a oczy zamglone. Żeby pozyskać względy pułkownika, zrobił jego portret dwukolorowemi ołówkami; zaczął mnie portretować i właśnie zasiedliśmy na strychu w młynie, gdy jeden z kolegów przerwał nam, wołając: „Wald, leć coprędzej do pułkownika, wzywa cię, bo przyjechało dwóch panów z Paryża.“

„Jestem zgubiony“ rzekł mój artysta, blednąc straszliwie a oczy jego utkwiły w otworze wychodzącym na dach, lecz okienko było zbyt wązkie, by przepuścić człowieka. Myśleliśmy, że pułkownik wzywa go z powodu owej karykatury, lecz wieczorem dowiedziałem się od mojego jednookiego kuzyna, iż sprawa jest o wiele gorsza. Wald rysował bilety bankowe, puszczając ich niemało wobieg. Długo mu się udawał ten przemysł dzięki mistrzowskiemu naśladowaniu owych niebieskich papierków, których potrzebował dużo, mając kochankę lubiącą zaspakajać kosztowne zachcianki. Tylko o tem teraz mówią w naszym pułku.

Mnie te gadaniny o Waldzie i pięknej jego kochance niewiele obchodzą, lecz przypominam sobie często nagłą zmianę zaszłą w wyrazie jego twarzy, gdy go zawezwano do pułkownika. Powstał z piorunującą gwałtownością i wzrok wlepił w otwór na dachu. Ileż życia było w tym geście

i w tych oczach! Przez sekundę kipiało w nim życie! Ach, mój kochany Wilkie, ileż wrażeń doznawać musi tego rodzaju człowiek; najprostsza rzecz przybiera dla niego olbrzymie wymiary! Wszystko dlań jest interesujące!... List przyniesiony, zastukanie do drzwi, spojrzenie rzucone przez nieznajomego, dom każdy, bo w nim mogą być zaczajeni i szpiegujący go policyanci. Tak, życie takiego człowieka broni go od nudy. Zmysły jego muszą być w ciągłem podnieceniu równie jak umysł. Jakże wszystko musi się wtedy wydawać rozkoszne, smaczne, każda bowiem pieszczota kochanki może być ostatnią, każdy kieliszek wina ostatnią kroplą swobody. A pamiętać jeszcze należy, że kobiety szczególniejszemi względami darzą takich ludzi wyjętych z pod prawa, kochają ich z większem oddaniem, z frenetyczną zaciekłością. Powiedz mi, kochany Wilkie, czy ty nie zazdrościsz takiemu Waldowi?... Jabym się chętnie zgodził sprzedać moje życie za kilka lat doznawanych przez niego wrażeń. Wiem, że to, co on robił, uważają za zbrodnię. Lecz jest to kwestya zapatrywania. W tej zbrodni mieści się prawie ideał. Nikogo nie zabijał, nie męczył, nie brudził się, lecz od czasu do czasu rysował, podczas gdy piękne oczy kochanej kobiety patrzały nań z miłością. To ma swój urok i poezyę! O ileż to ponętniejsze od życia, jakie ty albo ja wiedliśmy dotychczas! Proszę, odpowiedz mi w tej kwestyi, o ile możesz najobszerniej.

Powiadamiasz mnie, że to pani de Longuevile, powiedziała, iż kobiety najwięcej kochają mężczyn którymi mogą pogardzać. To objaśnia, dlaczego ludzie tacy jak Wald, wzbudzają gwałtowne szały miłości, i to się objawia na wszystkich szczeblach społecznej drabiny. Pewien znakomity muzyk, członek Instytutu, opowiadał w męzkiem kółku zebranem na tarasie w Grosbourg, takie wspomnienie z własnej młodości: „Miałem wówczas lat dwadzieścia. Pewnego wieczoru przywiodłem z sobą jakąś nieszczęśliwą istotę spotkaną na balu publicznym, odbywającym się w budzie na przedmieściu. „Kim jesteś, czem się zajmujesz“ zapytała się mnie nazajutrz rano. Przyszło mi na myśl, by w nią wmówić, że jestem praktykantem fryzyerskim z ulicy du Bac. Dość było spojrzeć na moją długą i zwikłanę czuprynę, by temu nie wierzyć, zwłaszcza, iż cała moja izdebka zawalona była nutami, spadającemi kaskadami porozrywanych zeszytów z głównego mebla, to jest z fortepianu; lecz miałem do czynienia z istotą równie ograniczoną i łatwowierną, jak i zepsutą do szpiku kości; uwierzyła. Ofiarowałem jej kilka flakoników z perfumami, kilka zielonych mydeł i słoików z pomadą, co utrwaliło w niej przekonanie, co do mego fachu. Zwierzyłem jej zarazem, iż te wszystkie dary, które ją tak mocno uradowały, skradłem w sklepie mojego pryncypała. Ośmielona podrzędnością mego zajęcia a zwłaszcza nizkością mojej natury, przywiązała się do

mnie i przychodziła mnie odwiedzać. Za każdym razem zwierzałem się przed nią z coraz to nowemi mojemi przestępstwami. Doszło do tego, iż wiedziała, że jestem złodziejem, oszustem, żyjącym z wyzyskiwania prostytutek, gorzej jeszcze, bo w całej dzielnicy miasta znano mnie pod przydomkiem „pięknej Cezaryny". Wszystkie te opowiadania mogły źle się skończyć, lecz byłem młody i nie myślałem o niebezpieczeństwie potwornych moich wymysłów. Bawiłem się natomiast wybornie, widząc przerażenie na twarzy dziewczyny, za każdem nowem mojem zwierzeniem, które niby w miłosnem zaufaniu szeptałem jej do ucha, rzucała się w moje objęcia i całowała mi usta z niewysłowioną namiętnością a w przerwach dawała mi rady z macierzyńską troskliwością: „Mój kotku, tylko bądź ostrożny, nie daj się złapać!... Kochała mnie i była dla mnie pełną dobroci, pragnącą uchronić ukochanego od wymiaru ludzkiej sprawiedliwości. Pocieszała mnie a zarazem uspakajała moje wyrzuty sumienia, bo miewałem dla rozmaitości wyrzuty sumienia. Działo się to zazwyczaj po ciemku, więc przypuszczając, iż oczy mam łez pełne, ocierała je swojemi włosami, kołysała moją głowę i uniesiona uczuciem siliła się czasami, by mnie nawrócić na lepszą, moralniejszą drogę: „Słuchaj, kotku mój, czyż nigdy się w tobie nie odzywa sumienie, trzeba pamiętać, że się ma duszę!" Wpadłszy na ten temat moralizowała, chcąc

we mnie przelać swoją idealistyczną doktrynę, nie zważając, iż ani chwila, ani więcej, niż dwuznaczna nasza poza, bynajmniej nie były odpowiednie".

Stary akademik wyznał, iż dziwaczny ten jego stosunek miłosny trwał trzy czy cztery miesiące, i chociaż w ciągu swego życia rozniecił on miłość w bardzo wielu niewieścich sercach, wszakże był pewien, że żadna kobieta nie kochała go z taką namiętnością i pełnią oddania się, jak owa nędzna prostytutka. Nigdy też on nie poznał dokładniej żadnej kobiety, ta otwierała mu wszystkie swoje myśli i wrażenia; wstrętne one były przeważnie, lecz cenne swą szczerością; myśli jej i wrażenia skupiały się prawie wyłącznie wokoło rzemiosła, z którego żyła; poznał więc za jej pośrednictwem całą ohydę życia prostytutki, jej zmartwienia, niepowodzenia, zniechęcenia a zarazem szczęśliwe trafy i spotkania; drżała ona zawsze wspomniawszy o policyi i możliwości dostania się na stałe do publicznego domu. Wprawiała ona swego kochanka w przykre położenie, nalegając, by przyjął zarobione przez nią pieniądze. Było to zazwyczaj po jakiem nowem zwierzeniu, gdy obmyślał nowy zamach na cudze dobro, błagała, by wziął jej pieniądze, byle „się nie narażał tym razem", „byle nie popełnił zbyt brudnego paskudztwa". Nagle znikła i nigdy o niej nie słyszał. Może odkryła, iż jej opowiadał same zmyślone tajemnice a może zlękła się, by nie być

aresztowaną z nim razem. Lecz mniejsza z tem, mnie głównie interesuje teraz Wald; zazdroszczę mu, zazdroszczę bardzo... Patrz, jakie moje życie jest blade, nic nie wyrażające w porównaniu z siłą wrażeń doznawanych przez niego... Przecie żyć pragnę... za jakąkolwiek bądź cenę, chcę czuć, iż żyję!...

Pewnego dnia, jadąc wagonem, zauważyłem muszkę, która koniecznie chciała wylecieć po za szybę i z zaciekłością przypuszczała szturm do przezroczystej przeszkody, z brzękiem latając i bijąc skrzydłami wzdłuż i wszerz zamkniętego okna. Z wysiłkiem, z energią najwyższą, mucha nie przestawała walczyć przez całe dwie godziny, to jest przez cały czas drogi z Paryża do Melun. Podziwiałem tę wytrwałość! Dwie godziny walczyło to stworzenie tak krótko żyć mające. Część życia spędziła ta niesforna mucha na buncie przeciwko więzieniu, do którego wtrącił ją wypadek. Czyż my posiadamy podobną wytrwałość... czyż my buntujemy się z równą energią przeciwko szarości naszego życia?... Jak przerwać tę wlokącą się nudę czy zbrodnią jak Wald, czy też strzałem w serce, jak moja kochanka w Quiberon?... Wiem, że muszę się uwolnić, muszę zakończyć monotonność mieszczańskiego swego życia, lecz kiedy... i w jaki sposób?...

Ach, żeby to sny sprawdzać się mogły!... Posłuchajno tylko, jaki dziwaczny sen miałem dzisiejszej nocy: Śniło mi się, że żołnierze, kopiąc szańce naprzeciwko młyna, w którym kwaterujemy

znaleźli olbrzymią zapleśniałą księgę. Pełna była robactwa, mrówek, glizd a tak ciężka, iż dwóch ludzi ledwie mogło ją unieść. Złożyli ją na stole, przy którym oficerowie sztabu kończyli śniadanie. Jako tytuł księga nosiła napis: „Spis ludności świata“ a treść jej, drukowana maleńkiemi literami, zawierała biografię wszystkich mieszkańców kuli ziemskiej, z nazwiskami, imionami i głównemi faktami życia każdego aż do chwili zgonu.

„Przepraszam moi panowie“—rzekł pułkownik, usuwając nas gestem ręki, w której trzymał zapalone cygaro. Wziął się do czytania swojego życia, mrugając silnie jedynem swojem okiem, podczas gdy my, stojąc na boku drżeliśmy z niecierpliwości, by o sobie dowiedzieć się jaknajprędzej. Wtem spostrzegliśmy, że pułkownik, zamiast szukać swojego nazwiska, wyszukuje naszych, jakby się bał przeczytania własnego swego losu. Potem księgę przerzucali inni, czyniąc jak pułkownik, każdy lękał się swojej stronnicy. Jako prosty żołnierz, musiałem czekać, by oficerowie zaspokoili swoją ciekawość, wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, zawołałem: „Panowie, proszę was, zobaczcie, co jest wypisane przy nazwisku d'Olmütz... Kiedy umrę i w jaki sposób?...“ Serce mi biło, gdy przewracali karty, szukając mojej biografii, wreszcie pułkownik zaczął czytać z intonacyą głosu, jak przy komendzie: „Karol-Alexis Dauvergne, książę d'Olmutz ..“ zatrzymał się, wszyscy strasznie pobledli i po cichu, nic do siebie ani do

mnie nie rzekłszy, wyszli z pokoju, pozostawiając mnie samego wraz z księgą zamkniętą i leżącą na stole... Rzuciłem się jak wściekły do szukania mojej karty i chciałem ją czytać. Ale słowa się plątały, krzyżowały, ćmiły chaotycznie. Doznawałem prawdziwej męczarni, mając przed sobą wypisane swoje przeznaczenie i mogąc je odczytać, wszystko było napisane, lecz wszystko nieczytelne.

Muszę kończyć pisanie. Trąbią, by wsiadać na koń. Nieprzyjaciel się zbliża. Oczekiwaliśmy spotkania dopiero pojutrze. Musi to być robota zbyt służbistego porucznika Sautecoeura. Żegnam cię, mój filozofie, wkrótce znów do ciebie napiszę.

XI.

W ochronce w Soisy.

W pięć tygodni po wyjeździe pani Fenigan, zajechał wczesnym rankiem przed pałac w Uzelles mały omnibus rozwożący podróżnych, przybyłych koleją żelazną do Soisy. Dzwon przy bramie zadzwonił dwa razy, lecz dźwięk jego przygłuszony był jakby mgłą, która gęstym oparem zawisła w jesiennem powietrzu. Nie śpiesząc się od śniadania, składającego się z kawy z prawdziwą śmietanką, ze świeżego ciasta z prawdziwem masłem, powstali wszyscy troje, to jest Rózia Chuchin, stary jej ojciec i furman i, wyszedłszy z pawilonu ogrodniczki, która ich raczyła temi przysmakami, szli ku pałacowej bramie. Z niewymownem zdziwieniem ujrzeli tam wysiadającą z omnibusu panią Fenigan, która, nikogo nie uprzedziwszy, wracała niespodziewanie z podróży.

— Róziu, pościel mi łóżko, umieram ze zmęczenia— rzekła pani Fenigan, idąc przez podwórze i nie zważając na zmięszanie malujące się na twa-

rzach służby, ani też na poranną ucztę, której zastawa widziałną była przez otwarte drzwi domku zamieszkałego przez żonę ogrodnika, która spełniała urząd oddźwiernej pałacu. Musiała być rzeczywiście niezmiernie zmęczoną, by nic nie rzec na to wykroczenie po za zwykły obyczaj domowy.

Ogrzawszy się w swoim pokoju, pani Fenigan odzyskała nieco sił i zaczęła stawiać pytania Rózi, oraz starej swej służącej.

— Gdzie jest pan Ryszard?...

— Pan Ryszard jeszcze śpi... czy pani każe go zawiadomić o swojem przybyciu?... Pójdę go obudzić?...

— Nie, nie trzeba. Czy nic nie zmienił w swoich codziennych zwyczajach.. co robił, gdy mnie tutaj nie było?

— Nic... pan Ryszard zawsze jednakowy. Z domu prawie nie wychodził, jedzenie kazał sobie przynosić do pracowni w pawilonie i całemi dniami pisywał listy, albo strzelał z pistoletu zawsze przytem śpiewając. Czasami przychodził tutaj pan Merivet a wtedy panowie chodzili po ogrodzie i rozmawiali z sobą.

— Zapewne ksiądz Cerès przychodził tutaj często?...

— O nie, ksiądz Cerès nie mógł nawet przychodzić tutaj, bo zaraz po wyjeździe pań, pogniewał się z księdzem proboszczem z powodu tych Lucriotów, którymi się opiekował; z tego powodu

został nawet ksiądz Cerès wezwany do Wersalu przez biskupa... Pojechał tam i od tego czasu już go nikt tutaj nie widział.

— Biedny ksiądz Cerès — szepnęła pani Fenigan, wyciągając się z rozkoszą w ogrzanem i pachnącem łóżku, do którego nieraz tęskniła w czasie swojej podróży. Rózia spoglądała na nią z podziwieniem i zrozumieć nie mogła, jakim sposobem pani Fenigan stała się tak łagodną i współczująca. Wszak księdza Cerès nie lubiła dawniej i nazywała go opiekunem żebraków i włóczęgów.

— Więc pan Ryszard nie wychodził z domu nawet w niedzielę?... Czyż ani razu nie poszedł na mszę do małej parafii dla zrobienia przyjemności panu Merivet, z którym się teraz zaprzyaźnił?...

— Kiedy, proszę pani, mała parafia zamknięta. Po wyjeździe księdza Cerès, pan Merivet zamknął kościół, mówiąc, że nie chce, aby tam kto inny mszę odprawiał.

— To nadzwyczajne, nadzwyczajne—powtarzała pani Fenigan, lecz chociaż słowa wyrażały zdziwienie, twarz miała zupełnie spokojną. Wiedziała ona bowiem o wszystkiem, co zaszło z listów starego Merivet, który do niej pisywał; rozpytując się teraz służących miała jedynie na celu, by domownicy przypuszczali, że się od nich dowiedziała o zaszłych zmianach.

— A teraz moja Róziu powiedz mi, czy pan Ryszard nigdy się ciebie nie dopytywał, gdzie ja pojechałam?...

— Nigdy... Pan Ryszard przecież wiedział tak jak my wszyscy, że pani chciała odpocząć nad brzegiem morza u pani Elizy.

Rózia, mówiąc to, kłamała bezczelnie, bo przez pana Aleksandra wiedziała wybornie, gdzie pani Fenigan bawiła przez czas swojej nieobecności. Rózia wiedziała o targnięciu się Lidii na swe życie, wiedziała, iż się nie zabiła, lecz ciężko rozchorowała, skutkiem rany i że doglądała jej pani Fenigan. Rózia dziwiła się jedynie, iż Lidia nie zjechała równocześnie. Z głupawym wyrazem twarzy stała koło łóżka, odpowiadając z udaną naiwnością, chociaż mogła była udzielić niejednej wiadomości. Wiedziała bowiem przez Aleksandra o niepokoju panującym w Grosbourg, gdzie obawiano się bezustannie nowego wybuchu ze strony Ryszarda. Księżna przejmowała listy pisywane do swego męża oraz do syna, zaleciwszy przytem Aleksandrowi, by jej donosił najszczegółowiej o każdym kroku Ryszarda.

Rózia opowiadała teraz o sprawach gospodarskich, lecz pomimo, że zazwyczaj pani Fenigan niestrudzenie badała służbę w tych kwestyach, obecnie prawie, że nie słuchała słów Rózi, mówiącej o niecnych rozbojach, jakich dopuszczały się szczury i koszatki; przeciągała się w pościeli i zdawała się chcieć wypocząć. Kazała sobie

przynieść filiżankę gorącego mleka i odprawiła Rózię ze swego pokoju, chcąc pozostać w nim samą i nacieszyć się ze swego powrotu. Z rozkoszą spoglądała na ściany i meble, do których się stęskniła, wsłuchiwała się w odgłosy dolatujące ją z gościńca: „królicze skórki... gałgany i żelatwo, kupuję królicze skórki!...“ Od lat trzydziestu znała ten głos handlującej tym towarem kobiety, zjawiającej się z nadejściem jesieni, wiedziała, że ta wioskowa gałganiarka ma kawałek gruntu, który sama uprawia podczas wiosny i letniej pory. Na pół drzemiąc, słyszała, jak głos gałganiarki oddalał się i znikał a piskliwo głuche jego dragania przypominały jej różne wydarzenia zaszłe lat ubiegłych; majaczyły się ich roje w głowie zasypiającej pani Fenigan a wołanie: „królicze skórki... stare żelaztwo, gałgany!“—kołysało ją do snu bezpiecznego pod domową strzechą.

Wtem, dwukrotne i dobrze jej znane pukanie do drzwi zbudziło ją nagle, serce jej zabiło silnie i, roztworzywszy oczy, spytała:

— To ty Ryszardzie.. chodź... możesz wejść!..

Przy pożegnaniu nie rzekli do siebie ani słowa i zaledwie zlekka pocałowali się w ostatniej chwili. Przez ubiegłe pięć tygodni, ani razu nie odezwali się do siebie listownie. Teraz jeszcze, ujrzawszy pochmurną, gniewną twarz syna, pani Fenigan nabrała przekonania, iż nie złagodniał, nie spokorniał. Lecz nie zasmuciła się tem, tylko uśmiechnęła łagodnie. Zatrzymała go przy

sobie i prawie zmusiła, by usiadł tuż przy niej koło łóżka, zapowiadając, że chce z nim dłużej pomówić.

— Później porozmawiamy... teraz mama jest zmęczona...

— Nie... chcę zaraz... powiadam ci, że mam bardzo wiele do pomówienia z tobą...

I zwolna, łagodnie, zaczęła od chwili, gdy postanowiła jechać do Quiberon. Projekt tej podróży powstał w jej głowie zaraz po owej strasznej sprzeczce w oranżeryi; uznała, że wyrzuty Ryszarda były słuszne; tak, zbyt stanowcza, ostra i zimna była zawsze dla niego a zwłaszcza dla Lidii; postanowiła się odmienić i zatrzeć o ile możności dawne swe postępowanie, chciała, by jej nie pamiętano, by jej przebaczono dawniejsze urazy. Opowiadała swoje przybycie do tej odległej bretońskiej mieściny. Przez kilka dni ukrywała się, chcąc najpierw wywiedzieć się o sposobie życia Lidii a zebrawszy same tylko dobre wiadomości, poszła do żółtego domu w Haliguen, lecz jakże się przeraziła zastawszy Lidię umierającą i pod opieką wioskowego lekarza, który sam się przyznawał, iż po raz pierwszy zdarza mu się krajać ciało dla wydobycia z niego rewolwerowej kuli.

Ryszard słuchał opowiadania matki, odwróciwszy się i spuściwszy głowę; nie byłaby wiedziała, jakie jej słowa czynią na nim wrażenie, gdyby nie ręka jego, której nie wypuszczała ze swej dłoni.

Czytelnia H. Michniewskiego
№

Ręka ta była początkowo sztywna, jakby martwa, lecz w miarę opowiadania matki, widać, iż serce Ryszarda ulegało wzruszeniu i czułym uściskiem składał jej jakby niemą podziękę. Wróciła ufność, znów był jej synem, jej Ryszardem, który łaknął, by kierowała nim dalej i nie wypuszczała go ze swej macierzyńskiej pieczy.

Prawdopodobnie Lidia nie byłaby wróciła do zdrowia i życia gdyby nie obecność floty przybyłej na manewry do Quiberon. Lekarze marynarki wzięli Lidię pod swoją opiekę a tak chirurgiczna ich wiedza, jak i antiseptyczne środki, znajdujące się w aptece floty, wskrzesiły biedną ranną kobietę. Znajomość z lekarzami floty ułatwiła Eliza, która znała prawie wszystkich oficerów; jakże dobra, uprzejma i współczująca była ta poczciwa Eliza, całemi dniami i nocami doglądała Lidię, zapomniawszy, iż ma przed sobą szczęśliwą współzawodniczkę, ukochaną przez Ryszarda; lękając się, by Lidia nie poczuła się dotkniętą, znikała w chwilach odzyskiwania przytomności przez chorą a wreszcie wyjechała do Lorient, widząc znaczne polepszenie jej stanu zdrowia.

Biedna Lidia, wszak po nużących ją w gorączce strasznych widzeniach pierwszą twarzą, którą ujrzała przytomnemi oczami, była twarz znienawidzonej przez nią matki Ryszarda! Jakże ciężko i powoli doszła ona do przekonania, iż ta matka Ryszarda, stojąca wciąż w pobliżu jej łóżka, z innemi tu dla niej przybyła uczuciami, iż chce ją

doglądać jak własne swoje dziecko, chce ją uzdrowić chociażby kosztem własnego swego życia. Lidia odpychała ją i odwracała od niej oczy, powtarzając w swej niemocy: „Proszę mnie zostawić... proszę nie być tak dla mnie dobrą... wiem, iż pani nie może mi przebaczyć... wiem również, iż syn jej musi mną pogardzać... wreszcie, gdybyście mi nawet odpuścili moje winy, to ja ich sobie nigdy nie odpuszczę!... Chcę umrzeć! Dlaczegóż pani nie dozwala mi umrzeć spokojnie!... Trzeba być złą... złą bardzo, by bronić śmierci dostępu do mnie, ja jej pragnę, ja chcę umrzeć!“

Lidia z zawziętością broniła się i usuwała możność zbliżenia się poufniejszego, sama wszczynała drażliwe rozmowy, jątrzyła gorycz dawnych wspomnień, lecz nie wiedziała z kim ma do czynienia. Myślała, że ma przed sobą dawną panią Fenigan a tymczasem miała przy sobie matkę pełną czułości, która zapomniawszy uraz, zapomniawszy o swej dumie i nieprzystępności, powtarzała sobie w sercu: „Moja wina, iż nie zjednałam sobie Lidii, byłam dla niej okrutną, powinnam więc znieść tę karę i zasłużyć na przywiązanie mojej córki“.

O jakże ręka Ryszarda drżała teraz w dłoniach mówiącej tak czule matki, jakże kochał tę matkę i blizkim był jej serca!

A pani Fenigan opowiadała w dalszym ciągu, jak Lidia łagodniała stopniowo, jak garnąć się zaczęła do życia, lecz chociaż chętnie teraz rozmawiała, mówiła zawsze „pani“, mimo że matka

Ryszarda nazywała ją „córką“. Chwilami bunt zaćmiewał pogodę jej oczu i nie chciała, by jej przebaczono, lecz i pod tym względem zaszła w niej zmiana, gdy Aleksander przybył z Grosbourg dla „załatwienia rachunku i kosztów wynikających skutkiem zerwania stosunku z młodym księciem.“

Lidia leżąca w łóżku słyszała ze swej sypialni w jaki pogardliwy sposób pani Fenigan przyjęła pana Aleksandra, wyrzucając go za drzwi wraz z pieniędzmi księżnej: „Powiedz swojej pani, iż nie starczy jej złota na okupienie zbrodni popełnionych przez jej syna!“ Wzruszona i płacząca Lidia wyciągnęła swe ręce ku wracającej ku niej pani Fenigan i, uścikawszy ją serdecnie, rzekła z wdzięcznością: „Dziękuje ci, moja droga mamo!“ Odtąd lody prysły i stosunek dwóch kobiet stawał się coraz bliższy. Pani Fenigan poznała teraz właściwość charakteru Lidii, była to natura nieznosząca przymusu, pragnąca swobody i rwąca się ku niej tem namiętniej, im większą straż czuła nad sobą. Lecz umysł miała szlachetny, serce pragnące przywiązania. Nikczemność młodego księcia budziła w niej najwyższą odrazę, wstydziła się, iż taki mogła uczynić wybór. Nie było więc obawy z tej strony, Lidia nigdy nie wznowi z nim stosunków, nigdy żałować nie będzie, iż miłość jej trwała tak krótko. Poruszona przez panią Fenigan myśl wspólnego powrotu do Uzelles przeraziła wszakże Lidię. Drżała na wspomnienie Ryszarda, wyrzucając sobie, iż

tak bardzo zawiniła wobec niego. Czyż on może jej przebaczyć?... Czyż on może zapomnieć zło, jakie mu wyrządziła?... Pani Fenigan starała się ją uspokoić:

— On ciebie kocha, moja córeczko. On codziennie za tobą tęskni i nigdy nie przestanie cię kochać.

Lidia potrząsnęła głową na znak niedowierzania:

— Mamo, gdybyś była pewna tego, co mówisz, to byś nie była przyjechała tutaj w tajemnicy przed Ryszardem. Czemu uznałaś za stosowne, by on nie wiedział, że jedziesz mnie odszukać?...

Strach, obawa łatwo się udzielają i są wprost zaraźliwe. Pani Fenigan sama poczęła wątpić, wreszcie zdecydowała się pozostawić Lidię w Quiberon i wrócić do Uzelles dla rozmówienia się z synem, dla zdania mu sprawy ze wszystkiego.

— Wiesz teraz, moje dziecko, gdzie byłam i jaki był cel mojej podróży. Powiedzże teraz, czy miałam racyę, mówiąc twojej żonie, iż możecie jeszcze być szczęśliwymi we wspólnem pożyciu?... Cóż ty o tem myślisz?

W pokoju zapanowała grobowa cisza. Ryszard wciąż siedział z głową pochyloną a drżąca, rozpalona jego ręka ściskała dłoń matki.

Po chwili, pani Fenigan znów zapytała cichutko:

— Powiedz, co o tem wszystkiem myślisz?... Czy dobrze zrobiłam, jadąc do Quiberon?...

— Ach mamo!... moja droga mamo — zawołał Ryszard, padając na kolana przy łóżku pani Fenigan i płacząc dziękował jej ze łzami.

Spodziewała się ona tego wybuchu wdzięczności, lecz jakże słodką była dla niej ta upragniona chwila! Z promieniejącą twarzą pieściła głowę swego jedynaka, lecz pomimo wielkiej radości, jaką była przejęta, niepokoiła ją myśl: „Dlaczego on nie robi wymówek, że zostawiłam tam Lidię samą, zamiast przywieźć ją z sobą?“ Lecz zrozuła tę powściągliwość syna, gdy podniósłszy ku niej oczy, zapytał prawie szeptem i z nieśmiałością połączoną z cierpieniem:

— A dziecko?...

— Nie ma dziecka.

— Umarło?...

— Straciło życie przed urodzeniem.

Ryszard zerwał się z miejsca z twarzą rozpromienioną i znów rzucił się w objęcia matki, mówiąc z uniesieniem:

— Ach mamo, jakież pocieszenie przynoszą mi twoje słowa!... To dziecko wciąż stało mi na myśli... Ja tak niezmiernie pragnąłem mieć własne swoje dziecko!... Czułem, iż ostatecznie wszystko między mną a Lidią zostało zerwane z powodu jej spodziewanego macierzyństwa. Dlatego nie mogłem na sobie przemódz, by się o nią pytać, chociaż tak gorąco pragnę, byś mi o niej mówiła...

Czy wiesz, mamo, że ostatniemi czasy więcej myślałem o jej spodziewanem dziecku, aniżeli o niej samej...

Z cicha zaczął opowiadać, jak pewnej nocy nad ranem zbudził go krzyk przeciągły, przeraźliwy, jakby konającego z bólu zwierzęcia. Zerwał się z łóżka i pobiegł ku oknu. Przekonał się, iż straszny ten jęk dolata od mieszkania dzierżawcy. Dziwił się, bo żyjący tam ludzie zachowywali się zawsze spokojnie i o tej porze dolatywały tylko odgłosy od obór i kurników. Jęk chwilami wzmagał się, to znów przycichał, zanikając w skardze przypominającej kołyskę, to wybuchał z szaloną gwałtownością, przenikając ściany domów i napełniając powietrze bolesnym swym drganiem. Wsłuchując się, Ryszard przypomniał sobie młodą żonę dzierżawcy, która temi czasy spodziewała się dziecka. Krzyki rodzącej kobiety łączyły się teraz z pianiem kogutów, ryczeniem bydła, śpiewem dzikiego ptactwa, witającego wschodzące słońce; niebo różowiało i coraz było jaśniejsze, wszystko budziło się do życia, jak ta drobna ludzka istota, która, płaczem świat ten witając, zwiastowała swą obecność i łączność z całością natury. Zadumanie Ryszarda przerwała myśl, iż może Lidia przechodzi teraz właśnie takież same męczarnie porodu...

— Ach mamo, żebyś ty widziała, w jaką straszną wpadłem rozpacz! Stałem przy oknie i szlochałem na głos... Musiałem być bardzo śmiesz-

nył... Lecz teraz nie ma tu już miejsca na łzy. Dzięki tobie, mamo moja najdroższa, życie płynąć nam będzie słodko... moja żona wróci do nas, zobaczę ją!... Teraz zaczynam się dziwić, dlaczego nie przywiozłaś jej z sobą?...

— Lidia jest bardzo osłabiona...

Mówiąc te słowa, pani Fenigan przymknęła oczy z zakłopotaniem. Kłamstwo szło jej niezręcznie. Ryszard rozpytywał się w dalszym ciągu:

— Zimą tam musi być ponuro, smutno w tej ubogiej mieścinie. A jeżeli znów ona ulegnie nagłej melancholii?...

— Nie mogłam dłużej siedzieć w Haliguen, czułam, że muszę wracać do domu. Więc gdy tylko Lidia przyszła nieco do zdrowia, przyjechałam, żeby zobaczyć ciebie, mój Ryszardzie i żeby się dowiedzieć, jak stoją sprawy z Grosbourg. Pisano mi, że księżna wysila się, by przejmować twoje listy i pisano mi również, że ty bezustannie wprawiasz się w strzelanie...

Po chwili milczenia, matka, przycisnąwszy syna do swego serca, mówiła z tkliwością:

— Ryszardzie, dziecko moje, wszak ja wiem, jakie dobre i szlachetne masz serce, dlaczegóż więc nie ulitujesz się nad tym nieszczęsnym starcem z Grosbourg... toż on chory, zrozpaczony zniweczoną swoją karyerą, niedołężny i przykuty do fotelu, z którego podobno wcale już nie może powstać... więc po cóż się nad nim znęcasz i zarzucasz

go obelżywemi listami przeznaczonemi dla jego syna... Czyż ty nie rozumiesz, że gdyby mógł, stanąłby natychmiast, by bić się z tobą i zginąć w obronie życia swego syna.. Czyż ciebie ogrom nieszczęścia spadłego na generała nie wzrusza, nie łagodzi twego gniewu?

Ryszard wyrwał się z objęć matki i zaczął szybkim krokiem chodzić po pokoju:

— Wszystko to już nieraz mi mówił nasz poczciwy przyjaciel... stary Merivet—i tobie, moja droga mamo, odpowiem tak jak jemu: ci ludzie zbyt srogą krzywdę zadali mi, abym mógł odczuwać względem nich cośkolwiek podobnego do litości. Tak, wszyscy oni dokuczali mi strasznie... mamo, mamo, co ja wycierpiałem z ich powodu!...

— Cierpiała zwłaszcza twoja duma, twoja miłość własna...

— Mamo — rzekł Ryszard z tkliwością — dlaczego wymawiasz mi moją dumę, moją miłość własną... po kimże odziedziczyłem je?...

— Tak, są to wady twojej matki, mój drogi Ryszardzie, lecz zrób tak jak ja zrobiłam—pozbądź się ich na zawsze...

— W jaki sposób?...

— O w sposób bardzo prosty... weszłam do naszego kościołka, do małej parafii... Nie wyśmiewaj się, ty szkaradny chłopcze, bo naprawdę skutek był cudowny... Wyszłam ztamtąd inną, niż weszłam. Dlaczego... zkąd zaszedł zwrot tak nagły?... Nie wiem.

Chcąc ukryć wzruszenie, Ryszard rzekł żartobliwie:

— Poszedłbym tam i ja, lecz na nieszczęście mała parafia jest zamknięta blizko od miesiąca.

A matka, nie spuszczając z niego wzroku, mówiła dalej:

— Dowiedziałam się o tem smutnem wydarzeniu jeszcze gdy Lidia bardzo była chora. Oburzona jestem niesprawiedliwością, jakiej się dopuszczono względem tego czcigodnego księdza Cerès. Wiem, że się zająłeś jego sprawą, bardzo byłam rada, żeś odwiedził biskupa w tym celu. Tak, tak rada temu byłam niezmiernie!

— Naprawdę... czy naprawdę, mamo?...

Poczciwa twarz Ryszarda promieniała przy tych słowach radością, oraz zadziwieniem. Jadąc do biskupa do Wersalu, lękał się, czy nie narazi się tem swojej matce, sprzyjającej proboszczowi z Draveil. Lecz nie bacząc na to pojechał, bo zbyt żywo był oburzony potwarzą rzuconą na księdza Cerès. Głoszono bowiem, iż dał przytułek żonie aresztowanego kłusownika Lucriot, w zamiarze nadużycia niewinności trzech nieletnich córek, zwłaszcza na pewno miał popełnić gwałt na osobie najmłodszej, kilkunastoletniej dziewczynki.

— Rozumiem, mój Ryszardzie, słuszność twego gniewu na ludzi rozsiewających podobne potwarze. Ten święty i czcigodny człowiek obwiniony o zgwałcenie chorowitego, niedołężnego dziecka!

Dziwną też dla niego obrano pokusę, boć ta najmłodsza dziewczyna jest epileptyczką i potwornie wykrzywioną skutkiem konwulsyj. Jako dowód ma starczyć okoliczność, iż mieszkała wraz z matką i rodzeństwem w domu księdza Cerés. Skoro pomyślę, że cała ta wstrętna historya została wymyśloną przez tego wytwornego, pulchnego i pachnącego proboszcza, który dbał więcej o smaczne kąski, aniżeli o dobro swoich parafian — zła jestem na siebie, iż dałam mu się oplątać i że go tak często i chętnie zapraszałam na obiady... Lecz powiedz mi, cóż ci odpowiedział przewielebny nasz biskup?

— Odpowiedział, że proboszcz z Draveil jest bardzo zacnym kapłanem a jego wikaryusz bardzo dobrem starem dzieckiem... Tymczasem wszakże nasz kochany ksiądz Cerès został osadzony w Aiguebelle na trzymiesięczne rekolekcye a proboszcz z Draveil jeździ od domu do domu z petycyą, zbierając pod nią podpisy, w chęci uwolnienia raz na zawsze naszej okolicy od tego księdza, lubiącego tylko żebraków i włóczęgów. Wiem że proboszcz z Draveil niecierpliwie czekał twego powrotu, kochana mamo, by mieć twój podpis.

— A to go przyjmę!

— Mamo, więc nie podpiszesz tej petycyi?... Droga moja mamo! Kiedy tak, to ja ci w zamian składam obietnicę, że niechaj mnie tylko nie zaczepiają ci nikczemnicy z Grosbourg a ja pozo-

stawię ich odtąd w spokoju. Będę się starał zapomnieć, iż istnieją na świecie!

— Oni cię nie zaczepią. Za to mogę ci ręczyć. Ale chodź tu do mnie, niechaj cię uściskam jeszcze, mój kochany chłopcze! A teraz idź sobie, bo muszę trochę wypocząć. Chciałabym zasnąć.

— Szkoda, że mnie wypędzasz, moja droga mamo.... Chciałbym, żebyś mi jeszcze mówiła o Lidii, ona tam sama... chciałbym jaknajprędzej ją sprowadzić...

Pani Fenigan uśmiechnęła się i rzekła żartobliwie:

— Tak, tak... Rozumiem, że chciałbyś jeszcze o niej mówić.. Ale poczekaj, trochę cierpliwości, będziemy z sobą rozmawiali przy obiedzie. Czuję się zmęczoną i muszę wypocząć po drodze. Więc żegnam cię, mój synku.

Odprawiony z pokoju matki, Ryszard czuł, iż nie wytrzyma do wieczora w pracowni. Postanowił puścić się na dłuższą przechadzkę po lesie. Po raz pierwszy skierował się do lasu przez bramę, którą uciekła Lidia. Dotychczas nie mógł tego wymódz na sobie.

Skutkiem późnej już jesieni, liście opadły z drzew i leżały zbite deszczami, tworząc gruby pokład ślizkiego, błotnistego nawozu. Las nie był teraz piękny. Krzewy podszywające go gąszczem zarośli sterczały jak rózgi, ptactwo nawet gdzieś się skryło a wystąpiły w zamian druciane płoty, niewidzialne w czasie letniej pory pod nawałą

paproci i plątaniny pnących się roślin. Gdzieniegdzie podskakiwały szpaki, przysiadając na drutach. Zdawało się, iż są zamknięte w jakiejś olbrzymiej klatce a stada wron ciągnęły po nad drzewami, krakając ponuro. Na bagnach odzywały się dzikie kaczki a ich nosowe monotonne kwakanie rozchodziło się daleko wśród leśnej ciszy.

Ryszard nie widział pustki i smutku wionącego od lasu odartego z zieleni. Szedł prędko, stąpając po zaczarowanym lesie widzianym oczami wyobraźni, po lesie pełnym śpiewu ptasząt, światła, kwiatów i zapachu. Szedł a serce rozsadzało mu piersi, szedł jakby odrodzony, upojony, szczęśliwy. Basowym głosem wyśpiewywał: „pum... pum .. pum...“, lecz jakże odmiennie od zwykłych, dotychczasowych posępnie nuconych: „pum... pum... pum...“ Był szalenie wesoły, zawodził więc pieśń powitalną dla wskrzeszonych nadziei. Wszak znów będzie miał Lidię... będą się kochać wzajemnie, będą się pieścić i czule szeptać do siebie! Rozgorzało mu serce, zapomniał o katuszy, którą skutkiem tej swojej ukochanej przecierpiał, nie piekła go już zazdrość; łzy i krew Lidii uzdrowiły go, zagoiły jego rany.

Droga Lidia! Ileż musiała ona przecierpieć, nim powzięła postanowienie samobójstwa! Ona, co tak namiętnie kochała życie! Cierpiała, nim rzuciła się w objęcia śmierci a cierpieć musiała jeszcze srożej w chwili, gdy ocknęła się po nieudanym

zamachu. Zawiniła ciężko, lecz odpokutowała swoje grzechy. Oczyszczona z nich, odrodzona do nowego życia, stanie przed nim z wyciągniętemi ramionami i Ryszard na myśl o błogości tej chwili czuł się niewymownie rad i wzruszony. Jakże dobrze im będzie błąkać się po tym lesie, poić się wzajemną pieszczotą, oddychać wiosennem powietrzem, pełnem zapachu fiołków i konwalij...

— Wczesnego spaceru dziś pan używa, panie Ryszardziel Może zechce pan wstąpić do mojej chałupy... właśnie do niej wracam...

Temi słowy stary Indyanin przerwał słodkie marzenia Ryszarda.

— Ale może twoja synowa nie będzie rada, gdy jej przywiedziesz gościa o tak wczesnej porze?...

— Nie ma obawy! Ona zawsze bardzo jest rada, gdy kto do nas zawita... Woli patrzeć na gości, aniżeli na mnie... oj niezawsze jestem ja w zgodzie z tą strojną jejmościanką...

Szli teraz razem i wkrótce stanęli przed grubemi, poszarpanemi murami dawnego klasztoru, przy którym wznosił się dworek leśniczego. Po za ciężką bramą, obrosłą mchem, ciągnęło się wielkie podwórze, na którem przed kilku miesiącami Ryszard widział tańczące pary gości, zaproszonych na wesele syna starego Indyanina. Wszedłszy wewnątrz domu, Sautecoeur zdjął z ramion fuzyę i torbę z przytroczonym królikiem, którego

zabił, obchodząc rankiem swój leśny wydział, i wprowadził Ryszarda do schludnej izby, jasno malowanej. Ledwie, że zasiedli przed stołem i, popijając wódkę, zaczęli jeść zakąskę, gdy drzwi się otworzyły i weszła młoda synowa Indyanina. Uczesana była starannie, suknię miała nietylko czystą, lecz prawie wytworną. Zobaczywszy Ryszarda Fenigan, zamiast którego ze zwykłych przyjaciół swego teścia, młoda kobieta zarumieniła się i znudzona jej twarz przybrała wyraz ożywienia, który z brzydkiej przemienił ją na prawie ładną i zalotną. Iskrzącemi oczami spoglądając na Ryszarda, zaczęła nakrywać do stołu, szeleszcząc spódniczkami, pochylając się tuż nad ramieniem gościa.

— Czy pan widzi—szepnął Indyanin, zakrywając się olbrzymią swą ręką. — Pewien byłem, że tańczyć będzie jak fryga, gdy zobaczy nowego i takiego jak pan gościa. Nie stania się ona tak wabiąco, gdy przyprowadzę do domu którego ze starych kolegów. A widzi pan, że ma oczy czerwone i podpuchnięte?... To cała historya!... Całą noc dziś beczała, bo kazałem jej oddać złote kolczyki, które dostała w prezencie. Oj tak, muszę jej pilnować bezustannie a chłopak mój nie zaraz jeszcze wróci..

— A gdzież on jest?...

— W pułku .. postarał się o służbę dodatkową.. On tak lubi żołnierkę, iż dla munduru i służby, zapomina o magazynie, z którego żyje... gotów tam

stracić miejsce z powodu swojego szaleństwa a co jeszcze gorzej, gotów stracić żonę... o bo ją trzeba pilnować, mąż powinienby być ciągle przy niej, dla zupełnej pewności. Otóż wczoraj posłałem ją do Grosbourg z mrówczemi jajkami dla bażantów. Wraca ztamtąd, patrzę a u niej w uszach zasadzone świecące kolczyki złote, zamiast tych, które kupiłem na ostatnim jarmarku. „Któż ci dał te kolczyki?“ pytam. „Księżna pani dała mi je dzisiaj“ odpowiedziała natychmiast. Dziwnem by to było, bo nasza pani wcale nie jest hojna, ale chwilę pomyślawszy, odgadłem wszystko. Po południu byłem na podwórzu przed pałacem w Grosbourg a upatrzywszy chwilę, gdy księżna kazała zawołać pana Aleksandra, zbliżyłem się do nich i rzekłem głośno: „Księżna pani bardzo na nas łaskawa, moja córka pokazała mi swoje kolczyki“ Nasza pani spojrzała na mnie, jak to ona potrafi i rzekła: „Ja twojej córce dałam kolczyki?“ Lecz ten łotr Aleksander zaczął kręcić pyskiem i pani zmieniła zaraz mowę, zrozumiawszy jakiś znak: „Ach tak, dałam jej jakąś drobnostkę... już nawet zapomniałam o tem... Więc cóż... czy twoja córka nie kontenta?“ A ja na to: „Dar to dla nas zbyt wspaniały. Uczciwa kobieta w naszym stanie nie może nosić takich kosztowności i dlatego też córka moja wysłała mnie tutaj, abym ślicznie podziękował księżnej pani za jej wielką dobroć, lecz zarazem, abym oddał te złote klejnoty.“ Księżna już tylko powiedziała: „Dobrze, mój ko-

chany, możesz odejść". Wyszedłszy z Grosbourg, poczekałem na moście na Aleksandra i rzekłem mu: jeżeli jeszcze kiedykolwiek podejmiesz się podobnego zlecenia, to jakiem Sautecoeur, palnę ci w łeb i kadłub twój rzucę do rzeki!

Przy tych słowach małe okrągłe oczy leśniczego błysły dziko i okrutnie.

— Od kogóż jednak pochodziły owe kolczyki— zapytał Ryszard, czując, że blednie skutkiem własnej domyślności.

— Od tego, o kim lepiej teraz nie mówić — odrzekł Indyanin, spostrzegłszy, iż zbytecznie się wygadał.—Oj tak, moja strojnisia szlochała i zawodziła żale. Całą noc słyszałem, jak utyskiwała. A dziś rano miałem z nią rozprawę i ostrzegłem jejmościankę: „moja kochana, pamiętaj sobie, że masz jakgdyby dwóch mężów. Jeżeli jeden jest ślepy, bo widzi tylko twojemi oczami, to ostrzegam cię, że ten drugi niedowierza twoim manewrom i jak cię złapię, to będzie z tobą krucho. Postępuj więc jak należy, jesteś ostrzeżona".

Kończył właśnie te słowa, gdy fertyczna młoda pani Sautecoeur, przepasana białym fartuszkiem, wniosła do pokoju i postawiła przed nimi półmisek z jajecznicą z grzybami. Zapach rozszedł się dokoła, nęcąc ku sobie rozmawiających. Gospodyni kręciła się, usługując i zerkając zalotnie ku Ryszardowi, który, nie zważając na nią, zapadł w zadumę. Postać Karlexisa zarysowała się w je-

go umyśle, wywołana opowiadaniem Indyanina, który, jedząc zwolna rozprawiał dalej o innym przedmiocie. Powstrzymany obecnością swej synowej, odłożył na bok zwierzenia o sprawach domowych i rozwijał przed Ryszardem szereg wspomnień myśliwskich; ku wielkiemu jego zgorszeniu, Ryszard słuchał obojętnie a nawet od czasu do czasu nucił półgłosem tragiczne swoje „pum, pum, pum“, co Indyanin znajdował zupełnie nie na miejscu.

Pani Fenigan, korzystając z nieobecności syna, wstała, kazała zaprządz do powozu i pojechała do ochronki w Soisy. Na wielkiem podwórzu otoczonem zabudowaniami, oraz kaplicą o wyniosłej i zdobnej wieżyczce, stało mnóstwo drabin, wznosiły się rusztowania, na których kręciło się kilkunastu mularzy. W dole pod rusztowaniami chłopcy rozrabiali i mięszali wapno, glinę i piasek a pomiędzy nimi przesuwały się zakonnice o białych skrzydlatych czepcach. Siostra Marta zastępowała przełożoną, chorującą od jakiegoś czasu. Gdy pani Fenigan weszła na podwórze, siostra Marta pośpieszyła na powitanie.

— Jak pani widzi, mamy robotników teraz u siebie, przepraszam za nieporządek — a ciszej dodała:—bardzo szczęśliwie wszystko się składa. Podczas gdy robotnicy pracują do koła podwórza, niewolno dzieciom przychodzić tutaj, aby im nie przeszkadzać. Pokój Lidii znajduje się w bocznym pawilonie i może pani być spokojną,

że jej nikt tutaj nie zauważy. Gdy przybyła dziś rano, na podwórzu byli tylko mularze i siostra furtyanka, która naszą Lidię zna od dziecka. Poleciłam, by ją przeprowadziła do jej pokoju i tejże siostrze powierzę noszenie pożywienia Lidii, oraz sprzątanie jej pokoju. Musiałam przypuścić do naszej tajemnicy doktora, lecz jest to człowiek spokojny i odpowiadam za niego, iż nie zdradzi naszego sekretu. Przychodzi on do nas często, co dwa dni, z powodu stanu osłabienia matki przełożonej. Teraz, zamiast jednej, będzie miał dwie pacyentki a szczęśliwym trafem tak wypadło, iż pokój Lidii jest w tym samym pawilonie i prawie na tym samym korytarzu, co cela naszej matki wielebnej, nikt zatem nie będzie wiedział o drugiej jego chorej. Tak więc, droga pani może być zupełnie spokojną. Tajemnicę dochowamy a że Lidii doglądać będę troskliwie, chyba nie potrzebuję o tem zapewniać.

— O jestem zupełnie o to spokojna, droga siostro Marto! Przypuszczam, iż Bóg w wielkiej swej dobroci natchnął mnie myślą przywiezienia mojej córki tutaj, pod opiekuńczy dach waszej ochronki! Będzie jej tu lepiej, aniżeli gdziekolwiekbądź a do Uzelles nie śmiałam jej przywozić zbyt raptownie. Przypuszczam wszakże, iż nie będzie potrzeby trzymać Lidii długo w ukryciu. Myślę, że nasza biedaczka nie nadużyje waszej gościnności.

Siostra Marta miała niezmiernie żywe ruchy, właściwe wszystkim irlandkom; zatrzepotała

więc długiemi, kościstemi rękoma, wołając ze zgrozą:

— Pani tak mówi, jakbym nie była rada z pobytu Lidii! I pani pilno ją ztąd odebrać, lecz ja jej ztąd nie wypuszczę a przynajmniej nie wypuszczę tak prędko! Ona jest taka jeszcze słaba, i taka bledziutka! Podróż zmęczyła ją niezmiernie, nawet wielce nieostrożnie było wieźć ją tak daleko, zaraz po ciężkiej chorobie! Doktór polecił, aby leżała. Niewolno jej wstawać aż po widzeniu się i pozwoleniu naszego doktora. Czy pani chce ją widzieć?...

Cała ta rozmowa toczyła się prawie szeptem. Teraz siostra Marta powiodła oczyma dokoła i rzekła głośno:

— Chodźmy więc do matki przełożonej. Będzie pani przerażona jej widokiem. Bardzo się zmieniła skutkiem choroby...

Siostra Marta poszła przodem, wskazując drogę pani Fenigan. Mury korytarzy lśniły się białością przypominającą maurytańskie domy. Poręcze schodów świeżo odmalowane nie dozwalały się opierać, szły więc obie kobiety zwolna; siostra Marta szeleściła paciorkami rożańca a pani Fenigan, nosząca przy sobie kółko z kluczami, potrząsała niemi, brzęcząc przy każdem poruszeniu. Przebywszy schody, weszły na długi korytarz, w głębi którego znajdowały się drzwi od pokoju Lidii.

Lidia leżała w łóżku z twarzą bladą, lecz otwartemi oczami. Spostrzegłszy panią Fenigan, o mało nie krzyknęła z radości a wyciągnąwszy ku niej ręce zawołała:

— Mamo, to już ty?...

— Cóż chcesz, moje dziecko, nie mogłam spać i tęskniłam za moją kochaną córeczką.

— To zupełnie tak jak ja; też spać nie mogłam i myślałam a także cieszyłam się... Z jaką przyjemnością jestem tutaj, od rana słyszę, jak dzieci śpiewają; siostry z niemi mówią, każą im wydawać lekcye... Zdaje mi się chwilami, że znów jestem małą dziewczynką i z kolei mnie przyjdzie iść do tablicy lub wydawać zadane wiersze... A gościniec, ten kochany gościniec! Przed chwilą, nim mama weszła, wsłuchiwałam się w odgłosy dochodzące z gościńca. Poznawałam je, odgadując ruch ludzi, zwierząt i wozów...

Pokój zajmowany przez Lidię był obszerny, wesoły. Stanowił on róg pawilonu. Jedno okno wychodziło na trakt, wiodący do Corbeil a drugie na mały ogródek, zwarty pomiędzy skrzydłami rozległych zabudowań ochronki. Na ogródek ten wychodziły okna izb zajmowanych przez klasy, z których co godzinę wypuszczano sieroty, bawiące się teraz tutaj z powodu mularzy pracujących na wielkiem podwórzu, gdzie zwykle bawiły się w czasie rekreacyi.

Pani Fenigan słuchała słów Lidii, wpatrywała się w nią, wreszcie spytała z uśmiechem:

— Dlaczego nie pytasz się o Ryszarda?

— Nie śmiałam się zapytać — i wychudła twarz chorej pobladła i jakby przygasła.

Pani Fenigan opowiedziała jej teraz swoje przybycie do Uzelles i rozmowę z Ryszardem; w miarę jak mówiła, lice Lidii przybierało zdrowszą i bardziej rumianą cerę: wreszcie roztkliwiona miłością Ryszarda zapłakała, tuląc się pieszczotliwie do łona jego matki.

— Niesłuszne miałam obawy. Powinnam była przywieźć cię prosto do Uzelles. Już teraz bylibyście dwojgiem ludzi kochających się i niepomnych gorzkich wspomnień przeszłości. Ale skoro tylko wrócę do domu, powiem mu, że ty nie w Quiberon pozostałaś, lecz że jesteś tuż blizko. Jutro rano przyjedzie do ciebie i po ciebie.

— O nie, droga moja mamo, jeszcze nie, nie jutro — i broniąc się przed tem jutrem, Lidia zaciągnęła kołdrę aż za ramiona. — Mamo, ja boję się naszego spotkania. Jutro to zbyt wcześnie. Ja teraz brzydko wyglądam, chuda jestem i mizerna, wreszcie doktór powiedział, że trzeba będzie opatrywać moją ranę... podobno, że jeszcze nie jest w zupełności zagojona. Chcę, aby Ryszard zobaczył mnie dopiero, gdy wyzdrowieję... Zobaczywszy mnie teraz, przeraziłby się mojej szpetoty i przestałby mnie kochać.

— Gdy się dowie, że jesteś tutaj, nikt go powstrzymać nie zdoła, przybiegnie natychmiast.

— To nie mów mu, droga mamo, o tem, żeś mnie przywiozła... niechaj myśli, że jestem gdzieś daleko... że tego wymagało moje zdrowie... przecież będzie w tem nieco prawdy, bo rzeczywiście czuję się jeszcze bardzo osłabioną, bardzo niedołężną...

— A jeżeli on zechce jechać do Quiberon?...

— To mama mu nie pozwoli, mama wynajdzie jakikolwiek powód, żeby go powstrzymać. Ja tak bardzo pragnę pozostać tutaj chociażby kilka dni w samotności... zdaje mi się, że właśnie tu, w Soisy, wypocznę najlepiej... wszak tutaj mnie wychowano, tu wzrosłam, tutaj mnie Ryszard poznał i pokochał... przy mojej drogiej siostrze Marcie znów stanę się dawną Lidią... odmłodnieję, nabiorę sił... może wróci mi uroda a co ważniejsza wróci mi dar pozyskania na nowo mojego Ryszarda...

Słowa Lidii brzmiały serdecznie i przekonywająco. Czuć w nich było myśl niedopowiedzianą, iż pragnęłaby się oczyścić, wytępić pamięć tych kilku ubiegłych miesięcy swego życia, spędzonych z ujmą dla siebie i męża. Zdawało się jej, że tutaj, pod opieką sióstr, pod dachem, który chronił jej młodociane lata, wróci myślą i stanie się znów małą dziewczynką, biedną sierotą, godniejszą człowieka kochającego ją z takiem oddaniem.

Pani Fenigan zrozumiała to wszystko, przestała więc nalegać i rzekła po chwili:

— Stanie się, jak zechcesz... tylko nie martw się, drogie moje dziecko... bądź dobrej myśli i staraj się wrócić do sił jaknajprędzej.

Pożegnawszy się z Lidią, pani Fenigan poszła odwiedzić matkę przełożoną, by módz powiedzieć Ryszardowi, że ją widziała i tem usprawiedliwić swoją wycieczkę do Soisy. Zastawszy w celi przełożonej siostrę Martę, która, przeglądając rachunki, siedziała przy łóżku śpiącej chorej, pani Fenigan szepnęła:

— Zdecydowałam się zostawić Lidię tutaj. Ona pragnie wypocząć przy tobie, droga siostro, więc niechże zostanie jeszcze kilka dni a ja postaram się przyjeżdżać do niej, jak będę mogła najczęściej.

Wyszły razem, rozmawiając głośno o chorobie matki przełożonej a wsiadając do powozu, pani Fenigan rzekła przy pożegnaniu:

— Smutno mi, że zastałam matkę przełożoną tak bardzo zmieniononą i słabą.

Jakkolwiek słowa te zostały wyrzeczone dla zaspokojenia ciekawości starego furmana, wiedział on o wszystkiem i, siedząc na koźle, uśmiechnął się z pewnem urąganiem. Wszak człowiek, który przywiózł panią Fenigan ze stacyi kolei do Uzelles, wszedł do mieszkania ogrodniczki i opowiedział, że wysiadając z wagonu nie była sama,

że towarzyszyła jej młoda pani bardzo słaba; ledwie mogąca iść o własnych siłach; odwiózł je obie do Soisy, gdzie chora została. Tak więc w pałacu Uzelles cała służba wiedziała o przybyciu Lidii, tylko Ryszard nie domyślał się niczego. Tak bywa zwykle w sprawach tego rodzaju...

XII.

„... Pum ... Pum ...“

Wróciwszy do Uzelles, pani Fenigan niezmiernie się zadziwiła, że Ryszard nie dopytuje się w dalszym ciągu o Lidię. Najmocniej była przekonana, iż zastanie swego syna pałającego miłością i tęsknotą, tymczasem Ryszard milczał, twarz miał chmurną a jakie dręczyły go myśli łatwo było dociec, co chwila bowiem pomrukiwał, jakby bezwiednie „pum... pum... pum...“ Dla matki był wszakże bardzo serdeczny i cały wieczór grał z nią w szachy. Pochylone ich głowy prawie się stykały, lecz przepaść dzieliła ich myśli. „Co się mu stało—myślała matka—dlaczegóż ta zmarszczka między brwiami taka znów głęboka... i jaki posępny, po cóż to ciągłe żałosne śpiewanie... może są to resztki przeżytego cierpienia... bo wszystko, co mu powiedziałam, uradowało go, lecz musiało zarazem poruszyć jego zgryzoty... czyż tak będzie często?“ Ryszard zaś ze swej strony mówił sam do siebie: „Dobrze mama zrobiła, zostawiając ją

tam chociażby na dni kilka... Powrót zbyt niespodziewany byłby może zabójczym dla nas obojga... zanadto jestem zbolały. Tylko wspomiano o Karlexisie a natychmiast wróciła mi dawna rozpacz, wściekłość... myślałem, że wszystko to minęło... po rozmowie z mamą taki byłem szczęśliwy, upojony... W rozdrażnieniu, w jakiem jestem, dokuczałbym mojej biednej Lidii, gdyby tutaj była... tak, byłbym dla niej niesprawiedliwy, niemiłosierny, okrutny".

Minął tydzień. Chwilami Ryszard był swobodny, lecz tylko chwilami. Wrzała w nim gwałtowna walka. Dopytywał się wszakże o Lidię a matka udająca, iż odbiera od niej listy, zdawała mu sprawę, co do stanu jej zdrowia. Wreszcie, po tygodniu, Ryszard rzekł do matki:

— Opanowałem się. Teraz już mama może być o mnie spokojna. Jeżeli zechcesz, mamo, to pojedziemy po nią do Quiberon.

Pani Fenigan uśmiechnęła się:

— Jesteś uspokojony i uzdrowiony, kochany mój synku, bardzo się z tego cieszę, bo i twoja żona znacznie już zdrowsza. Będzie więc można przywieźć ją tutaj, tem łatwiej, że podróż po nią nie będzie daleka.

— Jakto?...

— Pojedziemy powozem i w pół godziny zajedziemy do naszej drogiej Lidii.

— Nie rozumiem... Jakto... powozem do Quiberon zajedziemy w pół godziny?...

— Zaraz ci to wytłómaczę... tylko wysłuchaj mnie spokojnie... Lidia nie jest w Quiberon. Nie chciałam jej tam zostawiać pomiędzy obcymi ludźmi. Przywiozłam ją do Soisy... jest w ochronce pod opieką siostry Marty. Jeżeli zechcesz, to zaraz po śniadaniu pojedziemy tam i zabierzesz swoją żonę do waszego pawilonu. Cóż ty na to?.. Czy rad jesteś, ty stary mój dzieciaku?...

Nie ma słów ani dźwięków w ludzkiej mowie, by oddać siłę radości i niepokoju Ryszarda, gdy siedząc obok matki w powozie, jechał ku ochronce w Soisy. Dzień był zimowy, jasny, wietrzny, słoneczny chociaż śnieżny. Pierś Ryszarda wzdymała się ogromem szczęścia a zarazem wspomnień z przed dziesięciu laty, gdy zimą jeździł tąż samą drogą pomiędzy lasem a Sekwaną do ukochanej swej narzeczonej. Wzruszenie rozsadzało mu serce zarówno wtedy, jak obecnie. Upojony miłością, milczał, prawie, że nie słysząc słów matki, mówiącej w głębi powozu:

— Kazałam uprzątnąć w pawilonie. Wszystko tam gotowe na wasze przyjęcie. Będziecie dziś jeść obiad we dwoje w pracowni. Zdaje mi się, że na pierwszy dzień przybycia Lidii tak będzie najlepiej. Wreszcie, ona sama pragnęła, aby tak było. Skarby uczucia i delikatności odkryłam w twojej Lidii. Wiesz, że gdy poznałam ją bliżej, zaczynam przypuszczać, iż zakonnice miały racyę, opowiadając mi o wielkopańskiem jej pochodzeniu. Zkądżeby inaczej wzięło się w niej tyle

podniosłości, dumy i szlachetnych porywów? Tak, niezawodnie, pochodzić ona musi ze znakomitego rodu... nawet jej układ, jej wytworność i uroda potwierdzają domysły siostry Marty... Ale otóż i jesteśmy...

Powóz zatoczył się cicho po śniegu podwórza i stanął przy głównych schodach ochronki. Siostra Marta oczekiwała przybywających.

— Czyż to nas nie odmładza o cały dziesiątek lat? — zawołała wesoła irlandka, witając gości uśmiechem. — Musisz pamiętać, panie Ryszardzie, iż zawsze ja ciebie wprowadzałam do saloniku, w którym widywałeś się z narzeczoną. Dziś zaprowadzę cię do pokoju Lidii a niezadługo przyjdę tam z twoją mamą, lecz pierw pójdziemy obie do matki przełożonej.

Ryszard, zostawszy na korytarzu sam przed drzwiami pokoju Lidii, zatrzymał się i zawahał. Wzruszenie tamowało mu oddech, obezwładniało go zupełnie. Wtem, z pokoju, gdzie oczekiwano nań zapewne z równie gwałtownem wzruszeniem ozwał się głos: „Proszę wejść!“. Ach jakże ten głos kochany i tak dawno nieobijający się o jego uszy, wydał mu się słodki i miły!

Jadąc do Soisy, Ryszard mówił sobie: „Roztworzę jej ramiona i przycisnę ją do piersi pierw nim usta zdołają wyrzec jakiekolwiek słowo!“ Ona również miała postanowienie rzucenia mu się na szyję, by pocałunkiem powstrzymać banalność rozmowy. Lecz układane przez nich plany spełzły

na niczem, zapomnieli bowiem o wzruszeniu czysto zmysłowej natury, które górę teraz wzięło nad innemi uczuciami.

Gdy wszedł, Lidia stała w pobliżu okna a wysmukła jej postać, owinięta w blado-różowe flanelowe ubranie, zarysowywała się uroczo na tle białości śniegu pokrywającego sąsiednie dachy i drzewa. Ładna główka Lidii opromienioną być się zdawała rozwianemi pierścieniami złotych włosów, spadających aż na ramiona; szare jej oczy świeciły i pociągały swoją głębokością. Ryszard zatrzymał się, olśniony jej pięknością. Nigdy w swych marzeniach nie widział jej równie młodą, piękną i uroczą. Tego uroczego wdzięku nie miała ona dawniej. A więc nabyła go w objęciach tamtego... podniecona pieszczotami kochanka?... Ryszard poczuł się pociągnięty a zarazem odtrącony od tej pięknej Lidii. Upojony miłosnym szałem, czuł w sobie zarazem wściekłość gniewu, pragnął ją całować, lecz także rozszarpać lub udusić dla wywarcia zemsty, która w nim zawrzała.

Stał więc nieruchomy, lękał zbliżyć się ku niej, by mu ręce nie oplotły bezprzytomnie białej tej szyi i nie uśmierciły, karcąc za pieszczoty tamtego. Szalona zazdrość wpiła mu się w duszę z nową jakąś siłą, drętwiał z bólu, rozpaczając nad niemożliwością rozpoczęcia nowego życia z tą kobietą, tak namiętnie kochaną; lecz sama jej piękność była przeszkodą! Czuł, iż za każdem spoj-

rzeniem rzuconem na nią, przypominałby sobie jej kochanka. Nie, wszystko powinno być między nimi zerwane! Nawał tego rodzaju myśli obległ go natarczywie, rozdzierając mu duszę najsroższem cierpieniem. Miał ochotę płakać, lecz siłą woli opanował się szybko i z spuszczoną głową na piersi wyrzekł głucho, ledwie dosłyszalnie skutkiem nerwowego drżenia:

— Witam cię, Lidio.

Były to jedyne słowa, na które mógł się zdobyć w tej wyczekiwanej minucie pierwszego spotkania.

— Witam cię, Ryszardzie — odpowiedziała mu jakby echo.

Zapadło milczenie i tylko słychać było syczenie węgli rozpalonych na kominku, oraz monotonny głos zakonnicy dyktującej głośno w klasie starszych dziewczątek. Wtem doleciał odgłos skrzypek z gościńca. Piskliwe tony kadryla przeszywały powietrze, zbliżając się co chwila i rażąc swą wesołością smutny, przygnębiający nastrój myśli Ryszarda i Lidii.

— Jakieś wesele idzie gościńcem — szepnęła Lidia machinalnie.

Ryszard zbliżył się do okna, ku któremu i ona obróciła się twarzą i spytał również, niezdając sobie sprawy, że przemówił:

— Więc to dziś sobota?...

Tak więc gościniec dostarczył im tematu do pierwszej rozmowy, tak coś zupełnie, jak przed

dziesięciu laty, gdy Ryszard przybył do ochronki w roli starającego się o biedną sierotę.

— Tydzień temu, jak wróciłam z mamą z Bretanii, po drodze czułam się zmęczona i zasnęłam. Wtem zbudziła mnie zupełnie taka sama muzyka... zrozumiałam zaraz, że to sobota, kiedy wesele idzie gościńcem. Byłam niezmiernie rada, posłyszawszy te okrzyki; od tylu lat przywykłam słyszeć je w sobotę...

Gdy Lidia wymówiła z serdecznością słowo „z mamą". Ryszard poczuł jakby orzeźwiające ciepłe tchnienie. Nie patrząc wszakże na Lidię i stojąc przy oknie, szepnął:

— A więc nie zapomniałaś o naszym gościńcu wiodącym do Corbeil?...

— O nie!

Stojąc w pobliżu siebie, patrzyli przez okno. Lidia zauważyła idącego traktem starego Sautecoeura w towarzystwie syna. Ojciec i syn, równi wzrostem, szli ramię przy ramieniu, jak dwa olbrzymy, szli milcząc a jednakże każde oko z łatwością mogło dostrzedz jak głęboka i tkliwa łączy ich przyjaźń. Ojciec szedł każdej soboty na spotkanie syna, byłby go niezawodnie odprowadzał na stacyę kolei w każdy poniedziałek, lecz tego dnia musiał zdawać raport ze swej służby, więc młoda tylko pani Sautecoeur odwoziła męża po spędzonej z nim niedzieli.

— To młody Sautecoeur wrócił z pułku?...

Zaledwie Ryszard wyrzekł te słowa, natychmiast spostrzegł z rozpaczą całą ich niewłaściwość, wszak w tymże samym pułku dragonów odbywał swą wojskową służbę Karlexis, którego postać wywołana tą uwagą, stanęła teraz w myśli ich obojga. Znów zapanowało głuche i przygnębiające milczenie. Na szczęście nowa osobistość ukazała się na gościńcu. Stary Jerzy z torbą żebraczą przewieszoną przez plecy, z kijem swym nierozłącznym w ręku, usuwał śnieg z przydrożnego kamienia znaczącego kilometry i siadł na nim w słońcu, naprzeciwko okien ochronki. Ryszard zaczął się dziwić, jakim sposobem ten starzec ledwie mogący powłóczyć nogami, znalazł siły, by zajść aż tutaj, pomimo silnego mrozu i wiatru.

— Możnaby przypuszczać, iż odgadł on mój powrót do ochronki, bo codziennie o tej godzinie siada na tym kamieniu a wiem, że tego nie robił przed moim przyjazdem.

A Ryszard, patrząc życzliwie na starego żebraka, dorzucił do słów Lidii:

— Wzrusza mnie to przywiązanie starego Jerzego, wiernie nad tobą czuwa z psią poczciwością. Po twoim wyjeździe upijał się codziennie, jakby z rozpaczy i wiecznie kręcił się tuż koło naszego domu. Przypuszczam, że ciężko był zmartwiony twoją nieobecnością, zacząłem mu współczuć i pozwoliłem zamieszkać w budzie nad rzeką

— Więc ulitowałeś się nad nim z mojego powodu?... Mój dobry, mój kochany Ryszardzie, doprawdy, nie jestem warta, byś tyle życzliwości zachował dla mnie w swojem sercu!

Wzruszona, chwyciła rękę Ryszarda i niosła ją do ust, lecz on z brutalną szorstkością wyrwał się z jej uścisku a prawie równocześnie, zawstydziwszy się, wybuchnął płaczem, powtarzając:

— Lidio, żono moja ukochana, przebacz mi, przebacz!..

Lidia zalała się gorzkiemi łzami i z jękiem żałosnym szepnęła:

— Wiedziałam, że wszystko już dla nas stracone!...

— Nie... nie... ręczę ci, że nie... Przyrzekam ci... ale, poczekajmy jeszcze... Później, zobaczysz...

Wtem drzwi się uchyliły i weszła pani Fenigan wraz z siostrą Martą. Od pierwszego wejrzania matka zdała sobie sprawę, iż zgoda nie nastąpiła jeszcze między Ryszardem i Lidią, lecz zakonnica, mniej biegła w tych kwestyach, zawołała z wesołym uśmiechem:

— Otóż ten szkaradny człowiek, który powtórnie czyha na zabranie mi mojego dziecka!

Lidia przerwała jej szybko:

— Nie, droga siostro... nie obawiaj się... jeszcze jakiś czas pozostanę pomiędzy wami... Ryszard i ja prosimy cię o tę łaskę... wszak nie będę wam tutaj wielką zawadą?

— Zostań z nami jak długo tylko zechcesz, im dłużej, tem dla nas lepiej—mówiła zwolna siostra Marta, spoglądając na Lidię i na Ryszarda szeroko rozwartemi oczami, myślała bowiem, że zobaczywszy się muszą pojednać a pojednani nie zechcą się rozłączać.

— Czy naprawdę pobyt Lidii nie sprawia ci, siostro Marto, żadnego kłopotu — spytał Ryszard, siląc się na każde słowo.

— Lidia jest tutaj u siebie... tylko nie będę mogła jej trzymać w zupełnem ukryciu... już kilka sióstr wie, że się tutaj znajduje a lękam się, że i przed naszemi dziewczątkami wyda się tajemnica.

— Mnie bynajmniej nie chodzi o tajemnicę... wreszcie za kilka dni przyjedziemy po Lidię, wszak tak... za kilka dni?—spytał, zwracając się ku swej żonie.

— Tak, kiedy zechcesz, kochany Ryszardzie— odrzekła Lidia niepewnym głosem.

Ozwał się dzwonek, oznajmiający ukończenie nauki w klasach. Zawrzały teraz na dole śmiechy, gwar i dziewczątka napełniły niewielki ogródek, tuż pod oknami pokoju Lidii. O szyby zaszeleściały gałęzie modrzewi, rosnących koło domu, widocznie małe zbytnice bawiły się w otrząsanie śniegu.

— Za kwadrans — rzekła siostra Marta, zwracając się do pani Fenigan i jej syna — dziewczątka pójdą pomodlić się w kaplicy. Będzie to więc naj-

lepsza pora, byście państwo mogli ztąd wyjść niepostrzeżeni przez nikogo.

Przy pożegnaniu była chwila, że Ryszard chciał chwycić Lidię w swe objęcia i ucałować ukochaną jej główkę, ona odczuła tę szaloną chęć jego i wysunąwszy ku niemu czoło, zmrużyła oczy, lecz on, opanowawszy się, podał jej obie dłonie i gorączkowo uścisnął drżące jej ręce.

Ciemno już było, gdy matka z synem przybyli z powrotem do Uzelles. W głębi szpaleru łuna biła od okien oświetlonego pawilonu, w którym czekało przygotowane przyjęcie dla pogodzonego małżeństwa. Śnieg i drzewa przed pawilonem lśniły się od światła, płynącego przez szyby.

— Nie idź tam, mój synku, zbyt smutno by ci było — rzekła pani Fenigan, zmuszając Ryszarda, by wszedł do salonu, gdzie czekał na nich stary Merivet. Pani Fenigan zaprosiła notaryusza, nie chcąc być samotną przy dzisiejszym obiedzie.

— Cóż to... a gdzież twoja żona... dlaczego jej nie ma — dopytywał Merivet biednego swego przyjaciela, stanąwszy znów przed kominkiem i susząc buty, z których buchała para.

— Nie mogłem... nie mogłem — powtarzał Ryszard z cicha, lecz gwałtownie a z tyłu za nim matka dawała znaki, prosząc Meriveta, by nie dopytywał się zbytecznie.

Po chwilowem milczeniu, notaryusz począł opowiadać o własnych swoich kłopotach i przez cały czas obiadu rozmowa toczyła się o sprawach do-

tyczących małej parafii. Merivet oburzał się, iż proboszcz z Draveil, działając wspólnie z radą gminy, przysłał mu rozkaz otworzenia zamkniętych drzwi kościoła, przypominając, iż ofiarowany gminie, przestał być prywatną własnością. Na rozkaz urzędowy Merivet odpowiedział, iż płacąc ze swej kieszeni księdza i zakrystyana, ma prawo wybierania ich wedle własnego upodobania. Dopóki więc ksiądz Cerès będzie wikaryuszem przy kościele w Draveil, on a nie kto inny będzie odprawiał mszę w małej parafii. Stanowcze to oświadczenie wywołało pełne podejścia wystąpienie proboszcza z Draveil. Udał się on do zarządu gminy z ubolewaniem, iż skutkiem rekolekcyj pokutnych, na które został skazany ksiądz Cerès, mieszkańcy Uzelles pozbawieni są mszy niedzielnej, do której przywykłszy od lat kilku, cierpią obecnie nad krzywdą sobie zadaną. Członkowie rady gminy uwierzyli w podstępny manewr proboszcza z Draveil, który pragnął jedynie posiąść tę posadę dla samego siebie, nie gardząc, chociaż był bogaty, pensyą wyznaczoną przez notaryusza, za odprawianie mszy niedzielnej w małej parafii.

— Przysięgam wszakże, jakem Napoleon Merivet — zawołał notaryusz, unosząc w górę deserowy nożyk trzymany w ręku, — iż wyswobodzę parafian z Draveil od chciwego księdza, rządzącego w ich kościele! Zobaczycie, że umiem być energicznym, gdy idzie o dobro całej gminy. Oczyszczę ją i wyzwolę ze szponów złego

proboszcza, chociażbym miał się oprzeć aż o Rzym, błagając łaskawego rozporządzenia Ojca Świętego, który zaszczycił mnie orderem Świętego-Grzegorza.

— Wszakże tymczasem będziesz pan musiał roztworzyć drzwi swojego kościołka — rzekła pani Fenigan, zabawiona oburzeniem notaryusza.

— Pani kochana myli się najzupełniej. Zaraz jutro zwołuję paru mularzy i każę im oczyścić dzwonicę ze śniegu, co zajmie kilka dni z powodu słotnej pory roku a potem zabiorą się oni powoli do małej reparacyi, którą im wynajdę. Roboty i naprawy trwać będą tak długo, jak czas pokuty księdza Cerès.

Zadowolony z pomysłu, staruszek roześmiał się głośno i serdecznie, pewnym będąc, iż ksiądz Cerès, a nie kto inny, odprawiać dalej będzie mszę świętą w małej parafii.

Po skończonym obiedzie, pani Fenigan poszła do swojego pokoju a dwaj przyjaciele, pozostawszy w salonie, rozpoczęli długą i pełną ufności rozmowę. Nawykli do tego rodzaju szczerych pogadanek od dnia, w którym Merivet odkrył Ryszardowi tajemnicę swojego życia. Dziś Ryszard zwierzał się przyjacielowi, odsłaniając przed nim swoją niemoc, wzburzenie i przecierpianą katuszę w czasie pierwszego spotkania się z powracającą Lidią.

— Czułem, iż żyć nam razem jest niepodobna jeszcze... byłoby to męczarnią dla nas obojga...

a jednakże przebaczyłem jej, tak przebaczyłem z głębi serca. Dlaczegoż więc powstaje we mnie taki bunt... taka wściekłość, którą ledwo mogę opanować?... Drogi mój panie, dlaczegoż niepowiedziałeś mi, że to wszystko przedstawia tyle trudności!

Mówił, chodząc. Rzucał słowa urywanemi, krótkiemi zdaniami, podkreślając je gwałtownością ruchów. Stary notaryusz czuł się także wzburzony, lecz panował nad sobą; siedział przed płonącym kominkiem i rozgrzebywał ogień haczykiem trzymanym w ręku.

— Znam to uczucie... Pamiętam com przecierpiał... zdarzało się, iż patrząc na uśpioną twarz mojej Ireny, dopatrywałem się zmian, jakie na niej zaszły w czasie, gdy żyła zdala odemnie... a drobne wgłębienia przy oczach i w kącikach ust, brałem za znaki wyżarte miłosnemi pocałunkami jej kochanka... trząsłem się i szalałem z bólu, uprzytomniając sobie ich pieszczoty. Od dokonania zbrodni ratowały mnie słowa tego zacnego księdza, którego powrotu pragnę gorąco zwłaszcza dla ciebie. Mówił on do mnie surowo, jak spowiednik winien mówić do grzesznika: „Tak, żona twoja sprzeniewierzyła ci się, należała do innego mężczyzny, poznała inne pocałunki oprócz twoich. Lecz czyjaż w tem wina?... Dla czego narzekasz? Dla czegoż lepiej nie zapytujesz samego siebie, o ile byłeś jej wierny? Czyż ona jest jedyną niewiastą, którą zaznałeś?“

Do salonu, gdzie toczyła się ta rozmowa, doleciały dźwięki muzyki i głosy ludzi idących gościńcem. Śpiewali, krzyczeli a wiatr i śnieg tłumiły wrzawę ich pochodu.

— Odprowadzają państwa młodych do domu — zawołał Merivet, wspomniawszy o weselu, które widział, gdy dążyło przed kilku godzinami do Draveil. A po chwili dodał:

— Powiedzieć, że od ciebie zależało, byś i tv przywiódł dziś do siebie twoją żonę!.. Zawziąłeś się, Ryszardzie! Skrusz swoją duszę i bunty; nic one niewarte, wierzaj mi! Szczęście ci się uśmiecha, nie odtrącaj go od siebie! Daj mu się unieść... pamiętaj że jeden uścisk zatrzeć może wszystkie twoje żale, wszystkie męczarnie, któreś już przeżył. Wróć do żony, przywieź ją i pozyskaj na nowo. Szczęście twoje, szczęście jej samej od ciebie dziś zależy!

Idąc za radą przyjaciela, Ryszard pragnął stłumić swoje bunty, lecz zawsze napróżno. Jeździł codziennie do Soisy, ale wracał ztamtąd zrozpaczony. Piękność Lidii była dla niego nieustającą podnietą do jątrzenia nurtującej go zazdrości. Patrząc na nią, myśląc o niej, wywoływał zarazem pamięć jej kochanka, wciąż przytomnemi mu były pieszczoty ich, pocałunki i miłosne unie-sienia.

— Ach, dlaczegóż go nie zabiłem! Dopóki on żyć będzie, zawsze myśl o nim stanowić musi przepaść pomiędzy nami.

Temi słowy kończyła się zwykle każda rozmowa Ryszarda z Lidią. Klęcząc u jej kolan, patrzał na nią z namiętną miłością, to znów żalił się i oburzał, unosił się gniewem, męczył ją i siebie, nie mogąc się opanować pomimo czynionych wysiłków. Chwilami zapadało pomiędzy nimi ciężkie i długie milczenie, przerywane szmerem dziecinnych głosów, wydających lekcye, lub też hałasem ruchu panującego na trakcie wiodącym do Corbeil.

Podobne położenie nie mogło się przedłużać. Lidya nie mogła pozostawać w ochronce, będąc tuż w sąsiedztwie domu swego męża. Merivet zaproponował dnia pewnego:

— Dla ukończenia moich handlowych interesów, potrzebuję pojechać na dwa lub trzy miesiące do Algieryi. Otóż, niechaj Lidia wróci do Uzelles i zamieszka przy pani Fenigan a ciebie, Ryszardzie, wezmę z sobą... podróż wpłynie na ciebie wybornie. Tyś nigdy nie podróżował, więc wszystko będzie dla ciebie nowością i rozrywką. Zgubisz trochę samego siebie, odświeżą ci się myśli, tyś zanadto żył w zamknięciu. Mam przekonanie, iż wrócisz ztamtąd uleczony, wreszcie zastaniemy tu za powrotem naszego kochanego księdza Cerès. Mała parafia już będzie otwarta i jeżeli zechcesz tam wejść kiedy, to cud, któremu tyle zawdzięczają inni, na ciebie też zbawiennie oddziała.

— A kiedy pan ma zamiar wyjechać?

— Chciałbym jak najprędzej.

— A więc zgoda. Zaraz jutro przywiozę moją żonę i spędzę z nią dzień jeden w pawilonie. Jeżeli zauważę, iż nie jestem jeszcze w zgodzie ani z nią, ani z sobą, to nad ranem stawię się u pana, gotów do podróży.

XIII.

Niemożebność pojednania.

Niewymownie słodkim był dla Lidii pierwszy wieczór spędzony w Uzelles, w towarzystwie męża i matki, którą teraz serdecznie kochała. Gdy roztworzywszy fortepian, zaczęła grać ulubione utwory mistrzów, wszyscy troje doznali głębokiego i jednakowego wzruszenia. Ileż razy Ryszard, słysząc grywane przez nią melodye, słysząc pomimo jej nieobecności, akompaniował im swoim basowym głosem, rozdzierając sobie serce stęsknione za ukochaną! W obecnej chwili melodya płynąca z pod palców Lidii, jednoczyła ich dusze w uścisk pełen tkliwości i wzajemnego przebaczenia.

Na dworze dął wicher a suchy śnieg grzechotał po szybach. Nigdy jeszcze Lidia nie doznała tak żywo jak dzisiaj, powabu domowego ogniska. Zdawało się jej, iż teraz dopiero zbudziła się ze snu męczącego, by rozpocząć życie proste, szczęśliwe, przy boku kochającego i kochanego przez nią człowieka. Jakże bezpieczną

czuje się ona pod strażą tego wiernego i dobrego towarzysza! Nagle śpiewy i śmiechy ozwały się na dole. Ryszard zapytał:

— Co to znaczy?...

— Nic... to maski... zapomniałeś, że dziś tłusty wtorek?...—uspakajała go matka.

Lecz jedna i ta sama myśl pojawiła się w głowach ich trojga, skutkiem czego nie śmieli przez chwilę ani przemówić, ani spojrzeć na siebie. Rok temu, w tłusty wtorek i o tejże co teraz godzinie, zadzwoniono gwałtownie do bramy i zajechało kilka powozów, napełnionych przebranemi strojnie osobami, które, nie pytając się, wpadły do spokojnego salonu pani Fenigan, tańcząc i śpiewając. Nieprędko dowiedziano się, kim byli ci weseli młodzi goście, bo coś dopiero w godzinę po przybyciu Karlexis zdjął maskę i przedstawił resztę zwiezionego przez siebie towarzystwa.

Po cóż doleciało ich teraz karnawałowe echo z gościńca, budząc niepotrzebnie drażliwe wspomnienia. Naraz zrobiło się jakby ciemniej i chłodniej w tym salonie, pełnym przed chwilą ciepła i tkliwości uczuć.

— Chodźmy, Lidio — rzekł Ryszard, wstając z fotelu — trzeba, żeby mama mogła się położyć.

Pani Fenigan chciała zadzwonić, by ktoś ze służby odprowadził ich ze światłem do pawilonu

— Po co?... Niech mama będzie o nas spokojna... Wszak Lidia dobrze zna drogę w ogrodzie.

Tak, znała ją dobrze. Ale pocóż on to powiedział? Czyż chciał jej przypomnieć dni, w których szła tamtędy z kochankiem?... Więc od zniewagi rozpoczyna się chwila pójścia razem do siebie?... Zadrżała biedna Lidia; wstała pełna trwogi i pożegnała się z panią Fenigan, życząc jej dobranoc.

„Spróbujmy, jak nam będzie gdy zostaniemy sami“, mówił jej Ryszard, wioząc ją dziś do Uzelles. „Jeżeli nie zdołamy się pojednać, to jutro wyjadę w podróż na kilka miesięcy“.

Całe popołudnie chodzili razem po parku i po sadzie, było im dobrze z sobą, każde z nich strzegło się, by jakiem nieopatrznem słowem nie zbudzić przykrych wspomnień. Lidya czuła się niesłychanie ujętą delikatnością i dobrocią Ryszarda. Zaczynała nabierać wiary, iż wszystko da się naprawić i że wspólne życie szczęśliwie popłynąć może. Wiara ta wzmagała się w niej w miarę jak zbliżała się godzina ich samotności i powrotu do dawnego małżeńskiego ich pokoju.

Lidia czuła się piękną i wiedziała jak szczerze pragnie odzyskać Ryszarda, mówiła więc sama do siebie: „Niechaj zapragnie mojej pieszczoty—a pozyskam go na zawsze“. Lecz teraz, gdy przeklęte odgłosy karnawału zmroziły ich wywołanemi wspomnieniami, Lidia czuła się znów

trwożną, zupełnie niepewną, jakieś przeczucie szeptało jej, iż szczęście było tuż blizko, lecz oddaliło się. Byle tylko nie nazawsze!...

Idąc do pawilonu, tuliła się do Ryszarda, lękając się własnych myśli, lecz spędzała swój niepokój na ciemność nocy, ślizgość ulicy, na psy spuszczone z łańcucha a każdy z tych powodów służył jej za przyczynę nowego przytulenia się bliżej, coraz bliżej serca swego męża.

— Dawniej nie byłaś taka lękliwa—rzekł do niej, nie zważając i nie odpowiadając na jej przymilania się do niego.

— Może byłam mniej nerwowa.—A ciszej dodała:—Jestem nerwowa, bo wiele cierpiałam.

Chciała temi słowy wywołać współczucie, litość w sercu Ryszarda. Lecz on pozostał obojętny.

Weszli najpierw do pracowni, gdzie czekał na nich ogień zapalony w kominku, oraz lampa, której żółty płomień wskazywał drogę prowadzącą z pałacu do pawilonu. W pokojach na górze, też palił się ogień. Lidia byłaby wolała iść zaraz do dawnego ich pokoju, lecz Ryszard chciał ją mieć przy sobie, patrzeć na nią i cieszyć się rzeczywistym jej widokiem, właśnie tutaj, w pracowni, gdzie tyle się natęsknił, gdzie tyle przecierpiał w czasie jej nieobecności.

— Tutaj byłem najnieszczęśliwszy... Siadałem w tym fotelu i patrząc na gościniec, na zakręt

rzeki, myślałem o tobie... Ach, jakie straszne były to godziny!

Lidia osunęła z siebie futro całe pokryte szronem i stanąwszy przed nim, położyła mu ręce na obu ramionach.

— Dokuczyłam ci... domyślam się a nawet wiem o tem... lecz poczekaj, zobaczysz, że o tem zapomnisz, bo całych sił dołożę, by ci wynagrodzić twoją krzywdę... Patrz, czytaj w moich oczach i zaczerpnij w nich nadzieję. Wiem, że wiele ci jestem winna, lecz postaram się wypłacić ci moje długi.

Zbliżyła się jeszcze ku niemu i nadstawiając czoło, rzekła:

— Chodź, pójdziemy na górę, do naszego pokoju...

Lecz on odsunął ją zlekka i bez gniewu, ale rzekł stanowczo:

— Idź sama. Ja zostanę tutaj.

— Naprawdę?... Chcesz, abym sama tam poszła?...

I mówiąc to pobladła i jakby wpół omdlała. Ryszard zaczął wyrzucać sobie swoje okrucieństwo i rzekł, uniewinniając się:

— Cóż zrobić?... jest to silniejsze nad wszelkie rezonowanie. Nie mogę. Lękałbym się, abym cię ostatecznie nie znękał swojem dziwactwem... czuję, iż byłabyś niezmiernie nieszczęśliwą... Wolę zostać...

Podała mu rękę na dobranoc, poddając się jego woli.

— Zrobię jak zechcesz. Dobranoc, Ryszardzie!

Weszła na schody, zawołała Rózi i przez jakiś czas słychać było kobiece głosy dolatujące do pracowni. Potem Rózia zeszła i za pozwoleniem swojej pani, poszła do ogrodników, by spędzić wraz z resztą służby pałacowej, ostatnią noc karnawału.

Ryszard wiedział, że Lidia pozostała sama. Pragnął biedz ku niej a zarazem jakaś siła nieprzeparta przykuwała go w pracowni. Wreszcie zmęczony wewnętrzną walką, rzucił się na kanapę, zamierzając przeleżeć tutaj aż do rana, jak często czynił w czasie nieobecności ukochanej i upragnionej swej żony. Lecz teraz była ona zbyt blizko. Jakże mógł zasnąć, podniecony jej obecnością, zaniepokojony o przyszłość jej i swojego życia?... Dlaczegoż ich wole nie zgadzały się z sobą?... Zaczął lżyć siebie, nazywając się głupcem, szaleńcem. Brzmiały mu w uszach słowa starego Merivet: „Pamiętaj, że jeden uścisk zatrzeć może wszystkie twoje żale“. Dwukrotnie wstał z kanapy, mówiąc: „idę!“, lecz zatrzymywał się, pozostawał na miejscu, zalewając się łzami rozpaczy.

Wreszcie nie mogąc dłużej wytrzymać, wbiegł do sypialni.

Lidia leżała w ich wielkiem i nizkiem łóżku a lampa przysłonięta w górze, oświetlała tylko

jej obnażone ramiona i szyję, wysuwające się zalotnie z wytwornego nocnego ubrania. Ujrzawszy go, oczy Lidii przybrały wyraz tryumfu, lecz przymknęła je natychmiast z niewieścią przebiegłością, niechcąc, by ją zdradzały.

— Jakto, ty jeszcze nie śpisz?—rzekła z przymileniem i jakby na wpół śpiąca.

Zbliżył się ku niej i nie chcąc okazać namiętnej żądzy, która wzmogła się w nim na widok tego pięknego ciała, pragnącego jego uścisku, rzekł powoli:

— Nie boisz się zaziębić?...

Mówił z cicha, w ustach spalonych żądzą czuł jakąś przykrą suchość a po chwili dodał z pogardliwą podejrzliwością:

— Dawniej nosiłaś inne nocne ubranie. Miałaś koszule szczelnie zapięte pod samą szyję... pamiętam, jak się na nie zawsze złościłem..

— Tak, zakonnice zaleciły mi i same uszyły owe nocne koszule, o których mówisz... Ale chciałam ci dziś przypomnieć ową noc spędzoną razem w hotelu, w Paryżu... wówczas nie miałam na sobie koszuli z ochronki...

Zarzuciła mu ręce na szyję i szepnęła do ucha:

— Czyż ty nie widzisz, że czekałam na ciebie?...

Zamknął oczy, by łatwiej oprzeć się pokusie i rzekł jakby przez sen:

— Ach tak, w hotelu, w Paryżu! Cóż to za rozkoszna była pieszczota!... Ale teraz nie przyjdzie już dla nas taka błogość jak wtedy... Już ty nie możesz dać mi upojenia...

— Dlaczego?...

— Bo to ciało twoje... te ręce... te ramiona... ty cała, wszak należałaś do innego, odebrałaś mi wszystko, co było moje...

Przy tych słowach wstrząsnął się cały i chciał się wyrwać z jej ramion, lecz litość opłynęła mu serce, słysząc boleść jej głosu, gdy rzekła:

— Więc uważasz, iż niedostatecznie zostałam ukarana?... Iż nie spełniłam należnej pokuty?... Patrz...

I odsłoniwszy koszulę, ukazała mu poniżej kształtnej, drobnej swej piersi, dwie czy trzy szramy, które otoczone były rąbkiem drobnych lecz głębokich zmarszczek.

— Czy widzisz, jakie głębokie znaki pozostały mi po kulach?... Zaszły daleko... krajali mi ciało, żeby je wydostać... i pomimo chloroformu, strasznie wtedy cierpiałam...

— Moja najdroższa! Moje ty biedactwo — zawołał Ryszard, zdjęty litością. Pochylił się nad śladami kul i ustami dotknął pokazane sobie blizny. Lecz raptownie rzucił się w tył na myśl, iż chciała sobie ona zadać śmierć, lecz nie z jego powodu. Cierpiała nie przez niego, ale skutkiem opuszczenia ze strony kochanka!

— Chciałaś się zabić, rozpaczając, iż on przestał cię kochać!

— Mylisz się, Ryszardzie. Gdy postanowiłam zabić się, nienawidziłam go i pogardzałam nim z całej duszy. Zapytaj się swojej matki. Ona była przy mnie w czasie całej mojej choroby. Powie ci ona, że leżąc nieprzytomna i bredząc w malignie, tylko ciebie wspominałam, tylko ciebie wzywałam, przy tobie szukając ratunku! W czasie nieprzytomności nie kłamie się! Wypowiada się obrazy, któremi mózg jest opanowany. Matka ci powie, że jedynie ciebie pragnęłam... chciałam pozyskać twoje przebaczenie... żałowałam życia zmarnowanego, bo przy tobie, z tobą byłam szczęśliwą i rozpaczałam, że to nigdy nie wróci... bo utraciłam prawo do twego serca... do twoich pieszczot...

— Zdaje mi się, że mówisz szczerze, bo masz dobre serce... Chcesz mnie pocieszyć.. dać mi trochę szczęścia, nagrodzić mnie za krzywdy wyrządzone. Może nawet pragniesz mnie pokochać... lecz gdyby tamten zechciał, gdyby chociaż tylko mrugnął na ciebie... rzuciłabyś wszystko, byle rzucić mu się w objęcia... nie mogłabyś się powstrzymać, by nie okazać mu radości z jego powrotu!

— Milcz, Ryszardzie... zlituj się milcz, nie mów takich okropności...

Lecz nie słuchał jej, unosił się coraz gwałtowniej.

— Dlaczego mam milczeć?... rzeczy, które mówię, są przecie tylko prawdą. Ja, cóż jestem?... Człowiek nieśmiały... nie wiedzący... nie umiejący... On posiada całą sztukę kochania a przytem taki jest piękny!... On ciebie nauczył wszystkiego?... Powiedz .. no powiedz... może zaprzeczysz?...

— Ryszardzie, błagam cię, przestań...

Chciała zamknąć mu usta pocałunkami, ręce zarzuciła mu na szyję i tuliła się do niego jakby chcąc go przejednać, uspokoić; lecz w tem zabrzmiał odgłos myśliwskiego rogu a Ryszard, posłyszawszy go, pobladł i wyrwał się gwałtownie z objęć swej żony.

Za dawnych czasów, gdy Karlexis bywał częstym gościem w Uzelles, porozumiewał się z Ryszardem za pomocą grania na myśliwskiej trąbce; z tarasu w Grosbourg oznajmiał w ten sposób, że wybiera się do Uzelles a Ryszard odpowiadał mu w tenże sposób na znak, iż go oczekuje. Dźwięki trąbki rozlegały się wtedy wesoło, płynąc po rzece i łącząc dwa domy wówczas życzliwe a dziś tak nieodwołalnie na zawsze sobie wrogie.

— Lidio... czy słyszysz?...

Prawie bezwiednym ruchem chwycił ją za ramiona i miażdżył z nieprzytomnością szaleńca.

— Ryszardzie, uspokój się... to ogrodnicy bawią się... dziś tłusty wtorek...

— Nie, nie, to dolata z Grosbourg... on wie, żeś ty wróciła i przypomina ci się... Czy słyszysz?... On ciebie woła...

Trąbka wciąż grała a donośna jej muzyka, rozlegając się wśród nocnej ciszy, podniecała wzburzenie Ryszarda.

— Czy słyszysz, jak się ciebie domaga?... Jak ciebie pragnie?... On ci zabrania, byś tę noc spędziła przy boku swojego męża... on chce, byś pamiętała o nim... o jego pieszczotach... jego uniesieniach w twoich objęciach... poczekaj... ja mu odpowiem...

Rzucił się ku schodom, zbiegł na dół, lecz po kilku minutach wrócił bolejący i pełen wstydu. Szał minął, zrozumiał swoją niesprawiedliwość i swoje okrucieństwo. Zastał Lidię nawpół ubraną. Klęknął przed nią, pytając:

— Gdzie chcesz iść?... Co chcesz zrobić?...

— Zostaw mnie... Nie chcę tu pozostawać dłużej... Zanadto męczymy się oboje... Pójdę teraz do twojej matki i z nią przepędzę resztę nocy.. a jutro wyjadę ztąd. Po cóż mam być przyczyną twoich uniesień... twojego gniewu i cierpienia?... Widocznie jest to po nad twoje siły i wspólne życie nasze jest niemożebne...

Teraz ona odpychała od siebie klęczącego przy niej Ryszarda i całującego jej stopy, całującego ją całą; z uniesieniem chwycił ją na ręce i zaniósł na łóżko, kołysząc ją i pieszcząc jak dzie-

cko; słowa jego były pełne uczucia, chwilami jednak wybuchały buntem.

— Przebacz mi... przebacz najdroższa... Czuję, iż czasami chwyta mnie szaleństwo... lecz bądź wyrozumiała... nie moja w tem wina, lecz tego nędznika... tego łotra...

— Dlaczego o nim wspominasz... przestań o nim myśleć... przecież wszystko już minęło, on przestał dla mnie istnieć... uważam go za trupa.

— Ach, jakże bylibyśmy szczęśliwi, gdyby on naprawdę był tylko trupem!... Lecz niestety, on żyje... on będzie ciebie śledził... będzie chciał ciebie widzieć... Niechajże się mnie strzeże! Bo jeżeli go napotkam, to zabiję jak wściekłego psa... O, nikt mi go nie wyrwie... zduszę... zabiję nędznika...

— A ja ci dopomogę... bo też pragnę się pomścić za krzywdę doznaną... za krzywdę tak srodze na mnie ciążącą i pozbawiającą mnie twojej miłości...

Szepcząc te słowa, zawisła na szyi Ryszarda a domówiwszy ich, opuściła się w tył na poduszkę. On patrzał na nią, żałując nieledwie, iż nie potrzebuje zdobywać jej uścisku i pieszczoty; to znów mu się zdawało, iż gorętszą namiętnością mogła go zdobyć i na zawsze odzyskać. Mięszanina uczuć, wzburzenie, miłość i nienawiść, miotały Ryszardem. Zaczął mówić. On, zawsze małomówny, rozpoczął monolog zdaniami urywanemi, to okresami niezwykłej długości, po-

wtarzał się, gniewał, to znów uspokajał; chodził po pokoju, zatrzymując się chwilami i nadsłuchując, czy trąbka nie odezwie się na nowo po drugiej stronie Sekwany. Lecz słychać było tylko śnieżną zawieję szturmującą do okien, lub trzask ognia palącego się na kominku. Chwilami wiatr cichnął na dworze i właśnie teraz, gdy Ryszard znów zbliżył się do okna, posłyszał jak zegar na wieży małej parafii wybił godzinę trzecią. Zmęczony i uspokojony wszystkiem co wypowiedział, Ryszard podszedł w stronę łóżka i głosem słodkim jak błagalna modlitwa szepnął:

— Lidio, żono moja, ukochana moja, zakończmy naszą męczarnię... Powiedz mi, że go nie kochasz. Przysięgnij, że go nie kochasz i że o nim nie myślisz... Zrób to, błagam cię, zrób... bym mógł przycisnąć cię do siebie jak swoją... Widzisz... nie odpowiadasz mi... milczysz... nie chcesz składać fałszywej przysięgi... Więc myślą żyjesz przy nim... należysz do niego?... Lidio! Lidio! miej litość nademną i odpowiedz mi... więc ty jego tylko kochasz?...

Pochylił się nad nią, chwycił za ręce, lecz pozostały bezwładne.

Przekonał się, że zasnęła. Spała snem spokojnym zmęczonego dziecka. Pierś jej falowała rytmicznie a lekki oddech ulatał przez różowe, nieco rozchylone usta. Dlaczegóż podszedł ku niej z tą pokorą wzbudzoną wyrzutami sumienia...

myślał, iż okrucieństwem jest znęcać się nad nią dłużej... żałował brutalności swych wyrażeń... a przecież mógł mówić do samego rana, bo męczył tylko samego siebie. Gorzko się zaśmiał, patrząc na smacznie śpiącą swoją ofiarę. Wszakże po chwili, gorycz ustąpiła miejsca tkliwemu uczuciu; zasnęła ze zmęczenia, zasnęła wyczerpana z sił po tylu wzruszeniach; współczuł teraz jej kobiecej słabości. Jakby dzieckiem jego była, otulił ją kołdrą, zakrywając obnażone jej ramiona i wziąwszy lampę, wysunął się cicho z sypialni.

Resztę nocy Ryszard spędził w pracowni. Chodził bezustannie i liczył godziny, bijące na wieży małej parafii. Gdy świtać zaczął zimowy poranek, wyszedł z pawilonu i, stanąwszy w mieszkaniu starego swojego przyjaciela, oświadczył mu, że pragnie z nim jechać do Algieryi, chociażby natychmiast.

XIV.

Spotkanie

W majowy, pogodnie mgławy poranek, Chuchin wsiadł do łodzi i zwolna płynął w pobliżu brzegu, upatrując najdogodniejszych miejsc do zastawiania sieci, nadchodziła bowiem pora otwarcia rybołówstwa. Dość było spojrzeć na starego wioślarza, by nabrać przekonania, iż wsiadł do łodzi głównie dla zabicia czasu, jechał zwolna, rozglądając się zwłaszcza za ludźmi, z którymiby mógł wdać się w gawędkę. Chuchin wypoczywał podczas nieobecności swego pana i rozporządzał sobą, łodzią i rzeką dowolnie. Przystanąwszy przy galarach wypił wódki z przewoźnikami a pożegnawszy ich, podpłynął ku pralni urządzonej na wielkim statku, stale przywiązanym do brzegu i rozpoczął żarciki z kobietami piorącemi bieliznę. Odcinały mu się jak mogły, wreszcie śmiejąc się zaczęły mu grozić kijankami, gdy wtem gadatliwy Chuchin spostrzegł odbijającą się w wodzie postać pana Aleksandra, opartego i nieco pochylonego po za poręcz mostu.

Chuchin był z łodzią swoją w cieniu, ukryty po za filarem mostu, złożył wiosła i pykając z lulki przeżuwał w myśli, jak zagadnąć kochanka swojej córki, któremu nie dowierzał i którego uważał za skończonego łotra.

— Czego on tu wyczekuje, stojąc na moście? Prawda, że słyszy on ztamtąd wszystkie plotki, jakie trzęsą praczki, spłukując wraz z bielizną wszystkie brudy ludzkie, dziejące się w całej okolicy, ale przecież ten bywalec i urwipołeć wie o tem coś więcej niż te kobiety... Nie... nie, on nie po to wpatruje się w wodę... ślepie jego, chociaż małe, patrząc tu widzą dokoła... on wyczekuje kogoś.. pewnie ten ktoś ma nadejść ze stacyi kolei...

Ujął wiosła w dłonie i pchnął łódkę przed siebie a wysunąwszy się z pod mostu, zawołał ochrypłym i drwiącym głosem:

— Jużby się chciało puścić wędkę do wody, za rychło, jeszcze nie pora, panie Aleksandrze!

Zaskoczony z nienacka, pan Aleksander drgnął i poprawiając binokli odrzekł:

— Zgadłeś, mój stary... ale ryby, które zwykłem łowić, nie w twoje chwytają się sieci..

Urwał i nadsłuchiwał uważnie, lecz łoskot, który go doleciał nie biegł od dworca, ale od szluzy, więc znów się pochylił nad poręczą mostu, pytając:

— A cóż u was słychać nowego?... Pan Ryszard zawsze jeszcze w podróży po swojej Algieryi?...

— Co tu udawać, gadasz, jakbyś nie wiedział... czyż Rózia nie wypaple ci zawsze wszystkiego, co się u nas dzieje?...

Pan Aleksander skrzywił się z niesmakiem. Unikał on zawsze rozmowy o Rózi ze starym jej ojcem, zdawało mu się, iż tak wypada, lecz ten głupi prostak nie oceniał delikatności uczuć wytrawnego pana kamerdynera, który prawdę powiedziawszy, lękał się również wioseł i pięści ojca swej kochanki. Chcąc zwrócić rozmowę na co innego, zawołał śmiejąc się:

— Patrzajno, Chuchin... twój lokator spuszcza się do piwnicy!..

Tę żartobliwą uwagę pana Aleksandra wywołał stary Jerzy, który, wyszedłszy z budy ponad rzekę, kierował się ku brzegowi, trzymając w ręku długi kij ze sznurem i butelką. Wlókł się niedołężnie, nogi uginały się pod nim, mrugał szybko nabrzmiałemi powiekami, jakby rażony słonecznem światłem.

— Próżniaczysko—rzekł z pogardą Chuchin.— Dziwną doprawdy myśl mieli moi państwo, żeby oddać budę temu żebrakowi... tylko zapchli moje sieci i zabrzydzi wiosła... Ale pocóż to on wylazł z tą swoją wędą... przecież ryb niewolno jeszcze łapać...

— A czyż nie widzisz, że on już złapał na nią butelkę... wynalazł sobie sposób czerpania wody bez wielkiej fatygi.

Brzeg rzeki był wysoki i żebrak nie mógł zejść niżej, bo było zbyt dla niego stromo, więc z wielką biedą położył się na ziemię, przypuszczając iż tym sposobem butelka sięgnie do wody. Chuchin i Aleksander śmieli się na głos, tak ich bawiły wysiłki starego biedaka.

— Zdechnie stary niedojda... dalibóg dyabli go wezmą, tak się nadyma!...

— Łbem gotów wlecieć do wody... a to dyabli nadali tego starego... wleci... doprawdy wleci... hej, ojcze Chuchin, uważaj.. masz tobie, chlupnął w rzekę!...

Rozległ się okrzyk straszny, przeraźliwy, krzyk istoty wołającej o pomoc, pragnącej całemi siłami ratunku. W okrzyku tym było coś dzikiego, przeszywającego. W miejscu, gdzie stary wpadł do wody drżały jeszcze trzciny i zarośla. Na szczęście ludzie pracujący na poblizkiem polu zbiegli się na pomoc i wyciągnęli starca na brzeg rzeki. Trząsł się na całem ciele, woda lała się strumieniami z jego ubrania, lecz z zaciśniętych dłoni nie wypuścił swojego kija. Chuchin, który z przyjemnością pomyślał sobie, iż wreszcie buda pozbędzie się swego mieszkańca, teraz, mrucząc, skierował łódkę do wybrzeża, udając, iż śpieszył na ratunek tonącemu.

Tymczasem oczekiwany przez pana Aleksandra pociąg z Paryża nadjechał i młoda pani Sautecoeur, wysiadłszy z wagonu doszła właśnie do mostu. Ubrana była w różową suknię w białe paski a poranny wietrzyk owijał lekką spódnicę o smukłe jej ciało, uwydatniając kształty zalotnej kobiety. Tuż przy niej szła, sapiąc, tłusta jejmość, nizka i czerwona. Była to pani Noël, żona profesora z Paryża. Wynajęła ona pokój w domu leśniczego, albowiem doktorzy zalecili jej spędzenie lata na wsi, o ile możności w sosnowym lesie ze względu na zdrowie córeczki, którą właśnie wiozła w dziecinnym wyplatanym wózku. Skoro tylko pani Sautecoeur dostrzegła pana Aleksandra, rzekła do swej towarzyszki, iż ją dogoni, sama bowiem musi się na chwilę zatrzymać. Nie chcąc zwracać niczyjej uwagi, szybko zamieniła kilka słów z ex-kamerdynerem z Grosbourg.

— Książę przyjechał... chce się z panią widzieć w lesie, w pobliżu Chêne-Prieur...

— Niepodobna... zbyt mnie pilnują...

— Kto?... Indyanin?...

— Tak... Zanudza mnie swoją opieką...

W tem na moście ukazało się kilkoro ludzi. Piekarka jechała w swoim wozie i pozdrowiła ich uprzejmem „dzień dobry". Tuż za nią jechał konno pomocnik rzeźnika, trzymając przed sobą kosz z mięsem, uśmiechnął się do nich, odwracając głowę, gdy ich minął. Pan Aleksander udawał teraz, iż opowiada zaszłe wydarzenie ze starym

Jerzym, ukazując więc dramatycznym ruchem ręki budę nad rzeką, oraz trzciny, z których wyciągnięto biedaka, mówił głośno:

— Tak, tak, myślałem, że już źle będzie ze starym... chciałem już iść po wózek ojca Fourcat, by zabrał nieboszczyka.

A po cichu dodał:

— Jutro, we czwartek, jest jarmark w Corbeil.. proszę być o godzinie jedenastej w sklepie przy ulicy Saint-Spire... Książę tam przyjedzie, więc wybierzecie razem biżuterye, na które pani ma ochotę...

— Nie wiem, czy będę mogła się stawić... Nie mogę przyrzekać nic stanowczego...

Mówiąc to, patrzała w dal na rzekę a widząc znów zbliżających się ludzi, zawołała głośno z udanem współczuciem:

— Biedny stary Jerzy, po takiej kąpieli może dostać zapalenia płuc... a w jego wieku to choroba niebezpieczna... Żegnam pana, bo pani Noël na mnie czeka...

— Do widzenia — i pan Aleksander skłonił się przy tych słowach z wyszukaną grzecznością:

Praczki, nie przestając machać kijankami, zerkały ciekawie ku rozmawiającej parze na moście, a gdy dostrzegły, iż pan Aleksander przesyła końcem palców całusa odchodzącej pani Sautecoeur, roześmiały się na całe gardło i zaczęły dogadywać: Patrzcie, co to za stary łobuz, jeszcze mu nie dosyć Rózi... teraz tej mu się zachciewa!

Lecz taki już los w rodzinie Sautecoeurów... wszak Indyanin całe życie nosił rogi przyprawiane mu przez żonę, teraz przyszła kolej na syna... Rozwesolone swojemi własnemi uwagami, praczki gadały jedna przez drugą, śmiejąc się do rozpuku.

Śmiech praczek i hałas raźnie walących klepadeł, dolatał uszu pani Sautecoeur, która, dopędziwszy panią Noël, pomagała jej ciągnąć wózek, namawiając ją przytem, by nazajutrz poszła z nią razem na jarmark do Corbeil. Pożyczą w tym celu karyolkę od sąsiada i same będą powozić... Droga do Corbeil jest prześliczna... przez las... więc i dziecku będzie zdrowo odbyć taką przejażdżkę.

— Tylko z powodu mojego teścia, proszę, niechaj pani pierwsza zaproponuje... On mi zawsze niedowierza niewiedzieć dlaczego... już taki ma charakter... Pani jednej ufa zupełnie. Przed pani przyjazdem nigdy mi nie pozwalał iść samej na spacer... albo szedł ze mną, albo też kazał mi czekać niedzieli, gdy mój mąż przyjedzie z Paryża. Niech pani wymyśli jakie sprawunki na jutro.. Proszę to zrobić dla mnie a pani zobaczy, jak wybornie się zabawimy.

O ile stary Sautecoeur był podejrzliwy, o tyle pani Noël była kobietą łatwowierną. Od miesiąca zamieszkiwała ona w domu leśniczego i najzupełniej niczego się nie domyślając, odgrywała rolę parawana, po za skrzydłami którego Karlexis

przyprawiał rogi swojemu porucznikowi. Dobroduszna twarz pani Noël, oraz tytuł profesorowej, oślepiły Indyanina, powierzał jej opiece swoją synowę, spokojnym będąc, iż pod wyborną jest strażą. Przyjaciołki wychodziły codziennie razem na spacer do lasu, wioząc w wózku wątłą córeczkę paryzkiego profesora i zasiadały z robotą w cieniu drzew, najczęściej w pobliżu Chêne-Prieur, ta część lasu bowiem nie należała do działu będącego pod nadzorem Indyanina. Podczas, gdy drzewa szumiały po nad ich głowami, panie, siedząc na składanych stołeczkach przywiezionych w wózku, rozmawiały lub czytały głośno „Le Petit Journal", komentowały pomieszczone w dzienniku brukowe nowiny, lub szyły, wyczekując chwili podwieczorku, składającego się z przysmaków zabranych z domu.

Zdarzało się, iż pani Sautecoeur proponowała złożyć robotę i biedz dalej w las, lecz otyła pani Noël z przerażeniem wymawiała się jak mogła, przekładając z powodu swej tuszy pozostanie na miejscu, pozostawała wtedy samą a towarzyszka jej znikała na dłuższą chwilę. Oswobodzona, szła szybko na umówioną schadzkę z Karlexisem. Nie mógł się on pokazywać w domu leśniczego, gdyż go raz złapał całującego tak trudną do upilnowania synowę; schadzki kochanków miały teraz miejsce wśród lasu, w ustronnem zagajeniu. Trawa rosła tam gęsta, miękа i puszysta, Karlexis legiwał na niej całemi godzinami, wyczekując przyjścia

pani porucznikowej. Przynosił on z sobą wielki parasol, który stanowił rodzaj improwizowanego namiotu. Wymieniane pod nim uściski i pieszczoty dwojga kochanków, były dorywcze, trwożne, zawsze połączone z obawą, iż ktoś spłoszyć ich może.

Gdy nazajutrz rano karyolka wioząca dwie panie z leśnictwa przejeżdżała przez szeroki most na Sekwanie pod Corbeil, ludno i gwarno było w miasteczku, zazwyczaj głuchem i pustem. Domy miasta ścieśnione w górze wokoło starego klasztoru, spuszczając się ku rzece rzedniały, okolone zielenią ogródków i sadów. Pośród nich wyróżniał się wielki dach pokrywający plac, na którym skupiało się targowisko a pieszo idący ludzie i wozy wszelkich rozmiarów i kształtów dążyły ku temu centralnemu miejscu dnia dzisiejszego. Pani Sautecoeur zatrzymała karyolkę w pobliżu klasztoru, prosząc panią Noël, by tutaj na nią czekała, zapewniając, iż śpieszyć się będzie z załatwieniem swoich sprawunków.

— A jeżeli pani albo dziecko się znudzi, to wejdźcie do kościoła, bardzo jest piękny. Zwłaszcza niechaj pani się przyjrzy kamiennemu posągowi rycerza, podobno ludzie umyślnie przyjeżdżają, aby go zobaczyć...

Uśmiechnięta, rozpromieniona, wyskoczyła z karyolki i pobiegła na schadzkę podług umowy z panem Aleksandrem.

Magazyn przy ulicy Saint-Spire pełen był ludzi. Nieco na boku siedział młody książę i wybierał kolczyki, postawiwszy koło siebie krzesło dla przybyć mającej pani porucznikowej. Nadeszła i, siadłszy tuż przy nim, szeptać z nim poczęła przypatrując się kolczykom rozłożonym na kawałku czarnego aksamitu. Dokoła nich rozmawiano głośno, wytrząsając parasolami, krząkając i plując; była to rodzina bogatego włościanina z okolic Corbeil, która przybyła całą gromadą, by wybrać prezenty ślubne dla najstarszego syna, mającego wkrótce się żenić. Każdy coś doradzał, kiwał lub potrząsał głową, śmiano się i dowcipkowano a kobiety w wielkich białych czepcach przypatrywały się z powagą, lecz z iskrzącemi oczami porozkładanym przed niemi kosztownościom. Po mimo typowego obrazu, jaki stanowili ci wieśniacy, para siedzących przy sobie kochanków nie zwracała na nich uwagi. Mieli oni ważniejsze sprawy do załatwienia. Indyanin miał dzisiaj nakazaną służbę nocną; przysłano rozporządzenie z Grosbourg, by wszyscy leśni całą noc byli dziś na nogach.

— O godzinie dziesiątej wieczorem przybędę. Miej więc okno od twego pokoju otwarte.

— Ach nie, to zbyt niebezpieczne! Indyanin gotów nadejść. Boję się!

— Boisz się... czego?... Twój mąż jest w Paryżu a Indyanin nie wróci do domu przed godziną szóstą zrana. A przecież usłyszymy, jeżeli kto

kolwiek się zbliży, bo chyba nie myślisz, byśmy zasnęli. Wszak to pierwsza noc nasza, pierwsza, którą w całości z sobą spędzimy.

Karlexis szeptał jej do ucha, dotykając nieledwie ustami jej włosów, podczas gdy ona patrzała na biżuteryę, obracając je w palcach na wszystkie strony, nie mogąc się zdecydować w wyborze. Ludzie zapełniający magazyn wyszli a właścicielka sklepu na prędce uprzątnąwszy rozłożone dla nich łańcuchy i broszki, zbliżyła się z nizkim ukłonem ku księciu. Była to kobiecina zawiędła, sucha, o zielonkawej cerze, zajmowała się magazynem wraz ze swoją siostrą, zupełnie do niej podobną. Obie zdawały się być średniowiecznemi postaciami, zabytkami jakiejś wiecznie żyjącej tutaj rodziny drobno-kupieckiej, wyniszczonej fizycznie skutkiem braku światła i powietrza.

— Czy jaśnie oświecony książę znajduje to, czego żąda?...

— Tak, tak... wybrałem, co mi potrzeba. Niechaj mi pani odłoży na bok ten oto garnitur. Dziś wieczorem wstąpię, by go zabrać.

Pani Sautecoeur cała spłonęła z radości i wstała z krzesła, zabierając się do wyjścia, gdy w tem wielki jakiś powóz zaprzężony w parę rosłych koni zatrzymał się przed drzwiami magazynu, zasłaniając sobą okna. Zrobiło się naraz ciemniej, jakby zapuszczono firanki lub spuszczono markizę.

— To powóz pani Fenigan — rzekła właścicielka sklepu z głosem pełnym uszanowania, lecz bez uniżoności, z jaką przemawiała do Karlexisa.

Książę nawet nie drgnął i nie odwrócił głowy, uśmiech tylko jego stał się inny, zły i zimny. Patrzał, nie spuszczając oka z wysmukłej i wytwornie ubranej młodej kobiety, która weszła do magazynu.

— Czy mój zegarek już zreparowany?—spytała Lidia niemogąca znaleźć głosu, by rzec coś więcej. Silniejszy nad jej wolę chwycił ją nerwowy kaszel i zdławił jej głos w gardle. Nie widziała Karlexisa od chwili, gdy rozstali się w Monte-Carlo i otóż niespodziewanie w lustrze naprzeciwko drzwi, któremi weszła do tego sklepiku w Corbeil, ujrzała tę twarz człowieka, który tyle zła jej wyrządził. Jakże ładną a zarazem bezczelną i podstępną miał głowę! Lidia naraz poczuła w sobie wstręt, przerażenie, gniew a zarazem uciechę, iż takiego tylko a nie innego doznaje wrażenia, stanąwszy w pobliżu księcia. Ileż bowiem razy pytała ona z niepokojem samą siebie: „Jakiego doznam uczucia, gdy się z nim spotkam?“

Pewną była teraz, iż jeżeli go kiedykolwiek kochała, to wszelki ślad tej miłości zniknął, przepadł na zawsze. Czekając na swój zegarek, widziała w lustrze, iż pani Sautecoeur patrzy na nią impertynencko i gniewnemi oczyma ulicznicy. Dlaczego?... toć może być spokojną, iż Lidia nie odbierze jej kochanka. Wzięła

swój zegarek i skinąwszy głową sprzedającej, wyszła, nie rzekłszy słowa. Twarz wszakże miała zmienioną, pani Fenigan bowiem zapytała ją z niepokojem:

— Lidio, co tobie?... Co ci się wydarzyło?

— Brzydkie miałam spotkanie—odszepnęła, siadając do powozu.

A jeszcze ciszej, by stangret nie mógł dosłyszeć, powiedziała nazwisko Karlexisa.

— Ach, pocóż ja dzisiaj przyjechałam do Corbeil!

— To moja wina, najdroższa moja córeczko!.. Ale ty nigdy nie wychodzisz, ani nie wyjeżdżasz z domu, więc chciałam, żebyś trochę odetchnęła świeżem powietrzem.

— Wiem, mamo... wiem, żeś chciała dla mojego dobra .. ale miałam jakieś przeczucie, że mnie spotka nieszczęście.

Pani Fenigan spojrzała na nią wzrokiem pełnym przerażenia:

— Nieszczęście?...

— O, nie bój się, kochana mamo, nie przypuszczaj, abym się dopuściła czegokolwiekbądź o coby można posądzać taką waryatkę jak twoja Lidia... Uspokój się, mamo! Uspokój, kocham tylko Ryszarda i nigdy nikogo kochać nie będę, prócz niego!... Ale jakże ja mu powiem o tem dzisiejszem spotkaniu?...

— Zachowajmy to w sekrecie... Tylko my dwie będziemy o tem wiedziały... Możeby to

rzeczywiście rozdrażniło Ryszarda... a przecież już prawie pewne go jesteśmy po ostatnich listach poczciwego Meriveta. Nie trzeba opóźniać ostatecznego jego wyzdrowienia, zapomnienia... trzeba, by mógł wrócić jaknajprędzej... unikajmy więc wszelkich powodów, mogących opóźnić jego przyjazd.

— Więc mam przed nim kłamać? Cóś zatajać?... Czyż mama nie pamięta, że mu przyrzekłam zupełną szczerość?... I od czasu, jak jest w Algieryi, byłam z nim najzupełniej otwartą, tak mi było miło módz dotrzymać danej obietnicy...

Rozmowa dwóch kobiet toczyła się nad tą kwestyą, przerywana wszakże częstemi przestankami. Powóz zatrzymywał się co chwila przed różnemi sklepami i wychodzili z nich kupcy, panie dawały im polecenia i czekały, by przynieśli żądane sprawunki. Paczki większe i mniejsze zaległy ławeczkę na przodzie powozu, koszyki wsunięto pod kozioł a stary stangret usuwał się, robiąc co można, by pomieścić się mogły dokoła jego siedzenia. Konie zatrzymały się właśnie przed cukiernią, bo pani Fenigan chciała obstalować tort na niedzielę, gdy przed drzwiczkami powozu stanął sędzia Delcrous, wymuskany, wyświeżony, w rękawiczkach i z połyskującemi od białości zębami, odbijającemi rażąco wśród czarnych wąsów i nastroszonych faworytów. Nie był on w Uzelles od paru miesięcy, lecz dziś właśnie

miał zamiar tam pojechać, by pomówić z paniami o sprawie ważnej i niezmiernie żywo go obchodzącej.

— Chciałem tylko wpaść do cukierni i zjeść na prędce śniadanie...

— Lepiej wsiądź pan z nami do powozu—rzekła z uprzejmością pani Fenigan — i śniadanie zjemy razem w Uzelles.

Uradowany, sędzia przyjął z wdzięcznością zaproszny i począł składać paczki jedna na drugą, by znaleźć trochę miejsca na ławeczce w powozie. Lidia była nieco wzruszoną, widząc po raz pierwszy od czasu swego powrotu do Uzelles, tego dawnego przyjaciela, który musiał znać dokładnie wszystkie jej przejścia. Chcąc pokryć swoje zmięszanie, patrzała przez drzwi uchylone wgłąb cukierni, na rozstawione w sali stoliki, wreszcie spytała, pragnąc coś powiedzieć:

— A więc pan tutaj się stołuje?...

— Tak. Jest to dla mnie o tyle dogodne, iż tuż obok jest moje biuro. Gmach trybunału znajduje się przy końcu ulicy, na tym małym placyku koło młyna.

Lidia rozglądała się z roztargnieniem, nie przypuszczając, że miejsca te ważną odegrają w jej życiu rolę.

— Prawda, że Corbeil jest smutną mieściną?... zwłaszcza w tej części, ulice są wązkie i ciemne... Lecz chciałbym o czem innem z paniami pomówić... liczę na sympatyę pań... chcę coś zu-

pełnie osobistego powierzyć łaskawej życzliwości pań obydwóch... Ale najpierw, niechajże się dowiem, jakie są nowiny z Algieryi?... Kiedy Ryszard ma zamiar wrócić?...

— Mój syn wróci niedługo... lecz, kochany panie Delcrous, bądź pewnym, iż pomimo jego nieobecności, tak ja, jak Lidia, uczynimy wszystko, co tylko jest w naszej mocy, by módz się panu na coś przydać.

Sędzia uśmiechnął się i podziękował, kłaniając kilkakrotnie obu kobietom Obiecywał przedstawić swoją sprawę, skoro tylko powóz wyjedzie na gościniec i ucichnie gwar ludzi, cisnących się wśród ulic miasteczka.

Po chwili powóz wytoczył się po za Corbeil, pozostawiając wtyle po za sobą olbrzymie młyny parowe, których wysokie kominy buchały dymem, zacieniającym całą połowę nieba. Po szerokim gościńcu jechały wozy wracające z jarmarku, szli ludzie gromadkami lub pojedynczo rozrzuceni a poniżej drogi ku rzece staczały się i rozścielały daleko pola z zieleniejącem zbożem. Cwałującym koniem zaprzężona karyolka prawie że się otarła o koła powozu; siedziały w niej dwie kobiety, w jednej z nich Lidia poznała synowę Indyanina. Wzrok Lidii pogonił za nią i, pełna litości, zamyśliła się nad losem tej nowej ofiary Karlexisa. Rada byłaby zawołać i ostrzedz ją o niebezpieczeństwie, lecz rozpędzona karyolka znikła już w oddaleniu, potrząsana

i hałasująca, potykając się o kamienie i wyboje gościńca. Pędziła, nie bacząc na zawady, stała się drobnym nieruchomym punktem pośród drogi, wreszcie znikła na skraju ciemnego i spokojnego lasu.

Wtem na gościńcu rozległy się wesoło brzęczące dzwoneczki i wśród tumanu kurzu, jechał w przeciwną stronę powóz zaprzężony czwórką kierowaną z konia przez forysiów, przybranych w niebieską barwę książąt d'Alcantary... W powozie chichotały strojne i ładne żydóweczki z pałacu Merogis, pochylone twarzami ku księciu d'Olmütz, który, jak młody sułtan wśród odalisek, patrzał na nie ze zwykłym swoim zagadkowym uśmiechem. Powozy się minęły szybko, lecz pani Fenigan i Lidia odczuły pewne zakłopotanie z powodu obecności sędziego. Zapadło chwilowe milczenie; obiedwie równocześnie pomyślały: „Szczęście prawdziwe, iż nie ma Ryszarda, takie spotkanie mogłoby mieć złe skutki". A Delcrous, widząc zmięszanie obu kobiet, zaczął pytać sam siebie, czy należało mu rozpoczynać rozmowę w swej sprawie... może lepiej odłożyć ją na później... Lecz nagłe przygnębienie przerwała nowa okoliczność. Już dojeżdżali do Soisy, gdy dwie małe dziewczynki o płowych, źle uczesanych włosach i bosych nóżętach, zaczęły biedz przy drzwiczkach powozu, podając koszyczki uplecione z sitowia i urywanemi głosami zachwalały biedny swój towar. Stangret nie lubił że-

braków i zaciął konie, by minąć biegnące dziewczęta, lecz pani Fenigan, spostrzegłszy, iż Lidia wysunęła rękę, chcąc wziąść jeden z koszyczków, zawołała, by powóz się zatrzymał; wołać musiała kilkakrotnie, stangret bowiem umyślnie udawał, że nie słyszy, wreszcie gdy konie przystanęły, pani Fenigan obdarzyła dzieci kilkoma sztukami srebrnej monety.

— Widzę, że to pana dziwi — rzekła z uśmiechem, patrząc na twarz sędziego.

— Tak, wyznaję... dziwi mnie bardzo... bo wiem że pani miałaś wstręt do żebraków... wstręt, który najzupełniej podzielam. Pamiętam nawet, iż tu, na tymże gościńcu, mówiliśmy w tym przedmiocie przed kilku miesiącami i poglądy pani zupełnie były różne od poglądów Ryszarda...

— Ach tak, pamiętam... Nawet Eliza była przytem.

— Tak. Pani Eliza była obecną...

Na wspomnienie o wesołej i ładnej kuzynce pani Fenigan, twarz sędziego rozpromieniła się, błysnął białemi swemi zębami i, przybrawszy wyraz twarzy wzruszony, rozpoczął zapowiedzianą rozmowę:

— Kiedy już pani wymieniła imię tej uroczej młodej osoby, więc...

Powóz toczył się tymczasem równo szerokim gościńcem; po jednej stronie drogi ciągnął się las a po drugiej winnice zasadzone na spadzistym gruncie. Zapach kwitnących w lesie krze-

wów i ziół dolatywał zewsząd jadących. Sędzia zauważył w myśli, iż bardzo stosowną wybrał chwilę do swych zwierzeń. Mówił więc z przejęciem o smutnem swem życiu w kawalerskiej samotności. Pragnął położyć temu koniec. Nigdy przedtem nie zauważył, jak dalece Corbeil jest nudną mieściną... dziś był jarmark i skutkiem tego było trochę życia na ulicach, lecz zazwyczaj miasteczko jest jakby martwe. O godzinie ósmej wieczorem już gasną światła w oknach wszystkich domów a gdy podczas dnia odezwie się turkot powozu na głównej ulicy, ludzie, nie wstając z miejsc i nie potrzebując wyjrzeć oknem, mówią: „Prezydent trybunału wraca do domu"... albotéż o innej znów godzinie: „Omnibus jedzie na dworzec kolei.." Nie ma ani klubu, ani domów familijnych, gdzieby można było spędzać wieczory. Jedyną dobrą stronę Corbeil stanowi blizkość Paryża. W godzinę można było dojechać koleją do stolicy i pilnować służbowego awansu, za pomocą którego wzmagała się szansa dobrego ożenienia. Tak, stanowczo dosyć już miał samotności i braku własnego domu... wszak nawet stołował się w restauracyi i ze wstrętem myślał, idąc na śniadanie lub na obiad, iż zaraz posłyszy słowa posługacza: „Stół pana sędziego jest nakryty... zaraz podajemy..." Zatrzymawszy się dość długo nad opowiadaniem tych szczegółów, sędzia uczynił nagły zwrot, wyrażając z zapałem wrażenie,

jakie na niego wywarła wesoła i ładna Eliza, która pomimo przykrości spotkanych w życiu, śmiała się tak szczerze i twarz miała tak świeżą, prawdziwie młodzieńczą. Wyznał, iż miał poufną rozmowę z Elizą i wyjawił jej swoje uczucia, lecz ona odłożyła na parę dni danie mu odpowiedzi i, nie dawszy żadnej, wyjechała nagle z Uzelles. Po kilku miesiącach wahania, sędzia zdecydował się na napisanie obszernego listu do niej, przedstawiając jej z całą szczerością swoje przywiązanie, swoje położenie materyalne, oraz widoki na przyszłość. Obecnie zaś błaga panią Fenigan, by zechciała wpłynąć na swoją kuzynkę i łaskawem słówkiem przemówić do niej na korzyść człowieka pragnącego zapewnić jej szczęście.

— Jaknajchętniej... napiszę do Elizy... a chociaż Corbeil nie jest zbyt przyjemnem miejscem pobytu dla młodej kobiety, zapewnić pana mogę, iż Lorient, gdzie Eliza stale mieszka, nie jest o wiele weselszem miastem. Wreszcie tutaj będzie nas miała w pobliżu .. i będziemy się starać, aby panu dopomódz do rozerwania tej kochanej trzpiotki. Zaraz jutro zasiądę do listu...

— Mama pozwoli, bym także do niej napisała—odezwała się Lidia. — Poznałam Elizę i pokochałam ją za jej wielką dobroć...

— Jakże mam paniom dziękować za tyle życzliwej uprzejmości — powtarzał sędzia z twarzą mocno zarumienioną od wzruszenia, co uwadatni-

ło jeszcze czarność starannie przystrzyżonych jego faworytów.

Wszyscy troje mówili teraz z ożywieniem o projektowanem małżeństwie, o częstych wzajemnych odwiedzinach, wycieczkach do lasu lub łódką po rzece.

— Ślub państwo weźmiecie w kościołku pana Meriveta, w małej parafii, wszak tak?—spytała Lidia, zapominając o istniejącej przeszkodzie, lecz sędzia nie uraził się tem i rzekł spokojnie:

— Pani Eliza jest rozwódką, ślub nasz przeto będzie tylko cywilny. Szkoda, bo rzeczywiście miłoby mi było zrobić tę przyjemność panu Merivetowi, przypuszczam, że byłby rad widzieć tego rodzaju uroczystość w małej parafii.

Po chwili zaś dodał, zwracając się do pani Fenigan:

— Czy pani jest powiadomioną o zmianie proboszcza w Draveil?... Już nie ma tam pani przyjaciela...

— O mojego przyjaciela!... oddawna przestałam go uważać za takiego... A nawet nigdy mu nie przebaczę zawziętości, z jaką prześladował zacnego księdza Cerès...

Spojrzawszy na zdziwioną twarz sędziego, pani Fenigan głośno się roześmiała. I nic dziwnego, iż patrzał on na nią nic nie rozumiejąc, wszak dotychczas słyszał z jej ust same tylko nagany dla księdza Cerès a uwielbienia dla dawnego pro-

boszcza z Draveil. Opowiedziała mu więc zaszłą zmianę w jej opinii:

— Cóż robić, uległam nagłej i zupełnej przemianie... już teraz w niczem nie jestem podobna do tej pani Fenigan, którą pan znałeś jeszcze przed kilku miesiącami. A jak się to stało?... skutkiem czego zaszła we mnie taka przemiana— może kiedykolwiek panu opowiem... lecz jeszcze nie teraz. Opowiem wszakże na pewno... bo ztąd może wyniknąć pożyteczna wskazówka nawet dla pana...

Po śniadaniu, wszyscy troje przeszli do salonu. Lidia zaczęła grać preludium Chopina a ptaki gnieżdżące się w wyniosłych drzewach, rosnących przed oknami, pobudzone muzyką, śpiewały i świergotały, wtórując jej. Pani Fenigan, siadłszy przed stołem, by napisać list do Elizy, spojrzała ku bramie pałacowej, usłyszawszy odgłos dzwonka. Powstała, widząc nadchodzących nowoprzybyłych i rzekła do Lidii:

— Zamknij fortepian, córeczko. Będziemy zaraz miały wizytę księdza Cerès i innego jakiegoś księdza. Przypuszczam, że to nowoprzybyły proboszcz z Draveil.

— Bardzo będę rad zobaczyć księdza Cerès, o którym słyszałem tyle sprzecznych sądów—rzekł sędzia, zbliżając się do okna, przy

którym stanęły i obiedwie panie, by z po za firanek przyjrzeć się przybywającym.

Księża szli zwolna, rozmawiając niby swobodnie lecz z pewnym przymusem. Nowy proboszcz był nizki, tłusty i różowy a wygolona jego twarz, zakończona pulchnemi podbródkami i fałdzista sutanna z peleryną czyniły go podobnym do zadowolnionej i w dobrobycie żyjącej kumoszki. Zatrzymał się przed jednym z klombów, rzuconych na obszernym dziedzińcu i wskazywał swemu wikaryuszowi kwitnące pyszne róże, widocznie zachwycony ich pięknością. Ksiądz Cerès szedł z gołą głową pokrytą bujnemi siwemi włosami i pochylał wyniosłą swą postać ku mówiącemu, jakby chcąc tem wyrazić swoje uszanowanie względem przełożonego, który co najmniej o jakie dwadzieścia lat był od niego młodszy. Twarz księdza Cerès była niezwykle dobra a wyraz jego oczu był dziecięcej szczerości.

— Więc to jest ów lucyper, zbuntowany ksiądz, którego wybryki i samowolę chciano skarcić, osadzając go na kilkomiesięczne rekolekcye?... Nie wyobrażałem go sobie w tej postaci... Ale biedaczysko, jakąż on ma zniszczoną sutannę!...

Ostatnia ta uwaga wyrwała się sędziemu zupełnie mimowoli, wprost przez bijącą różnicę pomiędzy nową, połyskującą sutanną proboszcza a wyrudziałą, poprzecieraną suknią wikarego. Pani Fenigan spojrzała na sędziego z wyrzu-

tem, przypuszczając, że odezwał się z lekceważeniem o czcigodnym starcu i rzekła głosem stanowczym:

— Mniejsza o to, jak jest ubrany, zapewnić pana mogę, że to święty człowiek.

Sędzia się nie usprawiedliwiał, lecz dla zadowolenia pani Fenigan, powstrzymywał gwałtowną ochotę śmiechu, gdy służący, roztworzywszy drzwi, oznajmił gości i w tejże chwili wpadł niemi ksiądz Cerès, roztrącając wszystko po drodze, byle nie dać się wyprzedzić swojemu towarzyszowi. Na razie nikt nie zrozumiał tego pośpiechu, tylko proboszcz rzucił piorunujące spojrzenie na wikarego, co zmięszało go i onieśmieliło ostatecznie. W naiwności swej niezrównanej i w nieświadomości obyczajów towarzyskich, ksiądz Cerès wyobraził sobie, iż w salonie ten sam istnieje zwyczaj, co w kościele podczas procesyi, to jest, że chłopcy w komżach idą przed dyakonami, dyakoni przed księżmi a księża przed biskupem. Przez wzgląd na przełożonego, ksiądz Cerès chciał w salonie pani Fenigan zachować ten porządek a widząc niezadowolenie proboszcza pomyślał w duchu:

— Gniewa się... i ma słuszność... należało mi bardziej się pośpieszyć... trzeba będzie uważać i przy wyjściu tę rzecz naprawić.

Myśli te sprawiły, iż oczy księdza Cerès stały się zupełnie błędne i prawie nieruchome, wlepił je w postać swego proboszcza, podziwiając swobodę jego ruchów, jego uśmiech, ukłony, sposób

siedzenia, wyszukane słowa, któremi chwalił róże pani Fenigan, umiejętność, z jaką prowadził rozmowę z panią Ryszardową, analizując muzykę Wagnera i Schumana. A gdy Lidia, która w czasie swego pobytu po za Uzelles, czytając wielką ilość powieści, rzuciła w trakcie rozmowy nazwiska słynnych autorów zagranicznych, wymieniając Tołstoja, Ibsena, Mereditha, Dostojewskiego, proboszcz oświadczył, iż zna ich utwory, chociaż nad nie przekłada czytanie swego brewiarza.

— Jakiż to człowiek... jaki wszystko wiedzący i mądry człowiek! — powtarzał sobie w duchu ksiądz Cerès, wciąż zapatrzony w swego proboszcza. Ten widział, jakie wzbudza uwielbienie w wikaryuszu, chciał się wszakże zabawić jego kosztem, więc niespodziewanie zwrócił się w jego stronę i, chcąc go wprawić w zakłopotanie, spytał: co sądzi o utworach Dostojewskiego?... Policzki księdza Cerès spłonęły od zbytku zmięszania, cała jego twarz wyrażała tak wielkie przerażenie, iż Delcrous ulitował się nad nim i pośpieszył z pomocą.

— Ksiądz Cerès zapewne nie ma czasu na zajmowanie się literaturą, wiemy, że wszystkie chwile swobodne zużywa na odwiedzanie i pocieszanie ludzi chorych lub dotkniętych nędzą...

Pochwały te bardziej jeszcze zmięszały siwowłosego, skromnego księdza, kręcić się począł na swojem krześle, szepcząc coś i niedomawiając

zdań, iż nie ma w tem żadnej zasługi, że owszem i jemu czytanie zabiera sporo czasu.

— Co ty mówisz, mój kochany wikaryuszu — zawołał proboszcz, śmiejąc się do rozpuku, aż podskakiwała i trzęsła się peleryna okalająca mu ramiona. — Przecież nikt z nas nie uwierzy, abyś kiedy słyszał o Dostojewskim!

— Owszem, owszem, czytałem go... pan Merivet pożyczył mi kilka jego książek... a nawet wyznaję, iż mam pewien żal do tego Dostojewskiego.

— Masz do niego żal... a o cóż — zapytał proboszcz, nie wierząc własnym uszom.

Podziwienie proboszcza podzielali wszyscy obecni, nikt bowiem nie byłby przypuszczał, że ksiądz Cerès może mieć jakickolwiek bądź opinie o literaturze, zwłaszcza o autorze cudzoziemcu.

— Otóż mam urazę do Dostojewskiego, że z powodu jego powieści, zapanowała u nas moda litowania się w pewien sposób.

— Cóż to za litowanie się?

— Nazywam tak nieuzasadnioną, niesłuszną litość, to jest współczucie dla łotrów i nierządnic, rozczulanie się nad losem zbrodniarzy i rozpustnic, jakgdyby oni tylko zasługiwali na nasze politowanie. Litość dla podobnych wyrzutków społeczeństwa powinna ustępować miejsca litości nad nędzą i niedolą uczciwych ludzi. Współczujmy najpierw matkom niemogącym wyżywić swej dziatwy, żonom znoszącym brutalność swych mę-

żów, ludziom przywalonym chorobą, nędzą i nadmierną pracą. Dostojewski zaś, rzucający swego Rodyona do stóp nierządnicy i symbolizujący tem w swojem mniemaniu, cały ogrom ludzkiego cierpienia, oburza mniel Mojem zdaniem ubliża on w ten sposób niedoli, rzucając przytem potwarz na ludzkość całą.

W miarę, jak ksiądz Cerès mówił, głos jego stawał się silniejsy, czystszy, nie jąkał się i twarz mu promieniała głębokością przekonania. Zdawało się, iż zapomniał o słuchających go osobach i mówił z gestami kaznodziei, głoszącego naukę. Lidia, znająca go dotychczas tylko z opowiadania, zrozumiała słuszność entuzyazmu pani Fenigan, Ryszarda i starego Meriveta. Czuła, iż będzie podzielać ich uwielbienie dla tego księdza, chodzącego zawsze w wytartej sutannie.

— Ruscy pisarze nie wymyślili tej maniery — zauważył sędzia.—Współczucie, o którem mówisz, ojcze dobrodzieju, wyrażone zostało najpierw w literaturze francuzkiej przez Wiktora Hugo, panią Sand, Eugeniusza Sue. Ruscy przyswoili sobie te poglądy i przerobili, stosując do swojego społeczeństwa. Sonia z powieści Dostojewskiego jest pokrewną Fantiny z „Nędzników“ Wiktora Hugo.

Sędzia, zadowolony, iż może się popisać przed paniami ze swoją literacką erudycyą, mówił prostując się i podnosząc głos, jakby w sali trybunału.

Porozumawiawszy jeszcze chwilę o rzeczach ogólnych, proboszcz z Draveil powstał i zaczął się żegnać z gospodyniami domu; już był przy drzwiach, gdy wikaryusz to spostrzegł.

— Ach, Boże mój, znów się zagapiłem — zawołał z przerażeniem i rzucił się naprzód, roztrącając taborety i fotele a dobiegłszy do swego przełożonego w chwili gdy ten miał właśnie próg przestąpić, chwycił go oburącz i, zatrzymawszy, rzekł, pocąc się:

— Nie, nie, nigdy na to nie pozwolę... znam moją powinność... i wiem jak należy się zachować wobec mojego przełożonego — mówiąc to, okręcił go i cofnął ode drzwi a sam przeszedł przodem z miną tryumfującą.

— Cóż to miało znaczyć — szepnął do pań sędzia. — Po cóż on gwałtem rwie się naprzód?...

Lecz panie również jak sędzia nie odgadywały właściwego znaczenia tej pantominy, uśmiechnęły się więc tylko, patrząc za odchodzącymi księżmi. Proboszcz musiał dawać surową admonicyę biednemu wikaryuszowi, bo ten szedł, spuściwszy głowę i nic nie rozumiejąc lekcyi, mającej go nauczyć przyzwoitego zachowania się w salonie. Popełnił nawet nowe przekroczenie, nie zważając bowiem na wykład proboszcza, opuścił go w środku zdania, by zapytać się listonosza, którego właśnie spotkali, czy żona jego, chora od jakiegoś czasu, czuje się zdrowszą po ostatniej wizycie doktora.

Zgorszony proboszcz ruszył pogardliwie ramiomi i różowa twarz jego zaperzyła się gniewnie. Wkrótce księża znikli na zakręcie drogi.

— Zdaje mi się, że nasz kochany ksiądz Cerès będzie miał ciężkie dni do przeżycia z tym nowym proboszczem — rzekła pani Fenigan.

Lidia nie odpowiedziała na tę uwagę, zaczytaną bowiem była, trzymając w ręku przyniesiony dopiero co list od Ryszarda. Obiecywał przybyć do Uzelles we wtorek.

— Mamo, mamo, za trzy dni Ryszard będzie z nami, czy mama słyszy, za trzy dni!

Mówiąc to z wybuchem szczerej radości, zarzuciła ręce na szyję pani Fenigan i całowała ją z czułością.

Gdy Delcrous, powracając do Corbeil, przypomniał sobie radość Lidii, rzekł sentencyonalnie:

— Małżeństwo jest potężną instytucyą... niczem nienaruszoną i naruszyć się niedającą. Po takich przejściach i burzach, Ryszardowie stanowić będą kochające się wzorowe stadło.

Lecz ludzie zawsze są pobopni do sądzenia z pozorów, rzadko kiedy chcą lub też mogą wniknąć w rzeczywistą istotę rzeczy. Wszyscy znający rodzinę Fenigan zajmowali się wypadkami zaszłemi w Uzelles. Większość ganiła Ryszarda za jego pobłażliwość, dziwiła się łatwości, z jaką przebaczył wiarołomstwo a prawie nikt się nie domyślał, iż dramat jeszcze się nie skończył, iż trwał i jątrzył się boleśnie; nikt ze znajomych nie

odgadł właściwej przyczyny wyjazdu Ryszarda do Algieryi i nie przypuszczał również, jak smutne listy małżonkowie pisywali do siebie. Zwłaszcza w pierwszych czasach po wyjeździe z Uzelles, Ryszard, dręczony podejrzeniami i zazdrością, wypowiadał to szorstko w listach do Lidii. Obecność księcia d'Olmütz w Grosbourg przyprowadzała go do rozpaczy, przypuszczał, że Lidia widuje się z nim i, drecząc tem siebie, dręczył zarazem żonę, czyniąc jej wymówki brutalne i gorączkowe. Całe arkusze zapisywał zdaniami urywanemi, pismem prawie nieczytelnem, powtarzając z natarczywą monotonnością: „Dlaczego kochałaś tamtego... przysięgnij, że już go nie kochasz“. Lidia tłómaczyła się, składała przysięgi żądane, uspakajała Ryszarda, zaklinając go, aby jej wierzył. Zamieniane pomiędzy nimi listy, tej tylko były treści.

Lecz zwolna, zaczęło następować pewne uspokojenie w umyśle Ryszarda. Podróż oddziaływała nań dodatnio. Piękność i nowość afrykańskich krajobrazów była dlań prawie że obojętną, lecz polował zawzięcie, jeździł konno po kilkanaście godzin z rzędu a w chwilach wypoczynku spał pod namiotem snem kamiennym, uspakajającym. Trapiąca go zazdrość przestała być jedynym tematem jego rozmyślań. Zmiana ta w usposobieniu Ryszarda przejawiała się w listach jego pisywanych do Lidii. Stały się swobodniejsze. Wracał do równowagi a Merivet, ucieszony skutecznością zaleconej

przez siebie podróży, w liście do pani Fenigan donosił: „Z Ryszarda jestem zadowolony“. W kilka tygodni później Lidia wyczytała w liście od męża: „Jestem już uzdrowiony i mogę już myśleć o powrocie“. A oto teraz zawiadamiał ją, iż wraca w przyszły wtorek.

Siadłszy na ławce w cieniu drzew, Lidia czytała i znów odczytywała ten drogi list Ryszarda pełen słodkich zwierzeń i projektów szczęśliwej przyszłości. Dzień się miał ku schyłkowi, powietrze było ciepłe i zlewające się z delikatnością barw nieba, którego blaski przeświecały wśród gałęzi. Wszystko dokoła Lidii tchnęło spokojem i nadzieją. Wtem, tuż w pobliżu wybuchnął głos kobiecy gniewny, wzburzony:

— Uciekaj, wstrętna kobieto!... Jak śmiesz stroić się jak ladacznica!... Wstydu nie masz, łotrzyco ty jakaś!...

Przerażona Lidia zerwała się z ławki, myśląc, iż to osobista na nią napaść, lecz odwróciwszy się, spostrzegła Rózię Chuchin, trzymającą oburącz żelazny pręt ogrodowego parkanu i ziejącą przekleństwa na jakąś kobietę w różowej sukni, z parasolką, która śpiesznym krokiem uchodziła drogą w kierunku lasu. Praczki opowiedziały Rózi o spotkaniu się na moście pani Sautecoeur z Aleksandrem a Rózia, zazdrosną będąc o swojego starego wyelegantowanego kochanka, wypowiadała swoje urazy tej, którą od jakiegoś czasu uważała za swoją rywalkę. Śledziła kroki pana Ale-

ksandra i niejednokrotnie dostrzegła go rozmawiającego tajemniczo z synową Indyanina. Myślała więc, iż miewała ona schadzki miłosne. Pomimo, iż Lidia zbliżyła się ku Rózi, ta nie przestawała słać za panią Sautecoeur najobelżywszych wyrazów. Zwróciła się nawet ku Lidii, chcąc ją wziąć za świadka niegodziwości uciekającej strojnisi.

— Czy pani widzi, jak ona się ubiera, chociaż ma męża!... To bezczelna kobieta!... Wszystkie sposoby są dla niej dobre, byle każdej z nas uczynić krzywdę i odebrać chłopa dla siebie!...

— Czyż ty wyszłaś zamąż, moja Róziu!...

— Nie, proszę pani... ale to nie przeszkadza, że ona chce mnie skrzywdzić. Lecz grubo się myli, jeżeli przypuszcza, że pozwolę sobie w kaszę dmuchać... oho, ja nie taka, powiem, co należy i komu należy... juścić nie jej mężowi, bo to głupiec i niedołęga... ale powiem jego ojcu a ten potrafi ją uspokoić cięgi jej sprawić... Oj poczekaj, gałganico, przygotuję ci ja łaźnię!

Rózia wrzeszczała, wygrażając za synową Indyanina, która dawno już znikła w głębi lasu. Gościniec był pusty i tylko świergotały ptaki, żegnając się z zachodzącem słońcem. Lidia patrzała na Rózię z podziwieniem. Nigdy nie byłaby przypuściła, iż ta zaspana, milcząca dziewczyna jest w stanie wpaść w podobną wściekłość. Spróbowała uspokoić wzburzenie swej pokojówki.

— Przypuszczam, moja Róziu, że nie zrobisz tego, co mówisz. Pomyśl tylko, ile biedy mo-

głoby wyniknąć, gdybyś się poskarżyła przed Indyaninem. Wszak wiesz, że on nie potrafi hamować się w gniewie. Nie, Róziu, nie trzeba być gorszą, jak jesteś w rzeczywistości. Zastanowisz się i nikomu o tem, co przypuszczasz nie pójdziesz opowiadać.

Rózia trzęsła głową przecząco.

— Otóż pójdę i powiem... bo jestem zazdrosna, już mnie ta zazdrość pali nie od dzisiaj... Pani pewnie nie wie, co to za wściekły ból ogarnia człowieka, gdy gryzie go zazdrość... Mam ochotę podrzeć na kawały tę nędznicę. Niechajby cierpiała, kiedy ja tak cierpię z jej powodu...

Brzydka i pospolita twarz Rózi stała się teraz piękną, tak dalece przemieniła ją namiętność. Lidia drgnęła z przerażenia, wyraz twarzy tej dziewczyny przypomniał jej nagle twarz inną, którą niejednokrotnie widziała z tymże samym wyrazem głębokiego cierpienia. Wspomniała o bolesnych chwilach podówczas przeżytych i zapragnęła gorąco, by Ryszard wrócił zupełnie uzdrowiony.

XV.

Dziennik księcia.

Do pana W. de Vallongue
w Kolegium Stanislas w Paryżu.

Już teraz wiem, dlaczego moi rodzice postarali się o usunięcie mnie z Grosbourg. Podobno pan F., który filozoficznie zniósł ucieczkę swej żony, wpadł w wściekłość, gdy się dowiedział, że została porzuconą przezemnie. Zaczął się odgrażać a tych pogróżek pana „Pum... Pum“ ulękła się moja matka. Już mnie widziała powieszonego, zabitego, odartego ze skóry, wbitego na pal i uspokoiła się dopiero z chwilą, gdy skryła swego jedynaka po za plecami pułkownika i kuzyna naszego de Boutignan, dowodzącego pułkiem niezwyciężonych i nieustraszonych dragonów. Prawdę powiedziawszy nie wiem dokładnie, co się stało i jak się rzeczy miały u naszych sąsiadów z Uzelles, podczas gdy odbywałem owe sławne wielkie manewra. Mówiono mi, że pani wróciła pod dach mężowski, że „pum-pum“ zbiegł wtedy aż do Algieryi, lecz nic z tego nie mogę dojść, są tam jakieś zawiło-

ści, których nie odgaduję. Lecz mniejsza z tem, rzecz główna, jak dla mnie, to szczęśliwa okoliczność, iż szanowny mój pułkownik zwrócił mnie rodzinie, obdarzając urlopem na nieograniczony termin, to jest mogę go odnawiać, przedłużać ile tylko zechcę.

Familijka moja, przyznać muszę, że nie jest ani wesoła, ani też przyjemna. Księżna wiecznie w podróży uganiająca się za sukcesyą, przedstawiającą tysiączne utrudnienia; generał coraz bezwładniejszy, siedzi całemi dniami w nieruchomości zupełnej, sprawia on na mnie wrażenie jakiejś postaci mitologicznej, dotkniętej gniewem mieszkańców Olimpu; wszak Wirgiliusz i Owidyusz bawili się w opowiadanie nam, o takich śmiertelnikach, przemienionych w drzewo albo w skałę. Patrząc na generała, zdaję mi się, że widzę, jak stopniowo kamienieje, albo też pokrywa się korą jakby skorupą. Tylko głowę ma jeszcze żyjącą, ale chyba i ta pójdzie niedługo za resztą i pozostaną tylko oczy, w których skupi się resztka energii, by na mnie patrzeć z wyrzutem. Takie żyjące oczy w strupieszałem ciele przypominają mi resztki promieni zachodzącego słońca, odbijące się w szybach wysokiego poddasza. Myśli swoje wiąże jeszcze generał zupełnie przytomnie i wypowiada je aż do uprzykrzenia, naturalnie, iż wszystkie skupiają się nad rozpamiętywaniem doznawanych bólów. Łatwo pojmujesz, jakie to zabawne do słuchania bez przestanku. A przytem z dziwnem

upodobaniem wybiera wyrażenia ostre, tnące jak brzytwą. Od jakiegoś czasu utrzymuje, iż z trudnością myśli i narzeka, że wiolonczela pana Jana przestała na niego działać, już mu widocznie nie łaskocze nerwów tak lubieżnie jak niegdyś. A może w tem wina pana Jana, który sam ledwie dyszy; gdy mówi, głos ma tak przyciszony i dziwacznie wyczerpany, iż zdawaćby się mogło, że siedzi gdzieś daleko, przypuśćmy w piwnicy, może więc ukochana przez niego wiolonczela zaraziła się tą samą chorobą...

Wczoraj po południu wszyscy trzej siedzieliśmy na tarasie, wychodzącym na Sekwanę. Generał, zwróciwszy się do mnie rzekł swoim skrzypiącym głosem: „Zrób mi papierosa“. Zabrawszy się do spełnienia rozkazu, spojrzałem na zwiędłe ręce mojego rodzica. Leżały, jak suche liście na jego kolanach. Zauważył, że na nie patrzę i rzekł opryskliwie:

— Cóż tak patrzysz na moje ręce?... Przecież nie są takie białe, jak ręce pani F...

Wymówiwszy jej nazwisko, wpadł w gniew, zaczął się unosić i czynić mi wyrzuty, to, że uwiodłem tę nieszczęśliwą kobietę i postąpiłem względem niej jak ostatni łajdak, to znów, że widuję się z nią jeszcze teraz, jednem słowem stary bredził, odchodząc od przytomności, z ustami wykrzywionemi zazdrością.

— Zabraniam ci widywać się z nią teraz... czy słyszysz... zabraniam!

Trudno było nie słyszeć, bo wrzeszczał jakby komenderując wojskiem w czasie parady. Przyszła mi chętka zaprotestowania.

— Zabraniasz mi, mój ojcze, jakiem prawem?

— Prawem ojca, prawem głowy rodziny!...

Czy pamiętasz, mój kochany Wilkie, że właśnie w ostatnim liście pisałeś wogóle o władzy i o tem, jak opierające się na niej prawa idą w rozsypkę. Zapożyczyłem więc od ciebie kilku zdań szumnych i wymownych, rzucając je jakby się naraz zrodziły w moim mózgu. Powiedziałem, że poglądy dawniejsze uległy zmianie i dziś władza ojcowska nie jest tem, czem była dawniej. Młode pokolenie wie, jak należy sądzić nadużycia tej czcigodnej władzy, która jest fikcyą, mogącą mieć znaczenie tylko dla dzieci bawiących się jeszcze piaskiem. Nie możesz sobie wyobrazić wystraszonej miny mego znakomitego generała... a jego przerażenie odbiło się jak w lustrze na twarzy mojego byłego mistrza, dychawicznego pana Jana!

Ubawiłem się dzięki tobie, lecz skutkiem tej rozmowy przekonałem się, że kostniejący w swym fotelu generał nie przestał marzyć o naszej ładnej sąsiadce z Uzelles. Wprost dusi się i pożera z zazdrości, gdy się dowie, że przeszedłem przez most na drugą stronę Sekwany, wyobrażając sobie, że zakradam się do parku w Uzelles. A daję ci słowo, że od czasu rozstania się z tą panią nad morzem Śródziemnem, nie szukałem jej i nie spotkałem, aż dopiero dziś wy-

padkowo w ciemnym sklepiku w Corbeil, gdzie wybierałem jakieś świecidełka dla innej niewiasty. Zauważyłem, że pani F. trochę schudła, lecz nie straciła swego wdzięku; była blada, przypuszczam, że skutkiem wzruszenia, jakie musiało ją chwycić gdy zobaczyła mnie zupełnie niespodziewanie. Nie zamieniliśmy z sobą ani słowa, zaledwie jedno ulotne spojrzenie. Mogę cię upewnić, iż na tem będzie koniec, bo chociaż generał posądza mnie o wałęsanie się dokoła parku pani F., nie dla niej tam chodzę, ale dla mojej porucznikowej, z którą miewam schadzki w lesie w pobliżu Uzelles. Opowiadałem ci w poprzednim dzienniku, że biedną moją porucznikową pilnuje bezustannie ten głupi Indyanin a kobieciuka drży przed nim ze strachu i strzeże się go z dziecinną obawą, skutkiem tego nie doszedłem z nią jeszcze do celu i bardzo być może, że temu należy przypisać, iż rozpaliłem się do niej może więcej niż warto. Wyobraź sobie, że żadna z wytwornych pań, z któremi miałem do czynienia, nie działała na mnie tak podniecająco, jak ta kuchareczka, gospodarująca w domu Indyanina.

Zapytać byś pewnie chciał, czy jest ładna. Otóż zaledwie. Usta ma duże, nosek nieforemny lecz ponętny, ma szyk paryzkiej modniarki, roznoszącej kapelusze. Znasz ten typ tak często spotykany i zawsze mniej więcej do siebie podobny. Gdy pani F. zobaczyła mnie z nią razem w owym

sklepiku, wyraźnie wyczytałem w jej oczach: „Spadłeś tak nizko... winszuję!“ Na nieszczęście nie mogłem jej odpowiedzieć, jak również spojrzeniem a tego zamało, by dać wszelkie objaśnienia.

Czy wiesz, mój drogi, że doszedłem do smutnego przekonania, iż pomimo lat moich młodocianych już wszystko zbadałem, poznałem, w zakresie miłości mam doświadczenie, które mi ciąży, bo zwłaszcza kobietę francuzką znam we wszystkich jej odmianach. Czem jest, jaki przedstawia typ „francuzka“? Wyznaję, iż się nie zgadzam na słuszność określeń literackich. Powieściopisarze XVIII wieku przedstawili nam kobietę pełną fantazyi, ciekawości, rozpustną lecz rozpustną na zimno. Romantycy stworzyli z niej odmienną istotę, lubieżnie namiętną, wyjącą i mdlejącą w szale miłości. Późniejsi prawie współcześni nam poeci widzą ją w ciągłej zadumie, naturaliści każą się jej rządzić instynktem a dekadenci mistycyzmem i histeryą. Może w francuzkiej kobiecie jest tego wszystkiego po trochu i dlatego nadawała się do wytworzenia tak odmiennych literackich bohaterek, lecz mojem zdaniem inną ona posiada cechę charakterystyczną: namiętną jest tylko sztucznie, bez przekonania, w rzeczywistości zaś jest przedewszystkiem matką i zawsze tylko matką. Od trzech lat ileż kobiet miałem w swoich objęciach, otóż wszystkie, ale to powiadam ci wszystkie najsilniej miały rozwinięte instynkta macierzyńskie.

Może powiesz, że sąd mój jest wynikiem moich lat, byłem zawsze o wiele młodszy od moich kochanek. Lecz nie, spostrzeżenie moje bowiem opieram nietylko na znajomości kobiet przezemnie posiadanych, lecz na młodych pannach, z któremi flirtuję. Wdzięczą się, mizdrzą, lecz cała ta ich zalotność jest udaną, wszystkie uczucia są u nich sztuczne, prócz chęci opiekowania się słabszemi istotami, który to objaw należy zaliczyć do silnie rozwiniętego instynktu macierzyńskiego. Moje ładne sąsiadeczki z Mérogis utrwalają mnie w tem przekonaniu. Otóż odmienną zupełnie kobietą jest porucznikowa Sautecoeur. Cała drobna ta istotka drży z pragnienia rozkoszy, paląc się rozpala i pociąga, pewien jestem, że z tą doznam innych wrażeń, niż z innemi. Opowiem ci to jutro i przyznam się szczerze, jeżeli się okaże, iż zawiodłem się, obiecując sobie zbyt wiele.

Może ciekawy jesteś, jakim sposobem jutro będę to wiedział?... Otóż mój kochany udało mi się zapewnić sobie noc dzisiejszą, całą noc z porucznikową, w prawdziwem łóżku a nie jak dotychczas na trawie pod parasolem. By tego dopiąć i uwolnić biedną kobiecinę z pod opieki Indyanina, wymyśliłem konieczność urządzenia naganki w lesie, by złapać kłusowników, niszczących nam zwierzynę. Tak więc Indyanin będzie musiał wraz z innymi leśniczymi być całą noc w lesie na służbie, naganka trwać będzie do szóstej rano. Rozumiesz, iż podczas, gdy stary pilnować będzie

lasu, my we dwoje przez noc całą również czasu nie będziemy tracili na próżno...

Posyłam ci szkic zrobiony przez Walda, pamiętasz go... mówiłem ci o nim z powodu jego aresztowania w czasie wielkich manewrów. Jak widzisz, szkic wybornie zrobiony, uchwycił moje podobieństwo, tylko oczy zrobił mi podobne z wyrazu do swoich, ja nie mam tego zapału, oczy moje raczej drażnią swą lodowatością. Biedny Wald został skazany do ciężkich robót. Po odczytaniu wyroku przeprowadzono go przed frontem pułku. Ta okrutna i teatralna ceremonia wydała mi się wstrętną. Deszcz padał tego ranka, spływając potokami po nas i po koniach, ustawiono nas w czworobok. Zauważyłem, że Wald zachował twarz spokojną. A gdy przechodził tuż koło mnie widziałem, iż oczyma zapatrzony jest w głębiny swego zadumania; ciałem był tylko przy nas a myślą zupełnie gdzieindziej. Czułem, iż kara nie istnieje dla tego człowieka, pochłoniętego tęsknotą i rozmarzeniem, myślał on teraz o tej ukochanej, którą pragnąc zadowolnić, stał się fałszerzem. Oczy jego pałały rodzajem ekstazy a rysując mój portret cóś podobnego umieścił w mojem spojrzeniu.

O nie, niema nawet śladu jakiegokolwiekbądź zapału w spojrzeniu naszego pokolenia, wszak prawda, mój kochany Wilkie?... Nie palimy się żadną żądzą, obojętnym jest nam kraj nasz, obo-

jętnemi kobiety. Czyja w tem wina?... Ty, mój kochany filozofie, utrzymujesz, żeś się wystudził myślą, czytając i badając; przypisujesz nawet utratę swego ognia mgłom metafizyki wsiąkłej w ciebie przy studyowaniu niemieckich mędrców; obwiniasz książki, iż ucząc cię, wysuszyły ci serce. Ale ja i mnie podobne nieuki!.. my nic nie czytający, niewiele oddający się myślom oderwanym i wogóle nic nie wiedzący, dlaczegóż nie posiadamy wzamian za to świeżości uczuć i poczciwości wierzeń? Jak widzę, nie potrzeba ślęczyć nad grubemi tomami, spisanemi przez mędrców, by stracić wszystkie wiary. Rozpaczliwe i zniechęcające do życia idee sformułowane są zapewne w książkach, lecz już zdążyły się rozproszyć i przesycić powietrze, którem oddychamy i dlatego wchłaniamy je wszystkiemi porami naszego ciała. Czy przypominasz sobie, że ilekrotnie przytaczałeś mi zdania lub wyniki takiego lub innego filozofa, z podziwieniem spostrzegałem że dany pogląd nie jest mi obcy. W tej lotności idei jest coś zagadkowego, nikt jednak nie zaprzeczy, iż ona istnieje. Jest to objaw równie trudny do wytłómaczenia, jak szybkość rozchodzącej się wieści pośród pustyni, gdzie w przeciągu doby wie się o wydarzonym wypadku na drugim jej krańcu. Dlatego też my, ostatnio dorastające pokolenie, bezwiednie nosimy w sobie zarodki wszystkich wyników myśli naszych poprzedników

i nieuk taki jak ja, zarówno jak pełen wiedzy, jak ty, tkniętymi jesteśmy zarazą szerzącą nudę, zwątpienie, wyczerpanie. Ubezwładniająca nas do czynu apatya sprawia, że jesteśmy zwyciężonymi przed stoczeniem bitwy. Mamy dusze anarchistów niemających od odwagi do spełnienia zamachu.

Karlexis.

XVI.

Na skraju lasu.

Wylądowawszy w Marsylii, gdzie mieli spędzić wspólnie dni kilka, Ryszard oświadczył niespodziewanie panu Merivet, iż go porzuca a sam jedzie natychmiast do Uzelles.

— Dla czego?—pytał Merivet.—Przecież napisałeś swej żonie, że będziesz w Uzelles dopiero we wtorek albo w środę. Pocóż więc chcesz mnie tutaj samego porzucać?... Wiesz, że muszę pozostać parę dni w Marsylii dla uregulowania moich interesów. Zostań... cóż ci z tego przyjdzie, że o dzień lub dwa przyśpieszysz swój powrót?... Nikt nie będzie się ciebie spodziewał, nawet nie zastaniesz koni na stacyi, by dojechać do domu.

— Właśnie pragnę spaść do Uzelles niespodziewanie—rzekł Ryszard, silnie się czerwieniąc, bo wypowiedział swą myśl prawie mimowoli.

Merivet spojrzał na niego z wyrzutem i pomimo że szli najludniejszą ulicą miasta, podniósł w górę obydwie ręce na znak swego wielkiego

oburzenia. Gest ten byłby w Paryżu zwrócił uwagę przechodniów, lecz w Marsylii wszyscy giestykulują, więc Merivet dostroił się tylko tą pantominą do miejscowego obyczaju.

— Jakto?... nieszczęśliwy człowieku, ty jeszcze męczysz się swojemi wątpliwościami?... Chcesz cichaczem zakraść się do własnego swojego domu, w chęci schwytania swej żony na jakiej zdrożności? Jak możesz poddawać się podobnym myślom! A ja stary głupiec myślałem, że jesteś uzdrowiony! Wiesz, że wart jesteś, aby cię naprawdę spotkało to, co śmiesz przypuszczać...

Chciał mówić dalej, lecz spostrzegłszy bladość i wzruszenie Ryszarda zamilkł, nie mając odwagi dłużej mu dokuczać.

— Jedźże sobie, szaleńcze, bo widzę, że się nie uspokoisz inaczej. A ponieważ zobaczysz przedemną swoje panie, pozdrów je serdecznie od starego ich przyjaciela.

Ryszard pragnął wrócić do domu nietylko skutkiem swej zazdrości, lecz tęsknił za Lidią nie do zniesienia. Wstydził się wszakże wyznać to przed swoim przyjacielem, lękając się, że zostanie przez niego wyśmiany. Wszak rok już mijał, jak obywał się bez pieszczot Lidii, w obec roku, cóż znaczyło poczekać dzień dłużej?... A jednak Ryszard czuł, iż dłuższej nad konieczność nie zniesie rozłąki.

Przybywszy do Villeneuve-Saint-Georges, Ryszard wyskoczył z wagonu i wsiadł do staro-

świeckiego omnibusu, zaprzężonego w chudą i kulawą szkapę. Był to jedyny ekwipaż przybywający na stacyę dla dogodności podróżnych. Konduktor a zarazem woźnica wehikułu, przybrany w niebieską płócienną bluzę, przytroczył sznurami bagaże i ruszyli ku Uzelles. Jechali zwolna, drobnym truchtem. Chociaż było jeszcze rano, słońce wszakże zaczęło dopiekać i atmosfera wewnątrz omnibusu stała się duszna, ckliwa. Od ławek i ścian biła woń tytoniu, sfermentowanego wina, starych skór. Ryszard kazał woźnicy stanąć i siadł koło niego na koźle. Szklanka białego wina, którą wypił w karczmie na skręcie drogi, rozweseliła woźnicę i począł rozmowę. Opowiadał, że był swego czasu trębaczem w 3-cim pułku strzelców, pod dowództwem księcia d'Alcantary. Dobry to był wódz i dbały o żołnierzy, ale kobiety lubił przedewszystkiem, taki był z niego zuch, że żadna mu nie uszła, na którą tylko spojrzał. Nic też dziwnego, że teraz kwęka. Zwykła to kolej tych, którzy nadużywają za młodu. Podobno syn jego wrodził się zupełnie w ojca i chociaż jeszcze bardzo jest młody, lata za spódnicami jak opętany. Przecież cała okolica aż się trzęsła w przeszłym roku na wieść, że chłopak wykradł żonę jednemu panu z sąsiedztwa i uciekł z nią w świat, tak że ich nikt nie mógł dopędzić.

— A może pan słyszał o tej awanturze?...

Ryszard potrząsnął głową na znak, iż nic o tem nie wie, lecz wpadł w ciężką zadumę i nie słyszał już dalszego opowiadania woźnicy. Ten napróżno silił się wciągnąć go w rozmowę, Ryszard nie słyszał, tylko nucił ponuro głosem urywanym. Woźnica wpadł na domysł, iż wiezie kogoś lubiącego muzykę, więc sięgnął do skrzynki pod kozłem i wydostał róg powyginany, zniszczony; obejrzawszy go przyłożył do ust i z całych sił trąbił po kolei cały repertuar, którego się nauczył, będąc trębaczem w wojsku. Ryszard zmęczył się tą wrzaskliwą muzyką, rozdzierającą uszy, zszedł więc na ziemię i poleciwszy woźnicy, by dowiózł rzeczy do Uzelles, sam puścił się piechotą w poprzek lasu. Sam przed sobą wstydził się przyznać, wszakże czuł, iż opowiadanie woźnicy rozdrażniło go, popychając do wpadnięcia do domu z nienacka, rychłym rankiem, na piechotę przez park a zatem niepostrzeżenie.

— Co ona teraz robi?... Czy też myśli o mnie?...

Idąc szybko po leśnym mchu, Ryszard wciąż powtarzał sobie te słowa, rytmując niemi swoje kroki. Doleciał go odgłos kościelnego dzwonu, poznał dźwięk... dzwoniono w małej parafii. Nasłuchując tego odgłosu, posłyszał szelest i trzask gałęzi, jakby pod stopami kogoś spłoszonego i uciekającego. O parę kroków dalej, zobaczył rydel rzucony na rozrzucone mrowisko. Szedł dalej, nie zważając dłużej, lecz pomyślał, iż ucieka-

jącym musi być jaki leśny szkodnik, który przyszedł wygarnąć mrówcze jajka, by je potem sprzedać w bażantarni.

W miarę jak zbliżał się do Uzelles, szedł coraz szybciej. Wkrótce doszedł do miejsca zwanego Chêne-Prieur, gdzie od okrągłego placyku ocienionego pośrodku olbrzymim dębem, rozchodziły się w kilko-promienną gwiazdę szerokie drogi wycięte wśród lasu. Jedna z tych dróg dobiegała do wrót parku Uzelles. Ryszard spojrzał tam i mocno się zadziwił, albowiem owe wrota były prawie zawsze zamknięte, obecnie zaś stały rozwarte i o ile mógł sądzić z tej odległości, zdawało mu się, iż uwija się koło nich mnóstwo ludzi. Znów przyśpieszył kroku i widział teraz wyraźnie, jak ludzie jacyś wybiegają z parku i znów tam wracają rozprawiając, machając rękoma. W tem pod drzewem dojrzał cały tłum zbitych gromadnie ludzkich postaci. Skierował się w tę stronę, nic nie rozumiejąc, co to wszystko mogło znaczyć. Widział teraz mundury leśników i żandarmów, poznawał twarze ludzi zebranych a było ich sporo z Soisy, z Draveil, z Uzelles. Co się stało, pytał sam siebie. W każdym razie coś niedobrego, ten tłum ludzi wyglądał ponuro. Lecz otóż i wóz ojca Foucarta, zbierający ciała nieboszczyków... toczył się zwolna, sztukając po korzeniach pochylając się z hałasem przy głębszych wybojach.

— Pan Ryszard idzie!—zawołał głośno ktoś w tłumie.

A kiedy się zbliżył, rozstąpiono się przed nim z uszanowaniem i wpuszczono do środka koła utworzonego przez gapiów. Ryszard znalazł się tuż przy sędzim Delcrous, przy którym stał pisarz trybunału a doktór z Soisy i doktór z Draveil, rozmawiali półgłosem z panem Aleksandrem. Rozmawiający spoglądali co chwila na olbrzymi, otwarty żółty parasol, leżący na ziemi, z pod którego wysuwały się nogi mężczyzny, obute aż do kolan w wytworne kamasze. Resztę ciała, oraz twarz, zasłaniał parasol.

— Ach kochany panie Fenigan, zastajesz pan rzecz okropną!—rzekł sędzia, podając Ryszardowi rękę na powitanie. Lecz sędzia tak niezmiernie zajęty był wypadkiem i ważnością swej oficyalnej roli, iż nie wyraził nawet najmniejszego zdziwienia, ujrzawszy Ryszarda, powracającego niespodziewanie i to taką drogą, do własnego domu.

— Cóż się stało? — zapytał Ryszard prawie nieprzytomnie, bo na raz powstał mu w głowie wielki zamęt, myśli i podejrzenia krzyżowały się z sobą w sposób chaotyczny.

— Jakto?... Pan nic nie wiesz?... Tu przed nami leży trup księcia d'Olmütz, dopiero co ułożyliśmy go tak, jak go znalazł Aleksander, dzisiaj nad ranem. Przypuszczam, że książe umarł dwa lub trzy dni temu.

Na żądanie sędziego, pisarz odczytał półgłosem protokół całego wydarzenia, które spisywał podług opowiadania pana Aleksandra.

„Książe wyszedł w piątek po obiedzie z pałacu Grosbourg i do dziś, poniedziałku, nikt go tam nie widział. Nikt wszakże w pałacu nie niepokoił się jego nieobecnością, zwłaszcza przez pierwsze dwa dni, albowiem wszyscy przywykli do często ponawiającej się nieobecności księcia przez dzień lub dwa; wychodził z pałacu, nikogo o tem nie powiadamiając. Dopiero w niedzielę popołudniu, rodzice księcia zaczęli się niepokoić o niego, był to bowiem dzień jego urodzin i całe sąsiedztwo było sproszone na obiad, mający uczcić dziewiętnastą rocznicę urodzin księcia d'Olmütz. Dla uspokojenia księżnej, goście pozostali w Grosbourg do późnej nocy, salony były oświetlone i młodzież tańczyła menueta, wyuczonego na tę uroczystość. Nad ranem, książe generał, silnie zaniepokojony, wezwał do swego pokoju pana Aleksandra, by mu polecić wyszukanie nieobecnego syna. Pan Aleksander uśmiechnął się i rzekł:

„— Niechaj pan generał będzie spokojny... wczoraj jeszcze widziałem pana Karlexisa, widziałem go również onegdaj.

„— Karlexisa widziałeś?... Gdzie?... — zawołał uradowany ojciec.

„— Widziałem w lesie i zawsze na tem samem miejscu... Niedaleko od Chêne-Prieur. Już

od miesiąca pan Karlexis chodzi tam codziennie i całe popołudnie leży na trawie, przysłonięty wielkim parasolem. Pan Karlexis miewa tam schadzki... z kim?... powstrzymywałem się od podpatrywania... lecz jeżeli pan generał rozkaże, to gotów jestem...

„— Nie, nie... Wcale tych szczegółów nie jestem ciekawy. Dziwię się tylko, iż będąc tak blizko od Grosbourg, syn mój nie wpadnie chociażby na chwilę do domu, aby uspokoić swoją matkę. Jeżeli go dziś spotkasz, to upoważniam cię do powiedzenia mu tego w mojem imieniu.

„Pan Aleksander przyrzekł księciu, że tak uczyni i nie tracąc czasu, skierował się w kierunku lasu. Doszedłszy do muru, oddzielającego park państwa Fenigan od lasu, pan Aleksander, czając się, szedł do miejsca, gdzie widział dni poprzednich rozpostarty parasol młodego księcia. Rzecz dziwna, chociaż była zaledwie godzina ósma rano, parasol stał rozwarty, opierając się jak zwykle jednym brzegiem o gęsto rosnące paprocie. Po miłosnej nocy, widocznie książe zasnął głęboko, bo pan Aleksander chociaż wołał nań głośno, nie odbierał wszakże żadnej odpowiedzi. Wtedy...“

Doczytawszy tego co napisał, pisarz trybunału zwrócił się znów w stronę pana Aleksandra, by opowiedział ciąg dalszy; na to wezwanie kamerdyner, mówił prostując się:

— Wtedy, odchyliłem parasol i zobaczyłem rzecz tak straszną, iż krzyknąwszy począłem uciekać. Ogrodnicy pana Ryszarda byli właśnie koło wrót parku, więc usłyszawszy mój krzyk wybiegli; lecz nie pozwoliłem nikomu ruszyć ciała, chcąc, by najpierwej zawezwano pana sędziego z Corbeil.

Pan Aleksander zamilkł a obecni przyznali, iż słusznie postąpił, zarządzając natychmiastowe śledztwo z ramienia trybunału.

— Czy śmierć została stwierdzona? — spytał Ryszard, chwycony głębokiem wzruszeniem, w którem wszakże było więcej zadowolenia niż współczucia lub przestrachu. Słysząc pytanie Ryszarda, sędzia zamienił z pisarzem pogrzebowy uśmiech.

— Co do tego, nie może być żadnej wątpliwości—odrzekł Delcrous i uchyliwszy trochę parasola, pokazał Ryszardowi czem był teraz książe d'Olmütz, ten piękny uwodziciel serc niewieścich, wytworny młodzieniec, za którym przepadały wszystkie kobiety. Obecnie, przedstawiał on odrażający widok. Skostniałe jego ciało było wykrzywione a głowa, ta prześliczna tak niedawno głowa, była teraz potworną. Zaledwie resztki włosów i zapiekłej krwi pokrywały czaszkę a z twarzy pozostawała tylko jedna przerażającej okropności rana, odsłaniająca miejscami kości ogołocone z ciała, bielące się i czyste jak u szkieletu miejscami zaś przylegały jeszcze do nich szmaty muskułów przeżartych i postrzępionych. Tam

gdzie były oczy i usta, kłębiło się teraz robactwo i uwijały się wielkie czerwone mrówki, których całe zastępy, zbitemi masami, pożerały niedojedzone uszy i szyję. Oto było wszystko co pozostało z księcia d'Olmütz, którego tyle kobiet kochało i pieściło i który do szaleństwa doprowadzał mężczyzn, zazdroszczących mu szczęścia w miłości.

Widząc, iż sędzia Delcrous uchyla parasol dla pokazania nieboszczyka Ryszardowi Fenigan, tłum także rzucił się naprzód pomimo powstrzymujących go żandarmów, lecz zobaczywszy cofnął się przerażony, wydając stłumiony okrzyk zgrozy. Ci, którzy zdołali zobaczyć trupa, opowiadali tym, którzy go nie widzieli „głowę ma na wpół oskrobaną z ciała“.. „robactwo go roztoczyło“... Przerażenie zastępowało wszelkie współczucie. Szmer rozmów nagle ucichł, gdy sędzia skinął, by podjechał wózek ojca Foucart. Słychać było teraz brzęk owadów, unoszących się w powietrzu i stuk kół złowrogiego wozu, uprzątającego ciała nieboszczyków, zmarłych wśród rozdroży. Kilku leśniczych podniosło z ziemi ciało księcia a jeden z nich, delikatnością uczuć powodowany, przykrył mu twarz wielką swoją kolorową chustką. Przenosiny mieli niedalekie, bo wózek stanął tuż obok, ale rozkładające się ciało trupa zbroczyło ich niebieskie mundury krwawą i cuchnącą posoką, kłębami robactwa i gromadami mrówek.

— Gdzie go pan każe przewieźć — spytał po cichu Ryszard, starając się nadać twarzy wyraz zastosowany do okoliczności.

— Do Grosbourg — odrzekł Delcrous, tylko nie poprowadzimy go główną aleją, przez wzgląd na jego rodziców. Wyprawiłem do nich właśnie pana Aleksandra, żeby ich uprzedził. Rodzina d'Alcantara posiada swój grobowiec w Grosbourg, będzie więc można natychmiast przystąpić do pogrzebu. Bo myśleć nie podobna o żadnem poszczególnem śledztwie, autopsyi nie podejmą się dwaj nasi eskulapowie, idący za nami. Ani wiedzą, co sądzić o szmacie pełnej robactwa, w którą zamieniła się twarz księcia d'Olmütz. Przypuszczają, iż śmierć musiała nastąpić nagła, skutkiem ataku apopleksyi, podobno, iż skłonność ku temu miało wielu członków rodziny d'Alcantara. Zdaje mi się, że przypuszczenia lekarzy są słuszne; inaczej bowiem trzebaby stworzyć coś imaginacyjnego, zabójstwo, oszpecenie twarzy umyślne i przeniesienie zabitego pod parasol, w miejsce, gdzie od jakiegoś czasu widywano go codziennie. Ale po cóżby się zabójca znęcał nad ciałem z taką wyrafinowaną dzikością?

Rozmawiając postępowali za wózkiem wiozącym ciało. Leśna drożyna wązka była i kamienista, koła przecinały pokładające się chwasty i bujniejsze pędy głogów a niższe konary drzew muskały płótno wozu i głowy idących za nim żandarmów. Dopiero wówczas liczny tłum ludzi roz-

biegł się po lesie, każdy podążył do swojego zajęcia, eskorta więc była teraz nieliczna, na jej przedzie szedł Ryszard z sędzią a po za nimi kilkunastu leśniczych. Wózek wyjechał na nieco szerszą drogę, biegnącą wzdłuż parku Uzelles, wtem ojciec Foucart, idący przy swoim koniu, wziął go za uzdę i chciał skierować w stronę wrot zamykających posiadłość państwa Fenigan, spostrzegł to Ryszard i zawołał donośnie.

— Stój!... po co kierujesz w tamtą stronę?...

A gdy ojciec Foucart rzekł, iż przejeżdżając przez park w Uzelles zaoszczędzonoby spory kawał drogi, bo conajmniej pół godziny bliżej tędy do Grosbourg, Ryszard, zaczerwieniwszy się z gniewu, zawołał:

— Nie pozwalam... park w Uzelles nie jest drogą publiczną... To musi być pomysł tego nikczemnego lokaja... ojciec Foucart nie byłby wpadł na podobny pomysł!

Gwałtowny wybuch Ryszarda i głos jego drżący gniewem, zwróciły uwagę sędziego. Drgnął skutkiem tysiącznych myśli, prawie podejrzeń, jakie nagle zrodziły się w jego głowie, odrzucił je wszakże, szybko rozważywszy: „Tak, książę d'Olmütz był kochankiem jego żony; lecz są to rzeczy minione i Ryszard oddawna przebaczył swojej Lidii. Wpadam w manię zwykłą ludziom mojego zawodu, widzącym w każdym człowieku zbrodniarza. Jest to jednak pierwsza ważniejsza sprawa,

którą mam wyjaśnić, powinienem zachować trzeźwość sądu i nie wpadać w śmieszne posądzenia"...

Zwrócił się do pisarza trybunału, dał mu kilka poleceń, ukłonił się dwu lekarzom i wziąwszy Ryszarda pod rękę, rzekł kierując się z nim ku bramie pałacu w Uzelles:

— Chodźmy razem do twoich pań, kochany panie Ryszardzie... Obiecałem im nawet, że będę dziś u nich. One przecież dopiero jutro spodziewały się twojego powrotu.

— Tak. Ale przyszła mi chętka sprawienia im niespodzianki. Więc przybyłem o dzień wcześniej i chciałem wejść niespostrzeżony przez nikogo z domowników, dlatego też szedłem lasem piechotą. Przyznam się wszakże, iż nie spodziewałem się tam spotkać z okropnością tego wypadku...

Ryszard mówił z zupełną szczerością, świadczył o niej nietylko jego głos, lecz i wyraz twarzy spalonej od słońca i *sirocco*. Patrząc nań, sędzia uczuł wyrzuty sumienia; jakże mógł chociażby na chwilę posądzać tego człowieka o popełnie zbrodni! O mało co nie wygadał się z tem, taką miał ochotę przeprosić Ryszarda za niesprawiedliwość wyrządzoną mu w myśli.

— Tak, rzeczywiście okropny wypadek spadł na rodzinę d'Alcantara... lecz czy wiesz, panie Ryszardzie, iż osobiście czuję się temi czasy tak bardzo szczęśliwy, że tylko o sobie rad mówię. Czyś wiedział o tem, że kocham oddawna panią Elizę, twoją kuzynkę?... Otóż dziś rano biegnąc

do lasu z powodu owego wypadku, wstąpiłem na chwilę do twojej matki, bo widziałem, że wszyscy w pałacu są już na nogach, wśród zamięszania rzekła mi tylko, iż miała list od pani Elizy, która raczyła przyjąć moją propozycyę...

Weszli do parku i po chwili sędzia zawołał:

— Patrz... oto twoje panie — i rzeczywiście szły obie z przeciwnego końca alei.

Dzisiejszego rana wstały nieco wcześniej, niż zwykle i zeszły do ogrodu, by ściąć, dopóki była rosa, róże na świeże bukiety do salonu. Z nożycami w ręku zajęte były tą robotą w sadzie, gdy nadbiegła ku nim żona jednego z ogrodników, mówiąc o trupie księcia znalezionym w lesie i popłochu ztąd powstałym. Pani Fenigan zauważyła z wielką wewnętrzną radością, iż Lidia nawet nie pobladła, słuchając opowiadania ogrodniczki i systematycznie ścinała dalej rozwinięte na krzewach najwspanialsze róże. Gdy ogrodniczka odeszła, Lidia rzekła półgłosem:

— Bardzo szczęśliwie, że Ryszard wraca do nas dopiero jutro.

Ale w duszy dodała: tyle razy groził im w Grosbourg śmiercią księcia, iż gdyby był tu obecny, najniezawodniej wszyscy byliby go posądzili o zbrodnię... ja też byłabym tak myślała.

Lidia pozostawała jeszcze pod wrażeniem tej myśli, gdy sędzia Delcrous zawezwany z Corbeil zaszedł na chwilę do pałacu. Chciała się z nim podzielić swojemi myślami, lecz coś jakby tajemne prze-

czucie powstrzymało ją, zamilkła więc, nie przestając się wszakże radować, że Ryszard dopiero jutro stanie w Uzelles. Prawdziwie się przeraziła biedna Lidia, gdy około południa zajechał przed bramę omnibus ze stacyi kolei żelaznej, przywożąc kufer i torbę podróżną Ryszarda.

— To omnibus z Villeneuve—powiedziała służba, wnosząc rzeczy do pawilonu. — Pan Ryszard wysiadł w połowie drogi i miał przyjść do pałacu przez las.

Lidia o mało co nie zemdlała, słysząc te słowa. Teraz już nie wątpiła:

— To on zabił Karlexisa.

Fakt ten przedstawił się jej nagle i z nieodwołalną pewnością. Ryszard wrócił o dzień wcześniej dla sprawienia jej niespodzianki. Chciał wejść do domu od strony parku dla wywołania tem większego zdziwienia. Idąc przez las spotkał z nienacka księcia i uniesiony zazdrością, czy też gniewem za przeżyte skutkiem niego katusze, rzucił się nań i zabił. W ten sposób Lidia odtworzyła sobie w umyśle zaszły dramat; nie umiała sobie wytłómaczyć szczegółów, lecz treść jego uchwyciła. Przerażenie zmięszało się w niej z podziwieniem; tak, podziwiała teraz Ryszarda. Jakże bardzo musiał ją kochać, by się zdobyć na czyn tej doniosłości! On, ten człowiek nieśmiały i chwiejny, który umiał tylko cierpieć, narzekać i płakać, o tak, musiał ją kochać niezmiernie i niezmiernie być o nią zazdrosny. Jakże wdzięcz-

ną mu była za tyle miłości; serce miała wezbrane wybuchem uczucia, niewypowiedzianą troskliwością a wzruszenie jej wzmogło się jeszcze, gdy go ujrzała teraz w ogrodzie, śpiesznie idącego witać się z nią i z matką. Wydał się jej piękniejszy. Twarz miał ogorzałą od afrykańskich skwarów, wyszczuplał, szedł zamaszyście i zuchowato, z radosnym wyrazem twarzy i błyskiem oczu, którego przedtem nigdy nie widziała u dawnego Ryszarda. Jakże się odmienił i jakże pociągającym był dla niej w tej nowej odmianie!

Pani Fenigan, wsparta na ramieniu Lidii szła na spotkanie syna jak mogła najśpieszniej, wołając doń z daleka:

— Ty nic dobrego, toś nam sprawił niespodziankę! Ale niechcący przeraziłeś nas zarazem... Twoje rzeczy ze stacyi już przyjechały... więc ogarnął nas niepokój... zwłaszcza z powodu tego wypadku w lesie..

— Tak, na nieszczęście to nieco popsuło radość, jaką przypuszczałem, że wam sprawię, moje wy najdroższe!

Ryszard całował matkę a ramieniem objąwszy Lidię tulił ją do serca, potem zaczął i jej twarz całować, odszukawszy jej twarzyczkę pod wielkim, ryżowym letnim kapeluszem. Policzki Lidii wydały mu się lodowato zimne, zauważył to głośno, nieco zaniepokojony. Lecz ona nic na to nie odrzakła a pani Fenigan, czując, że małżonkowie radziby pozostać sami z sobą, wysunęła się na-

przód i rozmawiając z sędzią szła z powrotem ku pałacowi.

Ryszard szedł o kilka kroków w tyle, przytuliwszy Lidię do siebie, ściskał ją i całował upojony radością, szczęśliwy. Co chwila zatrzymywał się, by na nią patrzeć, by czytać w jej oczach.

— Dlaczego drżysz... dlaczego twoja twarz, twoje ręce, są tak zimne... mój niespodziewany powrót mógł cię narazie wzruszyć.. lecz patrz, jestem... czyś z tego nie rada?.. Powiedz mi najdroższa?... A może ty drżysz z powodu tej śmierci... mów... czyś bardzo się wylękła, przeraziła?...

— O nie, wcale — odrzekła Lidia z taką prostotą, iż intonacya jej głosu uspokoiła niepokój Ryszarda.

Wszakże nalegał dalej:

— Przyznaj się... mnie teraz wszystko możesz już mówić... czy ogarnia cię litość... czy go żałujesz?...

— O nie, on dla mnie umarł już oddawna... Przecież ty wiesz o tem i chyba nie masz pod tym względem wątpliwości... Nie, jeżeli widzisz mnie wzruszoną, to zupełnie z innego powodu...

— A z jakiego... czy wolałabyś, abym jeszcze był w Algieryi?... Wróciłem, bo zdawało mi się z twoich listów, że tego pragniesz... Twoje listy były czulsze, aniżeli twoje powitanie...

— O nie mów tego, Ryszardzie, ja o wiele jestem czulszą od moich listów... i szczęśliwą się czuję niezmiernie z twojego powrotu... Dobrze mi przy tobie... o tak... dobrze... dobrze... Przysięgam ci, że tak czuję...

Drżąca ze wzruszenia Lidia tuliła się i przyciskała do niego, chcąc w tej pieszczocie wyrazić cały ogrom uczucia, jaki napełniał jej serce. Usta jej zamikły, bo pragnęła o coś się spytać, lecz wahała się i brakowało jej odwagi. Ryszard to widział, lecz nie przypuszczał, by miało to być pytanie; nagłą owładnięty myślą, patrzał na swą żonę i czuł, że ma mu ona coś ważnego do zwierzenia... nie chciał wszakże zatrzymywać się na domysłach, cisnących się jedne za drugiemi... Dla odpędzenia ich, zaczął mówić o rzeczach potocznych, jak zwykle czynią ludzie, mający wiele sobie do powiedzenia, lecz skrywający nadmiar wzruszeń pod powłoką obojętnej rozmowy.

Szli więc, przytuleni do siebie i rozmawiali półgłosem, lecz banalność ich słów nie licowała z tajemnem ich wzruszeniem. Chwilami oczy Ryszarda ciskały błyskawice, myślał bowiem w duchu: „Kto wiedzieć może, czego się mógł dopuścić ten nikczemnik... Zapewne zakradał się do parku, prześladował ją swoją miłością i nieszczęśliwa kobieta, chcąc się oswobodzić, chcąc mnie ochronić od popełnienia tego, co sama wykonała, wymierzyła sprawiedliwą karę własnemi rękoma... chciała, by jego już nie było pomiędzy żyjącymi, gdy

wrócę z podróży...“ Chciał odpędzić tę myśl, lecz nie mógł temu podołać... wracała natrętnie, prześladując go jak zmora. Oczy Ryszarda przybrały teraz tenże sam wyraz, z jakim patrzała na niego Lidia. Lękali się, posądzali wzajemnie, drżąc jedno o drugie, pałając przytem miłosnem uwielbiem.

Sędzia Delcrous prowadził pod rękę panią Fenigan, rozpływając się ze szczęścia, wysłuchując opowiadanych przez nią szczegółów z listu Elizy. Zgadzała się być jego żoną. Już widział się w przededniu swego ślubu, w odświeżonem przy tej okazyi dawnem swem mieszkaniu, którego domownikami, prócz niego, były koty i wrzaskliwa papuga. Wstrętem przejęty dla tych starokawalerskich swoich towarzyszy, dysponował już w myśli ich losem, koty odda tym a papugę innym sąsiadom. Zasięgał rady pani Fenigan co do urządzenia pokojów, pytał się, kogo jej zdaniem ma zaprosić na świadków...

— Gdyby nie smutna okoliczność dzisiejszego rana, byłbym poprosił na jednego ze świadków księcia d'Alcantary... on mi zawsze okazywał wiele życzliwości...

Lecz twarz pani Fenigan spochmurniała, gdy wyrzekł to nazwisko, spostrzegł, iż popełnił rzecz nietaktowną.

— Pan zapomniałeś, jak widzę, że pomiędzy Uzelles a Grosbourg, są zerwane stosunki... A przecież Eliza jest naszą blizką krewną. Proszę wie-

rzyć, iż nie mam nienawiści do tych ludzi, zwłaszcza obecnie, gdy dotknęło ich tak srogie nieszczęście... lecz byliśmy z ich powodu także srodze nieszczęśliwymi...

— Prawda, przyznaję... niechaj mi droga pani raczy wybaczyć... Słowa wymknęły mi się nierozważnie... ale tak jestem uszczęśliwiony, iż nie wiem sam co mówię...

Twarz pani Fenigan nie rozchmurzyła się pomimo tych przeprosin. Zdawało się jej, iż sędzia zbytecznie się unosi własnem uradowaniem, zapominając, iż przed chwilą patrzał na trupa syna księcia d'Alcantary, którego chciał przyzywać na świadka w dniu swego wesela. Uważała postępowanie sędziego za niewłaściwe, lekkomyślne i pomimowoli zaczęła ścigać w myśli wózek ojca Foucart, na którym wieziono zwłoki Karlexisa. Jakże okrutnie będzie cierpiała jego matka, gdy ujrzy zabitego swego pieszczocha!

Zaledwie doszli do pałacu, służący oznajmił, iż wzywają pana sędziego śledczego do Grosbourg. Przybył po niego pan Aleksander i czekał przed bramą trzymając lejce konia, zaprzężonego do lekkiego tilbury. Delcrous niechętnie opuścił Uzelles, byłby wolał tu zostać i módz mówić o Elizie i przyszłem swem małżeństwie. Gdy powstał, by się pożegnać, Lidia jeszcze bardziej pobladła a Ryszard trzymający ją za rękę, zlękł się, by nie zemdlała.

Skoro tylko Delcrous siadł do tilbury koło pana Aleksandra, opanował się i wszedłszy w swoją rolę sędziego śledczego, zaczął mu stawiać pytania odnoszące się do zaszłego dramatu, dopytując się przytem o stan moralny mieszkańców pałacu w Grosbourg.

— Zdaje mi się, że księżna pani jeszcze się niczego nie domyśla... A pan generał przyjął wiadomość o śmierci syna z odwagą starego wojaka. Kazał nam złożyć ciało w odosobnionym małym budynku, do którego można dojść, nie będąc widzianym z pałacu.

— A w okolicy cóż ludzie sądzą o tej śmierci? co mówią?... co myślą?... Czy opinia wydana przez doktorów zgadza się z tem co ludzie mówią między sobą?...

Pan Aleksander przybrał minę tajemniczą.

— To, co ludzie mówią pomiędzy sobą, możnaby jeszcze wiedzieć, lecz co myślą... tego trudniej już dociec.

— A pan cóż o tem myślisz?...

— O ja!...

I niechcąc wyjawiać swego zdania, począł niby coś poprawiać w uprzęży konia, zżymając się na jego narowy. Wjechali na most na Sekwanie. Koń szedł teraz zwolna i dolatywały ich cienkie kobiece głosy od wielkiego statku na którym była pralnia. Na łące tuż w pobliżu, porozwieszano bieliznę na sznurach, ciągnących się od kołka do kołka i wiatr kołysał suszącemi się pło-

tnemi. Pan Aleksander prostował się na swojem siedzeniu, chcąc by go wszystkie praczki mogły zauważyć, jadącego powozem księcia d'Alcantary w towarzystwie pana sędziego śledczego z Corbeil. Wreszcie rzekł:

— Żeby pisarz trybunału mógł spisywać wszystko, co te kobiety wyrzekły w tej sprawie od rana do tej pory, uzbierałoby się z pewnością wiele objaśnień bardzo ciekawych i mógłby pan wtedy wiedzieć, co się o tem mówi w okolicy... lecz...

I znów się zaciął, zaciskając hermetycznie wązkie swoje usta. Przebiegłe oczy pana Aleksandra wymownie świadczyły, iż wie bardzo wiele, lecz sędzia był pewien, iż nic nie zechce powiedzieć. „Teraz milczy, pomyślał, lecz stanie się wielomówny, gdy go zawezwę do mojego gabinetu w sądowym gmachu w Corbeil. Tego rodzaju ludzie żywią poszanowanie i strach przed władzą sądową".

Dojechawszy do Grosbourg, pan Aleksander zatrzymał konia przed jedną z bocznych bram parku i Delcrous skierował się w stronę tarasu po nad rzeką, wiedząc, iż tam go książe oczekuje. Zdaleka ujrzał księżnę w ogrodowym wielkim kapeluszu na głowie, rozmawiała z wybuchami nerwowego rozdrażnienia w głosie z generałem i z panem Janem, którzy siedzieli na ławce, jakby przypartej do zielonego muru krzewów, oddzielających taras od trawnika, przezna-

czonego do gry w „tennis“. Generał, spostrzegłszy sędziego, powstał z ławki i wyprostowany wołał, by przybywał co najprędzej:

— Chodź, mój drogi i pomóż mi uspokoić księżnę... moja żona przypuszcza, że coś złego ukrywamy przed nią...

Delcrous przybrał odpowiedni wyraz twarzy i zapytał:

— Jakto?... więc państwo jeszcze dotychczas nie macie żadnej wiadomości?...

— Wyobraź pan sobie, że nie mamy; zaczynam być trochę niespokojny... i dlatego zawezwałem pana, byś nam dał jaką praktyczną wskazówkę.

— To dziwne... rzeczywiście dziwne... mówił zwolna Delcrous, głaszcząc swoje faworyty.

Księżna wciąż stała i okutym końcem swej parasolki, rozrzucała tu i owdzie żwir przysypujący aleję. Podniosła teraz oczy i badawczo spojrzała na mówiących. W przeciągu dwóch ostatnich dni księżna postarzała o lat kilkanaście, policzki miała teraz zapadnięte, cerę ołowianą. Patrzała na trzech mężczyzn przed sobą stojących i czuła, że są w zmowie przeciwko niej jednej, niewarto było stawiać im pytań, odpowiedzą bowiem kłamstwem a jednak oni wiedzą to co tak niezmiernie pożądała wiedzieć, czego nie śmiała się domyślać, chociaż złowrogie przeczucie nurtowało ją bezustannie. Zwróciła się w stronę pana Jana, wszak on jest z nich

najsłabszy, najnieśmielszy, od niego łatwiej jej będzie wymódz chociażby część prawdy.

— Proszę mi dać klucz od kiosku, wszak pan ma ten klucz u siebie... Chcę go mieć... czy słyszysz mnie, panie Janie...

— Tak, słyszę... ale niewiem, gdzie się ten klucz zapodział, jąkał nieszczęśliwy pan Jan, mrugając szybko oczami z po za okularów. Karlexis zamknął w kiosku piłki od gry w „tennis“... czy też zamknął tylko drzwi, aby podczas gry piłki tam nie wpadały... i zapewne klucz zachował przy sobie.

— Nie wiem, ile w tem jest prawdy. W każdym razie proszę klucz wyszukać. Chcę go mieć koniecznie... i to dziś jeszcze.

Rzuciwszy te słowa, księżna odeszła a generał rzekł tak głośno, by go jeszcze mogła posłyszeć:

— Ach te kobiety! Ileż one cierpią skutkiem zmartwień imaginacyjnych! Księżna miała dzisiejszej nocy sen, który jej teraz nie daje spokoju. Śniło się jej, że znaleziono jej syna utopionego w kiosku, który nazywamy nie wiem już dla czego le Fantôme. Kiedyś była w nim estrada dla muzykantów, lecz na pewno nigdy nie było ani kropli wody, nikt zatem nie mógł się tam utopić.

Skinął na sędziego, by sie do niego zbliżył i laską wskazując w stronę niewielkiego budynku z czerwonej cegły, prawie całkowicie zasłonięte-

go roślinnością, dodał ciszej, jakkolwiek księżna znacznie się już od nich oddaliła:

— A czy wiesz pan, iż on się tam rzeczywiście znajduje... pragnąłbym, aby śledztwo a raczej autopsya, co rychlej miała miejsce... aby można ciało zamknąć do trumny, bo matka, gdyby zobaczyła swego syna w tym stanie, mogłaby dostać pomięszania zmysłów... Wiesz, mój kochany panie Delcrous, że jako żołnierz widywałem różnie pokaleczone ciała ludzkie... lecz nigdy nie widziałem trupa w tym stanie... I pomyśleć, iż ten śliczny chłopak jeszcze kilka dni temu grał w „tennis“ tak ochoczo!...

Zamilkł i nikt nie śmiał przerwać ciszy, jaka zapadła; każdy uprzytomniał sobie postać Karlexisa, którego śmiech rozlegał się tutaj tak niedawno, przerywany wołaniem: „play“, przy ulubionej grze w „tennis“.

Po dłuższej chwili milczenia, sędzia zaczął mówić głosem zniżonym:

— Nad wieczorem przybędą lekarze, lecz wiem, że obadwaj są zdania, iż autopsya jest zupełnie zbyteczną, ja też podzielam ich przekonanie, że książe d'Olmütz zmarł nagle, rażony apopleksyą.

— Jestem najzupełniej innego zdania — rzekł stary książe.—Przedewszystkiem jednak chciałbym panu stawić pewne pytanie... Dlaczego w tej przykrej sprawie, pan właśnie podjąłeś się prowadzenia śledztwa?... I nie kto inny z trybunału

a tylko pan przybyłeś z Corbeil, dla stwierdzenia śmierci?...

Delcrous zmięszał się nieco.

— Na mnie spadła ta czynność, ponieważ mój kolega sędzia śledczy, wyjechał za urlopem dla poratowania zdrowia a prokurator Rzeczypospolitej przy trybunale w Corbeil jest także nieobecny; świeżo się ożenił i podróżuje ze swoją żoną...

— Słyszałem, że i pan masz zamiar wstąpienia w związki małżeńskie?...

— O, ja jeszcze nie myślę o poślubnej podróży!—odrzekł sędzia mocno zadziwiony, iż wiadomość o jego małżeństwie jest już znaną w pałacu w Grosbourg.

— Podobno żenisz się pan z kuzynką rodziny Fenigan, z młodą rózwódką, ładną i majętną?

Rozmowę tę wiedli, siedząc na ławce tarasu po nad Sekwaną, na której przeciwnem wybrzeżu ciągnął się na wzgórzu park d'Uzelles. Wśród zieloności rozróżnić można było pawilon i wyniosłe drzewa alei, łączącej go z głównym domem mieszkalnym rodziny Fenigan. Sędzia, patrząc na park i pałac w Uzelles, czuł się niezdolnym zaprzeczyć pytaniom księcia. Rzekł więc, że prawdopodobnie małżeństwo, o którem mówi, przyjdzie do skutku, jakkolwiek termin ślubu jeszcze nie jest oznaczony.

— A więc, mój kochany panie — rzekł książe i oczy mu zaświeciły niezwykłym blaskiem wśród

wybladłej jego twarzy, należałoby, abyś zrzekł się prowadzenia śledztwa, które rozpocząłeś, niech ktokolwiekbądź z twoich kolegów zajmie się tą sprawą, tylko nie ty, bo syn mój został zamordowany a zabójcą jego jest Ryszard Fenigan, twój przyszły kuzyn.

Delcrous zerwał się z ławki, prawie zupełnie szczerze oburzony posądzeniem księcia.

— Przypuszczenie pańskie jest bezpodstawne!...

— Owszem... mam na nie dowody... Panie Janie, proszę pokazać listy .. niechaj się sędzia przekona o prawdzie...

Pan Jan roztworzył skórzaną tekę, którą miał na kolanach i zaczął z niej wyjmować listy Ryszarda Fenigan, owe listy pisane do księcia w szale rozdrażnienia, gdy chcąc pofolgować uczuciu zemsty, pragnął pojedynku a nikt nie stawiał się na jego wyzwanie. Uniesiony gniewem Ryszard, miotał pogróżki, powtarzając w listach na wszystkie tony: „On nie chce się bić a więc zabiję go jak psa, zabiję, zabić go muszę". Na wezwanie generała, pan Jan uzupełnił znaczenie i doniosłość listów Ryszarda, mówiąc ledwie że dosłyszalnym, chorym swoim głosem:

— Pogróżki tego rodzaju, były nietylko wciąż pisane, lecz i mówione. Pan Fenigan dwa razy się ze mną spotkał i dwa razy powiedział, że prędzej lub później, zabije Karlexisa. Przysięgał, iż czatować będzie na niego w lesie i że nie zadowolni się tylko zabiciem, ale że mu twarz

rozmiażdży i zetrze butami, jak roztarł na proch medalion, przedstawiający Karlexisa.

— Cóż teraz sądzisz o tej sprawie, mój kochany panie Delcours?—zapytał generał.

— Wyznaję, że w pierwszej chwili posądzenia moje także padły na Ryszarda Fenigan. Lecz przy odrobinie zastanowienia, uznałem, iż niepodobieństwem jest, aby on był mordercą. Prawda, że wrócił z podróży nagle, prędzej aniżeli się go spodziewano, lecz wrócił dopiero dziś rano, podczas gdy śmierć księcia d'Olmütz musiała mieć miejsce znacznie wcześniej; zbrodnia została dokonana przed kilku dniami... dowodzi tego, chociażby ta masa robactwa.

Zaciął się, nie śmiąc przypominać ojcu potwornie okaleczonego Karlexisa, lecz generał sam zaczął mówić z najzupełniejszym spokojem:

— Bardzo być może, iż Ryszard Fenigan nie popełnił zbrodni własnoręcznie... chociaż to dzikie pastwienie się nad piękną twarzą młodzieńca, do którego miał zawiść, właśnie z powodu jego urody, każe przypuszczać, że i on swego udziału, dołożył w chwili zamachu... Niewiem jak się odbyły szczegóły tego mordu, lecz jestem pewien, że ten, który go dokonał, miał szczególniejsze powody zadowolnienia wściekłej swej zemsty. Twarz ludzką doprowadzić do tego stanu, mógł tylko człowiek dziki lub powodowany dzikiemi instynktami, podnieconemi szałem zazdrości... Wierzaj mi, panie Delcours, że za-

bójcą jest Ryszard Fenigan, a nie kto inny. A więc, jeżeli nie upewnisz się co do jego osoby i to jaknajśpieszniej, to ci się on wymknie i wtedy słusznie padną podejrzenia na ciebie, że okazałeś się słabym wobec człowieka, który jest blizkim krewnym twojej narzeczonej. Rozumiesz, iż to zaszkodzi twojej karyerze i szczerze ci radzę, byś tę sprawę powierzył komukolwiek innemu.

Delcrous pobladł.

— Cóż mam czynić?...

— Rzecz prosta, trzeba, byś zatelegrafował do Wersalu, aby tamtejszy trybunał przysłał kogoś mogącego cię wyręczyć.

Sędzia namyślił się, rozważał jak ma postąpić, wreszcie rzekł sentencyonalnie z powagą dostojnika, przywykłego do togi i biretu:

— Panie generale, jest to kwestya pomiędzy mną a sumieniem mojem, pozwalam więc sobie wyrazić prośbę, abym mógł powziąść stanowczą decyzyę, proszę poczekać do jutrzejszego poranku.

XVII.

Podwójna omyłka.

Podczas gdy się toczyły te tragiczne docieka-nia w cieniu drzew, rosnących na tarasie w Gros-bourg, po drugiej stronie Sekwany Ryszard szedł zwolna koło matki, rozglądając się po dawno nie-widzianym sadzie, staczającym się ku rzece, po-niżej parku w Uzelles. Karłowate owocowe drze-wa sadu, porozpinane i cięte w przeróżne kształ-ty, przypominały chińskie ogrody; na grządkach kwitły różnobarwne kwiaty a pszczoły uwijały się ponad niemi z brzękiem, potrącając i pochy-lając swym ciężarem wonne ich kielichy. Pani Fe-nigan patrzała tylko na Ryszarda, starając się przytem osłonić wyniosłą jego postać parasolką trzymaną w ręku, zaniepokojona, jak o maleńkie dziecko, by nie przepalił głowy na słońcu. Byli sami, Lidia bowiem została w salonie i przyjmo-wała gości; dziś był właśnie poniedziałek, to jest dzień, w którym panie w Uzelles oczekiwać były zwykłe na wizyty sąsiadów. Z powodu dramatu

zaszłego dzisiejszego ranka, wizyt było więcej, aniżeli innych poniedziałków, każdy był ciekawy, jeżeli nie dowiedzenia się jakich nowych szczegółów, to przynajmniej ujrzenia twarzy pań z Uzelles, zwłaszcza zachowania się Lidii wobec katastrofy.

Byłaby ona wolała być przy boku Ryszarda, aniżeli w salonie z gośćmi, czuła wszakże, iż należy zachować się spokojnie, by pogodą swej twarzy rozproszyć możliwość wszelkich domysłów i posądzeń. Wzburzenie, jakiemu ulegała usiłowała hamować, powtarzając sobie w myśli: „jakże drobiazgowem jest i nic nieznaczącem moje poświęcenie się w chwili obecnej w porównaniu z czynem, którego się on dopuścił w imię miłości, jaką ma dla mnie!“

Rozlegający się od czasu do czasu dzwon przy bramie pałacowej oznajmiał przybycie coraz to nowych gości a pani Fenigan po sposobie dzwonienia rozpoznawała kto nadjechał i rozmawiając z synem wśród sadu, robiła swoje spostrzeżenia:

— Teraz zajeżdża break z pałacu Frayé... a teraz jadą ładne żydóweczki z Mérogis. Dobrze Lidia zrobiła, że się zdecydowała przyjmować gości pomimo twojego przybycia... W przeciwnym bowiem razie, ci wszyscy ludzie, tak ochoczo nas dziś odwiedzający, byliby robili Bóg wie jakie domysły...

— Cóżby oni mogli myśleć?...— zapytał się Ryszard z cicha.

Zeszli teraz w sam dół sadu i chodzili ulicą bujnie obsadzoną rabatami gwoździków i wysokich lewkonij. Cisza panowała tu zupełna a kwiaty, kąpiąc się w pałających promieniach słońca, wydawały odurzającą woń, złączonych z sobą balsamicznych zapachów.

— Pytasz, się coby mogli myśleć... sama nie wiem, moje dziecko... lecz na pewno robiliby przeróżne uwagi, że śmierć księcia zmartwiła tak daloce Lidię, iż nie chcę się nikomu pokazać... że kryje się ze swemi łzami... a chcąc być złośliwym, łatwo jest zawsze coś znaleźć, by obgadać najniewinniejszego...

Pani Fenigan mówiła spokojnie z twarzą rozpromienioną widokiem swego syna. Ryszard odetchnął teraz swobodniej, był bowiem w obawie, że matka zwierzy mu coś straszniejszego, coś mającego łączność z własnemi jego myślami. Pani Fenigan mówiła dalej:

— Chociaż ta śmierć spadła najniespodziewaniej, upewnić cię mogę, że nie sprawiła najmniejszego wrażenia na naszej Lidii. Mam przekonanie, iż ona go nigdy nie kochała... a nikczemność charakteru Karlexisa wzbudziła w niej taki wstręt, iż tylko pozostała w jej umyśle nienawiść połączona z chęcią zemsty... Pamiętam, że w Quiberon, gdy będąc chorą, nie wiedziała, iż jestem tuż przy jej łóżku, często mówiła podczas maligny o tym nieżyjącym dziś Karlexisie, otóż nigdy nie dostrzegłam, by rzekła o nim chociażby słówko

przychylniejsze... przeciwnie, złorzeczyła mu a nawet odgrażała się, że się pomści, że go zabije...

— Mamo, nie mów... nie mów o tem — szepnął Ryszard, spostrzegłszy przechodzącego ogrodnika, który niósł oszklone ramy z inspektów a gdy chłopak już się oddalił, spytał:

— Mamo, powiedz, czy wiedziałaś o tem, że ten... ten... że Karlexis od jakiegoś czasu ciągle włóczył się w pobliżu naszego ogrodu?...

— Dowiedziałam się o tem dopiero dzisiaj rano. Lidia nic też o tem nie wiedziała. Nawet spytałam się jej i to mi najzupełniej wystarcza, przekonałam się bowiem, poznawszy ją bliżej, że zawsze można ślepo ufać wszystkiemu, co powie.

Ryszard zatrzymał się i wziąwszy matkę za rękę, spytał z prośbą w oczach:

— Mamo, kiedy znasz obecnie Lidię i powiadasz, że możesz za nią ręczyć, powiedz mi więc dlaczego ona taka jest dziś zmięszana?... Czuję w niej jakby jakiś przymus, jakby chęć zwierzenia się z tajemnicą, która jej ciąży... Wpadłem na myśl, że może pomimo woli jest wzruszona tą gwałtowną śmiercią, albo też opowiadaniem o trupie, którego twarz roztoczyły robaki...

— Przecież ona tego trupa nie widziała, chyba o tem nie wątpisz?

— Tak, wiem... dlatego też ciebie, mamo, pytam się o przyczynę niepokoju Lidii... Bo szukam tej przyczyny i znaleźć nie mogę... Tylko, mamo najdroższa, nie zacznij troszczyć się o mnie, bądź

przekonaną, że wróciłem zupełnie uleczony, już zazdrości śladu we mnie niema i nigdy nie będzie... Pytam się ciebie jedynie dlatego, iż nie pojmuję jasno całej tej sprawy... Ten Karlexis taki był odmienny od innych, taki niepochwytny w dziwaczności swego usposobienia... kto z nas może wiedzieć, czego się on mógł dopuścić, by widzieć Lidię, jeżeli napadła go ochota spotkania się z nią na nowo... a widząc, że ona wstręt tylko ku niemu uczuwa, mógł chcieć to przełamać i dokuczać jej, naprzykrzać się jej i narzucać z całą podstępnością, na jaką zdobyć się może taki nikczemnik... Zechciej przypuścić, mamo, że pozostały u niego jakie listy Lidii, albo jaka fotografia, będąca dowodem blizkości ich stosunku... otóż za pomocą takiego dokumentu, grożąc, iż w razie odmowy prześle go tobie lub mnie, mógł wymódz na Lidii schadzkę...

— Tak, on był zdolny uczynić coś w tym rodzaju... nawet pamiętam...

Lecz pani Fenigan urwała nagle, słysząc nowe, dwukrotne dzwonienie. Tym razem dzwonek rozległ się nie przy pałacowej bramie, lecz w oficynie.

— To Lidia dzwoni. Pewnie przyśle kogoś po mnie. Musi mieć pełen salon gości i przyzywa mnie na pomoc....

Ryszard, zaniepokojony poprzednio urwanemi słowy, prosił matkę, by zechciała dokończyć zaczętego opowiadania.

— Tak, nie mogę cię pozostawić bez objaśnienia. Otóż w przeszły piątek, zabrałam z sobą Lidię, jadąc do Corbeil. Był to pierwszy jej spacer od czasu, jak wyjechałeś z Uzelles...

Dobierając słów, z wielką ostrożnością pani Fenigan opowiadała o spotkaniu księcia w sklepiku jubilerskim; położyła nacisk, opisując blado ść i przerażenie Lidii; wszystko świadczyło, iż ujrzała tam Karlexisa zupełnie niespodziewanie, wreszcie jest to kobieta wyższa nad podobne wybiegi, podejrzywać ją byłyby niegodziwie.

— Jeżeli Lidia nic ci o tem nie doniosła w swoich listach, to wiedz, moje dziecko, że postąpiła tak jedynie skutkiem mojego nalegania... Słyszysz, Ryszardzie... ja uprosiłam ją, by o tem nic nie wspominała pisząc do ciebie... Więc nie miej do niej urazy, nie posądzaj o brak szczerości, bo ja jedna tylko zawiniłam...

Ale Ryszard nie posądzał bynajmniej, ani niewątpił o prawdomówności swej matki i o szlachetności charakteru swej żony. Milczał przez chwilę, bo wspomniało przykrej scenie, jaka wybuchła pomiędzy nim i matką w tymże sadzie po nad Sekwaną i to niedaleej, jak przed kilku miesiącami. Ileż rzeczy zmieniło się od tej chwili, jaka olbrzymia zaszła zmiana w sercu jego własnem i jemu najbliższych! Ryszard przystanął i, ująwszy matkę za obie ręce, ucałował je z czcią i najwyższą synowską miłością, nie zwróciwszy nawet uwagi, iż dbała o siebie

pani Fenigan miała długie rękawiczki, bez których nie wychodziła nigdy po za próg pałacu.

— Mamo moja najdroższa, nie tłómacz się i nie uniewinniaj Lidii! Wierzę jej zarówno jak tobie... i nie lękaj się powrotu mojej zazdrości. Lecz twoje opowiadanie, droga mamo, przeraża mnie do pewnego stopnia... bo potwierdza słuszność moich przypuszczeń. Tak, teraz zdaje mi się, że wiem już wszystko...

— Co takiego?... co przypuszczasz?... Naprawdę nie rozumiem was, moje dzieci... Ty i Lidia wypowiadacie dziś jakieś zagadkowe słowa... To mnie przeraża...

Lecz znów rozległ się dzwonek w stronie pałacu i prawie równocześnie nadbiegł służący, wzywający panią Fenigan do salonu przepełnionego gośćmi. Niechętnie przerwała gawędkę ze swoim jedynakiem tak dawno niewidzianym, przemagając wszakże niepokój, jaki budzić się poczynał w jej sercu, rzekła z wesołym uśmiechem na pożegnanie:

— Pozostań tutaj, przyślę ci Lidię, staraj się ją wybadać...

Po odejściu matki, Ryszard oparł się o nizki murek, oddzielający sad od pola staczającego się aż do Sekwany i zasianego dojrzewającym teraz owsem. Stał tak długo w głębokiem zamyśleniu. Matka mu rzekła: „staraj się ją wybadać!“ —Po co?... Wszak on wie bez tego. Nie warto więc męczyć Lidii drażliwością pytań. Tak, pomię-

dzy nią a Karlexisem musiało pozostać coś wspólnego, coś ciążącego Lidii zbytecznie. Karlexis używał tego czegoś jak pogróżki, zmuszając nieszczęsną kobietę do naznaczania schadzek. W ten tylko sposób Ryszard mógł sobie tłómaczyć obecność Karlexisa w pobliżu parku w Uzelles. Lidia, nie mogąc się wyswobodzić ze szponów tego niczemnika a spodziewając się lada dzień powrotu męża, zgodziła się na oznaczenie ostatniej schadzki, chcąc nareszcie wejść w posiadanie listów czy portretu, które pozostając w rękach księcia, stanowić mogły bezustanny dla niej postrach. Lecz Karlexis musiał się okazać zbyt wymagającym, chcąc się obronić pomściła się zarazem, tylko strzeliła celniej, aniżeli do siebie w Quiberon, widocznie ręka jej nie drgnęła nawet w ostatniej chwili... Zabiła a ujrzawszy leżącego na ziemi trupa, zapomniała o nienawiści, o zemście, lecz stała się kobietą przerażoną wielkością popełnionej przez siebie zbrodni, pilno jej być musiało zwierzyć się o tem zwłaszcza przed mężem, który jeden tylko był w stanie zrozumieć pobudki, usprawiedliwiające najzupełniej jej postępek. Dlatego też dziś rano, skoro tylko się powitali, tuliła się ona trwożnie do jego boku a patrząc mu prosto w oczy, zdawała się mówić: „Boję się... wstydzę się... schowaj mnie... ukryj, uratuj!“

Co począć?... Jak przyjąć straszliwe wyznanie, które mu złoży?... Uściskiem przytuli ją do swego serca, bo jeżeli stała się zbrodniarką, to je-

dynie przez miłość dla niego. Ileż razy słyszała ona z jego ust rozpaczliwe okrzyki: „Dopóki ten człowiek będzie żył, nie możemy być szczęśliwymi... bo zawsze myśleć będę, iż on także miał ciebie w swych objęciach... i dokuczać mi nie przestanie obawa, że on cię pożąda i że ty gotowa jesteś uledz mu kiedykolwiek“. Tak, Lidia nasłuchała się podobnych wyrzekań, jakże więc mógł mieć jej za złe, iż postanowiła usunąć przeszkodę tamującą im możność zbliżenia się, którego tak bardzo oboje pragnęli?... Czyż wreszcie ta wielka radość, rozsadzająca mu piersi w chwili obecnej, nie wypływała ze świadomości, iż nareszcie on jeden tylko jej pożąda, iż on jeden ma do niej prawo i niepodzielnie poić się będzie słodyczą jej pieszczoty. Ryszard patrzał na łany zboża, ścielące się szeroko u stóp swoich, patrzał na piękność rzeki i zakręt jej ozłocony promieniami słońca, i chociaż znał tu nieledwie każde dźbło trawy, wszystko wydało mu się piękniejsze, szersze, wspanialsze, bo wszystkiemu udzielał własnego zachwytu i radości wprawiających go w stan tkliwości i podniecenia.

Posłyszał lekkie i przyśpieszone kroki, wionęła letnia, muślinowa suknia. Lidia stała tuż obok niego, lecz bardzo blada i trwożna.

— Delcrous przyjechał—szepnęła, opierając się o mur i prawie nie patrząc na męża. — Podobno, że zmieniło się zapatrywanie, co do tej śmierci...

posądzają, że został zabity... i są na tropie wykrycia prawdy...

Jakże pobladły usta Lidii! Szepcząc te słowa, stara się uśmiechać, lecz przychodzi jej to z trudem... Ryszard patrzy teraz na nią pragnąłby pochwycić ją w ramiona i pocałunkami przywrócić życie tym ustom ukochanym, lecz w sąsiednich ulicach sadu, ogrodnicy poczęli polewać grzędy, słychać brzęk blaszanych polewaczek, gracowanie spieczonej ziemi; patrzy więc tylko na nią pałającemi oczami a głos stara się hamować, by spytać z obojętnością:

— Na jakim tropie?... Cóż oni mogą wiedzieć?... Czy Delcrous co powiedział?..

— Nie. Sędzia nic nie chce powiedzieć, chociaż wszyscy w salonie otoczyli go i gwałtem się dopytują.

— Wreszcie cóż to nas może obchodzić—rzekł Ryszard, pieszcząc rękę Lidii i zabierając ją w swoje posiadanie, po za brzegi szerokiego muślinu rękawa.

Słońce poczynało się chylić ku zachodowi a zroszone wodą kwiaty napełniały powietrze wonią wzmocnionych zapachów. Różnobarwne rabaty sadu lśniły się i promieniały orgią kolorów a wilgocią zwabione drobniutkie przezroczo niebieskie motylki, tumanem krążyły po nad wspaniałością rozkwitłych gwoździków i lewkonij. Mikroskopijne skrzydełka owadów połyskiwały

w wonnym oparze, jakby roje gwiazdek niebieskich.

— Jak tutaj dobrze — szepnął Ryszard.

— O tak, dobrze jest być razem — westchnęła Lidia, pochylając głowę na ramię męża i z figlarną kokieteryą spojrzała mu w oczy, chociaż serce miała strwożone niepewnością, obawą. Zdziwiła się spokojem jego twarzy. „Więc on jest nieulękniony?... Nie boi się, chociaż niebezpieczeństwo mu zagraża?... Co on myśli?... Zkąd czerpie tyle odwagi?... Bo gdyby to niebezpieczeństwo groziło nam na równi, byłoby słodko cierpieć i pokutować razem... Drogi, kochany mój Ryszard... on w miłości dla mnie czerpie swoją siłę!“ W tejże samej chwili Ryszard oddany był cały uczuciu radości. Śmierć Karlexisa zwalniała jego serce z przygniatającego je ciężaru, zdawało mu się, że poraz pierwszy widzi w całej pełni piękność tej ukochanej, będącej jego żoną, jego wyłączną własnością, poił się ogromem swego szczęścia. Lecz Lidia znów cichutko westchnęła i dostrzegł po za jej uśmiechem, głęboki smutek szarych oczów miłośnie ku niemu zwróconych.

— Czego ty wzdychasz, Lidio moja najmilsza?... Powiedz, co tobie?... Powiedz, teraz kiedy jesteśmy razem, tuż przy sobie i sami...

— Nie mogę... jeszcze niedość sami i niedość blizko jesteśmy, bym mogła powiedzieć... byśmy mogli szczerze porozmawiać z sobą...

— A więc kiedy?... Dziś wieczór... albo w nocy?

— Tak, w nocy, powiemy sobie wszystko.

Ręce ich splotły się w pałającym uścisku, a tchnieniem swem pili się wzajemnie. Ryszard pytał ją z cicha:

— Więc się nie boisz, bym ci dokuczał, jak owej nocy poprzedzającej mój wyjazd? Czy pamiętasz?...

— Pamiętam, lecz nie boję się, bo to się teraz nie może już powtórzyć.

— Dlaczego?...

Szarpnęła się gwałtownie i jakby spychając z siebie ciężar zbyt dokuczliwy, rzekła z pewnością przekonania:

— Bo teraz nie rozdziela nas, lecz przeciwnie łączy nas sprawa...

Udawał, że jej nie rozumie, więc spytał szeptem:

— Jaka sprawa?...

Wzrok ich krzyżował się, palił wzajemnie i napawał dreszczem najwyższej namiętności. Po za nią połyskiwała purpura wspaniale zachodzącego słońca, którego promienie, przeświecając przez puszyste, jasne jej włosy, tworzyły aureolę dokoła delikatnych linij wytwornej jej główki, on stał naprzeciw i konające słońce ognistemi blaskami napełniło mu oczy, złotą łuną krasząc ogorzałe, męzkie jego rysy. Nie widzieli się jeszcze nigdy w podobnej chwale piękności i jeszcze nigdy nie doznali tak niezmiernego i wzajemnego nad sobą podziwu, łączącego się z żądzą najwyższej piesz-

czoty. Lecz apoteoza światła, która ich oblewała przemieniając postacie ich w nadziemskie istoty, była tylko tłem piękna olśniewającego ich wzajemnie. Piękno to biło od nich oddziaływająco skutkiem owej *sprawy*, tej dramatycznie okrutnej *sprawy*, o którą posądzali się wzajemnie, *sprawy* dokonanej w imię miłości i tylko dla wspólnej im miłości. Litowali się nad trwogą jedno drugiego, wielbili się całą potęgą swych serc rozkochanych...

— Ryszardzie, Ryszardzie, gdzie jesteś?!

Donośny i ostry głos wzywał Ryszarda prawie rozkazująco, dochodząc od strony pałacu.

— To Delcrous cię woła—rzekła Lidia, z przerażeniem odskakując o kilka kroków w bok od męża.

Ryszard spochmurniał i mruknął:

— Czego on chce od nas i po co aż tutaj za na nami przychodzi?

Prawie pomimowoli wyciągnął ramiona ku Lidii, jakby chciał ją uspokoić: „nie lękaj się, jestem przy tobie i nic ci się złego przy mnie nie stanie".

A ona, widząc go tak spokojnym i pełym miłości, myślała: „Jaki on odważny, jakże bardzo go kocham!". Ryszard patrzał na strwożoną Lidię i rozkoszował się nietylko jej pięknością, lecz jej strachem teraz widocznym; jakże tkliwą i miłą była ta wiotka postać kobieca, nieulękniona i z zimną krwią spełniająca czyn w obronie swej

miłości a teraz po jego dokonaniu słaba, zdenerwowana i w swej niemocy garnąca się do jego boku.

— Przepraszam cię, mój kochany Ryszardzie — rzekł Delcrous, zbliżając się drobnemi i szybkiemi krokami—rozumiem, że nie w porę przerywam ci pierwsze twoje godziny po powrocie do domu, ale chciałbym jaknajprędzej dostać się do Corbeil, więc przychodzę cię prosić, abyś mnie tam odesłał swojemi końmi.

— I owszem, zaraz każę zaprządz.

— Ja pójdę do stajni — rzekła pośpiesznie Lidia, uradowana myślą: „jeżeli Delcrous zaraz odjedzie, to na dziś niema żadnego niebezpieczeństwa".

Ryszard roześmiał się, patrząc na rozjaśnioną twarz żony i rzekł:

— Chodźmy razem do stajni... nie odchodź bez nas...

Zwrócili się w górę sadu, kierując się ku pałacowi. Jaskółki uwijały się po nad drzewami rozłożonemi w wachlarze lub wielkie kielichy a słońce skośnemi promieniami przeszywało powietrze, złocąc je i ożywiając falami swych blasków. Delcrous skorzystał z pierwszej okazyi, by módz szepnąć do Ryszarda bez zwrócenia uwagi Lidii:

— Pojedź ze mną chciażby kawałek drogi, potrzebuję być z tobą sam na sam chociażby przez chwilę. Muszę cię zapytać o kilka szczegółów.

Najwidoczniej chciał się czegoś dowiedzieć o stosunkach Lidii z Karlexisem; musiano mu dać jakieś wskazówki w Grosbourg, Ryszard musiał uczynić wysiłek woli, by pokryć wewnętrzne swe wzburzenie.

— Dobrze, pojedziemy razem—odrzekł również tajemniczo.

Gdy powóz zajechał i Lidia ujrzała Ryszarda wsiadającego wraz z sędzią, nagle pobladła, ogarnięta złowrogiem przeczuciem, iż uwożą jej męża i że nieprędko go zobaczy z powrotem. Zapanowała wszakże nad swojem wzruszeniem i rzekła z uśmiechem:

— Panowie, kochani moi panowie, poczekajcie chwilkę, włożę kapelusz i pojedziemy razem!

Lecz Ryszard zrozumiał mrugnięcie sędziego i rzekł do żony:

— Nie warto, ja zaraz wrócę.. zobaczysz za chwilkę będę z powrotem... tylko do skraju wioski odprowadzę sędziego.

A wychyliwszy się z powozu i przesyłając jej ręką pocałunek, dodał ciszej:

— Wróć do salonu i pomóż mamie bawić gości.

Lidia zawróciła się, by iść do pałacu, lecz przystanęła na ganku, by popatrzeć za odjeżdżającym mężem. Z tyłu po za nią, przez otwarte okna pałacu dolatywały dźwięczne głosy i śmiechy kobiecego gwaru, bawiono się wybornie i rozmowa bardzo była ożywiona. Gdy powóz dojechał do

bramy i konie miały skręcać na gościniec wiodący do Corbeil, Ryszard odwrócił się raz jeszcze i zdaleka zawołał:

— Do widzenia, zaraz wrócę!

Delcrous stoczył z sobą pewną walkę, lecz ostatecznie chęć szybkiego awansu przemogła w nim nad miłością dla Elizy i poświęcił Uzelles dla zadośćuczynienia wymaganiom Grosbourg. Po rozmowie z księciem, długo się namyślał i idąc pieszo do Uzelles nie mógł się zdecydować; przechodząc przez most jeszcze nie powziął stanowczego postanowienia. Gdyby Eliza mogła była przed nim stanąć w ponętnej swej postaci, ponętny uśmiech byłby na pewno odniósł tryumf nad wahaniem się sędziego; spojrzawszy na uroczą i figlarną buzię Elizy, byłby natychmiast zaniechał myśli o swej karyerze i potędze wpływów takiego człowieka, jak książę generał. Lecz Eliza była daleko i sędzia Delcrous, przeszedłszy most na Sekwanie, powziął postanowienie zgodne ze zwykłą oschłością swego serca; poświęcił projekt małżeństwa, dla dobra przyszłego awansu. Uśpiona chwilowo ambicya ozwała się teraz naglące, dopominając się, by „należycie spełnił swój obowiązek wysokiego urzędnika przy trybunale w Corbeil". Ułożył sobie plan postępowania. Postara się najpierw o poufną rozmowę z „kochanym Ryszardem" a ztąd otrzymane zwierzenia posłużą mu i dopełnią zeznanie „obwinionego" gdy stanie przed kratkami sądowemi.

Skoro tylko wyjechali na gościniec, po którym konie rączo biegły, tocząc za sobą lekki powozik, sędzia przystąpił do wykonania pierwszej części swego planu. Tłomaczył „przyjacielowi“, iż nie chciał z nim mówić o śmierci księcia d'Olmütz przy Lidii, tembardziej, że cała ta sprawa przybiera obecnie inny obrót, aniżeli myślano z początku. Młody książę nie umarł naturalną śmiercią, lecz został zabity. Lekarze pomylili się w pierwotnem swem orzeczeniu.

— Czy są na to dowody—spytał Ryszard z nieukrywaną gwałtownością.

A Delcrous, poczekawszy chwilę i patrząc nań badawczo rzekł:

— Mamy na to niezbite dowody.

Ryszard już teraz nie wątpił. Tak, wiedzieć coś musieli o Lidii. Lecz za kogóż go brał ten sędzia, przypuszczając, iż on wyda swoją żonę, że ją rzuci na pastwę ich sprawiedliwości! Bez namysłu postanowił zmylić posądzenia i w razie potrzeby całą winę wziąć wyłącznie na siebie.

Delcrous, chociaż nie odznaczał się subtelnością i sprytem, odczuł niepokój Ryszarda i, ucieszony, ciągnął dalej:

— Jednym z dowodów jest okoliczność następująca: książę d'Olmütz miał zwyczaj noszenia przy sobie listów i fotografij młodych kobiet, z któremi był w stosunkach, a nawet jak wielu młodych ludzi mających szczęście do podobania się płci pięknej, pokazywał znajomym, posia-

dane pamiątki. Nosił te relikwie swoje w małym pugilaresie, oprawnym w szyldkret, wszyscy mniej więcej jego znajomi widzieli ów sławny pugilares i chociażby cząstkę tego, co zawierał. Otóż wyobraź sobie, że przy trupie nie znaleziono ani pugilaresu ani żadnej z owych pamiątek. Ten właśnie drobny na pozór fakt dał początek nowemu poglądowi na śmierć księcia d'Olmütz... i jesteśmy już na tropie... wiemy, kto dopuścił się morderstwa...

Opowiadanie sędziego odtwarzało tenże sam przebieg sprawy, jaki poprzednio powstał w głowie Ryszarda, uprzytamniającego sobie całą dramatyczność schadzki Lidii z Karlexisem. Chciała odzyskać listy niegdyś do niego pisane, lecz on kładł swoje warunki... Zdawało się Ryszaroowi, iż każde zdanie wypowiedziane przez Delcrousa szarpie mu serce, jakby żelaznemi hakami, jednakże znajdował siły, by odpierać ze spokojem wszelkie twierdzenia:

— Jeżeli przeszukano mu kieszenie, to rzecz prosta, że go zabito w chęci obłowienia się pieniędzmi.

— Otóż nie. Brakowało jedynie owego pugilaresu z pamiątkami. Ktoś, co go zabił, jedynie owe pamiątki chciał pozyskać. Bo nie tknięto ani portmonetki, ani zegarka, ani pierścionków. Zabrano pugilares z listami i oszpecono śliczną twarz tego biedaka, któremu uroda, trzeba przyznać, nie przyniosła zbyt trwałego szczęścia...

Hulał to prawda, lecz niedługo cieszył się bulanką.. Otóż śmiało teraz rzec można, iż zabito go przez zemstę... z nienawiści...

Ryszard milczał a sędzia, uląkłszy się, iż zbyt wyraźnie wskazał zabójcę i zbyt go onieśmielił, zmienił naraz swoje poglądy i dla wyprowadzenia w pole przeciwnika, rzekł prawie żartem:

— Czy wiesz Ryszardzie, co ja myślę o śmierci Karlexisa?... Otóż mam podejrzenie, iż go zabiła kobieta.. jaka zazdrosna, lub rozgniewana kobieta...

Ryszard drgnął cały, co nie uszło uwagi sędziego. Pomyślał, iż tą drogą prowadząc indagacyę, uzyska wiele pożytecznych objaśnień.

— Myśl ta mi przyszła, gdy tylko zobaczyłem trupa. Ułożono go na trawie, w pozie pełnej wdzięku, pod parasolem efektownie wspartym na wielkich paprociach... tak, tak, to nie może być nic innego, jak niewieścia *vendetta!*

Ryszard widząc, iż Lidia jest odkrytą, postanowił ją ratować chociażby kosztem własnego życia.

— Mylisz się, mój drogi, przypuszczając, że tylko kobieta jest zdolną być wyrafinowaną w zadowolnieniu swej zemsty. Ręczyć ci mogę, że mąż zazdrosny i mordujący sprawcę katuszy, których tamten był przyczyną, jest równie zdolny, jak kobieta, mścić się i znęcać z najwyższem okrucieństwem...

— Więc podług ciebie, to nie kobieta popełniła dziś wykrytą zbrodnię?

— Przysiągłbym, że nie kobieta.

— Jak widzę, jesteś znawcą...

Mówiąc to, sędzia śmiał się głośno, przypuszczając, iż śmieje się dobrodusznie i dowcipnie a po chwili, pochyliwszy się konfidencyonalnie w stronę Ryszarda, zapytał go z nienacka, podziwiając swoje wysokie zdolności śledcze:

— Czy to prawda, co ludzie mówią o tobie, że jesteś niezmiernie zazdrosny?...

— Tak jest w istocie, jestem bardzo zazdrosny.

— Podobno, że skutkiem tego napisałeś nawet mnóstwo listów pełnych pogróżek?...

— Czyż można wiedzieć i pamiętać, co się mówi lub pisze w podobnych uniesieniach!...

Nastąpiła dłuższa pauza w rozmowie i każdy z dwóch mężczyzn, pogrążywszy się w milczeniu, oddał się biegowi myśli spokojniejszych, żałując prawie, iż dał się unieść poprzedniemu prądowi. W miarę wzmagania się wieczornej ciemności, gościniec wydawał się bielszy, roztaczał się wdal, jak jasna wstęga. Po obu stronach drogi szli ludzie pojedynczo, lub we dwóch a czasami w trzech; wracali do domów po całodziennej pracy w polu, trzymając rydle skośnie na ramionach, szli ociężale, ze zmęczeniem w członkach, pochyleni ciężarem bólu osiadłego im wzdłuż grzbietu, zgiętego zbyt długo przy kopaniu ziemi. Toczył się od czasu do czasu wóz zaprzężony w parę lub

kilka koni, idących szeregiem jeden za drugim a czuwać mający nad niemi człowiek drzemał, siedząc bokiem na najspokojniejszym i kiwał się w takt ruchu zmęczonych szkap, po nad głowami których brzękały kółka i dzwoneczki, dźwięcząc przeciągle wśród wiejskiej, pogodnej ciszy. Jeden taki woźnica, raptownie zbudzony turkotem powozu, zeskoczył szybko z konia i skierował wóz na stronę; nieco dalej jakiś włóczęga siedział nad rowem i opatrywał sobie nogi pokaleczone zbyt długą pieszą wędrówką; rzucił on okiem zawiści na mężczyzn siedzących wygodnie w powozie, zaprzężonym w dwa rosłe i żwawe konie. Od gościńca aż do rzeki, na całej pochyłości gruntu, zieleniła się starannie przystrzyżona winnica a Sekwana połyskiwała krwawo skutkiem odbijających się w niej zachodnich obłoków. Po przeciwnej stronie drogi ciągnął się las tajemniczy głębią swej ciemności. Od rzeki dolatywały odgłosy statków a z po nad lasu spływały splątane i wesołe śpiewy ptasząt osiadających wierzchołki drzew jeszcze skąpane resztą dziennego światła. Odzywał się nawet słowik i wkrótce jego tylko pieśń było słychać, a wraz z miłosnemi jego trelami, dolatywały zapachy leśnych kwiatów, zwłaszcza konwalij obficie tutaj rosnących. Ryszard myślał teraz o Lidii. Sędzia nawet uległ uroczemu powiewowi od lasu i marzył o Elizie, przypominając sobie wesołość i szczerość jej uśmiechu, opromienionego białością śliczuych

ząbków. Przez chwilę dał się unieść swej miłości i byłby nawet chętnie zatelegrafował do Wersalu, przyzywając zastępcę dla prowadzenia dalszego śledztwa, lecz ten tryumf serca trwał krótko i dość łatwo ustąpił przed wymaganiami ambicyi, gardzącej podobną słabością.

Dojeżdżali właśnie do Soisy, gdy z bocznej dróżki wijącej się wśród winnic, wyszła wysoka, czarna postać i zarysowała się wyraziście na kredowo białym szlaku gościńca. Był to ksiądz Cerès.

— Witam cię, księże dobrodzieju — zawołał Ryszard z serdeczną uprzejmością, rozkazując furmanowi, by zatrzymał konie.

Wikaryusz zaczął się dopytywać, czy i właściciel małej parafii wrócił z podróży? Ryszard opowiedział mu, że zostawił pana Merivet w Marsylii, lecz że on wkrótce ztamtąd przybędzie.

— Ale cóż tu robiłeś, kochany ojcze Cerès, wśród pola i o tej porze?... Zapewne, jak zwykle, chodziłeś pocieszać jakich biedaków?...

Ksiądz, zdjąwszy z głowy swój kapelusz o szerokich brzegach, ocierał pot z czoła i siwych włosów, okalających mu głowę srebrzystą koroną i rzekł z prostotą:

— Powracam z twojej posiadłości, panie Ryszardzie... z nad Sekwany... ojciec Jerzy, którego przygarnąłeś w domku nad rzeką, jest niezdrów i kazał mię przywołać.

— Czy bardzo jest chory?...

— Przypuszczam, że to ostatnia jego choroba, i mam zamiar jeszcze dziś wrócić do niego ze świętemi olejami.

— Biedaczysko moja Lidia zmartwi się, gdy się o tem dowie.

A skoro ksiądz pożegnał się, śpiesząc do Draveil, Ryszard zawołał za odchodzącym:

— Księże dobrodzieju, zechciej się nie kłopotać o koszta pogrzebu... i zrób wszystko na mój rachunek..

— Dziękuję ci, zacny mój panie — odezwał się z oddali głos księdza niknącego w ciemnościach.

Drzewa przestały już rzucać cień, noc zapadała czarna, jakby rozpostarły się skrzydła śmierci, o której dopiero co była mowa. Korzystając z przystanku furman zapalił latarnie powozu. Delcrous znów myśląc o dramacie zaszłym w lesie dzisiejszego ranka, rozważał o co należałoby jeszcze wypytać Ryszarda dla dopełnienia zebranych wiadomości. Wreszcie spytał przyjaciela:

— Powiedz mi, kochany Ryszardzie, kiedy właściwie pożegnałeś się z panem Merivet?...

— Pożegnałem go wczoraj rano w Marsylii.

Lecz w tem spostrzegł się, iż w ten sposób gubi Lidię, więc pośpiesznie dodał:

— Co też ja mówię... Onegdaj pożegnałem się z panem Merivet, tak, dwa dni temu... Jak też to łatwo stracić rachunek dni, gdy się jest w podróży... Wszystko się plącze... bo wszystko przypada w niewłaściwych godzinach...

— Gubi się... sam, jakby naumyślnie, gubi się nieszczęśliwy chłopak—myślał sędzia, spoglądając z rodzajem politowania na swego towarzysza. Litością zdjęty, czy też dyletantyzmem swego rzemiosła pchnięty chęcią utrudnienia samemu sobie śledztwa, które mu się teraz wydawało zbyt łatwe, Dolcrous rzekł:

— Jednakże dziś rano, gdyśmy się spotkali w lesie, powiedziałeś mi, że dopiero co wysiadłeś z wagonu. I chyba, iż tak było rzeczywiście, bo cóżbyś robił w lesie od kilku dni... dlaczego siedziałbyś w lesie, zamiast wrócić do domu, do matki i do żony?...

— Tak, zapewne—szepnął Ryszard nie wiedząc co dalej mówić.

A sędzia pomyślał:

On teraz będzie udawał głupca o niczem nic niewiedzącego.

Pochylił się w stronę Ryszarda i rzekł głosem zniżonym, przyjacielskim:

— Mój drogi, czyś się zastanawiał nad tem, że śmierć księcia d'Olmütz może mieć nieprzyjemne skutki... zwłaszcza dla ciebie?... Bo na nieszczęście cała okolica wie, iż osoba, której imienia nie chcę wymieniać, lecz osoba bardzo ci blizka pozostawała w stosunkach z zabitym księciem...

— Wiem, że ta okoliczność jest znaną...

— Więc musiało ci przyjść na myśl, że posądzenia mogą paść na kogoś z was, jeżeli nie na ciebie... tembardziej jest to uzasadnione, iż trup

księcia d'Olmütz został znaleziony tuż w pobliżu parku d'Uzelles...

— Nie, tej myśli nie miałem .. bo to niczego nie dowodzi, iż znaleziono tego trupa tuż koło mojego domu. Mógł bowiem zabójca przynieść ciało zabitego i złożyć go w sąsiedztwie parku d'Uzelles, jedynie dla odwrócenia uwagi... dla zatarcia śladu po za sobą.

Delcrous poczuł, iż dowodzenie Ryszarda ma wiele słuszności, przyznał w duchu, iż nie byłby wpadł na ten domysł, rzekł więc, przybierając wyraz wielkiej szczerości:

— To, co mówisz jest zupełnie słuszne. Jednakże, pozwolę sobie na postawienie ci jeszcze jednego pytania, na które możesz nie odpowiadać, jeżeli ci to sprawia przykrość. Wszyscy wiedzą, że jesteś niesłychanie zazdrosny. Otóż wyobraźmy sobie, iż wracasz z podróży wczesnym rankiem i chcesz się dostać do domu cichaczem dla sprawienia niespodzianki swoim paniom. Idziesz więc przez las, chcąc wejść do parku przez boczną bramę. Wtem spostrzegasz wymykającego się tamtędy młodego księcia. Cóżbyś uczynił w podobnym razie?... Uniesienie twoje byłoby wytłómaczone...

— Przypuszczasz, że byłbym zabił?... Tak, nie mylisz się... i nawet prawo byłoby po mojej stronie.

— Otóż nie! Prawo byłoby po twojej stronie, tylko wrazie, gdybyś był schwycił na gorącym uczynku.

— Mój kochany, zapominasz, że dla człowieka zazdrosnego, okoliczność, jaką przytoczyłeś, byłaby równała się schwytaniu na gorącym uczynku.

Ryszard wyrzekł te słowa z uniesieniem i tak dobitnie, iż sędzia cofnął się w głąb powozu z przekonaniem, że usłyszał kategoryczne przyznanie się do winy, wobec czego niewarto już było stawiać nowych pytań badanemu przez siebie przyjacielowi. Obecnie sprawa była jasna i należycie przygotowana dla ułatwienia czynności trybunału sądowego. Ryszard zaś był silnie zaniepokojony i pytał sam siebie: „Cóż on teraz uczyni?... Dlaczego w ten sposób pokierował swoje pytania?... O co mu właściwie chodziło?“

Powóz wjechał obecnie na przedmieście Corbeil. Pozapalane latarnie gazowe migotały z rzadka wzdłuż Sekwany, lśniącej się jeszcze ostatniemi blaskami zachodu. Z olbrzymich wysokich kominów fabrycznych unosiły się reszty dymów a na chodnikach po obu stronach ulicy, szły gromady robotników, mężczyzn i kobiet; każda z nich miała w ręku koszyk, w którem było jedzenie przyniesione rankiem z domu na całodzienny posiłek. Nędzne te koszyki, również jak nędzna odzież pokrywająca zmęczone członki tego spracowanego ludzkiego stada, niosła z sobą w ziewy potu, ubóstwa i sadzy. Prócz tych ludzi, powóz nie napotkał nikogo, ani na ulicy Notre Dame, ani na placu Galignani. Cały jeden bok ciasnego

i ciemnego placu, zajmował front wielkiego parowego młyna, upudrowanego mąką, jakby śniegiem, po drugiej zaś stronie wznosił się gmach trybunału sądowego, łączący się z budynkiem służącym na tymczasowe więzienie.

— Widzę, że prezydent jest jeszcze w trybunale — rzekł Delcrous — bo oto jego powóz.

A zwróciwszy się do furmana, który zatrzymał konie, rzekł, nie pytając się Ryszarda:

— Wjeżdżaj w bramę!

Powóz, przebywszy bramę, wjechał na obszerny dziedziniec, słabo oświetlony dwoma staremi latarniami, Delcrous wysiadł pierwszy i powiedział tonem zmienionym, ostrym i zimnym:

— Proszę za mną w sprawie niecierpiącej zwłoki.

Ryszard, nie rzekłszy słowa poszedł i wkrótce znaleźli się obadwaj w wielkiej izbie w głębi brudnego korytarza. Na stole zawalonym tekami stała kopcąca się lampa, jakby oczekiwano na ich przybycie. Cisza panowała tu zupełna a tylko rytmiczny ruch i uderzenia kół fabrycznych dolatywały z oddali. Delcrous podszedł do stołu, podkręcił lampę i gdy nieco jaśniej zapłonęła, zadzwonił na pisarza, pracującego w sąsiednim pokoju.

Zaczęli z sobą szeptać, coś pisać.. „ z rozkazu sądu... w zamknięciu odosobnionem..“ Ryszard tymczasem stanął przy oknie wychodzącem na ciasne, wewnętrzne podwórko. Naprzeciwko okna

wznosił się wysoki budynek, nad którego drzwiami był napis: *Dom więzienny przy Trybunale w Corbeil.* Chociaż okno było otwarte i kraty dzielące je od podwórka składały się z rzadko osadzonych żelaznych prętów, wszakże Ryszard z trudnością odczytał ów napis z powodu ciemności, która tu miała coś złowrogiego, podstępnego.

O jakże odrażający i nikczemny wygląd miały drzwi opatrzone tym napisem! Stanowiły one jakby symbol nędzy i cierpienia, które mieściły po za zamkiem i ryglami swojemi. Do koła brudnego podwórka krążyły nietoperze, uganiające się za żerem, pomiędzy wysokiemi czterema ścianami muru. Powietrze było teraz gorące i duszne. Nagle odezwał się szorstki głos sędziego:

— Kochany panie Fenigan, wybacz, lecz jestem zmuszony do zatrzymania cię tutaj, z okoliczności sprawy, w której będziesz mógł dostarczyć wskazówek pierwszorzędnej wagi.

Ryszard przybrał minę człowieka przerażonego, chociaż musiał się spodziewać czegoś podobnego, albowiem wysiadając ze swego powozu, wsunął furmanowi karteczkę do Lidii, na której napisał: „Wyjeżdżaj natychmiast. Gdziekolwiek będziesz— ja przyjadę najdalej za tydzień“.

XVIII.

Stary Jerzy.

Ksiądz Cerès, rozstawszy się z Ryszardem, jadącym z sędzią do Corbeil, szedł śpiesznym krokiem ku Soisy. Dostawszy się do miasteczka, mijał ubogie domki, w których trzaskał ogień na kominach i gotowała się wieczerza wydająca silne wonie jadła zaprawionego cebulą i przystanął dopiero przed bramą ochronki. Zadzwonił i wkrótce ukazała się furtyanka, która rzekła zaraz na wstępie:

— Matka przełożona nie jest zdrowszą, bardzo się martwimy tą chorobą i doktór nie oznacza nam terminu, kiedy złe przeminie. Ale może ojciec dobrodziej wejdzie i dowie się bliższych szczegółów od siostry Marty, właśnie zeszła i jest w pierwszem podwórzu.

Siostra Marta spostrzegła gościa, przestała się bawić z gromadką dziewczątek, które biegły teraz za nią, śmiejąc się ku niej, szczebiocząc i czepiając się jej spódnicy i rękawów. Zakonnica

opędzała się od nich i fukała na nie pieszczotliwie, wreszcie uwolniwszy się od kochającej ją dzieciarni, zbliżyła się do księdza i rozpromienioną twarzą witała go, zarzucając pytaniami. Lecz gdy wikaryusz rzekł do niej kilka słów tajemniczo, siostra Marta nieledwie że podskoczyła z radości i odszepnęła:

— Ja najlepiej znam całą tę sprawę, chodźmy, zobaczymy razem, co zapisane jest w naszej księdze.

Weszli do salki, w której stała statua Matki Boskiej, zdobna paciorkami długiego różańca i cała okolona bukietami róż silnie pachnących albowiem tutaj odmawiano majowe nabożeństwa. Siostra Marta z młodzieńczą żywością poskoczyła do półek z książkami i wyciągnęła wielki zeszyt czarno oprawny. Zaczęła przerzucać stronnice jedna po drugiej a znalazłszy czego szukała, rzekła:

— Oto jest data wejścia naszej Lidii do ochronki... 28 października 1860 roku. Jest temu blizko lat dwadzieścia dziewięć, lecz pamiętam wszystkie szczegóły z największą dokładnością... pewnie dlatego, iż był to pierwszy rok mojego nowicyatu. O godzinie ósmej wieczorem, odmówiłyśmy pacierz i modlitwy... Wtem siostra Marya, fortyanka, która jeszcze i teraz spełnia ten urząd, zbliżyła się do naszej przełożonej i zaczęła coś szeptać z miną wystraszoną. Okazało się, że zna-

lazła przed drzwiami ochronki, uśpioną dziewczynkę, prawie nagą i ledwie zawiniętą w rodzaj derki, na której przypięto kawał białego papieru z napisem: *Lidia*. Napis składał się z liter koszlawych, wypisanych z trudem, niewprawnie. Dziewczątko mogło mieć osiemnaście miesięcy a najmniej dwa lata.

— Tak, wszystkie szczegóły zgadzają się — rzekł wikary pochylony nad księgą regestrową.

— A siostra Marta, promieniejąc z radości, spytała:

— Ojcze dobrodzieju, mów proszę.. Więc odnalazłeś jej rodzinę?... Byłam pewną, iż z czasem rodzina się zgłosi... Czy to ktoś z naszej okolicy?...

— Nie, moja siostro.

— Zapewne wielcy państwo? Utytułowani?

— O nie, przeciwnie...

— Jednakże — rzekła zakonnica z pewnem niedowierzaniem — pamiętam wybornie, że derka, w którą była zawinięta nasza Lidia, miała wyszytą koronę a pod nią tarczę herbową.. Przecież to wszystko jest opisane w księdze regestrowej. Zechciej przeczytać, ojcze.

— Tak, tylko lękam się, że owa derka była skradziona w jakiej pałacowej stajni—rzekł ksiądz Cerès z dobroduszuym uśmiechem.

Siostra Marta spłonęła z oburzenia i zaczęła przeczyć:

— Dlaczego ta dorka miała być skradziona! Jakież byłoby zatem pochodzenie naszej biednej Lidii?

Wikaryusz zaczął się tłómaczyć, że chociaż wie, jakie jest to pochodzenie, lecz nie może o tem nic powiedzieć... chyba tylko matce przełożonej. Przyrzekł tajemnicę staremu dziadkowi Lidii, który przed śmiercią pragnął zobaczyć się z wnuczką.

— Przyszedłem tutaj, moja siostro, tylko dla sprawdzenia w księdze regestrowej szczegółów, które mi zwierzył umierający... jest on bardzo stary, bezzębny i mówi niewyraźnie... więc chciałem się upewnić... Teraz widzę, że mówił szczerze... Ale idę już... więc żegnam cię, moja siostro...

Wstał a siostra Marta, chociaż była niezmiernie ciekawa dowiedzenia się czegoś więcej, nie zadawała mu pytań, szanując cudzą tajemnicę. Rada nawet była, widząc wielką powściągliwość księdza Cerès, albowiem pocóż było psuć piękność legendy, otaczającej pochodzenie Lidii. Tak w ochronce, jak i w rodzinie Fenigan panowała prawie pewność, iż Lidia wywodzi swój ród z bogatego pałacu, zamieszkanego przez znakomitą rodzinę...

— Przypuszczenia często zawodzą i bardzo nawet zawodzą—pomrukiwał ksiądz Cerès, kierując się ku bramie.

Tegoż samego dnia, w kilka godzin później, szła Lidia brzegiem Sekwany a o kilka kroków za nią postępował ksiądz Cerès. Wychodząc z domu, zarzuciła na głowę koronkową chustkę i pomimo

zupełnej ciemności, umiejętnie wybierała ścieżynki krzyżujące się nad rzeką, znała je bowiem wybornie jeszcze z czasów dawniejszych, gdy nieledwie codziennie towarzyszyła mężowi w jego rybackich wyprawach. Co chwila ostrzegała teraz starego księdza, że tutaj jest dół a tutaj kamień, to znów sznur lub łańcuch, trzymający łódkę na wodzie. Ksiądz słuchał pilnie jej przestróg, szedł zwolna i z wielką ostrożnością, niósł bowiem Przenajświętszy Sakrament do chaty umierającego.

Chociaż noc była jasna, zwisła po nad ziemią gęsta mgła, niedozwalająca dojrzeć drugiego brzegu rzeki i zasłaniająca lekkiemi chmurkami wzgórza będące tuż blizko. Gdy wreszcie doszli do małej przystani należącej do Ryszarda, ujrzeli pasemko światła lśniące dokoła niedomykających się drzwi budy, w której składano sieci, wiosła i inne przybory służące do połowu ryb lub do naprawy łodzi. Szelest kroków został posłyszany i wyszła z budy jakaś chuda i przygarbiona postać.

— Czy to wy, moja poczciwa matko?..

— Ojcze dobrodzieju, przybywasz za późno, stary Jerzy już skonał...

Kobiecina zaczęła, giestykulując, opowiadać o skonie starego Jerzego. Przez cały wieczór bredził, jakby w malignie, lecz słów nie można było rozeznać. Nie spuszczał przytem oczu i wciąż miał je utkwione we drzwi, jakby z upragnieniem wy-

czekując czyjegoś przyjścia. Gdy wszedł doktór, chory rzucił się w tył raptownie, jakby na znak że nie jego wyczekiwał.. i od tej chwili zamilkł już na zawsze.. tchnienie z niego uleciało, nie przysporzywszy mu cierpienia... Już temu będzie godzina a może nawet więcej, w oczekiwaniu na przyjście księdza, kobiecina odmawiała modlitwy za umarłych a nawet pokropiła trupa święconą wodą którą z sobą przyniosła na wszelki wypadek...

— Dziękuję wam, żeście go pilnowali... a teraz pozostańcie tutaj, bo my chcemy sami pomodlić się przy nieboszczyku.

Ksiądz Cerès i Lidia weszli do budy, w której leżał zmarły stary Jerzy. Parno tu było i wilgotno; na ścianach wisiało pełno sieci i więcierzy, w kątach stały całe snopy wędek i wioseł. Dziwnie odbijała w tem otoczeniu skrzynia nakryta białym obrusem, na którym stały dwa wielkie srebrne świeczniki z pozapalanemi świecami, był to przygotowany ołtarz dla ostatniej ceremonii. Płonące światło świec opromieniało twarz zmarłego żebraka a twarz ta obecnie zmienioną była do niepoznania. Była piękną, majestatyczną, zniknęły z niej szpeczące ją za życia plamy i bruzdy; śmierć nadała jej woskową białość i delikatność, broda nawet, ta broda wiecznie stargana, bezładna i brudna spływała srebrzystemi pasmami, nadając całej głowie podnioślejszy charakter. Światło padało tylko na głowę, reszta ciała a nawet ręce, ni-

knęły zatopione w mrocznym półcieniu. Był to raczej stary król Lear padły nagłą śmiercią w oczekiwaniu na swoją Kordelię a nie stary Jerzy, ów wiecznie pijany żebrak, wstręt budzący za życia.

Lidia była wylękła i blada a wszedłszy do nędznej tej nory poczuła się blizką prawie zemdlenia, tak nieprzyjemnie podziałał na nią zaduch, unoszący się od szmat służących za odzież i pościel zmarłemu. Prawdziwa nędza ma ten przykry i sobie tylko właściwy odór, przenikający ściany ubogich nor ludzkich, wypełniający atmosferę otaczającą tych skazańców losu. Lidia zdołała wszakże zapanować nad sobą i z podziwieniem patrzała na piękność głowy tego starca tak bardzo brzydkiego i strasznego dla niej za lat dziecinnych. Patrzała nań i ogarniała ją litość, oraz poszanowanie. Zapomniała teraz o wstydzie, jaki ją ogarnął, gdy przed godziną ksiądz Ceres powiadomił ją, iż jest rodzoną wnuczką tego włóczęgi, znanego w całej okolicy. Przyszła tu prawie że pod przymusem, ogarnęła nią bowiem złość i bunt, przeczyła i zapierała się tak nizkiego pochodzenia i w pierwszej chwili ledwie że nie krzyknęła z oburzenia: „Precz, precz, idź precz, bluźnierco i kłamco!“ Lecz ksiądz Ceres miał niezbite dowody na poparcie przyniesionej wiadomości, uległa więc i uspokojona słowy wikaryusza, zgodziła się z nim pójść do budy, w której konał i oczekiwał na nią stary jej dziadek. Teraz już

nawet śladu tego buntu w niej nie było, czuła się wzruszona i pochyliła się nad twarzą dziadka, którego nędzny żywot pełen miłości ku niej, opowiedział jej ksiądz Cerès.

....Przed laty blizko trzydziestu, jechał zwolna wielki wóz gościńcem ku Corbeil. Było to już późną jesienią i o wieczornej porze dnia. Na wozie gnieździła się cała banda cyganów, handlujących drobiazgami swego wyrobu a właściwie żyjąca z jałmużny wyłudzanej pod pozorem rzucania i odejmowania uroków, wróżenia z kart lub z ręki i różnych tego rodzaju guseł. Od jakiegoś czasu bieda dokuczała tej wędrownej czeredzie, brakowało im chleba dla zaspokojenia głodu. Konie z dawna nigdy niesyte szły ociężale a koła wozu skrzypiały, nie było bowiem tłuszczu, by je nasmarować. Przejeżdżając przez Soisy, zauważyli zabudowania ochronki, wyglądającej schludnie i ponętnie. Przyszła im ochota podrzucić pod drzwi tego dostatniego domu przytułku najmłodsze z dziatwy płaczącej z głodu i zimna. Najmłodszą była dziewczynka, niemająca jeszcze dwóch lat skończonych a taka śliczna i bielutka, jak aniołki malowane na kościelnych obrazach. Wieczorna pora sprzyjała wykonaniu zamiarów. Matka popłakała pierwszego wieczora za swoją córeczką, lecz zająć się musiała czeredą pozostałych dzieci a niemając czem zaspokoić ich głodu, uspakajała się i pocieszała, że chociaż ta najmłodsza będzie szczęśliwą i nie zazna całej srogości

tułaczego życia swych sióstr i braci. Wkrótce nikt już na wozie nie myślał o porzuconej dziewczynce, nikt—prócz jej dziadka. Odłączył się od swojej bandy i pozostał koło Soisy, żyjąc odtąd o żebranym chlebie. Przetrwał tak lat trzydzieści, czuwając zdaleka nad ukochaną swoją wnuczką, lecz nigdy nie zwierzył się nikomu, jak bliskie pokrewieństwo łączy go z tą dziewczynką pieszczoną przez zakonnice, dziewczynką, która wyrosła na ładną Lidię i poślubiła bogatego Ryszarda Fenigan, mieszkającego w wspaniałym, zwłaszcza w oczach żebraka, pałacu d'Uzelles.

Lidia wpatrywała się teraz w twarz zmarłego swego dziadka i w pamięci wywoływała wspomnienia z lat dawniejszych. Każdego czwartku dziewczątka w ochronce szły pod opieką zakonnic na dłuższy spacer, najczęściej do lasu. Za każdym razem stary Jerzy szedł za niemi, wpatrując się w Lidię. Ją to przerażało, truchlała, będąc dzieckiem, na widok tego obszarpańca, niespuszczającego z niej oczu a towarzyszki śmiały się z niej, nazywając z cicha starego Jerzego „zakochanym“ i żartując z jego brzydoty, zwłaszcza z łysiny, jakby przeciętej wielką niebieską żyłą, nabrzmiewającą w czasie letnich skwarów. Zdarzało się znów jesienią, iż z powodu słoty, dziewczątka, pomimo czwartku, nie wychodziły po za obręb ochronki. Gościniec pokryty był błotem, z drzew opadały krople zimnego deszczu a szare, jakby przydymione niebo, zasuwało horyzont gę-

stą, wpół przezroczą tkaniną. W takie dni stary Jerzy siadał na kamieniu naprzeciw ochronki i wpatrzony w jej okna, spędzał całe dnie, jakby w nadziei ujrzenia w nich kogoś; odchodził gdy zapadająca noc nie dozwalała mu rozróżnić budynku po drugiej stronie gościńca. Lidia przypomniała sobie; jak przeszłej zimy, gdy wróciwszy z Quiberon zamieszkała czasowo w ochronce, znów stary Jerzy wałęsać się począł pod oknami i pomimo mrozu, śniegu i zawiei, przesiadywał całemi dniami po drugiej stronie gościńca. Pewnego ranka znaleziono go śpiącego na śniegu, widocznie całą noc spędził czuwając pod okuami wnuczki, o której musiał wiedzieć, że jest ciężko chora... A dwa lata temu, w ów ciepły i pogodny lipcowy poranek, gdy Lidia rzucała dom męża i biegła do powozu czekającego na nią kochanka, wszak i wtedy ten zmarły dziś jej dziadek czuwał nad nią, zastąpił jej drogę, chciał przeszkodzic ucieczce, jakby odczuwając niebezpieczeństwo, na jakie się narażała. Jakże czule musiał ją kochać ten niestrudzony jej opiekun i jakże straszny wydał jęk, gdy go odtrąciła, by biedz w objęcia Karlexisa... jak mogła ona nie zwrócić uwagi na ten wybuch rozpaczy i to nieme pożegnanie, heroiczne wielkością abnegacyi... lękał się on zapewne, iż nigdy już nie zobaczy ukochanej swej wnuczki i czułe jego serce krwawić się musiało, patrząc na uciekającą... Biedny, kochany stary Jerzy! Nawet ostatnie jego pragnienie spełnionem nie zostało,

chciał przed śmiercią pobłogosławić tę ukochaną swoją wnuczkę, chciał ją uścisnąć przed skonem, uścisnąć chociażby raz jeden za całe lat trzydzieści swego wiernego czuwania nad porzuconą dziecinią swej córki! Lecz Lidia przyszła za późno... Patrzała na zmarłego dziadka i żałowała, iż mu nie przyniosła tej ostatniej pociechy... patrzała, pytając się sama siebie, cóż w stanie jest uczynić, by okazać mu swoją wdzięczność, a nie znajdując na to odpowiedzi, spytała wikaryusza.

— Niechaj mu pani zamknie oczy... wszak on tego tylko żądał, wzywając panią dopiero w chwili swego skonu.

Lidia lekko drgnęła, słysząc słowa księdza, lecz pochyliła się nad czołem zmarłego i dotknęła je ustami, chcąc tą pożegnalną pieszczotą, której nie zaznał za życia, spłacić chociażby cząstkę należnej mu wdzięczności. Czoło starca było już zimne i sztywne jak kamień. Pochylona wciąż nad nim, nasunęła mu powieki na zgasłe, szkliste źrenice, utkwione gdzieś w dal głęboką.

— Nic więcej dać mu już teraz nie mogę— szepnęła, zwróciwszy się do księdza a odstąpiwszy o parę kroków, mówiła dalej:—Ojcze Cerès, proszę, nie uważaj mnie za kobietę bez serca i powodującą się dumą, lecz proszę cię najusilniej, aby wszystko, co zaszło dzisiejszego wieczora, pozostało tajemnicą pomiędzy mną i tobą. Czy mogę na to liczyć?..

— Owszem, najzupełniej... chciałem ci nawet zrobić tę propozycyę... — rzekł chłodno wikaryusz.—Wiem, że powinno się zważać na różne względy, wymagania...

Lecz Lidia przerwała mu:

— Nie.. nie... to nie to... Podobne względy familijne lub światowe, bynajmniej by mnie nie powstrzymywały od przyznania się do pokrewieństwa łączącego mnie ze zmarłym moim dziadkiem.. najmocniej żałuję, iż nie mogę wyprawić mu pogrzebu, na którym pragnęłabym ujawnić, iż jestem jego wnuczką... lecz są inne okoliczności niezezwalające mi na coś podobnego, okoliczności nieprzewidziane, straszne... o których jeszcze nie wiesz, ojcze dobrodzieju... Otóż męża mego aresztowano... kilka godzin temu uwieziono go do Corbeil; to zaaresztowanie Ryszarda ma łączność ze śmiercią księcia d'Olmütz, posądzenia padły na mego męża. Teraz dopiero rozumiesz, ojcze, dlaczego zastałeś nas w takim stanie rozdrażnienia i rozpaczy... lecz dzięki temu, mogłam z tobą tutaj przyjść, nie mówiąc o tem nikomu. Wszyscy u nas w domu potracili głowy i nikt nie spostrzegł, że wymknęłam się, by iść z tobą. Gdyś przyszedł, mój ojcze, byłyśmy pod świeżem wrażeniem wieści o aresztowaniu Ryszarda. Wyobrażasz sobie rozpacz jego matki, jej syn posądzony o zabójstwo, jej syn w więzieniu! I to wszystko z mojego powodu, stał się mordercą przez miłość dla swej żony! Matka

mi nie zrobiła tej wymówki, lecz czyż może mnie nie obwiniać w myśli?... Więc zechciej zrozumieć, kochany ojcze Cerès, iż nie mogę w tej chwili dodawać goryczy jej nieszczęściu. Nie mogę powiedzieć, iż jestem wnuczką tego zmarłego starca, żyjącego lat tyle z jałmużny! Rozpacz matki Ryszarda wzmogłaby się na tę wiadomość o mojem pochodzeniu i temu właśnie mogłaby przypisać cały ogrom nieszczęścia, spadłego na szanowane nazwisko rodziny Fenigan, sponiewieranej, spotwarzonej, prześladowanej losem, od chwili, gdy ostatni jej potomek ożenił się z kobietą, będącą wnuczką żebraka... dzieckiem wędrownej bandy cyganów... Ojcze! nazwij to słabością, tchórzostwem z mej strony, lecz nie mam odwagi do wyznania prawdy matce Ryszarda a może nawet nie zdołałabym tego dziś wyznać przed moim mężem, gdyby był obecny.. Wreszcie wiadomość o nizkości mego pochodzenia mogłaby rzucić cień ujemny na mego męża... przed sądowemi kratkami mogliby ludzie niechętni wyzyskać tę okoliczność... chcieć go poniżyć... wystawić jako awanturnika, żeniącego się z podrzutkiem koczujących włóczęgów... i to rzeczywiście mogłoby zaszkodzić Ryszardowi... przyczynić się do obostrzenia kary. Ja tego niechcę... niechcę... Więc błagam cię, mój ojcze, o dochowanie tajemicy!...

Twarz wikarego mieniła się w miarę wyznań czynionych mu przez Lidię. Z początku słuchał

jej obojętnie, był następnie przerażony, wreszcie uległ tkliwości szczerego współczucia. Przy ostatnich jej słowach, ujął jej ręce i rzekł z ojcowską dobrocią:

— Masz racyę, moje dziecko... zachowamy więc tajemnicę... i bądź spokojna, że zachowaną będzie w zupełności. Prócz mnie, tylko stara Lucriot widziała cię tutaj a za nią ręczę, że przed nikim się nie wygada. Wreszcie wszyscy w okolicy wiedzą, iż chętnie odwiedzałaś chorych biedaków i że właśnie dla starego Jerzego, byliście w Uzelles prawdziwymi dobroczyńcami. Więc twoja obecność tutaj, gdyby stała się wiadomą, będzie uważaną za rzecz zupełnie naturalną. Wszak ta buda, w której mieszkał i umarł stary Jerzy, jest waszą własnością a twój mąż zalecił mi, aby pogrzeb odbył się jego kosztem.

Lidia, zadziwiona, zaczęła się dopytywać, jakim sposobem Ryszard był powiadomiony o zaszłej dopiero co śmierci?... Ksiądz Cerès opowiedział jej o spotkaniu się swojem z Ryszardem, jadącym do Corbeil w towarzystwie sędziego Delcrous.

— Dobry, kochany Ryszard! — szepnęła Lidia ze łzami w oczach. — Więc on nawet w tak ważnej dla siebie chwili, pamiętał o starym Jerzym, którego zawsze nazywał protegowanym swojej Lidii!

Po chwili milczenia, ksiądz znów się odezwał:

— Przypuszczam, że pogrzeb będzie można odprawić zaraz jutro. Będzie skromny, lecz zrobię co należy, aby wszystko odbyło się składnie. Proszę cię, moje dziecko, abyś myślą towarzyszyła obrzędowi... a w przyszłą niedzielę odprawię w małej parafii nabożeństwo żałobne, na intencyę zmarłego. My dwoje tylko będziemy wiedzieli jakie jest właściwe znaczenie tej mszy żałobnej... Bądź także spokojna, iż na cmentarzu w Draveil, stary Jerzy pochowany zostanie osobno a nie pospołu w grobie wyznaczonym dla biedaków... Ponieważ jestem upoważniony przez pana Ryszarda do wyprawienia pogrzebu, przeto upatrzę na cmentarzu kawałek ziemi tuż przy murze dochodzącym aż do gościńca wiodącego do Corbeil i tam złożymy ciało starego Jerzego, który przez tyle lat uważał ów gościniec za swój dom, swoją posiadłość wiecznego tułacza... Na grobie każę położyć kamień, na którym będzie wyryte nazwisko, data urodzenia i śmierci. Bo w tej oto książeczce jest wypisane nazwisko starego Jerzego..

Mówiąc to, ksiądz Cerès podał Lidii zbrukaną, zapleśniałą i zmiętą książeczkę, która przesycona była odrażającym odorem stęchlizny i brudu.. sam widok świadczył o ciężkiej nędzy życia tego starca, którego jedynem bogactwem była wielkość przywiązania. Na stronnicach legitymacyjnej książ-

żeczki starego Jerzego, widniały liczne pieczęcie zarządów gmin, przed któremi stawał w czasie długiego, wędrownego swego życia. Wydaną zaś była na nazwisko Jerzego Mendelsona, urodzonego w Rougegoutte w Alzacyi w roku 1802.

Prócz tego świadectwa swego pochodzenia, stary Jerzy posiadał inny jeszcze przedmiot, do którego przywiązywał najwyższe znaczenie a był nim klucz, olbrzymi, stary, zardzewiały klucz żelazny, otwierający drzwi budy, którą mu Ryszard Fenigan dał jako mieszkanie. Nosił on ów klucz pod ubraniem i zawieszony na szyi, na żelaznym łańcuszku; w obawie, by go nie zgubić, szukał go często pod swemi łachmanami i dopiero przekonawszy się, że jest na właściwem miejscu, szedł dalej, podpierając się na nieodłącznym swym sękatym kiju. Gdy zachorowawszy, zawezwał do siebie księdza Cerès, opowiedział mu w kilku urywanych zdaniach, przywiązanie swoje do wnuczki, lecz po za tem, niepamiętał już niczego i pomimo nalegań wikaryusza, nic nie umiał powiedzieć o sobie, lub swej rodzinie. Świat dla niego rozpoczynał się i kończył wraz z Lidią, wszystko po za tem było tylko mgłą unoszącą się po szerokości wielkiego gościńca, pomiędzy Uzelles i Soisy.

— W każdym razie, mamy pewność co do nazwiska—rzekł ksiądz Cerès a chcąc załagodzić draśniętą dumę Lidii, przypuszczającej, że ród swój wywodzi od magnackiego domu, do-

dał z uprzejmością:—a Mendelson wszak to nazwisko piękne, wsławione w dziedzinie sztuki...

Lidia nic nie odrzekła, tylko skinęła głową na znak że tak jest w istocie; stała zapatrzona w stronnice legitymacyjnej książeczki, pytając sama siebie, czy i ona tak samo się nazywa?... Wytworna postać młodej kobiety, rażący wywoływała kontrast z tym brudnym, cuchnącym zwitkiem papierów trzymanych w ręku a naturalny, wrodzony jej wykwint, uwydatniał się w całej swej subtelności, w tej nędznej norze, będącej mieszkaniem człowieka, z którego krwi powstała. Promienną i piękniejszą była teraz, aniżeli kiedykolwiek; jasna jej postać stanowiła jakby zjawisko na tle ciemnych ścian budy, zawalonej gratami niknącemi w mrocznem oświetleniu.

Przeciągły i ostry gwizd statku na rzece wyrwał Lidię z głębokiego zamyślenia. Płomienie świec palących się w pobliżu nieboszczyka rzucały na bladą twarz jego chwiejne, wydłużone cienie a ksiądz Ceres, nie pomnąc na brak podłogi, klęczał na błotnistej ziemi i odmawiał modlitwy za duszę zmarłego. Czuła się niezdolną, by uczynić to samo. Czuła się niezmiernie wzburzoną; ilość i doniosłość zaszłych dziś wypadków, podniecila ją gorączkowo. Pragnęła być samą, potrzebowała sobą zawładnąć, odzyskać trochę spokoju i równowagi. Spojrzała raz jeszcze na twarz swojego dziadka i nieledwie za-

zdroszcząc mu spokoju, jaki widniał z jego oblicza, uchyliła drzwi i wyszła na świeże powietrze.

— Jeżeli pani chce, to ją odprowadzę—szepnęła stara Lucriot, na wpół drzemiąc koło odwróconej dnem łodzi w pobliżu budy.

— Dziękuję wam, moja dobra kobieto... pójdę sama, znam drogę...— odrzekła Lidia i szybkim krokiem zagłębiła się w ciemności nocy. Pragnęła być samą i rada była, iż noc zapanowała zupełna a mgła gęstszą jeszcze była aniżeli poprzednio. Z oddali dolatywał odgłos szluzy, oraz świst i chrapanie maszyny parowej, pracującej noc całą na statku, holującym towarowe, pakowne łodzie. Odgłosy te wydawały się Lidii złowrogiemi i jakby ratunku wołającemi, wsłuchiwała się w nie, jak w jęk żałosny własnego serca wezbranego rozpaczą, oraz wielką nieokreśloną tęsknotą. Wypadki dnia dzisiejszego szalały j wiej sercu burzą pełną gromów i błyskawic, w myśl jej wywołując chaotyczny, przykry zamęt. Rano dowiedziała się o znalezionym trupie Karlexisa w lesie, tuż obok wejścia do parku; po niespodziewanym przyjeździe Ryszarda, nastąpiło jego aresztowanie a jeszcze nie doczytała zagadkowej jego kartki skreślonej na prędce w czasie drogi do Corbeil, gdy nadszedł ksiądz Cerès i prawie gwałtem pociągnął ją do łoża konającego jej dziadka, o którego istnieniu nie wiedziała dotychczas. A dziadkiem tym, *okazało się, że jest sta-*

ry Jerzy! Więc prysła jej dotychczasowa ułuda o świetności jej nieznanego pochodzenia. Ulotniły się jak senne widziadło, korony i herby rodowe jej przodków a wszak lat tyle przywykła o tem marzyć, jak o dobru jej należnem; w chwilach bólu i cierpień swego życia, wywoływała obrazy na tle świetności, mogącej się naraz przed nią otworzyć i dumę swoją mierzyła wielkością swych rojeń. Lecz teraz wie już co sądzić o swych przodkach, wie, dlaczego od dzieciństwa miała pociąg do dalekich podróży, do wędrówek po krajach nieznanych, odziedziczyła to, po koczowniczych swych rodzicach, należących do bandy włóczących się i pogardzanych cyganów. Ztąd także tlała w jej sercu współczująca życzliwość dla wszystkich włóczęgów i nędzarzy, poznawała w nich rodzinę swoją, plemię swoje a szałasy i brudne cygańskie wozy, ciągnące gościńcem, były jej gniazdem, jej ojczyzną...

Dlaczegoż porzuciliście tę dziecinę swoją wy, koczownicy? O ileż szczęśliwszą byłaby, rosnąc pomiędzy swoimi a zwłaszcza o ileż mniej cierpienia miałby dziś Ryszard i zacna jego matka! Myślami temi porwana, Lidia doznawała nieznanego dotychczas bólu. Dlaczegoż nie zmarła, będąc tak blizką śmierci w Quiberon! Lecz żal jej było przedewszystkiem Ryszarda i jego matki. Pocóż zamąciła spokój życia tej prawej rodziny, pocóż wniosła pod dach ich domu szaleństwo krwi ko-

czowniczego, dzikiego swego plemienia! Szła wśród ciemnej nocy, chwilami przystawała, jakby chwytając powietrze, bo tchu jej brakowało i odwracała głowę od rzeki, która nęciła ją swoją głębią. Wybrzeże było tutaj prawie prostopadłe, lekko zarośnięte trawą a woda lśniła się miejscami wśród czarnej i ruchomej swej otchłani, kusząc Lidię odgłosem fali, rozbijającej się hałaśliwie o słupy mostu a cichej i pieszczotliwej tuż obok, prawie pod jej stopami. Już się widziała wyrzuconą na brzeg nazajutrz rano i wiezioną wózkiem ojca Foucard... Lecz stanął przed nią w myśli jej Ryszard kochany i tak gorąco ją miłujący... wspomniała na niebezpieczeństwo, na które się naraził przez nią i dla niej... a wraz z myślą o Ryszardzie przyszła Lidii świadomość rzeczywistych jej obowiązków. Nie, zapanować powinna nad pokusą i żyć będzie, bo jej życie Ryszarda jest własnością. Nawet gdyby go nie kochała, żyć teraz powinna, by stanąć przy nim w trudnych okolicznościach, które przebywa a wszak kocha go obecnie i pragnie dzielić z nim los chociażby najsroższy. Podniecona wyobraźnia Lidii snuć poczęła nowe plany przyszłości. Zapragnęła módz się poświęcić dla tego człowieka, kochającego ją tak stale i namiętnie. Jeżeli będzie skazany przez sędziów i wywieziony do ciękich robót jako morderca, towarzyszyć mu tam będzie, by obecnością swoją osłodzić karę,

którą ponosi z jej winy... już się widziała w tem nowem otoczeniu na spieczonej od słońca wyspie podzwrotnikowej w nędznej chatce, lecz szczęśliwa, bo szczęście dająca.

Tymczasem Ryszard Fenigan, leżąc na ohydnej ławce więziennej w gmachu trybunału w Corbeil, radował się, że to on a nie Lidia tutaj się znajduje.

XIX.

Zasadzka nocna.

Koszono dziś trawniki przed pałacem w Grosbourg. Poranek był pogodny, niebo bez chmurki, a spokojne powietrze jaśniało zewsząd niebieskością. Podłużne trawniki „francuzkiego stylu“ otaczały białe marmurowe, nizkie obrzeżenie kunsztownie rzeźbione a na wywyższeniach, przerywających monotonność jego linij, stały wytworne wazony, lub mitologiczne bóstwa. Kosiarze postępowali rozstawieni w dwa szeregi, kosili rytmicznie, spokojnie, nie przemawiając do siebie ani słowa, podobniejsi do wprawionych w ruch automatów, aniżeli do ludzi żyjących. Kosy ich nawet nie wydawały najlżejszego szczęku, nie potrzebowały ostrzenia, mknąc równo po powierzchni pysznych trawników, ujętych w białe, bogate ramy.

Naraz rozległ się krzyk straszny, połączony z jękiem niewysłowionej boleści. Donośny, przeszywający grozą swą krzyk ten urwał się nagle, lecz echa jego napełniły park cały, podwórzec pałacowy i wszystkie komnaty wspaniałej

siedziby książąt Alcantary; spłynął wzdłuż tarasów ku rzece i drżał, zanikając po powierzchni wody, niosącej go daleko po za rezydencyę, okoloną bogatemi kratami o złoconych lancach. Przerażający taki okrzyk wydawać zwykli tylko szaleńcy zamknięci w oddzielnych celach, jako furyaci. Pomimo bólu zawartego w tym straszliwym jęku, kosiarze nawet nie drgnęli i kosili dalej delikatną, gęstą trawę przed monumentalnym gmachem pałacu. Musieli oni już znać ten okrzyk, może nawet już przywykli i oswoili się z jego okropnością.

W narożnym małym salonie pałacu, udrapowanym w miękie osłony z żółtej jedwabnej materyi, siedział książę Alcantary i rozmawiał z sędzią Delcrous. Na odgłos owego przerażającego krzyku, który wpadł tutaj przez uchylone nieco wielkie okna, książę generał niedomówił nawet rozpoczętego słowa i z pobladłą twarzą wsłuchiwał się w drgające echa jęku, rozlegającego w zieloności drzew rozległego parku. Po chwili rzekł:

— Czy słyszałeś... czyż może być coś okropniejszego!... Od chwili, gdy weszła do kiosku, gdzie złożono ciało zabitego jej syna, krzyczy tak z bólu, regularnie co godzina... Weszła tam prawie przemocą, bo rozumiesz, że uczyniliśmy, co tylko było można, aby jej niedozwolić... pomimo całą naszą czujność, księżna tam się dostała i od chwili, gdy zamiast ślicznej twarzy swego pieszczocha, zobaczyła potworną, zmiażdżoną głowę toczoną robactwem, straciła przy-

tomność, nie poznaje nikogo i tylko ten krzyk świadczy, że żyje... Ja, jej mąż, przykuty jestem do mojego fotelu i na zawsze bezwładny, ona dotknięta szaleństwem, syn mój, jedyne nasze dziecko, jest już tylko rozkładającym się trupem... Wobec tych klęsk spadłych jak grom na nasze gniazdo, jakże chcesz, abym się okazał wstrzemięźliwy w ściganiu zabójcy... jak możesz chcieć odbierać mi jedyną już tylko możebną radość pomszczenia się, muszę się zemścić i uczynię wszystko, co tylko jest w mojej mocy, by wywrzeć moją zemstę... moją słuszną zemstę...

Sparaliżowany książę mówił dobitnie, głosem pełnym wściekłego gniewu a oczy, w których skupiało się u niego całe ognisko życia, świeciły złowrogo, namiętnie. Zaniepokojony, zmięszany, sędzia tłómaczył się i zapewniał księcia, iż będzie posłuszny jego woli, dziś nadejdą papiery z Paryża i zabójca stanie przed swoją ofiarą, może wtedy coś wyzna, dotychczas bowiem, chociaż od trzech dni jest w więzieniu, nie rzekł jeszcze ani jednego słowa...

— Kpi sobie z was .. widzi, że w Corbeil nie dacie sobie z nim rady... nie umiecie prowadzić śledztwa...

— Nie obwiniaj nas, panie generale... wszak zabójca wyznał wszystko zaraz w pierwszej chwili... wpierw nim został osadzony w więzieniu... Pojąć nawet nie mogę, dlaczego z taką łatwością i prawie z rozmysłem obarczył się podejrzeniem dokonania

zbrodni... Są rzeczy niczem niedające się objaśnić w całej tej sprawie. Bo mam teraz dowody, że Ryszard Fenigan przybył z podróży dopiero w poniedziałek rano, to jest w dwa dni po dokonanej już zbrodni... Otóż dlaczego on się obwinił, kiedy nie mógł dokonać zamachu? I tylko skutkiem tego śmiałem wstawić się za nim przed tobą, panie generale. Chciej zwrócić uwagę, iż jestem obecnie na nowym, zupełnie innym tropie... i tam zdaniem mojem należy poszukiwać prawdy... albowiem wszystko się zgadza: godzina i dzień a nawet pobudki zbrodniczego napadu już zostały prawie, że wyjaśnione, przez ludzi, którzy, nic o sobie nie wiedząc znoszą mi wiadomości a inni piszą w listach bezimiennych... Chciej się, książe, rozpatrzeć w tem bliżej...

Delcrous zamilkł, ujrzał bowiem służącego, który stanął we drzwiach wychodzących na ogród.

— Kto tam — krzyknął gniewnie generał. — Powiedziałem, by tu nikt nie ważył się wchodzić!

Służący znikł przerażony, lecz na jego miejscu ukazała się postać olbrzymiego wzrostu.

— Przepraszam, książę panie...

— To ty Sautecoeur?... A po cóż?...

Delcrous zbliżył się do generała i rzekł cicho:

— Błagam cię, panie generale, zechciej rozmówić się z tym człowiekiem... to rzecz ważna... niezmiernie ważna...

Książe ruszył ramionami, lecz wskazując sędziemu drzwi od sąsiednich salonów, rzekł:

— Niechaj więc pan tam poczeka... gdy będzie potrzeba, poproszę.

A zwróciwszy głowę ku oknom, skinął na leśniczego, mówiąc:

— Możesz wejść...

Indyanin schudł, pobladł, przygarbił się i postarzał, rzec można było, iż dopiero co powstaje z ciężkiej choroby. Głos mu się nawet zmienił, nie posiadał już teraz dawnego metalicznego dźwięku, chociaż starał się mówić wyraźnie i dobitnie, również jak chciał iść i stać prosto, przybranym będąc w galowy mundur, z torbą myśliwską i z bronią, jak na paradny występ z pańskiego rozkazu.

— Książę panie—rzekł utkwiwszy oczy w dywan rozesłany na podłodze — przychodzę prosić o łaskawe przyjęcie mojej dymisyi.

— Dlaczego?...

— Mój syn wyjeżdża do Ameryki wraz ze swoją żoną... Proszą mnie, abym z nimi razem tam jechał... ja się na to zgodziłem, tylko że wpierw muszę jeszcze zrobić zeznanie przed sądem.

Książę poruszył się w swoim fotelu.

— Przed sądem?... Zeznanie?... A cóż ci się wydarzyć mogło?...

— To bardzo ciężka i brzydka sprawa!...

— Opowiedz!

— Nie wiem tylko, czy zdołam... czy mi siły pozwolą — szepnął ciszej leśniczy, wspierając się plecami o marmurowy komin a fuzya, którą miał

przewieszoną przez ramię, zaczęła szczękać lufą o marmur, tak wielkie drżenie opanowało Indyanina. Po chwili zapanował nad sobą, wyprostował się i zaczął straszne a proste swoje opowiadanie, jak w nocy z piątku na sobotę, z pańskiego rozkazu odkomenderowany został do zarządzenia naganki na kłusowników, trapiących zwierzynę w lesie. Około godziny drugiej w nocy, zaszedł na chwilę do siebie do domu, lecz nim drzwi roztworzył, jakiś mężczyzna wyskoczył oknem. Noc była ciemna, nie mógł poznać kto to taki, pomyślał, że złodziej chciał dom ograbić... więc bez dłuższego namysłu strzelił, tamten padł a zbliżywszy się dla zobaczenia kto...

Opowiadanie leśniczego przerwał brutalnie głos drżący uniesieniem gniewu:

— Kłamiesz!

Leśniczy wyprostował się z dumą, posłyszawszy tę obelgę:

— Nie, panie generale, ja nigdy nie kłamię!

— A ja ci mówię, że kłamiesz teraz! Nie w ten sposób zabiłeś księcia! Ja wiem, jak go zabiłeś! Wiem wszystko, jak gdybym był własnem twojem sumieniem! Ale chcę i żądam, abyś ty swojemi usty powiedział prawdę. Mów!... rozkazuję ci, abyś mówił... ale zaczekaj...

Książe grzmiącym głosem zawołał:

— Delcrous, chodź i słuchaj!

Gdy Sautecoeur ujrzawszy wchodzącego do pokoju przedstawiciela władzy sądowej, zadrżał na

całem ciele, kolana chwiać się pod nim zaczęły i doznał wrażenia, jakby kat położył już nań rękę, by go wieść pod nóż gilotyny. Blade policzki zwisły mu i zapadły się, nieprzypuszczał, by koniec mógł był nastąpić tak szybko. Trwoga jego była tem dziwniejsza, iż znał dobrze sędziego Delcrous. Wielokrotnie bowiem składał na jego ręce zażalenia i skargi na kłusowników, lub innych psotnych ludzi, czyniących szkody w lasach księcia Alcantary.

— Chodź, sędzio—wołał książe z tryumfującą miną i przekonaj się, że łotr, o którym mówiliśmy z sobą, nie własnemi rękoma dokonał zbrodni. Miałem słuszne przeczucie, tak twierdząc. Oto jest człowiek, który się stał narzędziem wykonawczem z rozkazu tamtego... Teraz łatwo zrozumieć wszystko, czego poprzednio nie umiałeś sobie wytłomaczyć... No Sautecoeur, jeżeli chcesz, abyśmy łagodnie z tobą postąpili, to mów prawdę, opowiedz nam, jak przyszło do tego... tylko nie wykręcaj się... mów prosto.. nakazuje ci to własny twój interes...

Indyanin milczał a książe, przypuszczając iż wstyd i obawa tamują mu słowa, zaczął mu dopomagać do całkowitego przyznania się do winy, zadając mu pytania.

— Jaką obietnicą cię skusili?... Coś dostał za spełniony już uczynek?... Bo przecież nie zrobiłeś tego darmo, ani dla własnej przyjemności?...

Niespodziewana energia ożywiła teraz leśniczego. Twarz mu zapłonęła, żyły wystąpiły na skroniach i na szyi, czynił nadludzkie wysiłki, by nie wybuchnąć, by nie rzucić się na tego, który go bezcześcił swojemi pytaniami. Siłą woli opanowawszy się, rzekł prawie tonem spokojnym:

— Może być, iż są ludzie, którzy podejmują się podobnej roboty za pieniądze. Lecz po dwudziestu ośmiu latach służby, niespodziewałem się słyszeć podobnego oskarżenia z ust pana, któremu wiernie służyłem. Nie... tego się niespodziewałem...

— Mój kochany, chyba nie będziesz w nas wmawiał, że bajka, którą opowiedziałeś mi na wstępie, ma cośkolwiek w sobie prawdziwego?..

— Wolę wyznać, iż w opowiadaniu tem trochę rzeczy zmieniłem .. przez dumę chciałem różne sprawy wprost mnie dotyczące ukryć... ale pal licho wszelkie względy!... Wolę już teraz powiedzieć nagą prawdę i mniej może to będzie bolesne, aniżeli słyszeć zarzut uczyniony mi przez księcia pana!

Stanął i chwytając się rękoma za pierś to za ramiona, chcąc tamować swoje wzburzenie, zaczął mówić:

— Będzie temu dziesięć dni, otrzymałem nagryzmolony list bez żadnego podpisu, w którym przestrzegano mnie, że moja synowa w czasie nieobecności swojego męża, widuje kochanków pokryjomu przedemną... chociaż Bóg widzi, że pil-

nowałem ją jak mogłem. W liście pisano mi, że następnej nocy będę mógł zdybać kochanka, wychodzącego oknem z pokoju mojej synowej, pomiędzy godziną trzecią a piątą nad ranem... Ja sam byłem kiedyś bardzo nieszczęśliwy z powodu mojej żony... Kochałem ją a ona kpiła sobie ze mnie i latała z innymi... Wreszcie uciekła z domu z żandarmem z Montgéron i pozostawiła nas osieroconych, to jest mnie i mojego chłopaka, który wtedy był jeszcze małym dzieciakiem... Oj to nic dobrego była kobieta!... Z jej powodu nabrałem zawiści do wszystkich kobiet i żadnej odtąd niedowierzam... A kiedy mój chłopak ożenił się, postanowiłem pilnować jego żony i przy okazyi pomścić jego biedę i swoją własną, kiedyś tak mocno przecierpianą... O tem wszyscy ludzie w okolicy doskonale wiedzieli i ten kto do mnie pisał, wiedział co robi...

Delcrous spytał:

— Czy macie ów list pisany do was bezimiennie?...

— Zostaw go pan w spokoju... niechaj kończy—mruknął ksiądz z niecierpliwością.

Leśniczy mówił w dalszym ciągu.

— Właśnie owego dnia, który mi oznaczono w liście, miałem inną robotę... chciałem schwytać pewnego kłusownika, strzelającego do naszych najpiękniejszych kozic... W liście mówiono, że moja synowa będzie miała kogoś u siebie w nocy, pomiędzy godziną trzecią i piątą. Urzą-

dziłem się tak, aby o tej godzinie zajść do domu. Prawdę mówiąc, niebardzo wierzyłem, aby moja synowa miała śmiałość wpuszczenia kogoś do swojego pokoju... bo wiedziała, że żartów ze mnie stroić nie można... Rozmyślałem także, kimby mógł być ów jej kochanek, taki odważny... prawdę mówiąc, wiedziałem że młody nasz książe kręcił się koło jej spódnicy... ale przypuszczałem, że to minęło, bo gdy dostrzegłem te zaloty, rozmówiłem się na cztery oczy z synową i byłem przekonany, iż dała temu pokój; w liście panowie zobaczą, że mi podawano inne nazwisko, uwierzyłem więc, że jeżeli jest kto u niej, to ten a nie kto inny. Zbliżam się tedy do mojego domu a tu słyszę iż odsuwa się zasówka przy oknie pokoju synowej i wyskakuje z niego jakiś mężczyzna... Ciemno było i chmurno, nawet deszcz lał jak z cewki i temu może trzeba przypisać całe nieszczęście... bo ów mężczyzna zatrzymał się i zaczął otwierać rodzaj parasola... miałem więc czas wycelować a stałem zaledwie o kilka kroków... Wypaliłem z fuzyi a ten, do którego strzeliłem, podbiegł jeszcze parę kroków i padł, zatoczywszy się do rowu... Czułem, żem go zabił, bo padł jak zwierzę, ugodzone celnym strzałem. Wpadłem do domu. Staję przed jej łóżkiem a tu ona udaje, że śpi z naciągniętą kołdrą aż po same oczy. Krzyknąłem na nią: „Wstawaj! Zabiłem twojego kochanka. Zapalaj latarnię i chodź

ze mną. Będziesz przytem, jak będę go grzebał, aby śladu po nim niepozostało". Zestraszona, zerwała się migiem i niepotrzebowałem napędzać jej do pośpiechu... Ale wtedy ani mi przez myśl nie przeszło, aby ten, którego zabiłem... Wreszcie, najlepszy dowód, to że gdy przyszliśmy z latarnią do rowu, nim zaświeciłem w twarz temu, który tam leżał, spytałem synowę: „A któż to taki?" ona zaś, zniżając latarnię ku twarzy nieboszczyka, odrzekła: „A patrzaj, kiedy chceszl"... Ach, książe panie, gdym zobaczył, com ja nieszczęsny uczynił...

Leśniczy przerwał na chwilę opowiadanie i rękawem swego munduru ocierał sobie pot z czoła, spływający strumieniami na policzki i brodę. Książę spojrzał na sędziego, chcąc widzieć, jakie wrażenie sprawia na nim opowiadanie Indyanina, potem zaraz zwrócił się w stronę leśniczego i spytał zupełnie spokojnie:

— Czem miałeś nabitą fuzyę?...

— Śrutem.

— I gdzie go ugodziłeś?..

— W samą skroń... ot tu... jedna tylko była rana... jakby od kuli...

Zapadło teraz dłuższe i uciążliwe milczenie. Wśród zupełnej ciszy, rozległ się nagle przeraźliwy krzyk matki, jakby i ona naraz ujrzała ową ranę w skroni... ot tu...

Książę się ocknął z zadumania i znów zaczął indagacyę:

— Powiadasz, że padł trupem koło twojego domu, wszakże nie tam znaleziono go w poniedziałek.

— Myśmy go przenieśli do jamy w lesie i nakryli kupą traw i gałęzi. Ale wróciwszy do domu, coś nas jakby tknęło i chociaż było zimno a deszcz lać nie przestawał, poszliśmy napowrót i wyciągnęli z jamy... bo przyszła nam myśl złożenia trupa na polance, w pobliżu parku d'Uzelles... w sąsiedztwie państwa Fenigan... Synowa niosła latarnię a ja ciało zabitego. Niosłem go jak dziecko, bo jestem niezmierny silny. Oto już wszystko... Powiedziałem całą prawdę.

Sędzia Delcrous zapytał z miną przebiegłą:

— A pocóż rozpięliście parasol i ustawili go nad głową nieboszczyka?...

— Bo przypomniałem sobie o pewnej pani, która zmarła nagle w lesie pod Fontainebleau, leżąc na trawie pod otwartą parasolką. Ludzie, co przechodzili i widzieli ją tam leżącą, pozostawiali ją w spokoju, ani przypuszczając, że umarła... Dopiero coś w tydzień przekonano się o jej śmierci.

— A dlaczego złożyliście ciało w pobliżu parku, należącego do państwa Fenigan?

Sautecoeur drgnął i, spuściwszy głowę, odrzekł, bełkocząc niewyraźnie z nadmiaru wzruszenia:

— O to grzeszna myśl spowodowała ten zły mój postępek... i okrutnie mi jest wyznać tę moją nikczemność... Ponieważ w okolicy mówiono o miłości młodego księcia dla pani Ryszardowej,

więc posądzenie o zabójstwo mogło paść na męża... Ale muszę wyznać, że ani mnie, ani mojej synowej, nie byłoby przyszło na myśl uczynić taki niecny podstęp, gdybyśmy nie byli znaleźli listu przy młodym księciu...

— Nareszcie, otóż nareszcie dowiemy się prawdy — zawołał z gwałtownością generał. — Przyznaj się, Sautecoeur, przyznaj się, żeś sięgnął do kieszeni zabitego, bo chciałeś znaleźć papiery, które kazano ci przynieść, które Ryszard Fenigan chciał mieć koniecznie... Przyznaj się... mów śmiało... a nic ci nie będzie... wyjdziesz ztąd cało...

Leśniczy nie odpowiedział wprost, tylko wyjąwszy z kieszeni surduta list, oraz karnecik, mówił z powagą:

— Wszystko, co książę d'Olmütz miał przy sobie, znaleziono przy nim, gdy zwieziono jego trupa do Grosbourg; brakowało tylko tego karnetu, oraz listu, który książę miał wysłać nazajutrz do swego przyjaciela, zrobiwszy dopisek w nocy spędzonej na leśnictwie... Oto są te dwa przedmioty... Wiem, że nie powinienem był czytać owego listu... ale straciłem całkiem głowę po straszliwem tem zabiciu a synowa wciąż stała nademną, powtarzając: „przeczytajmy... bo może w tym liście są jakie dowody... a wtedy nas chwycą!“ I to jest rzeczywiście prawda... bo w tym liście wypisane jest jakby świadectwo, że wszytko, co powiedziałem było tak a nie inaczej... Książę pan, czytając ten list, przekona się, czy słusznie zarzucił mi kłam-

stwo... a także będzie ten list oczywistym dowodem, że pan Karlexis prawie dobrowolnie leciał na śmierć, bo wiedział, że domu swego strzegę, by upilnować dobro mego syna...

Sautecoeur złożył na stoliku przed generałem list Karlexisa, pisany do swego przyjaciela Wilkie Valongue a przy liście złożył również, ów dobrze wszystkim znany, szyldkretowy karnecik.

— A gdzież jest owe bezimienne zawiadomienie — spytał Delcrous, podczas gdy generał czytał list Karlexisa.

— Mam je przy sobie i jeżeli pan sędzia chce zobaczyć, zaraz pokażę...

— To pismo kobiece—rzekł sędzia, biorąc świstek do ręki i na pewno rzec można, iż ta kobieta nie jest wprawną w pisanie.

Zaledwie Delcrous rzucił okiem na papier, poznał, iż stanowi on dokument niezmiernej doniosłości. Przeczytawszy go szybko, rzekł do leśniczego głosem zniżonym, jakby w obawie, by go nie posłyszał generał:

— Więc, strzelając, przypuszczałeś, że celujesz w Aleksandra?...

— Tak—odrzekł leśniczy, skinąwszy głową na znak potwierdzenia.

Generał targał się za wąsy, czytając list pisany do Wilkie Valongue, wtem zwrócił głowę w stronę leśniczego, mówiąc:

— Są rzeczy, których jeszcze nie rozumiem... dlaczego dziś dopiero przyszedłeś zrobić mi swo-

je wyznanie... dlaczego nie zrobiłeś tego zaraz... w jakim celu to wszystko?...

— Ach, książę panie, zawsze wszelkie zło dzieje się z powodu kobiet!... Uległem prośbom mojej synowej, która błagała mnie, aby całą tę sprawę ukryć przed jej mężem! On nic dotychczas nie wiedział... gdy wracał do nas ze swego magazynu z Paryża, robiłem co mogłem, by niczego się nie domyślał. Mówił więc o całej tej sprawie z innymi, rozpytywał się nas, cośmy o tem w przeciągu dnia słyszeli... ach, jakże straszną męczarnię przebyłem z tego powodu!... A tu jeszcze przyłączyły się wyrzuty sumienia, że zamiast mnie aresztowano człowieka zupełnie niewinnego i że on za mnie pokutuje w więzieniu i że może śmierć poniesie z mojej przyczyny!.. Otóż wczoraj, gdyśmy jak zwykle we troje zasiedli do obiadu, odsunąłem mój talerz, bo od kilku dni jedzenie nie chciało mi iść do gardła a mój syn spytał mnie: „Ojcze, co tobie... dlaczego jeść nie chcesz i w oczach nam nikniesz?“ Nie mogłem już dłużej wytrzymać, wybuchnąłem i powiedziałem mu wszystko... Biedny chłopak, myślałem, że trupem padnie, tak się przeraził mojemi słowami... Żona uklękła przed nim i szlochała, ale on nawet na nią nie spojrzał, zapominając o własnem swojem nieszczęściu, moje chłopczysko mnie tylko miało na myśli i wciąż powtarzał: „Ojcze, mój ojcze, trzeba, abyś naprawił chociażby to, co można jeszcze naprawić!“

Póki życia nie zapomnę tej chwili, gdyśmy rzucili się sobie na szyję i ryczeli z bólu. Wreszcie przyrzekłem mu, że dziś stawię się przed księciem panem, by wyznać całą prawdę... i tak też uczyniłem...

— To wyznanie zdaje się być zupełnie szczere— rzekł Delcrous, pochylając się do ucha księcia.

— Tak i zgadza się w zupełności z temi zwierzeniami pisanemi do szkolnego kolegi — odrzekł książę jakby z żalem. — Tylko śmiertelna rana zadana strzałem nie została przez lekarzy zbadaną, nie znaleziono ani ziarnka śrutu... i zkądże ciało mogło się rozłożyć tak szybko, wszak dwa tylko dni było w lesie a z twarzy nie pozostało ani cząstki...

— Ach, książę panie, w tem jest ohydny wybieg... znany przez takich leśnych wilków, jakim sam jestem... lecz wolę się powiesić, aniżeli to opowiedzieć...

Z wyrazu jego twarzy łatwo można było poznać, iż się zatnie i nie rzeknie ani słowa. A sekret Indyanina tak ciężki do odsłonięcia temu ojcu, któremu zwieziono syna z głową zżartą przez leśne robactwo, był szczegółem świadczącym o przebiegłości ludzkiej natury, lecz był prawie bez znaczenia odnośnie do całości sprawy. Piękna twarz Karlexisa znęciła krocie leśnego robactwa, albowiem zaraz po zabiciu został powieszony na drzewie do góry nogami, z głową zanurzoną w mrowisko. Dość jednej nocy, by

z ludzkiej twarzy pozostała wtedy tylko krwista szmata, strzępiąca się kłębami robactwa i przeświecająca białością objedzonych kości.

Sędzia, trzymając w ręku list Karlexisa, rozmawiał z generałem cichym zupełnie szeptem:

— Wszak teraz jesteś, panie generale, zupełnie przekonany, iż to ten człowiek a nie inny dokonał zabójstwa... jeżeli zatem trwasz, książe, w chęci zemsty, to łatwo się możesz zadowolić...

— Ja mam się mścić na tym słudze?... Nie, mój kochany panie Delcrous, ja chciałem się mścić na Ryszardzie Fenigan... lecz skoro mnie to zawodzi... o tego nie dbam bynajmniej.

— Tem lepiej, bo niełatwo byłoby uzyskać surowy wyrok... ten list uniewinnia tego człowieka...

Książę się zamyślił, wreszcie rzekł głosem zupełnie stanowczym:

— Podzielam twoje zdanie. Wreszcie nie chcę aby ten list mógł być czytany publicznie, bo na pewno nie dodałby blasku naszemu domowi, ani pamięci księcia d'Olmütz. Ci dwaj młodzi przyjaciele wymieniali pomiędzy sobą dość cyniczne poglądy... a ponieważ obadwaj szlacheckie noszą nazwiska, wolę niech cała ta sprawa wpadnie w wodę, byle nie było dalszego skandalu...

Ostatnie zdanie, książę wypowiedział głośno, patrząc ulotnie na starego Sautecoeura, który wciąż stał nieruchomy koło komina, mnąc w ręku wy-

galonowaną swą czapkę. Gdy generał zamilkł, sędzia, zwracając się do leśniczego, rzekł:

— Czy słyszałeś, co powiedział książę generał? Sprawa cała zostanie umorzoną. A ty opuść okolicę pod jakim chcesz pozorem, byle jak najśpieśniej i nikomu nic nie mów o tem, co zaszło. Jest to nieodzowny warunek, byś mógł żyć spokojnie i przez sąd nieturbowany.

Leśniczy skłonił się nizko przed swoim panem, lecz rzekł: „Dziękuję panom za ich łaskawość". Poczem skierował się ku drzwiom a stanąwszy już przed niemi zawahał się, wreszcie odwróciwszy się, spytał nieśmiało:

— A cóż będzie z panem Ryszardem?...

— Bądź o niego spokojny — odpowiedział sędzia. — Pan Ryszard wróci dziś jeszcze do Uzelles i również niepokojony nie będzie.

Te słowa sędziego wywołały wybuch złego humoru ze strony generała.

— Wróci dziś jeszcze do Uzelles?... Dlaczego?... Cóż panu na tem zależy, aby ten dureń przepędził dzisiejszą noc w objęciach swej żony?...

Tak więc nienawiść generała silniejszą była aniżeli strapienie rodzicielskiego jego serca, pamiętał o katuszy, jaką cierpiał skutkiem zazdrości, nie pomnąc już o trupie syna, o szaleństwie jego matki. W tych kilku słowach wypowiedzianych w wybuchu gniewnego uniesienia, sparaliżowany książę generał ujawnił tajnię swych myśli i znoszonych męczarni.

Tegoż dnia wieczorem przed pałacem w Uzelles, siedziała pani Fenigan pod wielkiem drzewem rosnącem koło werendy i rozmawiała zcicha ze starym swym przyjacielem Mérivetem, który od kilku dni wrócił z podróży. Rozmowa ich toczyła się zwolna, przerywana milczeniem lub westchnieniem a zdala, od strony folwarcznego dziedzińca dobiegały aż tutaj śmiechy i śpiewy służby, używającej na świeżem powietrzu miłego, wieczornego chłodu. Nikt dziś nie zważał na zwykłą godzinę spoczynku, która dawno już minęła, przypisać to należało wyjątkowo pięknej pogodzie a więcej jeszcze trosce spadłej na panie tego domu, które skutkiem ogromu swego smutku zapominać się zdawały o pilnowaniu ścisłości przyjętego regulaminu.

— Jakie powietrze dziś czyste i jakie donośne, czy pani słyszy, jak czyjeś kroki rozlegają się moście po nad rzeczułką—rzekł właściciel Małej parafii, który od czasu przyjazdu codziennym był gościem w Uzelles.

— Tak... słyszę... ten ktoś musi się bardzo śpieszyć — odrzekła pani Fenigan, wsłuchując się w echo kroków rozlegających się wyraźnie.

A Mérivet po chwili zauważył:

— Pani Ryszardowa była dziś bardzo smutna, o wiele smutniejsza, aniżeli przedtem. Zdaje mi się, że śmierć tego starego żebraka do tego się przyczyniła...

— Jeśli komu jest smutno, to lada okazya smu-

tek potęguje—westchnęła pani Fenigan. — A niechaj pan pamięta, że od trzech dni Ryszard jest w więzieniu i od trzech dni nie mamy o nim żadnej a żadnej wiadomości... Bo ta kartka, którą napisał do żony, jadąc jeszcze do Corbeil, jest tak niezrozumiała, iż wolę o niej nie myśleć...

— Niechaj pani nie wątpi, że muszą go wkrótce wypuścić... Przecież aresztowano go najniesłuszniej, przez pomyłkę... Zaraz nabrałem tego przekonania, gdym tylko spojrzał na pana Delcrous. Miał minę zakłopotaną, nieszczęśliwą, jak człowiek, który popełnił omyłkę, jakiej żałuje... Niechaj pani wierzy, że jestem najmocniej przekonany o rychłym powrocie Ryszarda... Pani, niech pani patrzy! — krzyknął nagle Mérivet z wybuchem radości.

Naprzeciw pałacowej bramy szeroko właśnie otwartej, na tle biało niebieskiej drogi, oświetlonej księżycowym blaskiem, zarysowała się sylwetka dobrze im znajomej postaci. Radość ubezwładniła panią Fenigan. Z głębi swego fotelu szepnęła tylko z uśmiechem:

— Ryszard, mój Ryszard!

— To państwo jesteście tutaj — zawołał nadbiegając a głos jego, sztucznie spokojny i silny, rozbił się teraz w łkanie ze zbyt wielkiego wzruszenia.

Po chwili zaś, skoro tylko zdołał przemówić spytał:

— A Lidia... czy mama miewa od niej listy?...

— Lidia... ależ ona nie wyjechała, jest u siebie to jest u was, w pawilonie.

Ryszard drgnął pod rozkosznym dreszczem, wywołanym tą wiadomością i o nic nie pytając więcej, cwałem pobiegł w stronę pawilonu. Na drugim końcu lipowej, ciemnej alei, widniało światło w oknach pawilonu, jakby mrugając wabiąco na Ryszarda. Dobiegłszy tam, otworzył drzwi i na chwilę przystanął.

Lidia siedziała w dolnym pokoju przed biurkiem swojego męża, zajęta pisaniem listu. Miała na sobie lekki szlafroczek i włosy spływające swobodnie na ramiona. Słysząc otwierające się drzwi, nie odwróciła nawet głowy, sądząc, iż weszła Rózia. Wtem Ryszard stanął tuż przy niej. Z wybuchem radosnego uniesienia złączyli się w uścisk przerywany niedomawianemi słowy, pocałunkami, pieszczotą serc rozkochanych.

— Ryszardzie, mój Ryszardzie! Tyś wolny, przy mnie!

— Tak, jestem wolny, bo już schwytano rzeczywistego mordercę.

Spojrzała na niego z najwyższem zdziwieniem:

— Jakto... jakiego rzeczywistego mordercę?...

Teraz dopiero Ryszard zrozumiał poprzednie zachowanie się Lidii.

— Więc ty myślałaś, że to ja zabiłem?...

— Tak — odszepnęła cichutko, nie chcąc kłamać.

Ryszard, również zmięszany, odpowiedział szeptem:

— Czy wiesz, że ja ciebie posądzałem?... Byłem prawie pewien, żeś to ty zabiła.

Lidia spojrzała mu prosto w oczy:

— Czyż naprawdę sądziłeś, że to zrobiłam?...

A przytuliwszy się do męża dodała:

— Teraz dopiero rozumiem znaczenie twojej kartki... to dlatego chciałeś, bym natychmiast wyjeżdżała... i dlatego udawałeś przed sędzią, żeś popełnił ów czyn... Chciałeś być skazany, byle u nie nic nie zagrażało! Ryszardzie, mój drogi Ryszardzie!

Zarzuciła mu ręce na szyję a główkę swą złożywszy na jego ramieniu, płakała ze wzruszenia. Ryszard objął [illegible] zaledwie przysłoniętą lekką materyą szlafroczka i poczuwszy tuż przy sobie rozkosznie piękne ciało swej żony, szepnął jej do ucha:

— Chodź, chodź do naszego dawnego pokoju... powiedz, że mnie kochasz... że jesteś moją... chodźmy razem... wszak to dzisiaj nasza pierwsza noc ślubna naszego powtórnego małżeństwa...

Czytelnia H. Michniewskiej
№ .....
w Skierniewicach

Czytelnia H. Michniewskiej
№ .....
w Skierniewicach

XX.

Zadowolenie pana Mérivet, właściciela Małej parafii.

— Lidio!... Ryszardzie!... Śpieszcie się, już po raz ostatni dzwonią na mszę...

Wołała tak Eliza, pukając do drzwi pawilonu i śmiejąc się wesoło srebrnym swym śmiechem. Eliza była już od dwóch dni w Uzelles, przyjechała zawezwana listami pani Fenigan. Dziś była niedziela i panie szły do kościołka w Uzelles, oddawna bowiem pani Fenigan przestała bywać na nabożeństwie w Draveil.

Po chwili, wyszła z pawilonu Lidia, ubrana czarno, jakby żałobnie a skromna, chociaż wytworna jej suknia, uwydatniła jeszcze jaskrawość stroju Elizy.

— A Ryszard?...—zapytała się pani Fenigan, przybrana w jedwabie, z książką o złoconych brzegach w ręku, podczas gdy w drugiej trzymała ściągany na wstążki woreczek, w którym co chwila pobrzękiwały klucze, nawleczone na metalowe kółka.

— Czytaliśmy wczoraj bardzo długo, więc nie miałam odwagi budzić Ryszarda... odpowiedziała Lidia, rumieniąc się z powodu swego kłamstwa i zapłoniona zapinała rękawiczki, idąc śpiesznie na mszę do Małej parafii.

Ryszard nie spał, lecz leżał w wielkiem, niziem łóżku, marzył rozkosznie, kołysany zmęczeniem pełnem słodyczy. Przez otwarte okno dolatywały do niego dobrze znane mu odgłosy, dzwon wzywający na mszę do kościoła św. Ireny, woda lejąca się przy studni i brzęk blaszanego kubka obijającego się o mur z mniejszym lub większym łoskotem... Dlaczego nie poszedł z paniami na mszę?... Nie chciał, by mu się zbytecznie przypatrywano; wszak z powodu wypadków zaszłych od tygodnia i tak aż nadto zajmowano się nim w całej okolicy. Miał wszakże ochotę zajść kiedykolwiek do kościołka, wzniesionego przez jego przyjaciela, miał nawet wielką wdzięczność dla Małej parafii... tak, niezawodnie, powinien tam pójść którejkolwiek niedzieli.

Wpół drzemiący Ryszard usłyszał głos starego Chuchina, który, stojąc na dole pod oknami, przypominał swojemu panu o sieciach zastawionych przy wyspie, czas byłoby iść je wyciągnąć, nim słońce wzbije się nadto wysoko. Ryszard przypomniał sobie teraz, iż wydał rozkaz, by Chuchin zbudził go dziś rano, w razie gdyby spał za długo, zerwał się więc szybko z łóżka

i w parę chwil później, był już na dole, by iść ku rzece. Prawie we drzwiach pawilonu napotkał Rózię, która dawała jakiejś starej kobiecie wiązkę świeżych i pysznie pięknych kwiatów. Stara kobiecina umknęła z kwiatami a Ryszard, zadziwiony nieco, zapytał Rózię, patrząc na nią podejrzliwie:

— Co to za kobieta?

— To stara Lucriot.

— A kwiaty cóż znaczą?...

Rózia niewiedziała dlaczego, lecz pani Ryszardowa kazała jej dawać tej kobiecie bukiet kwiatów każdego ranka. Ryszard nie wypytywał się dłużej, postanawiając rozmówić się o tem z Lidią, lecz nagle posmutniał. Wyszedłszy na gościniec, spotkał osoby wracające już ze mszy. Eliza, idąc w towarzystwie pani Fenigan i Lidii, rozprawiała z wielkiem ożywieniem.

— Nie lubię modlić się za dusze ludzi, których nie znałam... Wreszcie, gdybym była wiedziała, iż dzisiaj będzie msza żałobna w Małej parafii, byłabym się ubrała czarno, tak jak Lidia.

Ryszard szedł teraz z niemi i spojrzał badawczo na twarz Lidii, która, zarumieniona, rzekła z przymusem:

— Ja... też nie byłam powiadomiona...

— A z jakiego powodu była dziś msza żałobna?—spytał Ryszard.

— Nikt tego nie wie, nawet pan Mérivet nie umiał nas objaśnić—odpowiedziała Eliza.

Ryszard, odprowadziwszy nieco na bok swoją żonę, spytał:

— A ty czy wiesz?...

— Tak, wiem.

— Czy msza żałobna była odprawioną na intencyę tej samej osoby, której składasz co rano kwiaty na dowód pamięci?...

Lidia drgnęła z zadziwienia, pobladła i rzekła śpiesznie:

— Tak... a te kwiaty składam na grobie starego Jerzego.

Od kilku dni, Lidia, upojona szczęściem, odzyskanem z chwilą powrotu Ryszarda, niemogła na sobie wymódz zupełnej szczerości, by powiedzieć mężowi o swojem odnalezionem pokrewieństwie ze starym Jerzym. Lękała się obniżyć a może nawet utracić miłość Ryszarda. Może kochać ją przestanie, gdy się dowie, iż jest podrzutkiem wędrownej bandy cyganów?... Bała się zwłaszcza rozmowy z panią Fenigan, o wiele jeszcze dumniejszej od syna. Wahając się, trwożąc, Lidia odkładała swe wyznanie z godziny na godzinę a nawet już teraz z dnia na dzień, licząc przedewszystkiem na księdza Cerès, który najlepiej sprawę tę załatwi. Teraz wszakże, zobaczywszy zmianę twarzy Ryszarda, zrozumiała, iż nie należy dłużej przed nim taić tego, co zaszło w dzień śmierci starego Jerzego.

Ryszard, odprowadziwszy panie do pałacowej bramy, zawrócił znów na gościniec, lecz nie

spuścił się ku rzece; już go zamierzona rybacka wyprawa przestała interesować. Rozmyślał nad tą mszą żałobną, temi kwiatami, czarną suknią Lidii... nie, to niemożliwą jest rzeczą, aby ona tak bardzo wzięła do serca śmierć tego nędznego żebraka. Wreszcie, jeżeli te wszystkie oznaki żalu i żałoby są spowodowane śmiercią starego Jerzego, to pocóż się o tem nie mówi głośno?... po cóż te wszystkie tajemnice?... Więc cóż?... msza, kwiaty i suknia żałobna, są z powodu śmierci tamtego?... Więc ona współczuje śmierci tego hultaja, który życiem przypłacił swoje miłosne zapędy i dziś spoczywa już w grobie, w pysznem mauzoleum wzniesionem w ustronnem miejscu parku w Grosbourg, gdzie śpią snem wiecznym inni członkowie dumnej rodziny książąt Alcantary. Więc ona myślą przebywa z tamtym?... Mógł się przecież przekonać o ile przed nim skłamała. Stara Lucriot mieszka w Draveil, pójdzie tam i rozpyta się o wszystko... Prawie mimowoli począł iść w stronę Draveil. Musiał więc przechodzić tuż koło Małej parafii. Mérivet właśnie zamykał teraz bramę kościelną i, dostrzegłszy Ryszarda, zaczął mu wygrażać wielkim kluczem trzymanym w ręku. Lecz Ryszard obojętnie przyjął tę niemą wymówkę, postanawiając nawet w duchu, iż nigdy... nigdy... nie przestąpi progu Małej parafii... Zbyt wymagający to kościół... trzeba się modlić nawet za tych, którzy nas

skrzywdzili... nie, tego on nie zdoła wymódz na sobie... nawet starać się o to nie będzie.

O kilka kroków dalej, Ryszard spotkał pana Aleksandra, który go powitał uniżonym i obłudnym ukłonem. Pan Aleksander szedł w pretensyonalnem ubraniu myśliwca, jakkolwiek nie była to jeszcze pora otwartego polowania, lecz cały dzisiejszy ranek strzelał do królików w zwierzyńcu należącym do Grosbourg. „Szczęśliwych łowów!“—wołały za panem Aleksandrem dziewki folwarczne. Toż samo rzekła do niego piekarka, wychyliwszy się z wozu, na którym jechała. A pan Aleksander, spoglądając lekceważąco na tę gawiedź, odpowiadał, cedząc przez zęby i naśladując miny panów, których widywał w pałacu: „Nie spotkałem zwierzyny... zły dzień“.

Już po za wioską, Ryszard spotkał na gościńcu wóz naładowany domowemi sprzętami. Wóz się właśnie zatrzymał a dwóch mężczyzn, jednakowego, słusznego wzrostu, lecz różnego wieku, poprawiało coś przy uprzęży, siedząca zaś pomiędzy gratami kobieta mówiła coś do konia, uderzając go lejcami po bokach. Wóz ruszył naprzód a mężczyzni szli każdy po stronie przeciwnej, podtrzymując pakunki. Była to rodzina Sautecoeur, opuszczająca okolicę. Ryszard przystanął, by się z nimi nie spotkać, szanując żal i rozpacz tych ludzi. Biedny stary leśniczy! Tyle lat spędziwszy na miejscu i zespoliwszy się z tym

lasem, który uważał jakby za swoją własność, jakże silnie musiał być tknięty tem, co go spotkało na stare lata! I to z jakich marnych powodów! Dlatego, że paniczowi zachciało się miłostek! Prawda, iż młokos straszliwą poniósł karę za swoją fantazyę... Młody, piękny, spadkobierca olbrzymiej fortuny i głośnego nazwiska o książęcym tytule, legł zabity jak pies milczkiem kąsający... Tak, może Lidia ma słuszność, litując się nad tą śmiercią... Po cóż więc ma iść na badanie starej Lucriot?... To tylko poniżyć go może... Lepiej zaniechać... Albo pójść wprost na cmentarz... Wszak odnajdzie tam grób starego Jerzego i przekona się, czy leżą na nim kwiaty... Powziąwszy takie postanowienie, Ryszard przyśpieszył kroku, kierując się w stronę cichego, wiejskiego cmentarza. Wtem spotkał się z towarzystwem muzykantów z Draveil. Szli po wojskowemu, z chorągwią zdobną w nagrodowe medale, zdobyte na konkursach, szli, wznosząc tu many kurzu i dmąc całą siłą piersi w dęte instrumenty wszelkiego kalibru i kształtu, szli raźnie a poczciwe wieśniacze ich twarze, świeżo z powodu niedzieli wygolone i umyte, świeciły się od potu, odbijając ogorzałą cerą od galonów przy czapkach, nałożonych z junacka.

Ryszard doszedł do muru otaczającego cmentarz, gdy znów chwiać się począł w chęci wyszukania grobu starego Jerzego. Siadł więc na wielkim przydrożnym kamieniu i zamyślił się głę-

boko. Wstręt zaczął uczuwać do samego siebie... dla czego posądza Lidię o nieszczerość?... Dlaczego jej niedowierza po zawartej z nią zgodzie, po rozkosznych pieszczotach, które zgładziły gorycz dawnych wspomnień... nie, nie pójdzie na cmentarz... Lepiej będzie, gdy wróciwszy do domu, powie Lidii z całą prostotą: „Myślałem że jestem uleczony.. lecz się myliłem. Myślałem że śmierć kładzie kres wszelkiej zazdrości, lecz widzę, że nawet umarłemu jeszcze zazdroszczę! Błagam cię więc, Lidio, przestań się litować nad grobem tamtego, bo okazywane przez ciebie współczucie rozdziera mi serce... Jestem znów bardzo nieszczęśliwy!“ Uspokoił się tą chęcią wyznania Lidii bólu, który mu dokuczał... odetchnął swobodniej i zapatrzył się w dal łanów rozesłanych daleko i wonniejących kwiatami złocistego rzepaku i białej gryki, której śnieżne zagony docierały aż do lasu.

Jak długo Ryszard siedział pogrążony w swej zadumie — nie zdawał sobie sprawy, chociaż widział jakby we śnie wracających z wycieczki muzykantów... widział gromadki innych ludzi... oraz zwykłych niedzielnych handlarzy, dążących gościńcem w tę lub drugą stronę... W tem, ze stron różnych doleciały do uszów Ryszarda odgłosy dzwonów i dzwonków... było więc południe, dzwoniono, wzywając domowników do stołu. Powstał ze swego miejsca i teraz dopiero spostrzegł, iż siedział tuż w pobliżu żelaznego

krzyża, wzniesionego przez jego matkę, tu, gdzie padł jego ojciec, zmarły wśród gościńca na atak apoplektyczny Jakże to już dawno! i myślą przeniósł się w lata swego dzieciństwa, wywoływał postać swego ojca, którego znał mało i niewiele pamiętał. Czyż po ojcu odziedziczył to straszne uczucie zazdrości... dokuczliwe jak choroba z zakażenia krwi pochodząca. Czyż zazdrość jest dziedziczną właściwością rodu, z którego pochodzi?... „Ach, ojcze mój ojcze! — wzdychał Pum... Pum... nucąc po dawnemu — mogłeś mi przekazać mniej łąk, mniej młynów i mniej pieniędzy, lecz także i mniejszą dozę zazdrości!... Pali mnie ona jak jątrząca się rana .. i czuję, że nigdy nie uleczę się z niej w zupełności!“

Pomimo wesołości Elizy, ciężko i smutno wlokły się godziny dzisiejszego popołudnia w pałacu Uzelles. Wieczorem oczekiwano sędziego Delcrous, który, pomimo że powinien był mieć sobie niemało do wyrzucenia względem Ryszarda Fenigan, zapowiedział swoją wizytę. Miłość i pewnego rodzaju bezczelność ułatwiły mu gładkie załatwienie tej sprawy; zaraz na wstępie, wszedłszy do salonu, powiedział każdemu słówko grzeczne i właściwe. Przybycie sędziego do Uzelles wywołało wszakże niemało uwag w oficynie pomiędzy służbą a Rózia Chuchin, sprawczyni zaszłego dramatu, wywołanego listem napisanym przez nią do Indyanina, drżeć poczęła ze strachu,

wreszcie nie mogąc dłużej wytrzymać, pobiegła do parku, wsunęła się do kiosku i zamknąwszy drzwi, zaryglowała je z wewnątrz, jak również okiennice.

Tymczasem sędzia w salonie połyskiwał białemi zębami, patrząc na różową i pulchną swoją narzeczoną. Uprosił Lidię, by siadła do fortepianu a Ryszardowi i pani Fenigan dał do przejrzenia numer dziennika, wychodzącego w Corbeil, w którym był obszerny artykuł podpisany *Verax* i cały poświęcony egzaltowaniu cnót i miłosiernych uczynków rodziny Fenigan. Styl tego artykułu tak był podobny do okresów, wygłaszanych przez sędziego, iż niepodobna było wątpić, kim jest podpisujący się tak trafnie pseudonimem Verax.

Na nieszczęście w tymże samym numerze „Journal de Corbeil“ znajdowała się wiadomość, umieszczona na pierwszej stronnicy:

„Dziś w niedzielę, odbyło się nabożeństwo żałobne za duszę księcia d'Olmütz w kaplicy pałacowej w Grosbourg, oraz w parafialnych kościołach całej naszej okolicy“.

Ryszard długo wpatrywał się w te słowa i oczu od nich nie mógł oderwać, jakby je sylabizując i ucząc się na pamięć. Wreszcie wstał i położył przed Lidią grającą na fortepianie, dziennik złożony na właściwe miejsce, podkreśliwszy je uwydatniająco.

— Teraz już wiem, za kogo modliłaś się dziś rano — rzekł urywanym i stłumionym głosem — kwiaty zapewne też były dla niego!

Podniosła ku niemu oczy pełne bólu:

— Ryszardzie!... Ryszardzie, dlaczego mnie i siebie krzywdzisz tak nieubłaganie!

Nie przestawała grać, nie chcąc zwracać na siebie niczyjej uwagi, lecz wielkie i gęste łzy, padały z jej oczu na klawisze i na białe, smukłe jej ręce. Po chwili urwała rozpoczętą partycyę i z nagłem postanowieniem w głosie rzekła do męża:

— Chodź, chcesz wiedzieć, więc powiem ci wszystko...

— Dzieci, gdzież wy uciekacie — wołała za odchodzącymi pani Fenigan. Lecz oni już byli w parku i nie słyszeli słów matki.

. . . . . .

W następną niedzielę; gdy podług przyjętego zwyczaju, Mérivet, kawaler orderu św. Grzegorza, stanął przy drzwiach swego kościoła, dla przyjmowania gości, przybywających na mszę do Małej parafii, ujrzał ze zdziwieniem a zarazem z wielkiem uradowaniem, wchodzącego tu Ryszarda Fenigan, pod rękę ze swą żoną. Lidia ubrana była w suknię błękitną i wyglądała jak święta, czy nadziemskie zjawisko. Podczas gdy wchodzili do kościoła, gołębie gnieżdżące się w wieży,

gruchać zaczęły donośniej a stary Mérivet, umiejący z niezrównaną sztuką stopniować uprzejmość swego przyjęcia i oddanie każdemu czci należnej, skłonił się tym razem niżej niż kiedykolwiek, podniósłszy zaś głowę, spojrzał na rozkochaną parę małżonków z serdeczną życzliwością.

KONIEC.

ANULOWANO
BIBLIOTEKA POGRĘCZNA
Instytutu Wydawniczego
Nr. 5000
UJK
Biblioteka
Uniwersytecka

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0472774